

AUTOR BESTSELLERA  
CZASEM WARTO ZABIĆ

# KĄŻDY JEJ STRACH

PETER SWANSON

MARGINESY



**KAŻDY  
JEJ  
STRACH**

**PETER SWANSON**

Przełożyła Ewa Penksyk-Kluczkowska

MARGINESY

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

## **I. DŁUGONOGIE STRACHY**

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

## **II. RÓWNE CIĘCIE**

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

*Dla Susan, Jima, Davida i Jeremy'ego*

Każdy strach to pożądanie. Każde pożądanie to strach.  
Żarzą się papierosy pod drzewami,  
Gdzie mordercy ze Staffordshire czekają na współników  
I na ofiary. Każda ofiara jest współnikiem.

James Fenton, *Morderca ze Staffordshire*

# DŁUGONOGIE STRACHY

Najkrótsza droga z lotniska Logan do centrum Bostonu prowadzi przez półtorakilometrowy tunel Sumner. Ciemny, wilgotny, niski sprawia wrażenie zbudowanego ze sto lat temu, i to się właściwie zgadza. W piątek 24 kwietnia, w ciepły wiosenny wieczór studentce pierwszego roku Boston University w połowie tunelu skończyło się paliwo, a to spowodowało, że wszystkie pojazdy, zwykle poruszające się dwoma pasami ruchu, powoli przetaczały się jednym. Kate Priddy, która nigdy wcześniej nie była w Bostonie i nie miała pojęcia, że znajdzie się w tunelu pod Boston Harbor, siedziała w tkwiącej w korku taksówce i zaczęła panikować.

To nie był jej pierwszy atak paniki, nawet nie pierwszy tego konkretnego dnia. Miała już jeden rano, gdy wyszła ze swojego mieszkania w Belsize Park w Londynie na zimny, szary świt i nagle poczuła, że to całe zamienianie się mieszkaniem to najgorszy pomysł, na jaki się w życiu zgodziła. Ale wykonała ćwiczenia oddechowe, powtórzyła mantrę i powiedziała sobie, że już za późno, nie może się wycofać. Jej kuzyn, którego w życiu na oczy nie widziała, właśnie leciał z Bostonu do Londynu. Na pół roku przejmował jej mieszkanie, ona zaś w tym czasie miała zająć jego apartament w Beacon Hill.

Ale tak ciężkiego ataku jak ten w taksówce uwięzionej w ciemnym tunelu nie dostała od bardzo dawna. Połyskliwe, ciągnące się bez końca ściany nachylały się ku sobie pod sklepieniem. Zupełnie jakby znalazła się we wnętrzu ogromnego, zaciskającego się węża. Kate czuła, jak jej żołądek się kurczy, a w ustach zasycha.

Taksówka podjechała kawałeczek do przodu. Na tylnym siedzeniu czuć było zapach ciała i kwiatową woń jakiegoś samochodowego odświeżacza. Kate chciała opuścić szybę, ale nie wiedziała, jakie zwyczaje panują w amerykańskich taksówkach. Jej żołądek, znowu ściśnięty, zaczął się kurczyć rytmicznie. „Kiedy ostatnio byłam w toalecie?” – zastanawiała się, a jej panika przybrała na sile. Jakież znajome uczucie: serce łomocze coraz szybciej, ręce i nogi stają się zimne, wzrok się wyostrza. Wiedziała jednak, co robić. Usłyszała w głowie głos terapeutki: „To tylko atak paniki, przypadkowy wyrzut adrenaliny. Nie stanie ci się krzywda, nie umrzesz, nikt go nie zauważy. Przeczekaj. Nie walcz z nim. Poddaj się. Pokonaj go”.

„Ale ten jest inny” – pomyślała Kate. Czuła realne zagrożenie. I nagle znowu znajdowała się w domku w Windermere, skulona w zamkniętej na klucz szafie, w koszuli nocnej mokrej od moczu, z George’em Danielsem po drugiej stronie drzwi. Czuła się teraz prawie tak jak wtedy, czuła w środku zimne ręce, które wykręcały jej żołądek niczym mokrą ścierkę. Potem padł strzał i nastąpiła straszliwa cisza, która trwała i trwała całymi godzinami. Gdy wreszcie wyciągnięto ją z szafy, zeszywniała, ze strunami głosowymi obolałymi od krzyku, nie wiedziała, jakim cudem jeszcze żyje, jakim cudem strach jej nie zabił.

Na dźwięk odbijającego się echem klaksonu wróciła na tylne siedzenie taksówki. Odepchnęła myśli o Windermere, o George’u, zrobiła jak najgłębszy wdech, chociaż miała wrażenie, że klatkę piersiową uciska jej coś ciężkiego.



„Zmierz się z tym. Zaakceptuj. Nie walcz. Przeczekaj”.

Nie działało. Kate czuła, jak gardło się jej zaciska, aż zostaje w nim tylko małeńki otworek, a płuca jak szalone usiłują zaczerpnąć odrobinę tlenu. W taksówce unosił się zapach stęchlizny i rozkładu, jak w tamtej szafie, jakby coś tu zdechło wiele lat temu. Przyszło jej do głowy, żeby rzucić się do ucieczki, a na tę myśl panika jeszcze przybrała na sile. Kate pomyślała o lekach, o przepisanych przez lekarza benzodiazepinach, których już w zasadzie nie zażywała, ale jednak wzięła je ze sobą, tak jak dziecko ciągle ściska w rączce kocyk, choć już go nie potrzebuje. Niestety, leki znajdowały się w walizce, walizka zaś w przeklętym bagażniku. Otworzyła wyschnięte usta, by powiedzieć coś do kierowcy, poprosić, by otworzył bagażnik, ale słowa nie chciały się wydobyć. I teraz nastąpił moment – dobrze jej już znany – kiedy rozumiała, że naprawdę umiera. „Napady paniki nie mogą cię zabić. To przecież oczywiste. Nie mogą” – pomyślała, ale i tak zacisnęła mocno powieki, jakby pędził na nią pociąg. To było najgorsze. Świat przeistaczał się w szafę pełną ciemności, czerni; śmierć ją dławiała. Wnętrznosci przechodziły w stan płynny.

„Zmierz się z tym. Zaakceptuj. Poddaj się. Przeczekaj”.

Taksówka z szarpnięciem przemieściła się do przodu o długość pojazdu i znowu się zatrzymała, ale od tego nieznacznego postępu Kate zrobiło się odrobinę lepiej, jakby zawdzięczała to powtarzaniu mantry. Powtórzyła ją raz jeszcze, wykonując jednocześnie swoje ćwiczenia oddechowe.

Kierowca pokręcił głową, rozłożył szeroko palce i mamrotał coś do brudnej szyby w języku, którego Kate nie rozumiała. Nie wiedzieć czemu wcześniej sądziła, że taksówkarze w Ameryce będą stereotypowo amerykańscy – niewysocy mężczyźni w czapkach z daszkiem, z niedopałkami cygar, mówiący donośnym amerykańskim głosem. Ten taksówkarz natomiast miał turban oraz gęstą brodę; gdyby nie to, że siedział na fotelu po lewej stronie, równie dobrze mogłaby się znajdować w Londynie.

– Ile ten tunel ma długości? – zapytała z oporem przez oddzielającą ich szybę. Sama słyszała, jak bojaźliwie i niepewnie brzmi jej głos.

– No, jeszcze z kawałek.

– Zawsze tak tu jest?

– Czasami – odrzekł mężczyzna, wzruszając ramionami.

Kate skapitulowała i odsunęła się od przegrody. Potarła dłońmi o uda. Taksówka kolejnymi zrywami wlokła się do przodu, mniej więcej po metrze, ale gdy minęła unieruchomionego chevroleta i otworzyły się przed nią oba pasy, przyspieszyła. Kate wdychała powietrze przez nos, wypuszczała przez usta. Otworzyła zaciśniętą dłoń, jeden z palców wyprostował się z trzaskiem. Zaczęła kciukiem dotykać opuszek kolejnych palców. Wąziutki otworek gardła odrobinę się poszerzył.

Wyjechali z tunelu, Kate zdążyła dostrzec niebo wypełnione nabrzmiałymi chmurami, zanim taksówka zanurzyła się w kolejnym tunelu, w którym jednak pojazdy przemieszczały się szybko. Taksówkarz nadrobił spóźnienie, zanim wyjechał po drugiej stronie na ekspresówkę biegnącą brzegiem Charles River. Na niebie zostało jeszcze tyle światła, że Kate dostrzegła po prawej mijane szybko tyły ceglanych domów. Po spokojnych wodach rzeki płynął jakiś kajakarz.

Kierowca skręcił gwałtownie w lewo, w wąską ulicę z niskimi ceglanyymi budynkami po jednej stronie i kwitnącymi drzewami przy chodniku.

– Bury Street – oznajmił.

– Numer sto jeden.

– Się robi. – Przyspieszył, a po chwili zwolnił i zatrzymał się gwałtownie, jednym kołem wjeżdżając na chodnik przed ceglany łuk zwieńczony niewielkim kamieniem, na którym wycięto numer 101. Za nim Kate ujrzała dziedziniec z niską fontanną. Trzykondygnacyjna kamienica otaczała go z trzech stron. Kate czuła w brzuchu lekki ból, pozostałość po ataku paniki, i z wyrzutami sumienia pomyślała o swoim kuzynie Corbinie Dellu, który jakiś czas temu dotarł do przeciętnego mieszkania w północnym Londynie. Wiedział jednak, co przypadnie mu w udziale. Wymienili sporo mejli. Jej dwupokojowe mieszkanie było przytulne i znajdowało się w wygodnej odległości od stacji metra, za to mieszkanie Corbina – widziała na zdjęciach – wyglądało jak wyjęte ze stron książki Henry’ego Jamesa. Niemniej zaskoczyło ją to wejście od dziedzińca, tak bardzo włoskie i tak bardzo niepasujące do tych nielicznych obrazów Bostonu, które poznała do tej pory.

Czekała na chodniku, aż taksówkarz wyjmie jej bagaże – wielką walizkę na kółkach i jeszcze większą miękką torbę. W poprzednim tygodniu wymieniła w swoim banku funty na dolary i zapłaciła teraz mężczyźnie cienkimi, papierowymi banknotami, a że nie orientowała się, ile dać napiwku, pewnie dała go za dużo. Gdy odjechał, z wysiłkiem umieściła torbę na walizce i przeszła pod łukiem.

Znajdowała się w połowie dziedzińca, wyłożonego częściowo kamieniem brukowym, a częściowo cegłą, gdy drzwi wejściowe otworzyły się z rozmachem i wypadł przez nie portier o sylwetce gruszki, machając na nią ręką.

– Witam, witam – powiedział. Miał na sobie długi brązowy płaszcz, pod nim garnitur, a na głowie czapkę z daszkiem. Nosił okulary w grubych oprawkach, z mocnymi szklami. Wyróżniał się bardzo czarną skórą i bardzo białym wąsem, po jednej stronie nieco gęstszym niż po drugiej.

– Witam. Nazywam się Katherine Priddy. Mam mieszkać w apartamencie Corbina Della.

– Zgadza się. Wszystko wiem. Pan Dell przenosi się na pół roku do Londynu, a pani sprowadza się tutaj. Strata dla Londynu, zysk dla Bostonu, jak sądzę. – Puścił oko i napięcie wciąż trzymające Kate w uścisku częściowo ustąpiło.

– No nie wiem..

– Rzadko się myślę. – Kate czytała gdzieś, że bostończycy słyną z chłodu, ale ten portier przeczył takiej teorii. – Widzę, że przyjechała pani z całym dobytkiem – dodał, przyglądając się bagażom. Raczej wyczuła, niż zobaczyła, że minęła ją jakaś kobieta i zniknęła w wejściu do budynku. Portier chyba nie zwrócił na to uwagi.

– Jeśli pan zajmie się walizką, ja wezmę torbę – zaproponowała i razem zdołali pokonać trzy wydeptane marmurowe stopnie prowadzące do holu. On postawił walizkę na wyłożonej kaflami podłodze i żwawo przeszedł na drugą stronę kontuaru recepcji. Jak na mężczyznę tej wielkości poruszał się niezmiernie szybko.

– Obiecałem pani Valentine, że dam jej znać, jak już pani do nas dotrze. To przewodnicząca naszego komitetu lokatorskiego, chciała panią oprowadzić po nowym mieszkaniu.

– Och, no dobrze – odrzekła Kate, rozglądając się. Hol był niewielki, ale piękny. Z wysokiego sufitu zwisał żyrandol: cztery żarówki w szklanym kloszu. Ściany połyskiwały świetlistym kremowym odcieniem.

– Panna Pride jest tu na dole – powiedział do telefonu, po czym odłożył słuchawkę. – Zaraz zejdzie. Może wstawimy pani bagaż do windy? Będzie pani mieszkać na drugim piętrze północnego skrzydła. Ma pani stamtąd piękny widok na rzekę. Była już pani kiedyś w Bostonie?

Gdy Kate wyjaśniała, że wręcz nigdy wcześniej nie była w Stanach, bocznymi schodami zeszła wysoka, straszliwie chuda siedemdziesięcioletnia chyba kobieta w długiej czarnej sukni i kwiecistym szalu. Obcasy jej butów miarowo stuknęły po kamiennej podłodze. Srebrzyste włosy miała upięte w wymyślny kok. Kate zastanawiała się, czy kobieta zawsze się tak ubiera, czy też może zaraz gdzieś wychodzi. Przedstawiła się jako Carol i podała Kate rękę na powitanie. Jej dłoń skojarzyła się dziewczynie z garstką wykałaczek obciążonych bibułką.

– Nie wątpię, moja droga, że sama by się pani zorientowała w mieszkaniu Corbina, ale uznałam, że nie zaszkodzi zorganizować komitet powitalny. – Portier zapakował tymczasem bagaż do windy, Carol wzięła od niego klucz i poprowadziła Kate do krętych schodów. – Możemy się przejść? Codziennie dbam o kondycję.

Kate zapewniła, że chętnie skorzysta ze schodów. Ulżyło jej, że nie musi jechać windą.

Na drugim piętrze Carol skręciła w lewo, a Kate podążyła za nią ciemnym korytarzem z wykładziną na posadzce. Po prawej stronie znajdowały się jedne drzwi, po lewej drugie, a na końcu trzecie. Do tych po lewej pukała właśnie energicznie młoda kobieta. Kate odniosła wrażenie, że to ta sama, która wcześniej mignęła jej na dziedzińcu.

– Może pani w czymś pomóc? – zapytała głośno Carol.

Kobieta się odwróciła. Nosila dzinsy i sweter z okrągłym dekoltem. Ciemne włosy miała ostrzyżone na boba i byłaby śliczna, gdyby nie brakowało jej podbródka. To się tak wyraźnie rzucało w oczy, że Kate zastanowiła się przelotnie, czy aby kobieta nie uległa jakiemuś straszному wypadkowi, w którym straciła podbródek.

– Pani tu pracuje? Mogłabym dostać klucz do tych drzwi? Niepokoję się o swoją przyjaciółkę – mówiła przez nos wysokim głosem zdradzającym zdenerwowanie.

– Co panią niepokoi? – zapytała Carol. – Coś się stało?

– Nie mogę się z nią skontaktować. Byłyśmy umówione na lunch, dzwoniłam do niej do pracy, ale tam też się nie pojawiła. No i teraz się martwię.

– Rozmawiała pani z portierem?

– Nie, przyszłam od razu tutaj. To do niej niepodobne, rozumie pani. Wysłałam jej esemesa. Z tysiąc esemesów.

– Przykro mi – odparła Carol. – Ja osobiście nie mam klucza, ale może powinna pani porozmawiać z Bobem, naszym portierem. On będzie coś wiedział. Jak się nazywa pani przyjaciółka? – Carol ruszyła już dalej, Kate również.

– Audrey Marshall. Zna ją pani?

– Poznałam ją, moja droga, ale niewiele o niej wiem. Proszę porozmawiać z Bobem. On pani pomoże. Powinien pomóc od razu przy wejściu.

Kate szła pod ścianą, ramieniem niemal dotykając boazerii. Zdenerwowana przyjaciółka ze swoim spanikowanym przenikliwym głosem sprawiła, że klatka piersiowa Kate znowu pęczniała, jakby nadymał

ją od środka rosnący balon paniki. Tabletki spoczywające w kosmetyczce na dnie walizki były w tej chwili nieosiągalne.

– To niespotykane – podjęła Carol, wreszcie wsuwając klucz do zamka w drzwiach Corbina – żeby ktoś się dostał do tego budynku bez wiedzy portiera. Jestem pewna, że nikomu nic złego się nie stało.

Powiedziała to takim tonem, jakby nigdy nikomu i nigdzie nic złego się nie stało. Tego rodzaju absurdałne, ale podyktowane najlepszymi intencjami obwieszczenia wygłaszał ojciec Kate. Ona sama, od chwili gdy ujrzała zmartwioną kobietę dobijającą się do drzwi sąsiadki, wiedziała, że ktoś umarł. Tak właśnie działał jej umysł. A świadomość, że jej umysł tak działa, że nieustannie wbrew logice sięga po najgorszą możliwość, ani trochę nie osłabiała tego przekonania. Choćby dzisiaj Kate naprawdę wiedziała, że młodzieniec o spoconym czole z kędzierzawym wąsem w sali odlotów niesie w plecaku wykonaną w domu bombę. Jak również po prostu wiedziała, że pasmo turbulencji nad Atlantykiem rozszaleje się na taką skalę, że w końcu bez wysiłku oderwie skrzydła samolotu, tak jak mały sadysta rozdiera na strzępy motyla. Żadna z tych rzeczy się nie wydarzyła, ale to nie oznacza, że za drzwiami obok nie ma martwej czy umierającej dziewczyny. Oczywiście, że jest.

Kate powróciła myślami do Carol, która wciąż zmagала się z kluczem. Już się zastanawiała, czy ptasie kosteczki staruszki poradzą sobie z zapadkami zamka, gdy z wielką ulgą usłyszała przymilny trzask otwierających się drzwi. Choć nigdy wcześniej nie była w mieszkaniu Corbina, w myślach wzięła je już w posiadanie. Strasznie chciała wreszcie znaleźć się w środku, poczuć się bezpiecznie, u siebie. Miała wrażenie, że całe lata minęły, odkąd opuściła kryjówkę swojego londyńskiego mieszkania, dwa razy sprawdzając, czy zamknęła za sobą drzwi, gdy na ulicy czekała już taksówka. Carol pchnęła drzwi do środka i w tym samym momencie Kate znowu usłyszała głosy na korytarzu. Odwróciła się i ujrzała portiera, Boba, dźwigającego jej bagaż. U jego boku zgłaszała swoje skargi kobieta bez podbródka.

– Zajmę się najpierw tą młodą damą, a potem sprawdzimy, co z pani przyjaciółką – powiedział.

Carol wprowadziła Kate do jej nowego domu, a ta natychmiast zapytała o toaletę.

– Jest obok sypialni, moja droga – odrzekła staruszka, wskazując kierunek, Kate zaś podążyła tam szybko, ledwie zauważając ekstrawagancję wewnątrz. Zamknęła się w wielkiej łazience wyłożonej czarno-białymi kafkami. Usiadła na pokrywie sedesu i chociaż wiedziała, że nie ma w torebce leków, i tak ją otworzyła. W środku, w bocznej kieszonce, tkwiła plastikowa fiolka z benzodiazepinami. Kate przypomniała sobie teraz, że rankiem przełożyła ją z walizki do torebki. Jak mogła tak szybko o tym zapomnieć? Drżącymi rękoma odkręciła fiolkę i przełknęła tabletkę bez popitki. Ogarnęło ją przerażenie, jeszcze gorsze niż panika.

Nie powinna przyjeżdżać do Ameryki.

Chociaż mieszkanie było ogromne, oprowadzanie po nim nie powinno zająć Carol Valentine aż pół godziny, ale najwyraźniej staruszka rozkoszowała się swoją rolą. Wskazała dębową podłogę o barwie orzecha, sufit kasetonowy, czynny kominek i coś, co nazwała balkonem Julii, a co było tak naprawdę niską, wystającą na trzydzieści centymetrów balustradą okna francuskiego. Kate wiedziała, że na pewno ani razu tego okna nie otworzy. Samo mieszkanie nie było oszałamiająco wysokie, ale też nie zaliczało się do niskich.

– Podoba ci się? – zapytała Carol, dokonawszy prezentacji, choć Kate zdążyła już ze trzydzieści razy wyrazić zachwyt.

– Bardzo. Naprawdę. Urocze.

– Pięknie umeblowane, prawda? Można by pomyśleć, że tak młody człowiek jak Corbin... – Carol urwała z uśmiechem, który przekroczył jednak obręb ust. Papierowa skóra pokrywająca jej twarz przemieściła się w taki sposób, że Kate mogłaby wskazać zarys kości czaszki kobiety, w każdym razie takie odniosła wrażenie. – A twój apartament... twoje mieszkanie w Londynie jakie jest?

– Całe zmieściłoby się w tym salonie. Mam wyrzuty sumienia. Lepiej wyszłam na tym interesie.

– No tak, ale Londyn...

Kate ziewnęła, szybko zasłaniając usta.

– Musisz być wykończona, moja droga. Zapomniałam o różnicy czasu.

– Rzeczywiście jestem zmęczona – przyznała Kate. – Gdybym była w domu, właśnie bym szła do łóżka.

– Spróbuj wytrzymać trochę dłużej niż zwykle, żebyś się przyzwyczaiła. A jak już się rozgościsz, koniecznie przyjdź do mnie na drinka. Mieszkam po drugiej stronie, dokładnie naprzeciwko. Nasze mieszkanie ma taki sam rozkład jak twoje. Te szczytowe apartamenty są bez wątpienia najlepsze w całym budynku. Zwłaszcza twój, bo masz widok na miasto i jednocześnie na rzekę. – Ściszyła głos, jakby inne mieszkania mogły usłyszeć jej słowa.

– Jest piękne – zapewniła Kate.

– Cały budynek był wzorowany na weneckim palazzo.

– Tak mi się wydawało, że ma w sobie coś włoskiego. Ten dziedziniec...

– Architekt pochodził z Bostonu, ale przez jakiś czas przebywał we Włoszech i potem tu wrócił. To było oczywiście dawno temu. Mój mąż z rozkoszą ci o tym opowie, kiedy przyjdiesz na drinka.

Carol wyszła, a Kate zamknęła za nią drzwi. Stała przez chwilę, wciąż wytrącona z równowagi niespodziewanym znalezieniem leków w torebce, kiedy była w łazience, ponieważ nie pamiętała, by je tam przekładała. Ale pogadała trochę do siebie i się uspokoiła. A może po prostu pigułka wykonała zadanie, biorąc ją w swoje uspokajające objęcia.

Obeszła mieszkanie, teraz już sama, zwracając uwagę na wszystkie szczegóły, wbudowane półki na książki, obrazy na ścianie. Każde pomieszczenie zostało pięknie umeblowane, ale jakoś bezosobowo, jakby wszystkie przedmioty wybrał architekt wewnątrz, i pewnie tak było. W sypialni naprzeciwko wielkiego łóżka z miękkim zagłówkiem znajdował się niski sekretarzyk, na którym stało z piętnaście fotografii. Zdjęcia rodzinne, niemal wszystkie czarno-białe, większość zrobiona w czasie wakacji. Zagłówki i plaże. Kate przyjrzała się im uważnie. Rozpoznała ojca Corbina, brata ciotecznej jej matki, którego znała tylko ze zdjęć. Znajdował się na większości fotografii, zwykle z Corbinem i drugim kuzynem Kate, Philipem. Kate zastanawiała się, dlaczego Corbin nie ma na sekretarzyku zdjęcia swojej matki, i przyszło jej do głowy, że mieszkanie należało do nieżyjącego już rozwiedzionego ojca Corbina i pewnie to jego pamiątka, nie syna.

Zadała sobie pytanie, w jakim stopniu mieszkanie urządzone jest wedle gustu ojca. Pewnie w dużym. Z tego, co wiedziała od matki, Richard Dell przeniósł się do Bostonu w latach siedemdziesiątych, dołączając do swojej amerykańskiej żony. Pracował w jakichś finansach („obracał mnóstwem, mnóstwem pieniędzy”, powiedziała córce Lucy Priddy), i w latach osiemdziesiątych zbił ogromny majątek. Wraz z Amandą, swoją żoną, mieszkał na North Shore, w rezydencji nad morzem, w mieście New Essex. Gdy ich dzieci były nastolatkami, rozwiedli się; Amandzie przypadł dom nad morzem, a Richard kupił mieszkanie przy Bury Street 101 w Bostonie. Po śmierci Richarda, który utonął w czasie wakacji na Bermudach, mieszkanie odziedziczył Corbin.

Kate dowiedziała się o tym wszystkim dwa miesiące temu, podczas niedzielnego obiadu z rodzicami.

– Skontaktował się ze mną twój kuzyn Corbin – powiedziała Lucy. Siedzieli w ogrodzie zimowym, już po posiłku, ale pili jeszcze wino. Ojciec Kate, Patrick, wybierał się na spacer z ich border terierką Alice.

– Tak? – odrzekła Kate.

– Chyba go nigdy nie poznałaś. Poznałaś?

– To syn twojego brata ciotecznej Richarda, dobrze pamiętam? Tego, co zginął kilka lat temu?

– Tak, utonął. Richarda poznałaś na ślubie Charlotte. Nie wiem, czy pamiętasz. Ja sama poznałam Corbina dopiero na pogrzebie jego ojca. – Rodzice Kate wyprawili się na pogrzeb aż do Massachusetts, ale połączyli tę podróż z wymarzonym objazdem całego wybrzeża Maine.

– Sprawia wrażenie uroczego człowieka. I jest taki przystojny. Wygląda... jak się nazywa ten aktor z *Tajniaków*? Rupert jakiś tam.

– Rupert Penry-Jones. Po co mi to mówisz? Mam wrażenie, że zaraz wyznasz, że zaaranżowałaś moje małżeństwo z Corbinem. Cofnęliśmy się w czasie?

Lucy wybuchnęła śmiechem – spontanicznym, nie tym nienaturalnym, dźwięcznym jak dzwonki, pojawiającym się niekiedy w określonych sytuacjach towarzyskich.

– Tak, kochanie. Wszystko jest zaaranżowane. Nie, żartuję, ale rzeczywiście mówię ci to nie bez powodu. Nie popadłam jeszcze w starcze otępienie. Corbin Dell przeprowadza się na pół roku do Londynu, bodajże służbowo, i napisał do mnie mejla, bo wie, że mieszkasz w Londynie.

– Nie prosi chyba, żebym go u siebie gościła?

– Nie, nie. Oczywiście, że nie. Ale poprosił, żebym cię zapytała, czy byłabyś może zainteresowana

zamianą. Bardzo by chciał zostawić mieszkanie pod czyjąś opieką, więc proponuje, żebyś przeniosła się do Bostonu, on zaś mógłby mieszkać u ciebie. W ten sposób on by zaoszczędził, a ty byś spędziła pół roku w Ameryce.

Kate upiła wina. Białe i o wiele za słodkie.

– Co bym miała robić w Bostonie?

– Myślałam, że może byś się zapisała na jakiś kurs, bo dużo o tym mówiłaś. Na pewno mają tam jakieś szkoły grafiki projektowej. No i rysowałabyś, oczywiście.

– A moja praca? – Kate właśnie przeszła z połowy etatu na cały w sklepie dla plastików w Hampstead.

– No, wiesz, to przecież nie jest zapewne twój wymarzony zawód, prawda?

Kate co prawda zgadzała się w tym punkcie z matką, ale i tak się rozżłościła. Milczała. Oczywiście wiedziała, że musiałyby być głupia, żeby nie skorzystać z takiej okazji. Pół roku w innym kraju. Nigdy nie była w Stanach, a Boston podobno był fajny. Do ogarnięcia, jak słyszała, nie jak Nowy Jork czy Chicago, czy Londyn, skoro już o tym mowa. Miałyby mieszkanie. I to zapewne piękne. A im więcej racjonalnych powodów przychodziło jej do głowy, tym bardziej się denerwowała, uświadamiając sobie, że pewnie tę propozycję odrzuci. Było za wcześnie. Czowała się już lepiej, ale jeszcze nie doszła całkiem do siebie.

– Mam poczucie, że dopiero teraz się osuwam z Londynem, że wszystko się układa, i nie wiem, czy chcę sobie fundować turbulencje.

– Oczywiście, kochanie. On zapytał, więc uznałam, że i ja zapytam ciebie. Całkowicie cię rozumiem. – Matka najwyraźniej ani przez chwilę nie wierzyła, że Kate skorzysta ze sposobności, by przenieść się na pół roku do Bostonu. I ta właśnie myśl nękała ją już do końca wizyty. Gdy ojciec wrócił ze spaceru z Alice, całą trójką postanowili wybrać się do White Swan w centrum Braintree na jednego, zanim Kate będzie musiała wsiąść w pociąg do Londynu. W drodze do domu była lekko podchmielona, wyobrażała sobie wszystko to, co mogło się udać w Bostonie, a potem wszystko, co mogło się nie udać. I wciąż myślała o tonie głosu matki – tak jakby była absolutnie pewna, że Kate odmówi. Przede wszystkim z tego powodu po powrocie do domu zadzwoniła do rodziców i powiedziała, że zmieniła zdanie.

– Och – usłyszała od matki.

– Byłabym głupia, gdybym tego nie zrobiła. Nic mnie w tej chwili tu nie trzyma. Oprócz was, oczywiście.

– Odwiedzimy cię z ojcem.

– Napisz Corbinowi, że chętnie się z nim zamienię. Albo lepiej przyślij mi jego mejla, a ja sama mu napiszę.

Do kuzyna napisała od razu, póki odwaga jej nie opuściła. Był zachwycony. Uzgodnili termin – od końca kwietnia do początku października. Kate złożyła wypowiedzenie w pracy, a potem znalazła szkołę grafiki projektowej, gdzie zapisała się na kurs InDesigna i Ilustratora. A teraz tu dotarła, pierwsze zajęcia miała w poniedziałek po południu. Wróciła korytarzem prowadzącym do salonu, gdzie portier Bob postawił jej bagaże. Wiedziała, że powinna się rozpakować, ale dopadło ją potworne zmęczenie. Oraz głód. Kuchnia z wapiennymi blatami i wyposażeniem ze stali nierdzewnej wyglądała, jakby nikt nigdy z niej nie korzystał. Kate otworzyła lodówkę. Na środkowej półce tkwiła samotnie butelka

szampana z żółtą karteczką samoprzylepną. „Witaj, Kate! Na zdrowie!” – odczytała ściśnięte literki. Z poczuciem winy pomyślała, że w swoim mieszkaniu nie zostawiła Corbinowi nic, napisała mu natomiast o wiele dłuższy liścik powitalny, wraz z osobistym przewodnikiem po okolicy.

Oprócz szampana i zestawu dodatków do potraw w lodówce nie znalazła w zasadzie nic więcej. Otworzyła zamrażarkę i tu trafiła na zapas gotowych dań firmy Trader Joe’s. Przeczytała instrukcję na spodzie mrożonego boeuf bourguignon i uznała, że nie przerasta jej możliwości. Pudełko było znajome, a jednocześnie inne, w informacjach o składnikach odżywczych widniały uncje zamiast gramów, a wartość energetyczna była podana tylko w kaloriach. Rozgryzła mikrofalówkę i zaczęła podgrzewać danie. Nalała sobie do szklanki wody z kranu i wypila, zanim zdążyła się zastanowić, czy jest zdatna do picia. Smakowała dobrze, ale inaczej niż woda w domu. Jakby zawierała więcej minerałów. Kate napełniła kieliszek szampanem i podeszła do drzwi wejściowych, gdzie przyłożyła oko do judasza, zastanawiając się, co się stało z zaginioną sąsiadką. Czy Bob wpuścił do mieszkania jej koleżankę? Raczej nie. Ciekawe, co koleżanka teraz robi. Policja pewnie na nic się nie przyda. Kate dość się naoglądała amerykańskich paradokumentów policyjnych, by wiedzieć, że formularz zgłoszenia wypełnia się dopiero wtedy, gdy od zaginięcia danej osoby mija doba. Korytarz był pusty. Może przesadzała z reakcją i nic złego się nie działo. Może dziewczyna unikała swojej natrętnej przyjaciółki bez podbródka.

Kate zjadła obiad, zadziwiająco dobry, siedząc na jednym ze stołków otaczających granitową wyspę kuchenną. Dolała sobie szampana, upiła łyk i znowu dopadło ją zmęczenie. Głowa jej ciążyła, trochę ją mdliło. Wcześniej zamierzała się rozpakować, rozłożyć laptopa i wysłać mejle, no i miała nadzieję pooglądać amerykańską telewizję, ale tylko przewiozła walizkę do sypialni, przetrząsnęła ją w poszukiwaniu przyborów toaletowych, a także bokserek i koszulki, w których lubiła spać, po czym z trudem umyła zęby i twarz i wsunęła się do chłodnej, świeżutkiej pościeli. Choć była wyczerpana, leżała jakiś czas, nasłuchując ledwie rozpoznawalnych dźwięków otoczenia: dalekiego turkotu samochodów, stłumionych kliknięć instalacji grzewczej, czegoś jeszcze – cichego syczenia – czego nie umiała zidentyfikować. Zanim zasnęła, zdążyła pomyśleć, że nigdy w życiu nie leżała w tak wygodnym łóżku. I zatoneła w nim.

Obudziła się raz. Przerywane niebieskie światło błyskało ukośnym pasem na suficie. „A gdzie syreny?” – pomyślała. I jeszcze: „Gdzie ja jestem?”. Wreszcie po paru sekundach zdezorientowania przypomniała sobie. W ustach jej zaschło, strasznie chciało się jej pić. Usłyszała jakiś dźwięk, który skojarzył się jej z przejeżdżającym w oddali pociągiem. Przekręciła się na bok, żeby z oświetlonych cyfr zegarka odczytać godzinę, ale w pokoju nie jaśniało nic oprócz niebieskich świateł policyjnych wpadających pasmami przez zasłonięte okna.

Usiadła, a potem znowu się położyła. Nie miała sił nawet na to, by pójść do łazienki i napić się wody. Jak się nazywała ta sąsiadka? Ta, która zniknęła? Audrey Marshall – przypomniała sobie. W nazwiskach była niezła. George powiedział kiedyś, że to jej supermoc. Trochę nawet się z niej natrząsał. Kate zamknęła oczy, usłyszała, jak ktoś szepcze do niej we śnie, i znowu się wybudziła. Głosy ucichły, w pokoju panował mrok. Śniły się jej te światła? „Jutro się dowiem” – pomyślała i zanurzyła się znowu w czarnym jeziorze snu.



Faktycznie się dowiedziała, ale dopiero po południu.

Obudziła się wcześnie, w pokoju było jeszcze ciemno. Oczywiście powinna spróbować pospać trochę dłużej, żeby przestawić się na czas bostoński, ale nie czuła się ani trochę senna, za to strasznie chciała się napić kawy.

Trochę to potrwało, nim znalazła ekspres przelewowy oraz jakąś kawę i rozgryzła, co z tym wszystkim zrobić. Gdy dzbanek się powoli napełniał, raz jeszcze obeszała ogromne mieszkanie. Okna powoli wypełniały się bladym światłem poranka. Z salonu, największego pomieszczenia, roztaczał się widok na Charles River, spokojną o szarym świcie, spowitą pasmami mgły unoszącymi się nad nieskalaną taflą. Nad rzeką i biegnącą obok drogą przerzucona była kładka dla pieszych.

Salon wyglądał jak gotowy na koktajl party. Tu i ówdzie stały krzesła, a do tego naprzeciwko siebie dwie duże sofy, rozdzielone stolikiem o szklanym blacie. Kate nie znosiła szklanych blatów. Kiedy coś na takim blacie stawiała, czekała, aż ten zaraz się roztrzaska, a co najmniej pęknie. Zawsze żyła tym następnym momentem, momentem tragedii. Z tego powodu nienawidziła niskich poręczy, przechodzenia przez ruchliwą ulicę, kelnerów niosących wiele talerzy. Kiedyś były to irytujące, niegroźne fobie, aż nagle, przed pięcioma laty, zdarzyło się to z George'em i jej życie zmieniło się nieodwracalnie. Przez rok nie mogła wyjść z domu. Nie, jeszcze gorzej. Nawet nie mogła sobie wyobrazić, że wychodzi z domu. Strach i ból ją unieruchomiły. Rodzice i terapeuta powoli wyciągnęli ją z tej dziury, a jej stan wreszcie się poprawił. Niewyobrażalne, że przyleciała aż do Stanów, do tego wielkiego mieszkania ze szklanym stolikiem. Nie lubiła szklanych stolików, ale mogła z nimi wytrzymać.

W salonie nie znalazła telewizora i nagle przeraziła się, że może w ogóle go tu nie ma. Potem przypomniała sobie wyłożone ciemną boazerią pomieszczenie, które Carol Valentine nazwała salonikiem ze strefą rozrywki – stała tam miękka skórzana kanapa. Przez ułamek sekundy nie mogła sobie przypomnieć, gdzie znajduje się ten salonik, ale znalazła go w połowie drogi do dwóch sypialni gościnnych. Miała rację; telewizor stał właśnie tam – ogromny ekran ukryty za drewnianymi drzwiami, wbudowany w półki z książkami. Na stoliku (na szczęście nieszklanym) przed kanapą leżał uniwersalny pilot, a pod nim zalaminowana lista z co najmniej setką kanałów.

Było tam też wielkie drewniane biurko, a na wierzchu Kate zauważyła karteczkę samoprzylepną z nazwą sieci Wi-Fi (Angel Face) i hasłem dostępu. Dzięki temu uświadomiła sobie, że powinna się zameldować rodzicom, a także Corbinowi, aby się upewnić, czy bezpiecznie rozgościł się w jej mieszkaniu.

Przyniosła laptopa i przejściówkę, zaszła do kuchni po kubek z czarną kawą i wróciła do saloniku. Jeszcze raz zachwyciła się ogromem apartamentu. Usiadła przy biurku, skórzane krzesło zaskrzypiało z klasą. Miała mnóstwo mejli, głównie śmieciowych, ale wśród nich znalazł się jeden od mamy oraz jeden od Corbina. Najpierw przeczytała ten od niego:

Cześć, Kate,

taksówkarz tylko dwa razy zablądził, ale wreszcie znaleźliśmy Twoje piękne mieszkanie, więc dotarłem i przeczytałem niewiarygodnie troskliwy list, który mi zostawiłaś. Wstyd mi, że nie napisałem takiego do Ciebie, i nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, ale gdy się wygrzebię z jet lagu, wyślę Ci wyczerpującą listę dobrych knajp w mojej okolicy, obiecuję.

Szybkie pytanie: zauważyłem, że masz pralkę, ale nie widzę suszarki. Coś mi umknęło?

Później napiszę więcej. Cieszę się na te sześć miesięcy.

Corbin

Kate odpisała:

Ja też się cieszę. Kiedy weszłam do Twojego mieszkania, byłam pewna, że pomyliłam adresy. Coś niesamowitego. Bardzo się wstydzę mojego żalсного lokum z pralką, którą można uznać również za suszarkę. Bo rzeczywiście jest również suszarką, dlatego się pogubiłam. W szufladzie na lewo od zlewu leżą wszystkie instrukcje, chyba. Radziłabym Ci jednak się nastawić, że jak się zabierzesz do prania, suchych ubrań doczekasz się w najlepszym wypadku nazajutrz. Pisz do mnie śmiało, jeśli będziesz miał jakieś pytania. Zakochałam się w Twoim apartamencie.

Pozdrawiam

Kate.

PS Dziękuję za uroczego szampana, już go nie ma, oczywiście.

Następnie Kate przeczytała mejla od mamy – „jesteśmy z Ciebie tacy dumni, kochanie” – i na niego również odpisała. Sączyła kawę, o wiele lepszą niż rozpuszczalna, którą piła na co dzień. Słyszała w oddali wycie syren policyjnych i nagle przypomniała sobie poprzedni wieczór: gdy zasypiała, widziała na suficie niebieskie światła. Czy to się działo naprawdę, czy może jej się śniło? Na chwilę się pogubiła i znowu wypełniło ją poczucie przerażenia, to samo, którego doznała, gdy znalazła leki w torebce, choć była pewna, że ich tam nie ma. „Zwariowałam?” – zastanawiała się. A potem powiedziała sobie: „Nie, to nie był sen”. To zdecydowanie działo się naprawdę. Może coś rzeczywiście się stało tej dziewczynie z mieszkania obok?

Rozpakowała przybory toaletowe, a potem wzięła prysznic w łazience przylegającej do sypialni. Prysznic był ogromny, głowica wychodziła prosto z sufitu, wylewał się z niej cały wodospad. Kate znowu pomyślała o swoim mieszkaniu w Londynie, gdzie prysznic znajdował się po prostu nad wanną i zawsze wypadał z uchwytu. Po kąpeli ubrała się w ciemne trykoty i ulubioną sukienkę marki Boden i postanowiła, że odważy się zmierzyć ze światem zewnętrznym. Jeszcze przed wyjazdem przestudiowała w Google Maps zdjęcia okolicy i namierzyła najbliższą aptekę oraz targ. Wybierała się po artykuły niezbędne do przetrwania następnych kilku dni. W poniedziałek zaczynała zajęcia w Graphics Institute w Cambridge, jakieś pięć przystanków metra dalej. Akurat perspektywa jazdy metrem nie budziła jej entuzjazmu, ale wiedziała, że da radę – terapeutka w Londynie zabrała ją kilka razy do metra dla wprawy.

– Metro to tylko jedna z opcji, kwestia wyboru – powiedziała wówczas Kate do Theodory. – Mogę wszędzie jeździć taksówkami.

– Wszystko jest kwestią wyboru – odparła terapeutka. Gdy Kate poznała Theodorę, jej łagodny północny akcent irytował ją do granic możliwości, ale już się do niego przyzwyczaiła, tak samo jak do korony kręconych włosów i fioletowych pulowerów.

– Nie chcę też wykonywać akrobatycznych skoków spadochronowych. Nie będziesz mnie do nich

zmuszać, prawda?

– Nie. Nie zmuszę cię do skoków spadochronowych, natomiast do korzystania z metra, z wind i z samolotów, owszem. To wszystko stanowi element życia, którego pragniesz, prawda?

Oczywiście miała rację. Życie było pełne ciasnych pomieszczeń i zamkniętych drzwi. Nauczyła się radzić sobie z nimi.

Wyszła na korytarz. Mijając mieszkanie zaginionej dziewczyny, zwolniła, nadstawiając ucha, ale nic nie usłyszała. Schodami zeszła do holu, minęła portiera i już stała na dziedzińcu. Po szarym niebie sunęły drobne chmurki, a światło tak bardzo przypominało zmierzch, że Kate przestraszyła się na chwilę, czy aby nie przespała całego dnia. Do jej nozdrzy dotarł dymek z papierosa. Sama jakiś czas temu rzuciła palenie, ale nadal uwielbiała ten zapach. Rozejrzała się w poszukiwaniu palacza i dostrzegła mężczyznę, który siedział na obrzeżu fontanny na środku dziedzińca. Właśnie gasił papierosa o bruk. Kate go mijając, gdy zaczął się podnosić.

– Przepraszam – powiedział, pokazując niedopałek w palcach.

– Nie mam nic przeciwko – odparła, przystając. Popatrzyła na niego. Był chudy, aż za chudy, ale miał szerokie ramiona. Na wąskiej twarzy trudno było przegapić duży nos. Oczy miał szarawozielone i głęboko osadzone. Powinien być brzydki, ale nie był. Wszystkie przerysowane elementy składały się na twarz smutną i przystojną.

– W zasadzie nie palę. Rzuciłem. Ale znalazłem tego papierosa w szufladzie i pomyślałem, żeby go wypalić i przypomnieć sobie, jakie to okropne.

Głos miał głęboki i przyjazny, a Kate, na skutek jet lagu, wciąż skołowana co do pory dnia, poczuła w nogach falę słabości.

– I było okropne? – zapytała.

– Nie, oczywiście, że nie. Było cudowne.

– Palenie jest cudowne – przyznała Kate. Dlaczego gadali jak starzy kumple? Czy tak właśnie w Ameryce rozmawiają ze sobą obcy ludzie?

– Palisz?

– Paliłam. Rzuciłam. Nie było łatwo.

– Jak ci się udało?

– Nie paliłam.

Roześmiał się. Zęby miał niepokojąco białe, górne proste, a dolne leciutko zachodzące na siebie.

– Jestem Alan Cherney.

– A ja Kate. Mieszkam tu tymczasowo. – Nagle onieśmielona, nie podała nazwiska.

– Jesteś Angielką?

– Tak. Zamieniłam się z kuzynem. On wprowadził się do mojego mieszkania w Londynie, a ja tutaj, do niego.

– Który to apartament? – Alan Cherney powiódł wzrokiem po budynku.

Kate ruchem głowy wskazała swoje skrzydło.

– Corbina Della. Tam.

– Ach, północne skrzydło. Ja mieszkam po drugiej stronie, na drugim piętrze. Znam Corbina. Tak trochę.

– No to znasz go lepiej niż ja. Nigdy się nie spotkaliśmy osobiście.

– To zabawne – stwierdził Alan. – Jak do tego doszło?

Kate opowiedziała mu wszystko, pomijając fakt, że u źródeł jej decyzji częściowo leżało pragnienie przewyciężenia ostatniej traumy.

– No to ubiłaś dobry interes. To są ładne apartamenty.

– Jak długo tu mieszkasz?

– Rok z niewielkim okładem. Wprowadziłem się z dziewczyną, bogatą dziewczyną, potem ona się wyprowadziła i tak naprawdę już mnie nie stać na to mieszkanie, więc muszę się porozglądać za nowym.

– Przykro mi.

– Z którego powodu? Że straciłem dziewczynę czy że muszę się wyprowadzić?

– Nie wiem. – Kate się roześmiała. – Jednego i drugiego.

– Przykro mi, że miałeś bogatą dziewczynę z pięknym mieszkaniem, a za miesiąc będziesz siedział sam w jakiejś norze. – Uśmiechnął się kpiąco.

– Mniej więcej.

Podmuch wiatru odlepił rozmokły żółty liść z cegieł dziedzińca i przykleił go do buta Kate. Schyliła się po niego. Gdy się wyprostowała, zapadła na chwilę cisza, a Kate uświadomiła sobie, że rozmawia z nieznanym już prawie kwadrans.

– No tak... – zaczęła, ale zamilkła. Ominęła go wzrokiem i poczuła, jak rumieniec zaczyna oblewać jej policzki. Przez jedną krótką przerażającą chwilę wiedziała, że jeśli on to zaproponuje, ona ruszy wprost za nim do jego mieszkania i dalej do łóżka. Był przystojny, owszem, nawet z tym wielkim garbatym nosem, ale ona ruszy za nim, bo ma wrażenie, że doskonale się znają.

– Musisz już iść – wypowiedział na głos jej myśli.

– Tak. – I oboje się roześmiali.

– Mieszkam w 3L – dodał. – W najbliższym czasie nigdzie się nie wyprowadzam. Zobaczymy się jeszcze.

– Dobra.

Ruszyła już, ale jeszcze się zatrzymała.

– Znasz Audrey Marshall? Mieszka tu.

Alan ściągnął brwi.

– Znam Audrey. A raczej wiem, kto to jest. Nie znam jej tak w zasadzie.

– Wczoraj, gdy przyjechałam, jakaś jej przyjaciółka stała pod jej drzwiami, szukała jej, mówiła, że zaginęła.

Kate spodziewała się, że Alan ją zbędzie, ale on powiedział:

– Niedobrze. To nie jest dziewczyna, która by miała ot tak zaginąć.

– Co masz na myśli?

– No, sam nie wiem. Pewnie to, że zawsze jest. Widuję ją tu. Często. Na pewno się znajdzie.

Kate przywiozła ze sobą papierowy plan okolicy, ale w ostatnich tygodniach studiowała go tyle razy, że teraz nie musiała wyciągać go z torby. Przeszła Bury do Charles Street, tam w zatłoczonym Starbucksie kupiła kanapkę na śniadanie i kolejną kawę. Następna dawka kofeiny była błędem. W efekcie zakupy w ekskluzywnym spożywczaiku o wąskich, zatłoczonych alejkach robiła roztrzęsiona i napięta. Zamierzała nabyć składniki do przyrządzenia jej ulubionego makaronu z wędzonym łososiem, ale po lekkim ataku paniki kupiła tylko chleb na zakwasie, cheddar, mleko i dwie butelki czerwonego wina. Gdy wyszła z powrotem na ulicę, okazało się, że do porywistego wiatru dołączył lekki, ciepły deszcz. Po pobycie w przegrzanym sklepie przynosił skórze ulgę. Kate powoli przeszła z powrotem na Charles, zapamiętując na przyszłość bar, jasny i chyba miły, a do tego kawiarnię, w której był mniejszy tłok niż w Starbucksie.

Umyślnie minęła oświetloną latarniami gazowymi boczną uliczkę, którą wróciłaby prosto na Bury Street, i doszła do obrzeży Public Garden. Zakupy jej ciążyły, ale chciała chociaż zobaczyć słynny park. Deszcz przybierał na sile i paru rodziców zabierało spieszenie swoje dzieci od ustawionych w szeregu kaczek z brązu. Nad stawem mieniły się wierzby. Niewiele brakowało, a weszłaby do parku, ale jednak zrezygnowała. Przyjechała tu na pół roku, jeszcze zdąży.

Pchnęła skrzydło drzwi prowadzących do holu. Przedstawiła się portierowi, Sanibelowi, chudemu mężczyźnie o szerokich kościach policzkowych i atramentowo czarnych włosach. Zaproponował, że poniesie jej torby. Podziękowała i w tym samym momencie biały kot, który siedział na kontuarze w recepcji, zeskoczył na podłogę i otarł się o jej goleń.

– To Sanders – wyjaśnił portier.

– To pański kot?

– Nie, nie. To kot pani Halperin. Z góry. – Nieznacznym ruchem głowy wskazał stronę, gdzie znajdowało się mieszkanie Kate. – Ale lubi się szwendać. Dosłownie wszędzie. W przeciwieństwie do pani Halperin.

Kate weszła po schodach, a Sanders za nią. Carol Valentine wspomniała coś o Florence Halperin; mieszkała w trzecim mieszkaniu w korytarzu Kate. Mijając jej drzwi, zauważyła, że są uchylone, pewnie dla Sandersa, ale zwierzę poszło za nią aż do jej progu i zdołało wślizgnąć się do środka, choć Kate nogą próbowała mu to uniemożliwić.

Odstawiła zakupy i poszła szukać Sandersa. Zdążył już wskoczyć na parapet i oglądał przez okno deszczowy dzień. Kate go zgarnęła, spodziewając się oporu, ale on usadowił się na jej przedramieniu, przednie łapy położył na barku i cicho mruczał jej w szyję. Zwykle obojętna wobec kotów, poczuła przypływ czułości. Zaniosiła go na korytarz, mówiąc: „pomyliłeś drzwi, Sandersie”, i postawiła na korytarzowej wykładzinie. Szybko zamknęła drzwi, a kot sobie poszedł.

Kate wzięła z sypialni szkicownik, który przywiozła ze sobą z Londynu. Był zupełnie nowy, miał poniekąd uczcić początek pobytu w nowym kraju. Wyjęła z nieużywanej jeszcze paczki ołówki węglowy, po czym usiadła na puszystej wykładzinie i przez chwilę kusiło ją, by narysować Sandersa. Narysowała jednak twarz Alana Cherneya, oddając ją niemal idealnie. Coś jednak się nie zgadzało, oczy za blisko siebie, linia włosów trochę za nisko, więc wyjęła gumkę i poprawiła szkic. Więcej czasu zajęły jej poprawki niż samo rysowanie, ale ostatecznie osiągnęła niewątpliwe podobieństwo. Podpisała portret

jego nazwiskiem, dodała datę i jeszcze: „Boston, Massachusetts”. Rysowała niemal wyłącznie portrety, a jej szkicowniki wypełnione były twarzami ludzi, których właśnie poznała. Przechowywała całe stosy tych zeszytów, najstarsze jeszcze ze szkoły podstawowej. Gdy je wertowała – a robiła to często, zwłaszcza w okresie, gdy nie wychodziła z domu – miała wrażenie, że czyta pamiętnik. Znajdowała twarze bliskich przyjaciół, których narysowała w kilka godzin po poznaniu, trafiała też na twarze ludzi, których zupełnie nie pamiętała. Gdy patrzyła na podobiznę Alana, zastanawiała się, czy za dziesięć lat w ogóle skojarzy, kto to był. Albo może okaże się, że ten rysunek zrobiła zaraz po poznaniu przyszłego męża. Pewnie to pierwsze.

Otworzyła szkicownik na czystej karcie, zamknęła oczy i próbowała przywołać wizerunek Carol Valentine, starszej pani, która ją oprowadziła po mieszkaniu. Pamiętała jej oczy, czoło, włosy i szyję, ale niekoniecznie nos i wargi. Zamiast niej narysowała siebie; pamiętała, jak wyglądała rano w lustrze łazienki. Włosy, niedawno ostrzyżone, założone za ucho. Oczy po długim, odwadniającym locie nieco bardziej podpuchnięte niż zwykle. Dodała sobie jednak lekki uśmiech, i w efekcie wyglądała jak przerażona, zdenerwowana panna młoda, która ma wygłosić mowę przed wszystkimi gośćmi. Ten portret nie do końca oddał jej nastrój, ale go zostawiła. Niemal nigdy nie wymazywała autoportretów.

Na następnej stronie uwieczniła Sanibela, portiera, którego właśnie poznała. Zamiast naszkicować jego twarz, narysowała go stojącego obok kontuaru i dodała Sandersa leżącego u jego stóp. Nie nawykła do rysowania kotów, więc Sanders wyszedł fatalnie, wręcz groźnie, jeśli już jakoś trzeba by go określić.

Wsunęła szkicownik pod łóżko i wstała. Znowu była głodna, poszła do kuchni i zjadła trochę chleba z serem, zastanawiała się, czy otworzyć wino. Nie. Deszcz uderzał o szyby; instynktownie pomyślała o malarzu chlastającym bryzgiem farby po płótnie. Przez jakiś czas wpatrywała się w kuchenne okna i uznała, że uwielbia swoje nowe mieszkanie, nie ze względu na jego oczywisty luksus, lecz wysokie sufity i właśnie te ogromne okna. Tutaj mogła oddychać. Postanowiła zrobić herbatę, uświadomiła sobie, że żadnej nie kupiła, ale w jednej z górnych szafek znalazła red rose. Napełniła czajnik wodą, wstawiła na gaz i poszła do salonu. Na jednej ze ścian znajdowały się wbudowane półki na książki, przejrzała je. W większości była to literatura faktu w twardych okładkach, chociaż znalazła też komplet książek Johna D. MacDonalda w miękkiej oprawie. Wyjęła jedną z nich. *Ciemniejsze niż bursztyn*. Przygody Trávisa McGee. Na okładce widniała seksowna dziewczyna o obfitych kształtach, ubrana w króciutką koszulkę. Kartki pożółkły ze starości. Te książki musiały należeć do ojca Corbina. Gdzie są książki Corbina? W ogóle jakieś ma? Pod Travisem McGee stały kryminały w miękkiej oprawie. Wyjęła *Bonecrack* Dicka Francisa, bo chyba jeszcze nie czytała tej książki, i zabrała ją sobie na długą beżową kanapę pod największym oknem w pomieszczeniu. Położyła się, przeczytała kilka pierwszych akapitów, a potem zamknęła oczy i zasnęła.

Śnił jej się park, staw pomarszczony teraz, chłostany zajadłym deszczem. Stała pod jedną z wierzb o żółtych gałęziach. Po drugiej stronie stawu widziała George’a Daniela. Nie zaskoczyła jej jego obecność w Bostonie – i nie zdziwiła się, że ciągle żyje – bo w jej snach zawsze był żywy i zawsze po nią przychodził. Zauważył ją ukrywającą się pod wierzbą i ruszył wpław przez staw. Kate miała strzelbę, a gdy George wyszedł z wody, cały mokry i uśmiechnięty, strzeliła do niego kilka razy. Pociski przedziurawiły mu koszulkę, ale poza tym nic mu nie zrobiły. Jeden trafił go w brodę, a on go odpędził jak muchę. I dalej szedł.

Obudziła się z szyją i klatką piersiową pokrytą potem i poczuła w powietrzu jakiś gorzki i gryzący

zapach. Przypomniała sobie czajnik, zeskoczyła z kanapy, zrzucając Dicka Francisa na podłogę, i pobiegła do kuchni wyłączyć gaz. Woda się wygotowała, czajnik już dymił. Otworzyła jedno z okien tak szeroko, jak się dało i za pomocą ściereczki postawiła na parapecie tłący się czajnik. Wydawał głośny syk, ilekroć spadały na niego krople deszczu. Otarłszy się o katastrofę, poczuła, że chce jej się płakać. Nagle przypomniała sobie sen. George w parku, kule przeszywają jego koszulę. Niemal się uśmiechnęła, że przyjechał we śnie za nią do Ameryki. Oczywiście, że przyjechał. Jej sny były królestwem, w którym George panował niepodzielnie.

Gdy czajnik przestygł, zdjęła go z parapetu. Spód miał całkiem czarny, będzie musiała go odkupić. Jeszcze ciepły wstawiła do głębokiego stalowego zlewu i wróciła na kanapę. Tym razem przeczytała pół książki, zanim znowu zasnęła.

Obudziło ją pukanie do drzwi. Zamrugła powiekami, przez chwilę nie miała pojęcia, która godzina. Na zewnątrz było jeszcze jasno, ale w mieszkaniu panował mrok. Pukanie się powtórzyło, teraz głośniejsze i dłuższe. Wstała, strzeliło jej w kolanach. Jak długo spała?

Podeszła do drzwi i zerknęła przez judasza. Niemal się spodziewała ujrzeć Alana, ale za rybimi soczewkami znajdowała się twarz kobiety o krótko ostrzyżonych włosach, kawowej skórze i ciemnobrązowych oczach. Spokojna bezinteresowność obecna w tych oczach sprawiła, że Kate powiedziała sobie: „Policjantka”. „Audrey Marshall nie żyje” – dodał jakiś głos. To George Daniels szeptał w jej głowie. Kate otworzyła drzwi.

Kobieta przedstawiła się jako detektyw James, odpinając odznakę od paska i podnosząc ją tak, by dziewczyna mogła ją zobaczyć. Kate zaprosiła ją do środka, zauważając jeszcze, że kawałeczek dalej stoi na korytarzu dwóch mundurowych, a z ich krótkofalówek dobiegają trzaski.

- Audrey Marshall nie żyje? – zapytała odruchowo Kate.
- Dlaczego pani o to pyta? – W oczach policjantki pojawiło się zaskoczenie.
- No... no bo wiem, że zginęła.
- Skąd pani wie, że zginęła?

Kate opowiedziała o swoim przyjeździe poprzedniego dnia, o kobiecie dobijającej się do drzwi sąsiadki.

– Kiedy dokładnie to się działo? – zapytała detektyw, wyciągając niewielki notatnik zza poły ciemnoszarej marynarki.

Kate podała przybliżoną godzinę i przyglądała się policjantce, gdy ją zapisywała. Miała długą twarz o wysokich kościach policzkowych i chyba zupełnie się nie malowała. Właśnie podniosła wzrok znad notesu, wyraźnie rozdymając nozdrza.

- Zostawiłam czajnik na ogniu – wyjaśniła Kate.
- Przepraszam. Nie...
- To było wcześniej, zostawiłam czajnik i go spaliłam. Stąd ten zapach.
- Och, rzeczywiście, zauważyłam.
- Chce pani usiąść?

Detektyw omiotła pokój wzrokiem.

– Nie, dziękuję – odparła. – W tej chwili zbieram tylko materiały do raportu. I chciałabym uzyskać od pani trochę więcej informacji, jeśli chodzi o czas poszczególnych wydarzeń.

– Ona nie żyje, prawda? – ponownie zapytała Kate.

– Prowadzimy postępowanie w sprawie śmierci w niewyjaśnionych okolicznościach, do której doszło w mieszkaniu obok. Jeszcze oficjalnie nie zidentyfikowaliśmy ciała.

– Rozumiem.

– Więc dopiero co przyjechała pani z Londynu, tak? Co może mi pani powiedzieć o właścicielu mieszkania?

– To mój kuzyn Corbin Dell. W zasadzie go nie znam. Nigdy nie spotkaliśmy się osobiście, ale postanowiliśmy się zamienić mieszkaniem, bo on służbowo przeniósł się do Londynu.

Detektyw zapisała coś w notesie, pytając jednocześnie:

– Pewnie pani nie wie, czy Corbina Della łączyło coś z Audrey Marshall?



– Nie, nie mam pojęcia.

– Może mi pani podać numer telefonu do swojego mieszkania w Londynie?

– Nie mam tam telefonu, niestety. Używam tylko komórki. Ale mam adres mejlowy Corbina. Mogę go pani podać, jeśli pani chce.

– Bardzo proszę.

Kate poszła do komputera w saloniku i otworzyła pocztę. U szczytu odebranych wiadomości czekały wyboldowane nieprzeczytane mejle, w tym odpowiedź od Corbina. Otworzyła ją:

Dziękuję za polecenie Beef and Pudding. Z własnej woli pewnie bym tam nie zaszedł. Trochę mi się skojarzył z St. Stephen's Tavern niedaleko mojego mieszkania. Zajrzyj tam. Poznałem też sąsiadkę, Marthę, nazwiska nie pamiętam. Chyba wiedziała, kim jestem, albo usłyszała mój wyrazisty amerykański akcent i się po prostu domyśliła. Mam nadzieję, że wszystko OK. C.

Kate znalazła jakąś kartkę i zapisała adres Corbina. Później zajmie się kwestią Marthy.

Przekazała adres detektyw James, która teraz patrzyła w ekran swojej komórki.

– Dzięki, napiszę do niego – powiedziała, składając karteczkę i chowając ją do kieszeni marynarki.

– Może powinnam go uprzedzić? Właśnie do mnie napisał i jeśli mu odpiszę...

– Może mu pani powiedzieć, że była tu policja i że się z nim skontaktujemy. Nie chcę niczego orzekać w sprawie Audrey Marshall, dopóki nie zidentyfikujemy ciała, dobrze?

– Tak, oczywiście.

– Bardzo mi pani pomogła. – Odwróciła się do wyjścia. Kate ją obeszła i otworzyła drzwi na korytarz.

Zebrał się już tam niewielki tłum, w tym starszy mężczyzna w garniturze, który na widok detektyw James powiedział:

– Jezu, tutaj jesteś.

Przed wyjściem policjantka powiedziała jeszcze:

– Może będziemy musieli przeszukać pani mieszkanie. Zgodzi się pani?

– Po co? – zapytała Kate.

Detektyw na chwilę zacisnęła usta.

– Jeśli znajdziemy coś, co połączy pani kuzyna z tą śmiercią, to będziemy się chcieli rozejrzeć. Nic poza tym.

– Chyba nie mam nic przeciwko – odparła Kate.

– Bardzo pani dziękuję. Będziemy w kontakcie. – Wyjęła jeszcze wizytówkę i podała ją Kate. Ta zamknęła drzwi i przyjrzała się małemu kartonikowi. Roberta James, detektyw policji. Poniżej widniało godło Wydziału Policji Miasta Boston, numer telefonu i adres poczty elektronicznej.

Przyłożyła ucho do drzwi, żeby sprawdzić, czy usłyszy coś z korytarza. I słyszała – trzaski krótkofalówek, niezrozumiałe głosy. Zerknęła przez judasza i zobaczyła, że ta sama detektyw puka do drzwi trzeciego mieszkania na ich korytarzu. Drzwi się otworzyły, a detektyw podniosła do góry odznakę; do środka mieszkania Kate nie mogła zajrzeć. Gdy detektyw James wypytywała tamtego sąsiada, od strony schodów nadciągnęli następni policjanci ubrani po cywilnemu: dwóch przysadzistych mężczyzn

w ciemnych garniturach. Jeden był gładko ogolony, a drugi miał siwą bródkę.

Kate poczuła mrowienie zapowiadające atak paniki – nie dlatego, że zamordowano sąsiadkę, lecz dlatego, że ci wszyscy policjanci odcinali jej drogę do wyjścia. Pokonanie korytarza wypełnionego mundurowymi i śledczymi przekraczało jej możliwości. Kate cofnęła się w głąb mieszkania, wciągając powietrze nosem, a wypuszczając ustami. Uspokoiła się i przeanalizowała krótką rozmowę z policjantką. Czy to standardowe postępowanie po morderstwie, że przeszukuje się mieszkanie obok? Niekoniecznie. Musiał być jakiś powód. Kate podeszła do komputera i wyszukała hasło „Audrey Marshall”. Było to popularne nazwisko, wyszukało się sporo stron genealogicznych i parę profili na Facebooku. Dodała do zapytania wyraz „Boston” i znalazła profil na LinkedIn, co prawda zablokowany, ale z widocznym zdjęciem. Kliknęła. Zdjęcie było nieduże i czarno-białe, przedstawiało kobietę o przenikliwie wielkich oczach, włosach obciętych krótko, po chłopięcemu, niemal jak Jean Seberg w filmie *Do utraty tchu*. Pracowała dla wydawnictwa w Bostonie, a wszystkie poprzednie miejsca pracy wskazywały na Nowy Jork. Kate wiedziała, że znalazła właściwą Audrey Marshall. Wpatrywała się w pikselowane oczy na ekranie, a one wpatrywały się w nią. „Już nie żyję – mówiły. – Ale tak wyglądałam za życia”. Audrey Marshall była śliczna. Kate zastanawiała się, czy coś tę dziewczynę łączyło z Corbinem Dellem. Musieli się znać albo często widywać, wchodząc i wychodząc z domu.

Kate wstała, gdyż rozumiała, co musi zrobić. No, raczej, co chce zrobić. Sama przeszuka mieszkanie. Jeśli policja zamierzała tu się rozejrzeć, ona ich uprzedzi i może zdoła znaleźć to, czego oni szukają. Miałyby coś do roboty, jakiś cel. Zaczęła od sypialni, przeszukując każdą szufladę, szukając kryjówek, podnosząc materac. Uderzył ją, podobnie jak za pierwszym razem, gdy tylko się tu rozejrzała po przyjeździe, całkowity brak przedmiotów osobistych. Znalazła stare zniszczone biurko w kącie garderoby, wypełnione zdjęciami, większość ciągle w kopertach z zakładu fotograficznego. Szybko je przejrzała; musiały należeć do ojca Corbina. Wakacje rodzinne sprzed lat. Boże Narodzenie. Chyba cały film poświęcony zabytkowemu porsche speedsterowi. Gdzie były fotografie Corbina? Na dysku w jego komputerze lub w telefonie, oczywiście, tak jak zdjęcia Kate.

Przeszukała łazienkę, a potem salon i wreszcie kuchnię. To tam znalazła coś, co mogło być istotne. W jednej z szuflad za tacką ze sztućcami leżało kilka kluczy luzem. Niektóre były nieoznaczone, ale parę miało dołączoną białą okrągłą przywieszkę, na której drukowanymi literami wypisano, do czego służą. Na jednym przeczytała „składzik”, na drugim „dom N.E.”, a na trzecim inicjały AM. Czy Corbin miał klucz do mieszkania Audrey Marshall? A jeśli tak, to po co i dlaczego? To mogło oznaczać wiele rzeczy. Może łączył ich związek, może na tyle zażyły, że wymienili się kluczami? A może ten klucz oznaczał jedynie, że Corbin podlewał jej kwiaty, gdy wyjeżdżała?

Przeszukała resztę mieszkania. Znalazła więcej śladów życia ojca Corbina niż jego samego. W saloniku, w szafie, natrafiła na karton kaset wideo z etykietami w rodzaju „Ślub Clarissy” i „Wynajem Chatham, sierpień 1995”. W kartonie leżała jeszcze stara skórzana piłka do nogi. Kate przejechała palcami po jej zakurzonej powierzchni. Ten karton z kasetami i piłką leżał na dużym plastikowym pojemniku, który wyglądał na niedawno wstawiony do szafy. Kate zdjęła karton i wyciągnęła pojemnik. W środku znalazła podręczniki uniwersyteckie z dziedziny ekonomii. Dwa oprawione dyplomy, magisterski z Andrus College w Nowym Jorku i licencjacki z Mather College w Connecticut. Obydwoma został uhonorowany Corbin Harriman Dell. Kate zaniósła całą skrzynkę w miejsce, gdzie było lepsze światło. Czy to nie dziwne, że Corbin schował własne rzeczy pod rzeczami ojca? Przejrzała zawartość

skrzynki. Pośród podręczników znalazła plik papierów, kilka zdjęć i niewielki notatnik, a wszystko związane kuchennym sznurkiem. Pozaglądała w papiery i zdjęcia, tak by się zorientować, czego dotyczą. Rozpoznała arkusze ocen z college'u ekonomicznego i zdołała wyjąć jedno ze zdjęć: błyszczącą fotografię ciemnowłosej kobiety w wieku studenckim, siedzącej na zimnej i chyba wietrznej plaży. Nosiła dżinsy i duży sweter z golfem. Odwracała wzrok od obiektywu, usta miała rozchylone, jakby coś mówiła. Kate obróciła fotografię i przeczytała podpis: „Rachael na plaży Annisquam”. Bez daty. Gdzie jest teraz Rachael? Wyobraźnia podsuwała jej obrazy tragedii i zamordowanych dziewcząt. Kate zadygotała, postukała opuszką kciuka o czubki pozostałych palców. „Nawet jeśli coś wymyślę, niekoniecznie to się dzieje” – powiedziała do siebie. Jeszcze jedna z jej mantr.

Już miała wsunąć fotografię z powrotem do paczki, gdy nagle pod wpływem impulsu postanowiła zajrzeć do notesu i rozwiązała sznurek. Miał skórzaną okładkę ozdobioną pieczęcią Andrus College. Otworzyła go z poczuciem winy, ale stwierdziła, że to zwyczajny terminarz z podziałem na dni. Prowadzono go sześć lat temu i był wypełniony wąskim, drobnym pismem. Przeczytała kilka akapitów – większość dotyczyła wykładów i umówionych randek, ale gdzieniegdzie trafiały się informacje o spotkaniach towarzyskich, na przykład „do knajpy z H” albo „ impreza w Esterhouses”. Zamknęła notes, zawiązała paczkę i odłożyła do skrzynki.

Wracała do saloniku, zastanawiając się, czy powinna napisać do Corbina w Londynie, gdy ktoś ponownie zapukał do drzwi. Znowu była to detektyw Roberta James, tym razem w towarzystwie dwóch mundurowych.

– Jeśli pani pozwoli, rozejrzelibyśmy się po mieszkaniu. – Detektyw miała napięte mięśnie szczęki, ale panowała nad głosem.

– Jasne, chyba pozwalam – odrzekła Kate. Zastanawiała się, czy popełnia błąd, wpuszczając ich do mieszkania Corbina. Może powinna zapytać o nakaz?

– To nie potrwa długo – zapewniła detektyw, gdy dwaj policjanci w błękitnych lateksowych rękawiczkach na dłoniach rozchodzili się po pomieszczeniach. Kate patrzyła, jak skręcają w lewo, do sypialni. Nie mogła oderwać wzroku od ich kabur przy pasie. Co by się stało, gdyby wyciągnęła rękę i dotknęła pistoletu? Czy w okamgnieniu powaliliby ją na podłogę i skuli?

– Mam jeszcze kilka pytań – podjęła detektyw James. – Możemy usiąść?

Kate zaprowadziła ją do dwóch kanap ustawionych naprzeciwko siebie. Tam usiadły.

– Piękne mieszkanie – zauważyła policjantka.

– O tak, wiem. Moje w Londynie w ogóle go nie przypomina. Jest zupełnie zwyczajne.

– Proszę mi powiedzieć, czy gdy ustalaliście szczegóły tej zamiany, wspominaliście o sąsiadach? Czy Corbin napomknął choć raz o Audrey Marshall?

– Nie, zupełnie nie. O nikim nic nie mówił. Mogę zapytać, co macie nadzieję tu znaleźć?

Detektyw na chwilę mocno zacisnęła usta.

– To nie jest kwestia nadziei – powiedziała wreszcie. – Musimy coś sprawdzić. Nie mamy powodu podejrzewać, że Corbin Dell był w cokolwiek zamieszany, jeśli nad tym się pani zastanawia.

– Nie, nie, rozumiem.

– Co może mi pani powiedzieć na temat podróży kuzyna do Londynu?

– Wiem tylko, że poleciał nocnym lotem, tak że dotarł do Londynu w piątek rano, czyli wyleciał w czwartek wieczorem.

Detektyw James zapisała coś w notesie, podczas gdy jeden z mundurowych przeszedł przez salon na drugą stronę mieszkania. Wyglądało na to, że przeszukanie postępuje szybko.

– I nie spotkała się pani z nim w Londynie przed wyjazdem do Bostonu?

– Nie. Jak mówiłam, nigdy się z nim nie spotkałam.

– Dobrze. – Detektyw wsunęła notes z powrotem do kieszeni marynarki. Położyła dłonie płasko na kolanach i wstała. – Zobaczę, jak idzie przeszukanie. Koledzy powinni już kończyć. Natknęła się tu pani może na jakieś zamknięte szafki albo może wskazano pani jakieś pokoje czy szafy, z których nie wolno pani korzystać?

– Nie.

Kate została na kanapie, a detektyw James powoli przeszła przez zachodnią część mieszkania, przystając, by wyjrzeć za okno. Już nie padało, chmury się rozchodziły. Detektyw odchyliła palcem zasłonę, patrzyła i patrzyła, a potem ruszyła dalej. Była wysoka, miała doskonałą postawę, aż Kate odruchowo ściągnęła łopatkę. Jeden z policjantów w lateksowych rękawiczkach wrócił do salonu. Detektyw spojrzała na niego pytająco, a on powiedział „nic”. Mówił tak, jakby był przeziębiony. Drugi policjant wyszedł z kuchni. Kate nie słyszała wcześniej dźwięku otwieranych szuflad. Czy powinna wspomnieć o kluczu z inicjałami? Czy szukali właśnie czegoś w tym rodzaju?

Zanim podjęła decyzję, policjanci całą trójką ruszyli do wyjścia. Detektyw podziękowała Kate i poprosiła, by zadzwoniła, gdyby cokolwiek się jej przypomniało. Kate podniosła się z kanapy, ale zanim zdążyła zareagować, oni już wyszli za drzwi. Znowu została sama.

Kate po raz kolejny zrobiła sobie na obiad chleb z serem i otworzyła wino. Zjadła w saloniku, skacząc po kanałach, aż zatrzymała się na amerykańskim reality show o poławiaczach krabów na Alasce. Gdy program się skończył, znalazła kanał, na którym leciał dreszczowiec *Mroczne koronki* z Doris Day i Rexem Harrisonem. Zaczęła oglądać; film nie był najlepszy, ale wciągnął ją na tyle, by przestała myśleć wyłącznie o tym, co się stało u sąsiadki.

W połowie filmu odkryła w skórzanej kanapie dźwignię, dzięki której skrajne siedzisko rozkładało się niezależnie od reszty mebla. Skorzystała z niej i ustawiła siedzisko tak, że oglądała telewizję niemal na leżąco. W pewnym momencie poczuła się bardzo zmęczona, miała wrażenie, że zupełnie straciła czucie w kończynach. Aż nagle, niemal w jednej chwili, film się zmienił, teraz był czarno-biały, chociaż też grał w nim Rex Harrison. Miał brodę i nosił czarny golf. Film wydał się Kate znajomy, pewnie już go kiedyś widziała. Zasnęła – nie było innego wytłumaczenia – nie wiedzieć kiedy. Czowała się zdezorientowana i zaniepokojona. Zegar na dekodерze kablówki pokazywał 5.45 rano. W ustach czuła jakąś lepkość, a po wypitym winie trochę bolała ją głowa. Miała wrażenie, że minął nie jeden dzień, lecz kilka, przerywanych drzemkami głębokimi i niepokojącymi, jak normalny całonocny spoczynek. Była dopiero niedziela, a Kate miała wrażenie, że jest w Bostonie od tygodnia.

Wyłączyła telewizor, podciągnęła siedzisko do normalnej pozycji i wstała. Z nosa jej ciekło, sięgnęła do kieszeni sukienki po chusteczkę. Nie znalazła żadnej, ale jej palce dotknęły klucza. Wyjęła go. Był to ten sam klucz, który widziała wcześniej w szufladzie ze sztućcami, ten z inicjałami AM na przywieszce. Nie pamiętała, żeby go wkładała do kieszeni. Kiedy to zrobiła? Wtedy gdy po raz pierwszy zajrzała do szuflady czy przy innej okazji? Szybko potrząsnęła głową, żeby się przebudzić i wydusić coś z pamięci.

Przeszła do kuchni, odnosząc wrażenie, że powietrze wokół niej zgęstniało. Boże, była wykończona. Całe lata minęły, odkąd podróżowała do innej strefy czasowej i zmagala się z jet lagiem. Położyła klucz na blacie i zabrała się do robienia kawy. Kiedy ta zaczęła ściekać do dzbanka, Kate znowu wzięła klucz do ręki i nagle zrozumiała, że musi się dowiedzieć, czy on rzeczywiście pasuje do drzwi mieszkania Audrey Marshall. „Tylko przekręcę i sprawdzę, a potem mogę powiadomić policję” – powiedziała sobie. To pewnie wcale nie był ten klucz. AM mogło znaczyć wiele rzeczy.

Nie wkładając butów, Kate wyszła na korytarz i stanęła pod drzwiami mieszkania Audrey Marshall. Do framugi przyklejono na krzyż pasy taśmy policyjnej. Kate wsunęła klucz do zamka, obróciła go i pchnęła drzwi. Mieszkanie stanęło przed nią otworem. Wiedząc, że nie powinna tego robić, ale zarazem czując przymus, Kate schyliła się i przeszła pod taśmą. Na skutek zmęczenia i strachu odnosiła wrażenie, że patrzy na siebie z zewnątrz, że obserwuje czyjeś działanie, nie robi tego sama. Zamknęła za sobą drzwi łokciem, po czym stanęła nieruchomo z rękoma opuszczonymi wzdłuż boków, czekając, aż jej wzrok dostosuje się do mroku. Z krótkiego przedpokoju miała widok na salon, o wiele mniejszy niż w jej apartamencie, skrajny, ale równie elegancki. Rozglądała się po podłodze w poszukiwaniu jakichś śladów, wskazówek, że właśnie tam znaleziono ciało Audrey Marshall, ale niczego nie dostrzegła. Czy na

pewno była we właściwym mieszkaniu? Postawiła trzy ostrożne kroki naprzód. W powietrzu czuła zapach jakichś chemikaliów. Choć panował tu mrok, to dzięki rozsuniętym zasłonom w lekkim blasku świecącego nieba dojrzała sylwetkę mebla, stolika zastawionego książkami i butelkami po winie.

„Tu nie popełniono morderstwa” – pomyślała. „Gdzie jest krew? Przewrócone krzesło, taśma policyjna, zapach śmierci?”. Czy to wszystko się jej śniło? Czy śniło się jej tamto wcześniej?

Pomimo tych myśli czuła osobliwy spokój. Jeden z paradoksów jej pełnego lęków życia polegał na tym, że nawet robiąc coś nieostrożnego, często czuła się najzupełniej normalnie. Jakby swoim niepokojom, zawsze jej towarzyszącym, dawała powód do istnienia. Stojąc w mieszkaniu zamordowanej kobiety nazajutrz po znalezieniu ciała, pomyślała, że przyspieszone bicie serca i chłód skóry są uzasadnione. Już się miała odwrócić, ale postawiła kilka dalszych kroków, tak żeby lepiej wyjrzeć za wielkie okno. Wychodziło na dziedziniec, bladopomarańczowy blask rozlazał się nad płaskim dachem drugiego skrzydła. Nigdzie się nie świeciło, ale Kate wyczuła ruch w oknie dokładnie naprzeciwko siebie. Instynktownie cofnęła się o krok w głębszy cień.

Patrzyła, jak włącza się tam światło i jakaś postać przechodzi przed oknem, po czym się zatrzymuje i podnosi wzrok. Światła było akurat tyle, by Kate rozpoznała ponad wszelką wątpliwość, że tą osobą jest Alan Cherney, mężczyzna, którego poznała na dziedzińcu. Zgadzały się włosy i kanciastość rysów, szerokość ramion. Kate przestała oddychać w obawie, że jakikolwiek ruch sprawi, że Cherney ją dostrzeże. Stali tak przez długi, straszliwy moment, Kate nawet nie drgnęła. On cały czas patrzył. W pewnym momencie podniósł rękę i potarł oko. Nagle światło wschodzącego słońca wbiło się ponad dach i Kate zdała sobie sprawę, że Alan może ją zobaczyć. Wycofała się, starając się stawiać stopy tam, gdzie już szła, jak ktoś, kto nie chce zostawić śladów na śniegu.

On dalej patrzył, a Kate przyłgnęła plecami do drzwi, przerażona, że ją widział, i bojąc się oderwać od niego wzrok.

Alan wpatrywał się w ciemne okno mieszkania Audrey Marshall. Przez chwilę dałby się wręcz pokroić, że ktoś tam jest i też mu się przygląda. Ale od dwudziestu czterech godzin prawie nie spał, a szare cienie na dziedzińcu zakłócały mu obraz. Nie odrywał jednak spojrzenia – choć nogi drżały mu z wysiłku, a z głodu nękały go mdłości – jak kot, który obserwuje szczelinę pomiędzy podłogą a listwą, wypatrując myszy, która już kiedyś tam się pojawiła.

Radiowozy przez całe popołudnie blokowały ulicę. Przyjechała karetka, mundurowi wchodzili i wychodzili.

Dlaczego wciąż obserwował mieszkanie Audrey? Pewnie z przyzwyczajenia. Podglądał ją w zaciszu domowym tak długo, że stała mu się bliska. Wiedział, jak się porusza po pokoju, wiedział, w czym się kładzie do łóżka, jak długo myje zęby. Całą – prawie całą – wiedzę o Audrey zdobył w ten sposób: obserwując ją przez okno.

Zaczęło się to ponad rok temu, kilka miesięcy po tym, jak wprowadzili się tu z Quinn. Była grudniowa sobota, typowa sobota z Quinn. Zjedli brunch z przyjaciółmi, potem chodzili po sklepach, potem poszli na siłownię, potem kupili choinkę, która co prawda była za wysoka na ich mieszkanie i której igły zasypały schody i hol. Wieczorem zamierzali zostać w domu, ubrać choinkę (ich pierwszą wspólną), wypić eggnog i obejrzeć film. Ale Viv, przyjaciółka Quinn, przysłała esemesa, że wszyscy idą do jakiegoś nowego baru, który właśnie otwarto.

– Chodźmy – powiedziała Quinn, dopijając eggnog, który sączyła od pół godziny.

– Naprawdę?

– Będzie fajnie. Barmanem jest tam ten sam koleś, co pracował w Beehive. Pamiętasz tego drinka, którego robił, z sherry, co to ciągle...

– Aston martin.

– Właśnie. Aston martin. Chodźmy, wypijemy po jednym.

Alan już był gotów się zgodzić, dopił swój eggnog, aż nagle ku własnemu zaskoczeniu powiedział:

– Może ja zostanę dzisiaj w domu.

– Poważnie? – zapytała Quinn. Wstała już, zdejmowała legginsy marki Lululemon, które miała na sobie od chwili, gdy weszli do domu.

– Jestem zmęczony – odparł. Kłamał. Chciał zostać w domu, żeby jakiś czas побыć w samotności. W głowie przyjemnie mu szumiało od brandy w eggnogu, a pomysł sobotniego wieczoru spędzonego w pojedynkę nagle wydawał się teraz zgoła boski. Mógł dalej pić, znaleźć jakiś horror do obejrzenia, coś krwawego, na co Quinn w życiu by się nie zgodziła.

– Nie musimy iść, jeśli nie chcesz – powiedziała.

– Ty idź. Nie mam nic przeciwko. To kamień milowy związku. Ty wychodzisz, ja zostaję w domu i żadne z nas nie ma nic przeciwko.

– O, już zakładasz, że ja nie mam nic przeciwko – powiedziała, ale z uśmiechem. Wreszcie się przebrała, wypila jeszcze jednego drinka, pomalowała się i wyszła.

Alan oczywiście zostawał już wcześniej sam w mieszkaniu, ale w sobotni wieczór, gdy Quinn wyszła z przyjaciółmi – to było coś innego. Zanim poszukał dla siebie filmu, wrzucił do starego odtwarzacza płytę *Chet Baker Sings*, którą ciągnął za sobą przez całe życie, przez wszystkie przeprowadzki, a potem chodził od jednej lampy do drugiej, regulując światło tak, żeby mu odpowiadało. Gdy wracali z choinką, zaczął padać śnieg, teraz więc Alan podszedł do wielkiego okna panoramicznego w salonie, rozsunął zasłony i wyjrzał, co porabia pogoda. Przestało padać, ale wszystko było pokryte cieniutką warstwą nieskalanego białego śniegu. Wśród mrowia śladów stóp na dziedzińcu próbował rozpoznać te pozostawione przez Quinn, ale nie dał rady.

W oknie po drugiej stronie dziedzińca świeciło się światło. Alan skierował wzrok w to miejsce. Mieszkająca tam kobieta – Alan nie pamiętał jej imienia, o ile w ogóle je kiedyś poznał – zostawiła zasłony lekko rozchylone. Siedziała na kanapie, plecami opierając się o podłokietnik, na kolanach trzymała otwartą książkę. Z wysokiej lampy stojącej spływał na nią stożek ciepłego żółtego światła. Na stoliku przed kanapą stał kieliszek czerwonego wina. Był to obraz tak wyidealizowany, niemal trywialny, że Alan roześmiał się głośno. Przesunął się o krok w lewo, tak żeby jej obraz znalazł się dokładnie pośrodku przestrzeni pomiędzy zasłonami.

Kobieta drgnęła i podniosła wzrok znad książki, Alan odruchowo się cofnął, pewien, że został zauważony. Ona jednak wstała, w ogóle nie patrząc w stronę okna. Zniknęła z pola widzenia, a potem wróciła na kanapę, szedł z nią ten biały kot, Sanders. Wskoczył na stolik. Kobieta znowu sięgnęła po książkę, bezwiednie drapiąc Sandersa pod szyją. Zwierzak należał do kobiety mieszkającej po tamtej stronie kamienicy, ale mógł sobie wędrować po całym budynku. Alan często widywał go w holu, czasami śpiącego na kontuarze recepcji.

Wyłączył najbliższą lampę, więc w jego salonie zrobiło się niemal ciemno, i dalej obserwował kobietę. Sprawiała wrażenie tak spokojnej, tak zadowolonej z małej sfery swojego istnienia, że Alan poczuł w piersi niemal fizyczny ból, dotkliwe pragnienie, by być z nią. Wyobraził sobie, jak wyciąga się na drugim końcu kanapy, jak dotykają się ich bosc stopy. W tej fantazji wiedział tylko, że czują się ze sobą absolutnie swobodnie.

Na płycie właśnie zaczął się *My Buddy* i Alan uświadomił sobie, jak długo już patrzy przez okno. Zaciągnął zasłony i usiadł na kanapie. Zawibrował jego telefon: esemes od Quinn, że już jest w barze. Odpisał, prosząc, by wszystkich pozdrowiła. Odpowiedź przysłała w ułamku sekundy: „Mike mówi, że jesteś frajer!”.

Płyta się skończyła, Alan siedział w cichym mieszkaniu. Rozważał, czy puścić coś jeszcze, czy poszukać sobie jakiegoś filmu, ale jedyne, o czym mógł myśleć, to obserwacja kobiety. Wstał, wrócił do okna. Dalej czytała na kanapie, ale Sanders zniknął, a kobieta podciągnęła nogi tak, że opierała książkę na kolanach. Alan przypomniał sobie, że ma lornetkę, niewielką, kupioną tego roku, gdy na spótkę z kolegą z college’u mieli bilet na sezon Celticsów w strefie chorób wysokościowych, czyli w najwyższym rzędzie. Nie pamiętał dokładnie, gdzie znajduje się ta lornetka, ale domyślał się, że ciągle leży w płóciennej torbie, z którą wówczas chodził. Poszedł sprawdzić. Rzeczywiście tam była. Z lornetką w dłoni zawahał się, wiedząc przecież, że istnieje zasadnicza różnica pomiędzy zwyczajnym



patrzeniem na sąsiadkę przez okno a oglądaniem jej przez lornetkę. „Tylko przez chwilę” – powiedział sobie. Tak żeby się jej dobrze przyjrzeć, może nawet zobaczyć, jaką książkę czyta.

Wrócił do okna i przyłożył lornetkę do oczu. Teraz miał wrażenie, że dziewczyna znajduje się dwa metry od niego. Widział wyraźnie jej twarz, widział fakturę jej ubrań, widział, jak bezwiednie dotyka palcem płatka ucha. Książka nosiła tytuł *W komnatach Wolf Hall*, jak mówiły wielkie czarno-białe litery na czerwonym tle. Dziewczyna polizała koniuszek palca, żeby przewrócić kartkę.

Alan poczuł, że oddycha coraz wolniej i ciężiej. Patrząc na nią z bliska, czuł się bardziej obrzydliwie, miał świadomość, że robi coś złego, ale nie mógł się powstrzymać. Dziewczyna miała na sobie stare dżinsy, z rozdarciami na kolanach, i obcisły sweter w czarno-brązowe paski, wycięty pod szyją. Ziewnęła, przeciągając się, zobaczył różowy pasek brzucha. Poczuł, że mu staje, i wtedy opuścił lornetkę, zaciągnął zasłony i odsunął się od okna. Zalała go fala wstydu, jakby nagle się pochorował.

Odłożył lornetkę do szuflady z bielizną, po czym się rozebrał, włożył tiszert i bokserki, umył zęby i poszedł do łóżka. Chwilę czytał *Druciarza, krawca, żołnierza, szpiega* Johna Le Carrégo. Czytał już raz tę książkę, ale w liceum. Przebiegał wzrokiem po wyrazach, rozmyślając o dziewczynie w oknie. Zastanawiał się, jakie jest jej życie, czy ma chłopaka. Może wyszedł gdzieś na wieczór, tak jak Quinn. Ale nie. Alan był niemal pewien, że mieszka sama, to po prostu było widać.

Próbował jeszcze czytać, po czym zamknął książkę, wyłączył światło i leżał, nasłuchując, jak włącza się i wyłącza ogrzewanie w listwach przypodłogowych. Nie miał szans zasnąć. „Nie ma mowy” – powiedział sobie i wtedy zasnął.

Quinn wsunęła się obok niego pod kołdrę. Pachniała czerwonym winem i marlboro lights.

– Paliałaś? – zapytał. Ostatnio oboje rzucili, razem.

– Ćśś. – Była naga, wsunęła dłoń pomiędzy jego nogi, a potem na nim usiadła. W panujących w pokoju ciemnościach widział tylko jej niewyraźną, szarą sylwetkę; nie do końca rozbudzony wyobraził sobie, że to sąsiadka, dziewczyna, której imienia nawet nie znał, porusza się na nim rytmicznie.

Jej imię poznał dość szybko. W następy poniedziałek, gdy Quinn wyszła do pracy, udał się do tamtego skrzydła. Łatwo było rozgryźć, które drzwi do niej należą. Mieszkała w lokalu 3C. Alan wrócił do holu i zapytał portiera, czy może zajrzeć do przyniesionej właśnie poczty. I znalazł na ofercie karty kredytowej: Audrey Marshall, mieszkanie 3C.

Przez tamtą zimę poznał jej zwyczaje, o której wstaje rano i o której wraca wieczorem. Rzadko miała gości. Ze dwa razy odwiedziła ją jakaś kobieta, chuda, o brzydkiej twarzy; piły szampana, tamta bez przerwy mówiła, a Audrey słuchała, wtrącając coś od czasu do czasu. Zwykle jednak była sama i taką właśnie Alan lubił ją oglądać.

– Co tam jest takiego interesującego? – zapytała któregoś wieczoru Quinn, gdy sądził, że ona ogląda telewizję.

– Wydawało mi się, że ktoś krzyczy na dziedzińcu. Ale to pewnie z ulicy.

– Tak, jasne.

– A co to ma znaczyć?

– To znaczy, że w kółko wyglądasz przez to okno. A nie pamiętam, kiedy ostatnio patrzyłeś na mnie

dłużej niż sekundę.

– Dzisiaj jedliśmy razem lunch, pamiętasz? Patrzyliśmy na siebie przez cały czas. Pomogłem ci wyciągnąć ziarenko sezamu z zębów. – Alan się roześmiał.

Wzruszyła ramionami znad komórki. To był marzec, Alan miał wręcz pewność, że Quinn poznała kogoś, jakiegoś koleśia o imieniu Brandon: pracował w jej firmie i zawsze dołączał do współpracowników, którzy całą grupą wyprawiali się po pracy na drinka. Było coś w tym, jak wypowiadała jego imię, jak przemykała przez dwie sylaby w zdaniach typu „Ach, no i oczywiście był też Brandon”. Alana to nie smuciło. Nawet nie był w sumie zazdrosny. On miał Audrey.

Po zimie nastąpiła wiosna, a potem lato, Audrey uchylała okna, Alan też. W spokojne letnie wieczory, gdy wiatr powiał w odpowiednim kierunku, od czasu do czasu słyszał muzykę napływającą przez dziedzińiec. Audrey do czytania włączała sobie muzykę klasyczną, a czytała dużo, zwykle w tej samej pozycji na kanapie w salonie, tak jak wtedy, gdy podglądał ją po raz pierwszy. Czasami czytała w sypialni, zwłaszcza jeśli było gorąco, ponieważ w sypialni, tak jak w mieszkaniu Alana, pod sufitem był wiatrak. Nigdy jej nie zobaczył całkiem nagiej, ale wielokrotnie widział ją w rozmaitych stadiach neglizżu, zwykle gdy rano szykowała się do pracy albo zaraz po powrocie do domu, czyli zawsze około osiemnastej. W pewną gorącą noc zostawiła szparę między zasłonami i Alan, siedząc na krześle przysuniętym do okna w swojej nieoświetlonej sypialni, patrzył przez lornetkę, jak Audrey czyta *Ktoś we mnie* w broszurowej oprawie. Miała na sobie tylko czarne majtki. Przez chwilę wyobrażał sobie, że gdyby otworzył okno na oścież, zdołałby przepłynąć ponad dziedzińcem aż do jej okna.

Pod koniec lata wyprowadziła się Quinn – powołując się na oddalenie Alana, chociaż Alan dowiedział się pocztą pantoflową, że spotyka się z Brandonem z pracy. Zostawiła mu mniej niż połowę mebli i czynsz, na który nie mógł sobie pozwolić. Teraz miał więcej czasu na Audrey. Przygotował plan, dzięki któremu miałby ją poznać, tak by wypadło to naturalnie, i zbliżyć się do niej na długi czas. Niekiedy ją śledził, gdy wychodziła z mieszkania. Wiedział już, gdzie pracuje – w niewielkim wydawnictwie zaraz za rzeką, w Cambridge – i wiedział, że w weekendy lubi poczytać w niskich wnętrzach kawiarni Café Pamplona na Harvard Square. Zamierzał w jeden z takich dni dotrzeć tam przed nią, powiedzieć, że chyba ją skądś zna, i zacząć rozmowę. W końcu by się zgadali, że mieszkają w tej samej kamienicy w Bostonie i czy to nie zabawne, że spotkali się w Cambridge, a może by czasami się spotkali po swojej stronie rzeki?

Ale nigdy tego planu nie zrealizował. W lutym wszystko się zmieniło. W mieszkaniu Audrey zaczął się pojawiać mężczyzna. Wysoki mięśniak w garniturze, zawsze przychodził z butelką wina. Alan go znał. Nazywał się Corbin Dell i też mieszkał przy Bury Street 101, na tym samym korytarzu co Audrey.

Alan poznał Corbina Della tuż po tym, jak wprowadził się na Bury Street. Jeszcze zanim zaczął podglądać Audrey Marshall, gdy wciąż tworzył z Quinn zakochaną parę, która właśnie razem zamieszkała.

Poznali się w holu. Corbin rozmawiał z portierem Bobem, Alan zaś sprawdzał swoją pocztę w drodze na racquetballa. Z torby sportowej wystawała mu owinięta taśmą rączka rakiety.

– Squash czy racquetball? – zagał Corbin, zauważając rakieta.

– Gram w jedno i drugie – odrzekł Alan – ale ostatnio w racquetballa. A ty grasz?

– Tak. Gdzie chodzisz? – Corbin miał wręcz nieprawdopodobnie kwadratową szczękę. Prawdę mówiąc, wszystko w nim było kwadratowe: szerokie ramiona, solidne dłonie, głowa, ostre zakola podkreślone blond jeżem. Alan z samego jego wyglądu wiedział, że Dell jest o wiele lepszym graczem od niego.

– Do YMCA – odrzekł.

– Gdzie? Nad rzeką?

– Aha.

– Nie wiedziałem, że mają korty do racquetballa. Powinniśmy czasami zagrać. Możesz przyjść do mojego klubu.

– Nie gram najlepiej – odrzekł Alan.

– To zupełnie nieistotne. Aktualnie gram z kolesiem tak nastawionym na rywalizację, że przestało to być zabawne.

Przedstawili się sobie. Alan miał wizytówkę z firmy komputerowej, w której pracował, ze swoim mejlem; dał ją Corbinowi.

– Pracujesz w marketingu?

– Owszem. A ty?

– Doradca finansowy. W Briar-Crane.

Alan kojarzył tę nazwę. Oczywiście, że facet pracował w finansach. Faceci o wyglądzie Corbina najbardziej lubią spekulacje walutowe i rozmowy o kursach walut. Pożegnali się, Corbin powiedział Alanowi, że skontaktuje się z nim w sprawie racquetballa. Alan przeszedł dziedziniec i ruszył w stronę YMCA, wiedząc, że Corbin pewnie nigdy nie napisze, ale czując nagle przyjemność, że oto mieszka w budynku, w którym mężczyźni w holu umawiają się na rozgrywkę racquetballa. Tak wyglądało jego nowe życie, odkąd związał się z Quinn, która zawsze miała rodzinne pieniądze i zawsze będzie je miała. To ona chciała się wprowadzić na Bury Street 101, choć czynsz czterokrotnie przewyższał ten, który Alan płacił w trypokojowym mieszkaniu w południowym Bostonie.

Zapomniał o Corbinie Dellu i zdziwił się, gdy tydzień później dostał od niego mejla: „Zagrajmy

meczyk. Jeśli możesz, to w sobotę rano. Mam kort o 10.00. Corbin”.

Zagrali i okazało się, że Alan miał rację: Corbin był o wiele lepszym graczem, nie tylko pod względem umiejętności, ale w ogóle formy. Po meczu wyglądał, jakby wcale nie musiał brać prysznic, podczas gdy Alan, ociekając potem, z trudem dopowiadał zdania. Niemniej gdy po prysznicu wracali z szynkownego klubu Corbina, ten stwierdził, że powinni zagrać raz jeszcze.

No i zagrali, ale tylko raz, tuż przed tygodniem świątecznym, a potem poszli na piwo do Sevens przy Charles Street. Pijąc przy barze, Alan czuł się jak na korcie – Corbin rządził, a Alan ledwie nadażał. Corbin mówił o świetnych restauracjach w Bostonie, wspominał o swoim portfolio i obejrzał się za przechodzącą piękną brunetką. Alan odnosił wrażenie, że Corbin coś nadrabia, ale nie miał pojęcia, w czym rzecz. Może chodziło o to głupie lalusiowate imię – Corbin – którym został obarczony, a może był kryptogejem rozpaczliwie ukrywającym swoją tożsamość płciową. Po piwie szli razem Charles Street. Minęła dopiero siedemnasta, ale już zapadł mrok, okna wystawowe były przystrojone i oświetlone bożonarodzeniowo.

– Nie cierpię Bożego Narodzenia – rzucił Corbin, przede wszystkim chyba do siebie. I szybko się zaśmiał.

– A mnie są obojętne. Nie obchodzę ich.

To było ich ostatnie spotkanie, jeśli nie liczyć przypadkowych zetknięć w holu albo na dziedzińcu. W trakcie tych ostatnich Alan dostrzegł poczucie winy na twarzy Corbina, jakby ich racquetballowe rozstanie nastąpiło z jego inicjatywy. Alan chciał mu powiedzieć, że zerwanie nastąpiło za obopólnym porozumieniem.

Potem w życiu Alana pojawiła się Audrey i zupełnie zapomniał o Corbinie, zresztą w zasadzie w ogóle zapomniał o całym świecie. Zapomniał o nim tak dalece, że gdy zobaczył go w jej mieszkaniu, rozpoznał dopiero po dłuższej chwili. Blond włosy miał trochę dłuższe, ale poza tym nic się nie zmieniło. Wysoki i umięśniony, ubrany w garnitur albo dres. Rozsiadał się w mieszkaniu Audrey jak we własnym, wyciągając się na kanapie i oglądając programy w jej telewizorze. Zawsze pili razem wino. Rzadko fizycznie się do siebie zbliżali, chociaż Alan kilka razy widział, jak wchodzi razem do sypialni i zaciągają tam zasłony. Raz widział też, jak Corbin podnosi Audrey, a ona obejmuje go nogami w pasie i się całują. Jedna z wielkich dłoni Corbina wsunęła się pod jej spódniczkę, aż Alan musiał odwrócić wzrok. Mówił sobie, że obrzydzenie wywołane widokiem tych dwojga jest czymś pozytywnym, że może wyleczy go z potrzeby podglądania Audrey całymi godzinami. Choćby dlatego, że dziewczyna różniła się od jego wyobrażeń, skoro spotykała się z kimś takim jak Corbin.

Pomimo tych myśli Alan, co dziwne, dalej podglądał Audrey równie intensywnie jak wcześniej, rozkoszując się chwilami, gdy była sama, czytając na kanapie tak jak zawsze. Zaczęła nową książkę, *Zaginioną dziewczynę* Gillian Flynn, więc Alan w drodze do domu zaszedł po nią do Barnes & Noble, żeby mogli czytać to samo. Mijały całe dni bez Corbina i Alan już zaczął mieć nadzieję, że ich związek dobiegł końca, a tu nagle Corbin zaczął pojawiać się w piątek wieczorem, zawsze z winem. Rzadko chyba razem gdzieś wychodzili. Alan się zastanawiał, czy łączy ich jakiś układ łóżkowy, że to tacy sąsiedzi z bonusem, seks sąsiedzi. To mu nie dawało spokoju. Co ona w nim widziała? Nawet potrzebowała go wyłącznie do uprawiania seksu.

W jeden z wieczorów, gdy Corbin był w mieszkaniu Audrey, Alan po kilku piwach postanowił napisać

mejla do Corbina. Minął prawie rok od ich ostatniego kontaktu. Sklecił wiadomość, bardzo się siląc na wyluzowany ton, przeprosił, że minęło tyle czasu, po czym zapytał, czy Corbin chciałby się spotkać na krótką rozgrywkę zwieńczoną piwem w Sevens. „Albo możemy sobie odpuścić racquetball i poprzestać na drinku, jeśli chcesz” – dodał, bo przecież jego jedynym celem była rozmowa z Corbinem. Wysłał mejla od razu, nie dając sobie czasu na zmianę zdania. Opadł na oparcie i westchnął. Jeśli Corbin połknie haczyk, będzie mógł go wypytać o Audrey, może dowie się, o co chodzi w ich relacji. Może Corbin i Alan się zaprzyjaźnią za tym drugm podejściem, a to dałoby Alanowi szansę na poznanie się z Audrey, na poznanie jej bliżej. Jego myśli pogalopowały daleko w przyszłość, w stronę scenariusza, w którym dziewczyna zostawiała Corbina, by być z nim. Powstrzymał fantazje, zanim posunęły się za daleko, wstał od komputera i wrócił do okna. Corbin patrzył na swój telefon. Alan zastanawiał się, czy czyta właśnie mejla od niego. Niewykluczone, ale odpisał dopiero następnego dnia: „No cześć. Fajnie, że się odezwałeś. W zasadzie już nie gram w racquetballa, teraz tylko w squasha. Ale na drinka się wybierzmy. Mam wolny wieczór w następną środę”.

Alan odpisał, że też ma wolny środowy wieczór. Im bliżej było tej daty, tym częściej się zastanawiał, czy może Corbin przyprowadzi Audrey. Ze względu na cień szansy włożył najlepsze džinsy i sweter marki Rag & Bone. Kiedy jednak o wyznaczonej godzinie stawił się w Sevens, Corbina nie było. Dotarł z dwudziestominutowym spóźnieniem, ale sam.

Pogadali niezobowiązująco przy piwie, Corbin co dwie minuty sprawdzał komórkę. Alan czuł, że nie ma dużo czasu, więc zagaił niby przypadkowo:

– Z kim się teraz spotykasz?

– Spotykam? – powtórzył Corbin. – Z nikim w sumie. No, jest taka dziewczyna w pracy. Mężatka, niestety...

– A ktoś mi chyba mówił, że spotykasz się z laską z naszego budynku. Z tą, co mieszka naprzeciwko ciebie... Nie wiem, jak ma na imię...

– Z Audrey?

– Tak, chyba Audrey.

Corbin upił długi łyk smuttynose'a, na górnej wardze został mu cieniutki pasek piany.

– Prawie jej nie znam. Od kogo to słyszałeś?

– Może coś mi się ubzdurało. Albo może was widziałem razem.

– Nie, co ty. W zasadzie jej nie znam. Owszem, widuję ją i nie miałbym nic przeciwko, ale nie. A ty? Twoja dziewczyna się chyba wyprowadziła?

Alan przedstawił skróconą wersję historii rozstania z Quinn, a także swoich planów, że albo poszuka nowego mieszkania, albo weźmie współlokatora, żeby podołać czynszowi. Dopili piwo. Zabiegany barman zapytał w przelocie, czy chcą jeszcze jedno. Alan, jako że jeszcze nie skończył wypytywania o życie miłosne Corbina, już miał złożyć zamówienie, ale tamten się zerwał i powiedział, że musi lecieć.

– Wybacz, mam jeszcze dzisiaj spotkanie, niestety. Ale umówmy się znowu – dodał nieprzekonująco.

Wyszedł, a Alan został, zamówił piwo imbirowe z whisky i zastanawiał się, dlaczego Corbin wyparł się znajomości z Audrey. To zupełnie nie miało sensu. Nawet gdyby z jakiegoś powodu trzymali ten związek w tajemnicy, co by to zmieniało, gdyby Alan o nim wiedział?

Gdy wrócił z Sevens do domu, ruszył prosto do okna. W mieszkaniu Audrey panowały ciemności.

Ale następnego wieczoru była tam, na kanapie, czytała „Vanity Fair” i od czasu do czasu zerknęła na telefon. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej, zawijała na palec pasmo włosów.

Alan poszedł przygotować sobie drinka, teraz umiał już to robić w kompletnych ciemnościach, a gdy wrócił, w mieszkaniu Audrey ujrzał Corbina. Stali przy drzwiach, rozmawiali, Alan odniósł wrażenie, że to nagła wizyta. Nie widział wina, a Audrey miała na sobie czarne rajstopy i obszerną bluzę z kapturem, które często nosiła, gdy była sama. Alan cofnął się trochę od okna, choć nie mieli szansy go zobaczyć. Patrzył, jak rozmawiają, i wiedział, że coś się dzieje. Corbin ruchem głowy wskazał okno, ona spojrzała w tym kierunku, ściągając brwi w zamyśleniu.

Oboje patrzyli teraz prosto w okno Alana.

Zmroziło go. Cofnął się jeszcze dalej. Lornetkę miał na stoliku przy kanapie, poszedł po nią i podglądał nadal, z głębi mieszkania.

Corbin i Audrey wciąż rozmawiali. W pewnym momencie dziewczyna z uśmiechem wzruszyła ramionami. Potem Alan ujrzał, rumieniąc się, jak Corbin przecina salon i zaciąga szczelnie zasłony.

Opuścił lornetkę. Nie zobaczyli go, ale na jedno wychodziło. Zrozumieli, że tam jest. Corbin pojął, że Alan tylko tak mógł się dowiedzieć o jego spotkaniach z Audrey – podglądając przez okno. Czy przyszło mu to do głowy od razu po ich spotkaniu? Czy po powrocie do domu sprawdził, gdzie mieszka Alan, i uświadomił sobie, że to dokładnie naprzeciwko Audrey? Alan poczuł mdłości, żołądek mu się ścisnął. Przez krótką straszną chwilę zastanawiał się, czy Corbin przyjdzie do niego na konfrontację, może nawet z Audrey. Odruchowo wepchnął lornetkę pomiędzy poduchy kanapy. Światła były wyłączone. Nie otworzyłyby im.

Potem napomniał się, że musi się odprężyć, wziąć głęboki oddech, przeanalizować sytuację. Nawet jeśli Corbin wykalkulował, że ktoś go widział z Audrey przez okno, nie od razu musiał pomyśleć, że on, Alan, obsesyjnie podgląda sąsiadkę. A gdyby go o to zapytał wprost? Alan musiałby jedynie lekkim tonem powiedzieć: „A tak, może właśnie tak was razem widziałem, Audrey nigdy nie zaciąga dokładnie zasłon”. Na tę myśl się odprężył i znowu wstał, podszedł do okna, wyjrzał przez nie. Zasłony naprzeciwko nadal były szczelnie zaciągnięte.

Przez następne kilka miesięcy już nie fantazjował, że kiedykolwiek pozna Audrey osobiście. Wiedział, że nigdy do tego nie dojdzie. Wiedział też, że gdyby jednak tak się stało, Audrey rozpoznałaby go jako zbrojeńca z naprzeciwka, którego Corbin oskarżył o podglądanie. Musiała potraktować poważnie słowa Corbina, bo od tego czasu pilnowała szczelnego zaciągnięcia zasłon, zwłaszcza wieczorami. Czasami zostawiała je rozsunięte, lecz Alan starał się ograniczać czas spędzany na podglądaniu. Wiedział, że to niezdrowe, a na pewno niemoralne, i do tego niewątpliwie niezgodne z prawem.

Odnowił kontakt ze znajomymi i przyjmował zaproszenia na drinka od ludzi z pracy. W jeden z takich wieczorów całował się nawet ze stażystką z Suffolk University. Bella była namiętną softbolistką, miała długie blond włosy i wszystko fotografowała swoim telefonem. Chociaż Alan nie przekroczył jeszcze trzydziestki, miał wrażenie, że Bella należy do innego pokolenia. Poszli do kina, a potem do jego mieszkania. Uświadomił sobie, że od wyprowadzki Quinn to pierwsza ludzka istota, która postawiła tu nogę. Seks był fatalny, pospieszny i niezręczny, a Bella z zakłopotania bez przerwy mówiła, nawet gdy już zasypiała: „Mogę zostać na noc, chociaż wiem, że chodzi tylko o seks?”. Alan, zupełnie nie czując

senności, poszedł do salonu. Nie sprawdzał mieszkania Audrey od kilku dni, ale teraz rozsunął zasłony na kilka centymetrów i wyjrzał. Zostawiła zasłony odrobinę rozchylone. Leżała na kanapie, zwinięta jak do snu, książka odwrócona grzbietem do góry spoczywała na podłodze. Widywał ją już śpiącą na kanapie. Lewą rękę miała zwiniętą, dłonią do góry, przez środek klatki piersiowej, palec wskazujący dotykał miękkiej skóry podbródka.

Alan podszedł do swojej kanapy, wtulił twarz w poduchy i po raz pierwszy od kilku lat zapłakał.

„Koniec z Audrey” – postanowił.

Musiał wyrzucić ją z głowy. I ostatnio mu się to udawało. Przeważnie.

W sobotę rano znalazł starego, zwietrzałego papierosa i wyszedł na zewnątrz. Rozmawiał ze śliczną dziewczyną, Angielką – Kate jakaś tam, może nawet nie podała nazwiska – i to ona powiedziała mu, że Audrey zaginęła. Ich rozmowa była dziwna i niepokojąca. Pod pewnymi względami Kate przypomniała Alanowi Audrey. Nie wyglądem, chociaż miały te same blade barwy. Kate – może to dlatego, że spotkał się z nią twarzą w twarz – wydawała się w większym stopniu ziemską, podczas gdy Audrey zawsze kojarzył jako istotę bardziej eteryczną. Podobna do chochlika, o drobnych rysach, długich kończynach, charakteryzowała się taką jakąś nieruchomością, jakby poruszała się wyłącznie wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. By przewrócić kartkę w książce albo upić łyk herbaty. Na tym polegała różnica pomiędzy nimi, zdaniem Alana. Kate, niemal równie śliczna jak Audrey, z twarzą krągłąszą i włosami ciemniejszymi o ton, zdecydowanie nie była nieruchoma. Gdy rozmawiali, przestępowała z nogi na nogę. Odgarnęła za ucho nieposłuszne pasmo włosów i wówczas Alan zauważył, że niepomalowane paznokcie ma obgryzione do żywego ciała.

Potem przyjechała policja, a Carol, starsza wiekiem sąsiadka Alana z mieszkania naprzeciwko, potwierdziła, że znaleziono ciało.

Wieczorem policjantka, która przedstawiła się jako Karen Gibson, przysłała zadać kilka pytań. Powiedział jej prawdę. Znał Audrey Marshall z widzenia, ale nie osobiście.

Tej nocy spał, był to jednak sen niespokojny, przerywany, płytki; sen, w którym Audrey była z Alanem w jego mieszkaniu, dotykała go, rozmawiała z nim, szeptała mu do ucha. Obudził się przed świtem i podszedł do okna, by zajrzeć do jej mieszkania. W środku było ciemno, ale widział, że zasłona jest odsunięta. Dostrzegł jakiś ruch, więc wpatrywał się długo w to miejsce. Niebo się rozjaśniało, z czarnego stało się pomarańczowe, tylko wewnątrz mieszkania Audrey było pogrążone w ciemności. Niemniej patrzył, bał się nawet mrugać za często. Nagle dojrzał kolejny cień ruchu, pasek światła. Był pewien, że ktoś szybko otworzył i zamknął drzwi wejściowe, opuszczając mieszkanie.

W niedzielę przed południem Kate chodziła po wielkim mieszkaniu Corbina. Zaczęła pisać długiego mejla do mamy, ale go nie skończyła. Nie spała od świtu, kiedy to zakradła się do mieszkania Audrey Marshall i przez okno zobaczyła Alana Cherneya. Teraz wyjrzała przez swoje okna. Niebo było mlecznobiałe, powierzchnia rzeki nieruchoma i szklista. Ten kawałek Bury Street, który widziała tu, od zachodniej strony, wyglądał spokojnie. Była głodna, ale miała już dość chleba z serem. W kuchni otworzyła drzwi ogromnej lodówki ze stali nierdzewnej i wpatrywała się w jej nędzną zawartość.

– Czas wyjść z mieszkania – powiedziała do siebie.

I zanim zdążyła zmienić to postanowienie, włożyła buty i sięgnęła po czarną kurtkę w białe kropki. Zrobi szybki spacer wokół kwartału, może znajdzie knajpkę, w której zje lunch, albo może nawet kupi coś, co potem sama ugotuje w domu.

Na zewnątrz było chłodniej, niż sądziła; powietrze okazało się surowe i wilgotne. Idąc przez dziedziniec, zapięła kurtkę pod szyję, żałując, że nie wzięła rękawiczek.

Ulicą Bury szedł jakiś mężczyzna, ręce schował głęboko w kieszeniach granatowej dwurzędowej kurtki. Gdy przeszła pod łukiem bramy, podniósł wzrok wyczekująco, ich spojrzenia się spotkały. Miał średniej długości rudawe włosy, które sterczały na czubku głowy, a jego oczy za okularami w drucianych oprawkach, wilgotne i lśniące, wydawały się podpuchnięte. Kate już miała przejść na drugą stronę ulicy, przystanęła jedynie na chwilę, by się rozejrzeć, czy nic nie jedzie, gdy mężczyzna do niej podszedł.

– Witam – zagaił nieśmiało. – Hej, cześć... Pani tu mieszka?

– Tak – odparła, odruchowo podnosząc ręce do kołnierza, choć już była zapięta pod szyję.

– Przepraszam. Nie chciałem pani przestraszyć. Byłem kolegą... przyjacielem Audrey Marshall. I rozmawiałem z policją, i z waszym portierem, no i chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej.

– Przykro mi. Niewiele wiem. Dopiero się wprowadziłam. Nie znałam Audrey.

Mężczyzna się nie zniechęcił. Policzki miał zaczerwienione i pokryte plamami. Kate zastanawiała się, jak długo tu stoi na zimnie, czekając, aż ktoś wyjdzie z budynku.

– Policja z panią rozmawiała? – zapytał.

– Zadali mi kilka pytań. Pewnie dlatego, że mieszkam zaraz obok.

– Zaraz obok?! Na tym samym piętrze?

– Tak, ale dosłownie dopiero co się wprowadziłam i nikogo nie znam. Przykro mi, nic więcej nie wiem. – Postawiła niepewny krok, próbując się wymknąć.

– Mógłbym pani kawałek towarzyszyć? Muszę gdzieś pójść po kawę. Jestem Jack, tak swoją drogą. – Zdjął rękawiczkę, a Kate uścisnęła jego ciepłą, suchą dłoń. – Jack Ludovico. Przyjaźniłem się z Audrey od... od...

Kate postanowiła pójść w ślady swojej matki, która choć zawsze miła, umiała po mistrzowsku



wymigać się z każdej niepożądaney sytuacji towarzyskiej, aczkolwiek z nienaganną uprzejmością.

– Jack, miło pana poznać, ale spieszę się, zresztą naprawdę nie potrafię panu pomóc.

– Nie jest pani aby kuzynką Corbina Della? Audrey mówiła, że Corbin wyjeżdża do Londynu, a pani zamieszka u niego.

– To ja. Właśnie przyjechałam. Audrey to panu mówiła?

– Tak, wiem wszystko o Corbinie i Audrey. Nie chcę pani zatrzymywać, ale przejdźmy się. Zmarzłem. Ruszyli razem, zaciekało ją, że najwyraźniej istniało jakieś „Corbin i Audrey”.

– Jestem Kate – przedstawiła się.

Jack przedstawił się raz jeszcze, a gdy się zorientował, że już to zrobił, szybko potrząsnął głową, zakłopotany.

– Jestem w rozsypce.

– Byliście sobie bliscy?

– Tak i nie. Dla mnie tak. W college’u chodziliśmy ze sobą, no i wtedy nam się nie udało, ale pozostaliśmy w kontakcie, w sumie czysto przyjacielskim, i nie mogę uwierzyć... – Zatrzymał się, przyłożył dłonie w rękawiczkach do twarzy, podsunął okulary na czoło i zaczął łkać. Ramiona mu podrygiwały.

– Przykro mi – powiedziała Kate, nie mając pojęcia, co robić. Położyła mu dłoń na ramieniu i stali tak nieruchomo chyba całą wieczność. Gdy Jack już oderwał ręce od twarzy i wytarł rękawiczki o nogawki dzinsów, zapytał:

– Wiesz może, kto ją zidentyfikował?

– Nie mam pojęcia. Możemy iść? – Kate wzięła go pod ramię i ruszyła.

– Jasne, jasne. Przepraszam, że zwałam ci to na głowę. Pewnie dopiero co przyjechałaś, a tu od razu morderstwo za ścianą, i teraz jeszcze ja cię męczę. – Roześmiał się denerwującym urywanym śmiechem, ramiona znowu mu podrygiwały, tak jak w czasie płaczu.

– Nie ma problemu – zapewniła Kate. I zaraz zapytała: – Jak się dowiedziałeś... Jak się dowiedziałeś, co się stało?

– Dzisiaj pisali o tym w „Boston Globe”. Już i tak zresztą się martwiłem, bo od kilku dni nie miałem wiadomości od Audrey, co było dziwne, a potem zobaczyłem nagłówek, że w Beacon Hill znaleziono zwłoki kobiety, i już wiedziałem, że to ona, zanim przeczytałem artykuł.

– Co pisali?

– Że znaleziono jej ciało, że zdaniem policji śmierć nastąpiła w podejrzanych okolicznościach i że dużo ludzi dzwoni z informacjami, więc ja też zadzwoniłem. Pojechałem na komisariat, a oni mnie wy pytali, ale nic mi nie powiedzieli, tyle że ją zidentyfikowano. Wiesz, kto to zrobił? Kto ją zidentyfikował?

W głosie Jacka usłyszała panikę. Rozpoznawszy ją u drugiej osoby, poczuła się, jak zwykle, stosunkowo spokojnie.

– Jack, ja nic nie wiem – powiedziała. – Przykro mi. Dopiero przyjechałam. Ale jestem pewna, że policja nie może ujawniać żadnych informacji, bo śledztwo jest w toku. Masz kogoś, z kim mógłbyś

pogadać? Jakaś przyjaciółkę Audrey? Jej rodzinę?

Kiwnął głową.

– Mam. Jej rodziny w sumie nie znam, ale znam jej przyjaciółkę, Kerry.

– Może to ta, która powiadomiła policję, że Audrey zaginęła. Gdy przyjechałam, do jej drzwi dobijała się jakaś dziewczyna.

– Tak, to pewnie Kerry. – Jakaś nuta w głosie Jacka nasunęła Kate myśl, że nie przepada on za przyjaciółką Audrey.

– Powinieneś z nią pogadać – powiedziała. – Na pewno wie więcej niż ja.

– Pogadam. – Szli dalej, Kate trochę przyspieszyła, Jack nadązał za nią. Minęli Brimmer i zbliżali się do Charles Street. – A Corbin już wie? – zapytał.

– Podałam jego adres mejlowy policji i pewnie chcą się z nim skontaktować, na wypadek gdyby miał jakieś informacje. Nie chciałam jeszcze pisać do niego sama, bo nie wiedziałam, czy już wie.

– Myślisz, że policja go podejrzewa?

– Nie sądzę. Powiedzieli, że nie. A co, między nim a Audrey było coś dziwnego?

– No, coś tam było.

– Co dokładnie?

– Dokładnie to nie wiem. Raz ze sobą byli, raz nie byli. Audrey mówiła mi, że sypiali ze sobą, ale nigdzie nie wychodzili, że on chciał się spotykać wyłącznie w mieszkaniu. – Z głosu Jacka jasno wynikało, że nie pochwalał takiej sytuacji.

– Jak to w mieszkaniu?

– No tak. Domyślam się, że ze sobą sypiali, a Audrey chciała czegoś więcej, poważniejszego związku, Corbin natomiast nie. Nie opowiadała o nim specjalnie miłych rzeczy. Przykro mi. Nie powinienem tobie akurat tego mówić. Nie odniosłem wrażenia, że się go boi czy coś. Nic z tych rzeczy. Po prostu był dupkiem.

– Ja nic nie wiem – odparła Kate. Dotarli do rogu Bury oraz Charles i znowu stanęli twarzami do siebie.

Jack rytmicznie napinał mięśnie szczęki.

– Moim zdaniem Corbin nie miał nic wspólnego z tym, co się stało.

– No, już był wówczas w Londynie...

– A kiedy dokładnie wyjechał, wiesz może?

– W czwartek wieczorem, bo w piątek rano był w Londynie. I właśnie w piątek ja wyleciałam z Londynu. Minęliśmy się o włos.

Jack milczał, a Kate widziała, że wylicza, czy Corbin mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią dziewczyny.

– Kiedy po raz ostatni rozmawiałeś z Audrey? – zapytała.

Zerknął na nią szybko.

– Chwila, muszę sobie przypomnieć... Chyba w środę wieczorem.

– Więc sądzisz, że Corbin...

– Nie, nic nie sędzę. Ale mógł mieć coś wspólnego z tym, co się stało. Jest to możliwe, prawda? –

Patrzył niemal z nadzieją.

– Nie wiem. Może ktoś inny miał z nią kontakt. Naprawdę powinieneś o to zapytać policję. Ja nic nie wiem.

Jack szybko potrząsnął głową, jakby miał wodę w uchu.

– Jezu, przepraszam cię bardzo. Ciebie to wcale nie dotyczy. Odbija mi po prostu...

– Nie, rozumiem. Ale nie mogę ci pomóc. Nie znam Corbina osobiście. I nic mi nie mówił o żadnym z mieszkańców tego domu. Mam nadzieję, że nie ma z tym nic wspólnego. A wiesz może, co się z nią stało dokładnie? Z Audrey?

– O co pytasz? O to, jak zginęła?

– No tak.

– Nic mi nie powiedzieli. Tylko to, że ich zdaniem śmierć nastąpiła w podejrzanych okolicznościach, dokładnie tak jak pisano w gazetach.

W jednym z podpuchniętych oczu Jacka pojawiła się łza. Kate uznała, że nie powinna pytać już o Audrey. Chciała odejść, ale mężczyzna sprawiał wrażenie zagubionego, przypominał jej dziecko, które na próżno szuka rodziców.

– Co robisz? – zapytała.

– O co pytasz?

– O pracę, czym się zajmujesz.

– Ach. Pracuję w hotelarstwie.

– Rozumiem.

– Jestem koordynatorem spotkań w centrum konferencyjnym. Nie jest to tak ekscytujące, jak można by wnioskować po nazwie, ale cały czas mam coś do roboty. Przez ostatnie dwa tygodnie... nie miałem nawet czasu spotkać się z Audrey.

Łza wymknęła się na policzek, starł ją wierzchem dłoni osłoniętej rękawiczką.

Kate po raz kolejny postanowiła pójść za przykładem swojej bezceremonialnej matki.

– Jack, sędzę, że powinieneś pogadać z kimś, kto znał Audrey, naprawdę.

Kiwnął głową, a ona dodała:

– Znajdź tę jej przyjaciółkę. Albo jej rodzinę. Skąd była Audrey?

– Miała rodzinę w New Jersey. Nigdy ich nie poznałem.

– Pewnie tu przyjechali, nie sędzisz? Powinieneś ich znaleźć i z nimi porozmawiać.

– Tak, tak, pewnie masz rację. – Ani drgnął, stał dalej na chodniku. Ominęła ich rodzina turystów, dwójka najmłodszych dzieci miała na głowach czapki z kleszczami homara.

– Pewnie ciągle jestem w niej zakochany – powiedział. – A ona raczej nic takiego nie czuła. Nie, nie raczej, wiem, że nic takiego nie czuła. A Corbin ją zniszczył... – Urwał, wzrok utkwiał gdzieś w przestrzeni.

– Miło było cię poznać – powiedziała Kate i znowu podała mu dłoń. Tym razem nie zdjął rękawiczek.

– Przepraszam cię, ale muszę zrobić zakupy.

Zostawiła go na rogu i odeszła w stronę niewielkiego sklepu spożywczego, w którym była poprzedniego dnia. Miała nadzieję, że Jack nie zauważy jej pospiesznego kroku. Nie czuła się z tym dobrze, ale też wiedziała, że w sumie nie może go w żaden sposób pocieszyć. Musiał znaleźć kogoś innego, kogoś, kto znał Audrey. Zresztą chciała zostać sama, by przemyśleć to, czego się dowiedziała. Corbin chodził z Audrey. Sypiali ze sobą, a potem coś się między nimi popsuło, przynajmniej Audrey tak uważała. Może on też. W głowie Kate kłębiły się różne warianty. Audrey stawiała się zaborcza, a Corbin wpadł w popłoch i usiłował się od niej uwolnić. Zgodził się na to przeniesienie służbowe do Londynu. Aż nagle, tuż przed wyjazdem, ostatniego wieczoru, pomyślał, że pójdzie się z nią pożegnać, powie jej, że wyjeżdża. Może wtedy ona się na niego wściekła, zaatakowała go, a Corbin, broniąc się...

Kate powstrzymała kłębiące się myśli i otworzyła przeszkłone drzwi do spożywczego. Zaledwie jednak spojrzała w głąb wąskich, zatłoczonych alejek, ogarnęła ją panika i sparaliżowała jej wnętrze. Cofnęła się przed pachnącym ciepłem wylewającym się z wnętrza sklepu i wpadła na parę biegaczy, która właśnie chciała ją ominąć.

– Przepraszam – powiedziała.

Zauważyła pustą ławkę przed sklepem, w którym sprzedawano stylowe ryciny.

Usiadła i wykonała swoje ćwiczenia oddechowe.

„Zmier się z tym. Zaakceptuj. Nie walcz. Przeczekaj”.

W górze przeleciał samolot, bardzo nisko, od ryku silników Kate zjeżyła się skóra na głowie. Zaczęła postukiwać opuszką kciuka o pozostałe palce, potem z trudem się powstrzymała i wstała. Nie czuła już głodu, ale wiedziała, że musi jeść. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się mała pizzeria prowadząca sprzedaż z okienka, nazywała się Upper Crust. Kupiła tam kawałek pizzy z pesto i gazowany napój waniliowy i z tym wszystkim wróciła na ławkę. Było zimno, ale na otwartym powietrzu czuła się lepiej niż w jakimkolwiek wnętrzu.

Wracając do domu, spodziewała się, że ujrzy na rogu usychającego z miłości przyjaciela Audrey, tak jak go zostawiła, ale zniknął. Nie wystawał też przed budynkiem przy Bury Street 101, więc Kate z ulgą wróciła do domu, na nikogo już się nie natykając.

Rozglądała się dokoła. Czy to mieszkanie zabójcy? Jeśli tak, to czy ona potrafi to rozpoznać? Tak mało tu było śladów Corbina. Apartament był luksusowy i przestronny, ale oprócz tego niewiele konkretnego dało się o nim powiedzieć. Nie, to nie do końca była prawda. Sprawiał wrażenie domu człowieka, który już nie żyje. Jakby należał do ojca Corbina. Meble były piękne, ale z innej epoki; jedna z kanap miała tapicerkę w kwiatowy wzorek. Na ścianach zaś wisały olejne abstrakcje, w większości oryginały, zdaniem Kate interesujące, ale też niemodne. Nie, w tym mieszkaniu niewiele należało do Corbina, jeśli w ogóle cokolwiek. Odziedziczył je po ojcu i absolutnie nic w nim nie zmienił, nawet fotografii.

Kate, już trochę odprężona, usiadła i zastanowiła się, co to znaczy. Co by zrobiła, gdyby odziedziczyła takie mieszkanie? Pewnie to samo. Wyglądało ładnie, po co zmiany? A może Corbin wyjątkowo lubił ojca i zachował wszystko niezmiennie przez szacunek dla niego. Niewykluczone. Ale też niewykluczone, że nie było tu nic należącego do Corbina, bo chciał się ukryć, bo nie chciał, by ludzie widzieli, jaki naprawdę jest. A skoro tak, to czy istnieje gdzieś miejsce, w którym Corbin zostawił swój ślad?

Kate podeszła do okna, z którego najlepiej było widać Bury Street. Na ulicy nadal panował spokój. Spodziewała się, że może zobaczy znowu porzuconego przyjaciela Audrey, jak obserwuje budynek,

wypatrując innego mieszkańca, którego mógłby wypytywać. Czy nie czytała gdzieś, że zbrodniarz lubi wracać na miejsce zbrodni? Nie. Jack Ludovico był dziwny, ale na pewno nie sprawiał wrażenia mordercy. Choć raz jej umysł nie sięgnął po najgorszą możliwość. Jack niczego nie ukrywał. Były chłopak zmagający się z szokiem i bólem. Łatwy do rozszyfrowania w przeciwieństwie do Corbina, którego najwyraźniej łączył skomplikowany związek z Audrey, a ponadto miał klucz do jej mieszkania.

Skoro już pomyślała o kluczu, przypomniała sobie, że musi zadzwonić do detektyw James.

Poszła do sypialni, gdzie zostawiła jej wizytówkę, a potem przypomniała sobie o szkicowniku pod łóżkiem. Chwilę później już siedziała na dywanie z zeszytem otwartym na nowej kartce i rysowała twarz Jacka Ludovica, automatycznie i bez zastanowienia. Narysowała go z głową nieco opuszczoną, patrzącego w górę. Gdy skończyła, odsunęła ołówek i już wiedziała, że udało się jej za pierwszym razem. Perfekcyjne wykonanie. Dopisała datę i jego nazwisko.

Siedziała jeszcze chwilę, próbując sobie przypomnieć, dlaczego w ogóle weszła do sypialni. Po wizytówkę policjantki! Chciała do niej zadzwonić. Przeszła do telefonu w salonie. Detektyw odebrała po dwóch sygnałach.

– Dzień dobry, mówi Kate Priddy. Zostawiła mi pani wizytówkę.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Witaj, Kate – odezwała się wreszcie policjantka. – Czym mogę służyć?

– Chodzi o Audrey Marshall. Znalazłam w moim mieszkaniu klucz, to znaczy w mieszkaniu Corbina Della, a na tym kluczu są inicjały AM.

– Myśli pani, że pan Dell miał klucz do mieszkania Audrey?

– Tak właśnie myślę.

– Sprawdziała to pani?

Kate nie spodziewała się tego pytania, ale coś w nieformalnym tonie pytania policjantki sprawiło, że powiedziała prawdę:

– Szczerze mówiąc, tak. To ten klucz. Do mieszkania Audrey. Pewnie mu go dała, żeby podlewał rośliny pod jej nieobecność.

– Tak, na pewno ma pani rację. Skontaktowaliśmy się z pani kuzynem i jest niezmiernie pomocny. Zapytam go o klucz.

– Och, już wie?

– Tak. Bardzo chciał pomóc, ale powiedział, że nie znał za dobrze Audrey. Odniosłam wrażenie, że przede wszystkim martwi się o panią.

– Powiedział, że nie znał dobrze Audrey?

– Tak właśnie. Przepraszam na chwilę...

Kate słuchała stłumionych głosów – detektyw James z kimś rozmawiała.

– Przepraszam panią, już jestem – powiedziała w końcu. – Coś jeszcze?

– Nie, tylko ten klucz. I rozmawiałam z jednym przyjacielem Audrey. Nazywa się Jack Ludovico.

– O, no proszę. – Ta informacja żywo ją zainteresowała. – Gdzie go pani spotkała?

– Stał przed budynkiem, powiedział, że idzie prosto z komisariatu, że z kimś tam rozmawiał i miał

nadzieję, że zdobędzie więcej informacji.

– Proszę mi powtórzyć jego nazwisko.

– Nie pojawił się na komisariacie?

– Mógł się pojawić, pani Kate. Ja dopiero przyszedłam i jeszcze nie rozmawiałam z kolegami.

– Nazywa się Jack Ludovico. I właśnie mówił zupełnie coś innego o Corbinie i Audrey. Powiedział, że chodzili ze sobą.

– Chciałabym dokładniej to omówić, jeśli pani pozwoli. Mogę oddzwonić? Pod ten numer?

– Oczywiście. Dzwonię właśnie z tego mieszkania.

– Dziękuję, że powiadomiła nas pani o kluczu i gdyby jeszcze coś pani miała, proszę dzwonić śmiało.

Nawet jeśli wyda się to pani bez znaczenia.

Kate się rozłączyła. Siedziała chwilę w milczeniu, myśląc: „Powinnam jej powiedzieć, że widziałam, jak mężczyzna mieszkający naprzeciwko Audrey obserwuje jej mieszkanie? Popełniłam błąd?”. Uznała szybko, że niepoinformowanie policjantki o Alanie Cherneyu nie było jednak błędem. Na pewno po prostu patrzył przed siebie i do mieszkania Audrey zaglądał mimowolnie. Popełniono morderstwo. Musiał o tym słyszeć, był ciekaw. Pewnie też był zaniepokojony. To naturalne.

Gdy dzieją się niedobre rzeczy, zawsze budzą zainteresowanie. Kate doskonale o tym wiedziała.

Kate skończyła pisać długiego mejla do matki, w którym nakreśliła szczegółowo, co się wydarzyło, odkąd przybyła do Bostonu. Wiedziała, że zaraz gdy go wyśle, matka poprosi, by wróciła do domu. Nie tyle ze względów bezpieczeństwa – choć to oczywiście też, po części – lecz ze względu na to, co Kate przeszła z George’em Danielssem.

Poznała go na pierwszym roku studiów. On był na naukach o ziemi, ona na sztuce, ale trafili na ten sam kurs greki dla początkujących. Kate szło niezmiernie ciężko i w końcu poprosiła George’a o pomoc. Zrobiła to, bo sprawiał wrażenie pilnego i godnego zaufania. Nie prezentował się najgorzej, ale w wieku osiemnastu lat wyglądał jak licencjonowany księgowy. Był wysoki i chudy, a na większość jego wzrostu składały się długie nogi. Chodził w nijakich okularach, zawsze się ubierał w sztruks i włóczkowe kamizelki i już łysiał. Ale łysieniu zawdzięczał charakterystyczny szpic nad czołem, przez co wydawał jej się atrakcyjny. Po kilku spotkaniach w celu edukacyjnym zapytał zdenerwowany, czy Kate poszłaby z nim na kolację. Zasugerował włoską knajpę, o której słyszał, że jest dobra.

Zgodziła się, zaintrygowana. Chciała się przekonać, jak to jest wybrać się na taką staromodną randkę, zamiast umówić się z chłopakiem w klubie studenckim. I rzeczywiście to była staromodna randka. George miał nawet krawat pod włóczkową kamizelką. Powinno być niezręcznie, ale nie było. George i Kate mieli wiele wspólnego; oboje skrycie uwielbiali poezję, oboje mieli wręcz obsesję na punkcie *Miasteczka Twin Peaks*. W tamten weekend spędzili całą sobotę i pół niedzieli, oglądając cały pierwszy sezon na laptopie George’a w jego łóżku. Zanim nastał poniedziałek, rozdzielili się nawzajem, a Kate była pewna, że się zakochała. Wiedziała, że George odwzajemnia jej uczucie.

Byli ze sobą rok, żyli w bezpiecznej bańce związku. W każdym razie Kate czuła się bezpiecznie. Całe jej wcześniejsze życie było podszyte przekonaniem, że lada chwila wydarzy się jakaś tragedia. Terapeuta, do którego zaprowadzili ją rodzice, gdy miała osiem lat, poprosił, by wskazała trzy rzeczy, których boi się najbardziej, na co Kate wybuchnęła płaczem, przytłoczona, że musi zredukować świat alienów, pajaków, wycieków gazu, nękań, niewidocznych zarazków i anomalii pogodowych do zaledwie trzech strachów. Zdiagnozowano u niej zaburzenia lękowe – co nikogo nie zaskoczyło – ale też skłonność do fantazjowania. Miała po prostu wybujałą wyobraźnię.

W George’u pokrzepiające było to, że planował wszystko co do najdrobniejszego szczegółu. Kate nieustannie się martwiła – jej umysł działał jak projektor pokazujący wyłącznie szokujące filmy ostrzegawcze z lekcji nauki o zdrowiu – ale ponieważ jej troski nigdy nie wpływały na stan umysłu George’a, trochę schodziło z niej ciśnienie. Na wakacje letnie po pierwszym roku studiów zarezerwował wycieczkę objazdową po wyspach greckich. Mieli lecieć z Londynu do Aten, a potem płynąć promem na Santoryn, Kretę i wreszcie na Rodos. Kate wcześniej leciała samolotem tylko raz, jako trzynastolatka, na Azory, i potem rodzice obiecali, że już nigdy więcej jej do tego nie zmuszą. Pamiętała doskonale to uczucie, kiedy samolot startował, a ona wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że za chwilę śmierć pochłonie ją w całości. Uczucie to przeszło w panikę, a wreszcie w zimną próżnię czystego przerażenia.

Powiedziała o tym George'owi, powiedziała mu, że nie sądzi, by mogła lecieć do Aten, on jednak spojrzął na nią spokojnie i odrzekł, że już ma to zaplanowane. „Wszystko jest zarezerwowane” – tak powiedział, a ton jego głosu wykluczał dalszą dyskusję.

W pewien sposób to ułatwiło sprawy. Im bliżej było do wyjazdu, tym Kate miała silniejsze wrażenie, że porusza się w powietrzu, które zakrzepło w substancję pozbawioną tlenu. Bolało ją w klatce piersiowej i zaczęła znowu zagryzać policzki od wewnętrznej strony, przez co nieustannie czuła w ustach smak krwi. Ale wiedziała, że nie może odwołać wyjazdu – po prostu dlatego, że wszystko było zarezerwowane, a zarezerwował to George, kiedy zaś George coś zaplanował, to się tego trzymał. Ostatecznie więc wsiadła do samolotu, wspomóżona kilkoma szklaneczkami dżinu. Było źle, ale przeżyła, a gdy już samolot wylądował, ona zaś została wyrzucona w chaos ateńskiego lotniska, poczuła oszałamiający ogrom możliwości. To wrażenie miało decydujący wpływ na całą podróż. Sądziła, że nie da sobie rady na promach, ale było nieźle, bezkresne niebo i rozległe widoki pomagały jej się odprężyć. Przez kilka pierwszych dni była to szczęśliwa podróż, a potem doszła do głosu zazdrość i paranoja George'a.

Zawsze był zaborczy: od pierwszego weekendu, który razem spędzili. Przepytывał ją regularnie, czy któryś kolega ze studiów wydaje jej się atrakcyjny. Szybko nauczyła się zaprzeczać. Jeśli szli razem na imprezę – a rzadko się to zdarzało – Kate nauczyła się, że powinna rozmawiać wyłącznie z kobietami, bo w przeciwnym wypadku George nadąsa się na kilka dni. Nauczyła się nawet, że jeśli idą razem do kina – przykładowo na film z Bradem Pittem – nie powinna choćby nadmienić, że aktor się jej podoba. Nauczyła się tego podczas trudnej lekcji.

– To Brad Pitt. Rozumiesz, że nigdy w życiu go nie spotkam?

– A gdybyś go spotkała, to zapewne byś się z nim przespała? – odrzekł.

– Oczywiście, że nie.

– Ale podoba ci się. Czyli oczywiście chcesz się z nim pieprzyć, więc dlaczego nie miałabyś tego zrobić, gdyby to zaproponował?

– Boże, George. Nie byłabym z nim, bo chcę być tylko z tobą.

– Więc co ci się w nim podoba?

Trwało to kilka dni, aż Kate zrozumiała, że nie powinna już nigdy wypowiadać imienia żadnego mężczyzny, czy to sławnego, czy nie.

W Grecji się pogorszyło. Może przez plaże i te wszystkie obnażone opalone ciała. Kate nie odrywała wzroku od książki, ewentualnie kierowała go daleko w nicość, ale nie dało się inaczej – od czasu do czasu musiała zerknąć na paradę mężczyzn w kąpielówkach, a większość kobiet występowała topless. Kate wstydziła się swojego jednoczęściowego zielonkawego stroju i bladej skóry pokrywającej się czerwienią, a nie opalenizną. W któreś popołudnie zagapiła się na nastolatkę, która wyskakiwała z wody i wskakiwała do niej. Dół od bikini miała w kolorze jasnobrażowej skóry, tak że sprawiała wrażenie zupełnie nagiej. Choć już dojrzewała, zachowywała się jak dziewczynka, biegając po spienionej fali. Kate zastanawiała się, czy kiedykolwiek czuła się tak wolna i swobodna, nawet gdy była młodzieńką.

Wieczorem przy kolacji George po dziesięciominutowym milczeniu zapytał ją, czy jest lesbijką. Usiłowała zbyć to śmiechem, ale nie odpuszczał, więc Kate do końca podróży starała się już na nikogo nie patrzeć.



Do najgorszego jednak incydentu doszło ostatniego wieczoru, w Heraklionie na Krecie. Przy plaży, po drugiej stronie drogi, ciągnął się długi szereg kawiarni i restauracji. Pod wieczór każda z knajp rozsyłała swój personel na deptak, żeby wabili turystów. „Spójrzcie na menu – mówili. – Najświeższa ryba w Heraklionie”. W ten fatalny wieczór George i Kate dali się nakłonić do zerknięcia w menu pizzerii, a potem zgodzili się zająć miejsca w ogródku. Usadzając ich, przystojny kelner rzekł:

– Piękną angielską panią posadzimy twarzą do ulicy, żeby wszyscy panowie chcieli tu przyjść.

Kate się roześmiała i z zakłopotaniem stwierdziła, że rumieniec oblewa jej policzki. George umilkł. Zamówili karafkę straszliwego greckiego wina i pizzę z owocami morza. W połowie posiłku Kate zagaiła:

– Nie zdenerwowałaś się tym, co powiedział kelner, prawda? Wiesz, że mówi to każdej kobiecie, którą tu sadza?

– Więc dlatego cały czas na niego patrzysz? – odrzekł George.

– Nie spojrzałam na niego, odkąd nas tu posadził.

Milczeli do końca posiłku, ale później w swoim niedrogim pokoju hotelowym trzy ulice dalej podjęli rozmowę.

– W życiu bym cię nie przywiózł do Grecji, gdybym wiedział, co się z tobą porobi – powiedział George. Z wściekłości pryskał śliną przy mówieniu.

– Nic się ze mną nie robi. To z tobą się coś dzieje.

– Chcesz mi powiedzieć w oczy, że nie pójdziesz dzisiaj do łóżka, marząc, jak by to było rznąć się z tym greckim kelnerem? Widziałem, jak na niego patrzysz. Może sobie do niego wrócisz, może...

– Może wrócę – odparła Kate i od razu wiedziała, że należało zamilczeć.

George chwycił ją za ramiona i zaczął pchać do drzwi.

– No to idź! – krzyknął, wbijając palce w jej spieczone na słońcu ramiona. Nie mając pojęcia, co robić, Kate przestała się opierać i padła na pozbawioną wykładziny podłogę. Zaczęła łkać, a George rytmicznie walił pięścią w ścianę, aż pojawiło się w niej pęknięcie, on zaś zakrwawił sobie knykcie.

– Czy tatuś jest zazdrosny? – zapytała Kate matkę przy pierwszym spotkaniu po powrocie z Grecji.

– O co?

– No o ciebie, o innych mężczyzn...

– Boże drogi, nie. Czemu pytasz?

– A jak zaczynaliście? Gdy jeszcze się tylko spotykaliście?

– Może trochę, ale jedynie dlatego, że jak zaczęłam się umawiać z twoim ojcem, chodziłam jeszcze z Robertem Christiem. – Upiła łyk wina. Strugi deszczu uderzały o szyby ogrodu zimowego.

– To musiało go doprowadzać do szaleństwa?

– Nie wiem, szczerze mówiąc, czy go doprowadzało do szaleństwa, ale na pewno pobudziło do działania. Poprosił mnie o rękę o wiele wcześniej, niż pewnie by zrobił bez tego ponaglenia. Co prawda Robert Christie w ogóle nigdy by tego nie zrobił.

– A potem?

– Jesteśmy małżeństwem, skarbie, a twój ojciec nie należy do zazdrośników. Dlaczego mi zadajesz te

wszystkie pytania?

Kate powiedziała matce o wybuchach zazdrości George'a. Wyznała prawie wszystko, ominęła tylko wieczór w Heraklionie zakończony rozbiciem hotelowej ściany pięścią.

– To nie wygląda dobrze, kochanie.

– Nie wygląda. Kocham George'a, ale cały czas czuję się, jakbym stąpała po rozżarzonych węglach, muszę pilnować, żeby mi się noga nie omsknęła, nie mogę wspomnieć o żadnym mężczyźnie.

– To jakiś absurd, moja droga. Co on sobie myśli? Że skoro jesteście razem, to inni mężczyźni nie mogą być dla ciebie atrakcyjni?

– Tak właśnie myśli.

– Dobry Boże, Kate...

– Wiem, wiem. Chyba muszę to zakończyć. – Wówczas po raz pierwszy wypowiedziała to na głos, a skoro to zrobiła, łzy popłynęły jej po policzkach.

– Ja też tak uważam – odparła jej matka.

Nie było to łatwe. Kate postanowiła napisać długi list do George'a, szczegółowo wyjaśniając w nim powody swojej decyzji, i starając się z całych sił zapewnić go, jak wiele dla niej znaczy. Zostawiła list pod drzwiami jego mieszkania, zanim wyjechała na wakacje. Po tygodniu zadzwoniła, ale nie odbierał. Martwiła się, choć wiedziała, że wybrała najlepsze wyjście. W sierpniu wciąż nie miała od niego żadnej wiadomości i wtedy właśnie popełniła pierwszy błąd. Napisała na Facebooku, że spędza tydzień w domku wuja w Windermere. Napisała dokładnie: „Wakacyjna wędrówka. Lake District. Bosko”.

George nie miał konta na Facebooku, a ona, choć je sobie założyła, rzadko coś na nim pisała. W ogóle nie przyszło jej do głowy, że George przeczyta jej post. Po czasie zrozumiała, że to było niemądre, ale wtedy po prostu przepełniała ją nadzieja. Nadzieja, że George zacznie nowe życie, tak jak ona. Ale George przeczytał jej post. O domku wiedział, bo byli tam razem na krótkich wakacjach z jej rodziną. Po latach Kate zastanawiała się, jak długo George przebywał w Windermere, obserwując ją i śledząc, zanim do niej przyszedł. Nie wyczuła jego obecności, chociaż był to tydzień wietrzny, bezsłoneczny, a ona spała niespokojnie, nękana przeczuciem śmierci. Kilka pierwszych dni spędziła w towarzystwie młodszej kuzynki Sadie, która przebywała dwie miejscowości dalej. George pewnie je obserwował, czekając na moment, gdy Kate zostanie sama. Spał w pobliskim lesie. Kiedy już było po wszystkim, znaleziono w zagajniku jego namiot i przemoczony śpiwór.

Mniej więcej w połowie tygodnia, pierwszej nocy, gdy Sadie u niej nie nocowała, Kate obudziła się nagle w środku nocy i ujrzała George'a, który siedział przy jej łóżku, trzymając na kolanach strzelbę. Otworzyła usta do krzyku, a wówczas on doskoczył do niej, ucisnął kolanami jej klatkę piersiową i brutalnie wepchnął w usta tłustą lufę, rozcinając jej wargę i łamiąc ząb.

Trzymał ją tak na łóżku przez ponad godzinę, mówiąc dziwnym, bezbarwnym monotonnym głosem, że za to, co mu zrobiła, zasłużyła na śmierć. Ten ton, słowa, których używał, pochodziły jakby od całkowicie innej osoby, nie od George'a, którego znała.

Kate cały czas płakała cicho, umysł jej podpowiadał, że oto nadeszła ta śmierć, której się zawsze bała, że to właśnie ona klęczy na jej piersi. Nie próbowała negocjować ani odwoływać się do ludzkich uczuć

George'a. Poddała się, jej ciało zwiotczało jak ptaszek pochwycony w paszczę kota. Pęcherz jej puścił i nawet tego nie zauważyła, dopóki nie poczuła ostrego zapachu własnego moczu. Pewnie dzięki tej kapitulacji uniknęła śmierci. Gdyby walczyła, gdyby próbowała ubłagać George'a, żeby jej nie zabijał, jej słowa wręcz by go zachęciły do pociągnięcia za spust. Wreszcie zaciągnął ją po podłodze i wepchnął do niewielkiej, ciasnej szafy. Zamknął ją w środku, a drzwi zablokował drewnianym krzesłem. Może zrobił to, bo wiedział, że ciemna ciasna szafa to w wypadku Kate los gorszy od śmierci. Może zrobił to, bo skoro nie zdołał jej zabić, nie chciał jej już oglądać. Uwięziona w szafie Kate zaczęła krzyczeć histerycznie, potężnie, aż jej struny głosowe się zdarły. A potem płakała i płakała, wreszcie przestała łkać, zwinęła się w kłębek i nie czuła już nic.

Dwie godziny później albo dwanaście godzin później usłyszała wystrzał strzelby za drzwiami szafy.

Po dwóch dniach przyjechała zaniepokojona kuzynka Kate. Drzwi wejściowe do domku nie były zamknięte na klucz, ciało George'a leżało przed zablokowaną szafą. Zawartość jego czaszki rozprysła się po dywaniku.

To policja wydosłała Kate z szafy. Była przytomna, ale nie dało się nawiązać z nią kontaktu. Oczy miała zaciśnięte szczelnie, tak że nie widziała szczątków George'a Danielsa, gdy wynoszono ją z domku. Trzy miesiące spędziła na leczeniu – z czego połowę czasu w katatonii – zanim pojechała do rodziców.

Nigdy nie wróciła na studia.

Od chwili gdy napisała do mamy o losie Audrey Marshall, czekała na odpowiedź równo pięć minut.

To straszne, kochanie. Uważamy z tatą, że powinnaś wrócić do domu. Czy ktoś powiadomił Corbina?

„Przecież ja nie mam z tym nic wspólnego” – zaczęła odpisywać Kate, ale przerwała. Jej palce spoczywały bez ruchu na klawiaturze laptopa. Skasowała tekst. Później odpisze matce. Kiedy już zdecyduje, co robić, a jeszcze nie zdecydowała. Chciała zostać i zacząć nazajutrz wykłady, bo naprawdę nie miała nic wspólnego z morderstwem Audrey (a w ogóle, czy to na pewno morderstwo?).

„Wcale w to nie wierzysz, co?” – usłyszała głos George'a, zgodny zresztą z jej własnym.

„Może jednak mam z tym coś wspólnego” – pomyślała. „Bo ma z tym coś wspólnego Corbin, ja zaś jestem w jego mieszkaniu. Policja tu była i przyjaciel Audrey ma informacje o tym, co się tu działo”.

Nagle przestronne pomieszczenia apartamentu wydały się ciasne i duszne. I czy to gra jej wyobraźni, czy zrobiło się ciemniej? Odwróciła się w stronę wysokich okien i zobaczyła, że atramentowa chmura zasłoniła słońce. Patrzyła, jak przepływa, aż słońce ponownie rozblęskło. Jednak stało niżej, niż powinno. Sprawdziła godzinę na komórce i stwierdziła, że dochodzi siedemnasta. Jakim cudem już się zrobiło tak późno? Myślała o George'u, no tak, a czasami, gdy to robiła, traciła poczucie czasu. Tak jak wtedy w tamtej szafie, gdy pochłoneły ją ciemności i właśnie czas. Nawet nie myślała, że to szafa. To był pokój, najmniejszy na świecie, ona zaś nigdy z niego nie wyszła. Panował w nim mrok, a wszystkie cztery ściany nacierały na nią.

– Wyjdź na dwór – powiedziała do siebie – i zjedz coś porządnego.

Wstała, a z głodu zakręciło jej się w głowie. Nie zastanawiając się długo, chwyciła płaszcz, na wszelki wypadek również parasol, i niechętnie wyszła z mieszkania.

Alan krążył po swoim mieszkaniu, zbierając się, by zagadać do Kate, kuzynki Corbina, która zajmowała teraz jego apartament. Chciał się dowiedzieć, co wie o Audrey i Corbinie, a jednocześnie miał świadomość, że już samą rozmową zdradzi swoje zaangażowanie. Zdążył jej przecież powiedzieć, że w zasadzie nie znał Audrey. Co powie jej teraz? Prawdę? Część prawdy?

Wyjrzał przez okno, cały dzień zresztą wyglądał przez okno. Policja nie wróciła. Na dziedzińcu panował spokój.

Podszedł do lustra, które Quinn powiesiła obok drzwi wejściowych. Potarł skórę pod oczyma, tak jakby miał szansę zetrzeć ciemne worki. Miał na sobie ulubioną klasyczną marynarkę i zawiązany w węzeł kaszmirowy szal. Szal włożył już tak dawno temu – szykując się do wyjścia – że zdążyła mu się spocić szyja. Zdjął go. Po co mu szal, skoro chce tylko przejść do innego mieszkania w budynku.

Wrócił do okna i zobaczył, że Kate idzie przez dziedziniec w kierunku ulicy. Bez namysłu wpadł do sypialni, chwycił portfel i pognął do wyjścia, pokonując schody po trzy stopnie.

Zanim dotarł na dziedziniec, Kate zniknęła, ale gdy wyszedł na Bury Street, zobaczył ją w oddali, jak idzie w stronę Charles. Ruszył za nią. Było zimniej, niż sądził, i teraz pożałował, że nie ma szala. Zapiął wszystkie trzy guziki marynarki i podniósł kołnierz. Na niebie na powrót kłębiły się chmury; zastanawiał się, czy nie zacznie padać.

Na Charles Street Kate zatrzymała się na chwilę. Alan zwolnił kroku. Dzieliło go od niej pół przecznicy, tak mało, że dojrzał niewielką pomarańczową parasolkę w jej dłoni. Skręciła w lewo. Zastanawiał się, czy szuka knajpki, żeby coś zjeść, czy po prostu wyszła na spacer. Tak czy owak, będzie ją śledził. Łatwiej byłoby podejść do niej w restauracji, udawać, że też przyszedł na obiad. Może wypadłoby to podejrzenie, ale przecież on naprawdę mieszkał w okolicy.

Na ulicy było niewielu przechodniów, głównie z psami czy z wózkami dziecięcymi. Jakiś mężczyzna o zbolalej twarzy minął go pędem z bukietem kwiatów wyglądających na drogie. Alan pomyślał, że to pewnie jakiś mąż, który zapomniał o rocznicy. Kate szła powoli, przystając, żeby zajrzeć przez okno do niewielkich bistr, licznych na tym odcinku Charles Street. Wyraźnie szukała lokalu, żeby coś zjeść. Alan z trudem narzucił sobie równie wolne tempo, przystanął w pewnym momencie przed starą wozownią, którą przerobiono na bajerancką rezydencję. Schylił się, by wyczyścić sobie but. Ceglany chodnik wciąż był mokry po wcześniejszym deszczu, Alan poczuł ziemisty zapach, zapach wiosny. W Nowej Anglii zimy zawsze były długie, ale ta ostatnia okazała się szczególnie dokuczliwa; w ciągu dwóch tygodni w drugiej połowie stycznia spadł ponad metr śniegu.

Alan patrzył, jak Kate przechodzi na drugą stronę ulicy. Wahała się, rozglądała na boki, jakby nie mogła sobie przypomnieć, z której strony nadjeżdżają samochody. Alan podążył za nią na drugą stronę Charles, a potem wąską, oświetloną latarniami gazowymi boczną uliczką, gdzie weszła do przybytku o nazwie St. Stephen's Tavern. Alan nigdy nie był w tej knajpie, choć często ją mijał.

Poszedł dalej, udając, że jej nie śledzi. Pewnie zamierzała coś zjeść, a to oznaczało, że spędzi tam co najmniej godzinę. Alan uznał, że ma czas na szybkiego drinka kawałek dalej w Sevens, zanim pojawi się w St. Stephen's. Szybkim krokiem wspiął się nieprawdopodobnie stromą uliczką, a potem wrócił na Charles, gdzie wszedł do wąskiego wnętrza swojego ulubionego baru. Zamówił piwo imbirowe z whisky i wypił je na stojąco, opierając się łokciem o drewniany kontuar.

Zdał sobie sprawę, że śledząc kobietę, której prawie nie zna, popadł w stan nerwowego pobudzenia. Co z nim było nie tak? Może obsesja na punkcie Audrey nie miała nic wspólnego z samą Audrey, a sprowadzała się do tego, że mógł obserwować ją z oddali?

Nie po raz pierwszy powróciło wstydlive wspomnienie. Miał trzynaście lat, a jego siostra, wówczas szesnastoletnia, pracowała latem na obozie w Maine. W któryś weekend rodzice zapakowali go do autobusu, żeby ją odwiedził. Spał w jednoosobowym pokoju w sektorze wychowawców, na piętrze głównego budynku. Pierwszej nocy w jednej z desek odkrył dziurę po sęku, dzięki której mógł zaglądać do sypialni obok. Gdy wyłączył światło, podglądał mieszkającą tam wychowawczynię, pyzată dziewczynę o małych piersiach, mniej więcej w wieku jego siostry. Rozebrała się, włożyła obszerny tiszert z logo obozu i weszła do łóżka, by pisać pamiętnik. Po jakichś trzech minutach pisania położyła pamiętnik na piersi i przy nadal włączonym świetle zaczęła się dotykać między nogami. Alan patrzył, zachwycony i zafascynowany. Wiedział, czym jest masturbacja, i ze wstydem sam się jej oddawał, ale nie miał pojęcia, że dziewczyny też to robią. Sąsiadka pieściła się z coraz większym wigorem, po czym nagle przestała, zamknęła pamiętnik, wsunęła go pod łóżko i wyłączyła lampkę.

Alan leżał w ciemnościach, natężając słuch, by coś dosłyszeć przez sosnowe ściany. Wydawało mu się, że słyszy rytmiczne poskrzypywanie sprężyn taniej pryczy, ale nagle ustało. Usłyszał głośnie westchnienie, dziewczyna wypuściła powietrze, jakby wcześniej je wstrzymywała. I cisza.

Następnego dnia zauważył ją w jadalni z młodszymi wychowankami przy stole. Poprzedniego wieczoru ledwie na nią spojrział, ale teraz się jej przyglądał. Składała się z samych okrągłości. Miała pełne policzki i okrągłe oczy, Alan zauważył nawet, że jej niewielkie uszy, bez kolczyków, też są doskonale okrągłe. Śmiała się gromko z czegoś, co powiedziała jedna z wychowanek, rudowłosa dziewczynka. Mała się zarumieniła, a wychowawczyni objęła ją ramieniem i przyciągnęła do siebie. Ta wychowawczyni była śliczna, zwłaszcza gdy się uśmiechała, Alanowi trudno było uwierzyć, że robiła to, na czym ją przyłapał. Zupełnie to nie pasowało do jej obecnego zachowania.

– Wszystko dobrze, braciszku?

Alan jadł przy stole dla gości, właśnie podeszła do niego Hannah, jego siostra.

– Tak – odrzekł.

– Coś taki zahipnotyzowany? Chcesz dzisiaj iść na jagody z domkiem numer pięć, czy wolisz pobyczyć się na plaży?

Alan wybrał plażę, wziął ze sobą *Czerwonego smoka*, którego wcześniej znalazł w pokojach wychowawców. Mógł pływać tylko w płytkiej, oddzielonej liną części jeziora; ponieważ nie zdał testów na głęboką wodę, miał zakaz wypływania poza moło. Pasowało mu to. Zadowolony siedział na ławce z otwartą książką, w nadziei, że zobaczy wychowawczynię z sąsiedniej sypialni. Nad wodą jej nie było, ale wypatrzył ją, jak udziela lekcji tenisa kilku kolonistom, i potem, w porze kolacji, na grillu. Za każdym razem na widok wychowawczyni czuł mdlący, lecz uzależniający napływ adrenaliny. Nie mógł się

doczekać wieczoru, bo miał nadzieję, że znowu podejrzy ją przez otwór w desce. Powiedział siostrze, że boli go brzuch, i wcześniej udał się do swojego pokoju. Wyłączył światło i czekał rozgorączkowany, wyobrażając sobie, co dziewczyna zrobi po powrocie do swojego pokoju.

Tymczasem ona, gdy się wreszcie pojawiła, wzięła szlafrok oraz kosmetyczkę i ruszyła do łazienek. Wróciła stamtąd w koszuli nocnej i natychmiast położyła się na pryczy. Od ściany dzieliło ją niespełna pół metra, widział delikatne jasne włoski na jej udach. Ziewnęła szeroko, kaszlnęła i wyłączyła światło. Alan położył się na posłaniu i nasłuchiwał, czy dziewczyna znowu się dotyka, ale niczego nie usłyszał. Wydało mu się, że czuje delikatny zapach dymu papierosowego. Dziewczyna zaczęła oddychać głęboko. W końcu zasnął.

Tamtego wieczoru widział ją po raz ostatni. Jeśli nawet następnego ranka była gdzieś w stołówce, nie znalazł jej, a po śniadaniu Hannah odwiozła go na przystanek autobusowy. Wciąż pamiętał, jaki się czuł załamany, gdy autobus odjeżdżał. Już nigdy nie zobaczył anonimowej wychowawczynie. Zniknęła na zawsze.

Dopił drinka, zapłacił i wyszedł z Sevens.

Na dworze zauważył, że drzewa, które już zaczynały kwitnąć, znowu są mokre. Najwyraźniej spadł deszcz, gdy on siedział w barze. Powietrze pachniało czysto, a ceglane chodniki pociemniały.

Ruszył w górę ku St. Stephen's i wszedł przez drzwi z matową szybą, powtarzając sobie, że musi się zachowywać swobodnie, jak gdyby nigdy nic, i iść prosto do baru. Tak właśnie uczynił. Zamówił kolejne piwo imbirowe z whisky u ślicznej barmanki w obcisłym tiszercie marki Bruins, po czym odchylił się odrobinę na stołku i rozejrzał. St. Stephen's nie było dużo większe od Sevens. Miejsca wystarczyło na długi drewniany bar i kilka boksów. Przy barze siedziało dwóch mężczyzn, popijali stout i gapili się w swoje komórki. Alan nie umiał określić, czy są razem, czy tylko usiedli obok siebie.

Większość boksów była pusta, ale w jednym siedziało małżeństwo z dwójką dzieci, a w drugim samotna kobieta wpatrzona w ekran laptopa. Miała farbowane rude włosy i była tak niska, że nie sięgała nogami do podłogi.

Alan odwrócił się, gdy barmanka postawiła przed nim piwo. Podziękował i się napił. Pił przez słomkę, najpierw wciągnął czysty alkohol. Zamieszał napój i zdjął kawałek wyschniętej limonki. Nigdzie nie widział Kate. Może weszła tylko na drinka i już go wypila. Albo może była tu jeszcze jakaś sala na tyłach, której Alan nie widział. Już miał zapytać barmankę, gdy z bolesnym zgrzytem otworzyły się drzwi damskiej toalety. Alan odwrócił się i ujrzał Kate.

Po skorzystaniu z obskurnej toalety Kate wróciła na salę. Tam zaś przy barze siedział Alan Cherney i patrzył w jej stronę. Spotkali się wzrokiem. Przez głowę przebiegło jej jakieś ostrzeżenie. Śledził ją? Przyszedł tu za nią? A jeśli tak, to dlaczego?

Obrócił się odrobinę na stołku barowym, ściągając brwi, jakby próbował ją skojarzyć. Podeszła do niego.

– Hej – powiedziała.

– Cześć – odrzekł. Miał na sobie piękną tweedową marynarkę, a pod nią koszulę z postrzępionym kołnierzykiem.

– Kate Priddy. Mieszkamy w tym samym budynku. Ja u Corbina Della.

– A, tak. Właśnie. Wiem przecież. Mam na imię Alan.

– Tak, pamiętam cię. Przyszedłeś tylko na drinka? Czy często tu przychodzisz? – Po zadaniu tych pytań Kate nie wiadomo dlaczego się roześmiała. Jeśli przy pierwszym spotkaniu czuli jakąś swobodę, teraz nie pozostał po niej nawet ślad. Może dlatego, że Alan w bladym świetle knajpy wyglądał jak zdenerwowany mówca stojący przed ogromnym audytorium.

– Nie, nie – odrzekł. – Byłem tu już, ale najwyżej raz, nie więcej. Skąd w ogóle wiesz o tej knajpie? Ja znalazłem ją dopiero po roku.

– Corbin mi ją polecił. Przyszłam na obiad. – Ruchem głowy wskazała najbliższy boks, bezpośrednio pod jedynym tutaj telewizorem, bezgłośnie pokazującym najciekawsze momenty meczu golfowego rozgrywanego w jakimś słonecznym i ciepłym miejscu.

– No dobra, nie chcę ci przeszkadzać...

– Ależ nie, dołącz do mnie. – To zaproszenie zaskoczyło nawet samą Kate. – No chyba że masz...

– Nie, nie, bardzo chętnie dołączę.

Wziął swojego drinka i usiadł naprzeciwko Kate, która właśnie piła drugi już kieliszek wina. Gdy była w toalecie, podano jej zamówionego kurczaka chili. Porcja była ogromna, talerz przybrany wielobarwnymi naczosami.

– Jadłeś obiad? – zapytała.

– Nie, ale...

– Ale spojrzałeś na mój i...

Alan się roześmiał.

– Nie, po prostu nie jestem zbyt głodny. Ciągle myślę o Audrey. Pamiętasz, rozmawialiśmy o niej.

– Wiem. To straszne. Była u mnie policja, rozmawiali ze mną.

– Tak, ze mną też. To znaczy spisali zeznanie.

– Przeszukali twoje mieszkanie?

– Nie. A twoje?

– Pobieźnie.

– O. – Alan poruszył się niespokojnie na swoim miejscu, skrzyżował nogi pod stołem i uderzył się w kolano.

Kate powiedziała mu o Jacku Ludovicu, przyjacielu Audrey, z którym rozmawiała na ulicy. Alan słuchał uważnie, popijając drinka.

– Jak on wyglądał? – zapytał, gdy Kate umilkła na chwilę, by zjeść szybko stygnące chili.

Zawahała się. W wyteżonej uwadze Alana było coś niepokojącego. Może nie powinna go zapraszać do stolika?

– Powiem ci, jeśli ty mi powiesz, dlaczego tak cię to interesuje – odezwała się wreszcie. – Co prawda twierdziłeś, że ledwie znałeś Audrey, ale nie wiem, czy ci wierzyć.

Patrzyła, jak Alan się zastanawia. Na jego wyrazistej twarzy nie mogły się ukryć żadne emocje i Kate się zastanawiała, czy on to o sobie wie, czy ma świadomość, jak łatwo go rozszyfrować.

– Dobra – rzekł wreszcie. – Rzeczywiście w zasadzie nie znałem Audrey Marshall. Nigdy się nie poznaliśmy, ale widziałem ją z okien swojego mieszkania. Mieszkała dokładnie naprzeciwko mnie, nasze okna wychodziły na dziedziniec, więc czasami na nią patrzyłem. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie upiornie, ale to nie było tak. Nie miałem widoku na jej sypialnię, nic w tym rodzaju, ale czasami patrzyłem, jak czyta w salonie. Wydawała się bardzo miła.

– Zauważyłeś to przez okno?

– Nie, oczywiście nie wiedziałem, że jest miła, ale sądziłem, że jest. Tak sobie wyobrażałem. Słuchaj, ja wiem, że to jest pojechane. No bo jest pojechane. Pewnie miałem coś w rodzaju obsesji na jej punkcie.

– W jakim sensie?

– Nie rozumiem pytania.

– No, w jakim sensie miałeś obsesję, co sobie wyobrażałeś? Że co się stanie?

Alan zacisnął usta tak mocno, że zupełnie pobladły. Przesunął palcem po skraju szklanki.

– Wyobrażałem sobie, że się poznamy i będziemy razem. O to chodziło. Wręcz ukułem plan, żebyśmy na siebie wpadli, ale wtedy ona zaczęła się spotykać z twoim kuzynem, z Corbinem.

– Tak, słyszałam o tym. Od tego jej przyjaciela.

– On wiedział?

– Tak. Mówił, że to był taki luźny związek i że on Corbinowi nie ufał. Myślę, że jego zdaniem Corbin ma coś wspólnego z tym, co się stało.

– Jak ten gość wyglądał?

– Kto? Jack?

– Tak.

Kate go opisała. Rude, rozczochrane włosy, szczupła, umięśniona sylwetka, rumieńce.

– Nie znam go – stwierdził Alan. – Nigdy go u Audrey nie widziałem.

Kate już miała powiedzieć, że to nie oznacza przecież, że go tam nie było, ale się powstrzymała. Z pewnością w głosie Alana wywnioskowała, że naprawdę miał obsesję na punkcie Audrey i pewnie



spędzał mnóstwo czasu na podglądaniu jej przez okno.

– Może w ogóle nie bywał w jej mieszkaniu – zauważyła.

– Tak, to niewykluczone. Ale widywałem tam Corbina.

– U Audrey?

– Tak, stąd wiem, że się spotykali. Bardzo często tam bywał.

– Może się po prostu przyjaźnili?

– Kilka razy chyba widziałem, jak się całowali – odrzekł wyraźnie zakłopotany Alan.

– Znałeś Corbina?

– Tak, trochę. Grałem z nim w racquetballa. Rzadko, kilka razy, i właśnie za którymś razem zapytałem go o Audrey, czy się z nią spotyka, a on zaprzeczył. To wówczas wydało mi się dziwne, bo przecież widziałem go przez okno, wiedziałem, że coś między nimi było. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego się tego wypiera.

– W grę wchodzi wiele powodów – odparła Kate, która wreszcie podjadła trochę swojego chili, ostygniętego w szerokiej misie. – Może w tym samym czasie spotykał się z kimś jeszcze, a może Audrey się z kimś spotykała. Nie wiadomo. Może Corbin uważał, że jesteś wścibskim palantem i wcale nie chciał ci się zwierzać.

Alan uśmiechnął się przepięknie, co zupełnie nie pasowało do jego ponurej twarzy.

– Pewnie właśnie to – rzekł.

– Co? Że jesteś wścibskim palantem?

– Tak, właśnie to. Nie wiem. Pewnie wpadam w jakąś paranoję. Wtedy wydawało mi się podejrzane, że on nie przyznaje się do relacji z Audrey, chociaż ja wiedziałem, że się z nią spotyka.

– Więc też podejrzewasz Corbina? To właśnie chcesz mi powiedzieć?

– Kiedy dokładnie Corbin wyjechał do Londynu?

– O to samo pytał Jack. W czwartek wieczorem, nocnym lotem. Nie wiem, o której dokładnie, ale do Londynu dotarł wczesnym rankiem, więc teoretycznie...

– Teoretycznie mógł zabić Audrey.

– Pewnie tak.

– No i policja chyba się nim interesuje – dodał Alan, po czym przechylił szklankę, dopijając swojego drinka. – Przeszukali twoje mieszkanie, to znaczy jego mieszkanie. A swoją drogą, jak wygląda to mieszkanie?

– Jak z magazynu wnętrzarskiego, ale niemodne. Należało do jego ojca, dlatego tam mieszka.

– Nie wiedziałem o tym.

Zajrzała do nich kelnerka, zapytać, czy sobie czegoś życzą. Alan zamówił kolejnego drinka, a Kate poprosiła o wodę.

– Mam strasznego jet laga – poskarżyła się. – Odkąd przyjechałam, zupełnie straciłam poczucie czasu. Całe popołudnie jestem wykończona, a budzę się długo przed świtem.

– Szybko. A która jest teraz? – zapytał z lekkim uśmiechem na ustach Alan.

– Mam wrażenie, że północ, ale pewnie koło osiemnastej.

Alan wyciągnął z kieszeni telefon i zerknął na ekran.

– Właśnie minęła osiemnasta. – Odłożył telefon na zniszczony drewniany blat, a Kate zauważyła, że za tapetę służy mu fioletowo-czarny plakat filmowy z *Ezgorcysty*. Jeden z jej ulubionych filmów, ale nic nie powiedziała. Zawsze uwielbiała horrory, pomimo traum przeszłości i swojej żywej wyobraźni. Uspokajały ją, tak samo jak uspokajało ją szczere zrozumienie. Oglądając je, widziała, że koszmary przydarzają się również innym ludziom, choćby i fikcyjnym. Tapeta zniknęła, a Kate uświadomiła sobie, że ciągle wpatruje się w telefon.

– Wymiękam – powiedziała. – Chyba niedługo się zwinę. Nie uciekam przed tobą.

– Jeśli nawet, to nie ma sprawy – zapewnił z szerokim uśmiechem. – Zrozumiałbym.

– Dlaczego to mówisz?

– Bo właśnie ci powiedziałem, że podglądałem sąsiadkę przez okno i miałem obsesję na jej punkcie.

– Nie, naprawdę jestem zmęczona. Nikogo bym nie oceniała, za żadną obsesję. Myślę o Audrey Marshall nieustannie, od chwili gdy przyjechałam.

– Bo zamordowano ją w mieszkaniu zaraz obok.

– Nie, to się zaczęło wcześniej, zanim się dowiedziałam, że nie żyje. Gdy już usłyszałam, że zginęła. Wiedziałam, że wydarzyło się coś złego. Co prawda zawsze tak myślę, taka już jestem, ale tym razem miałam rację.

Wróciła kelnerka z drinkiem Alana i zapytała, czy życzą sobie coś jeszcze. Kate poprosiła o rachunek, Alan również.

– Mogę cię odprowadzić? – zapytał.

Kate wyobraziła sobie długą wąską ulicę prowadzącą z knajpy do dobrze oświetlonej, ruchliwej Charles Street. Czy Alan był mordercą? Ewidentnie miał obsesję na punkcie Audrey. Ale jeśli był mordercą, to dlaczego do niej podszedł i wyznał to wszystko? Żeby zdobyć informacje? Chciał wy badać, co ona wie?

– Nie będę miał pretensji, jeśli... – zaczął, jakby czytał w jej myślach.

– Nie, możemy wrócić razem. Przepraszam, odpływam.

Każde zapłaciło swój rachunek i wyszli na ciemną ulicę, Alan zostawił pół drinka. Deszcz przestał już padać, ale kapało z drzew i chodnik pokrywała warstwa płatków magnolii, a powietrze było ciężkie od ich słodkawego zapachu.

„Jeśli dojdziemy do końca ulicy, a Alan mnie nie udusi, to już nigdy tego nie zrobi” – orzekła w duchu Kate. Odliczała w głowie kroki, on jednak, jakby czytając w jej myślach, powiedział:

– Nie mam nic wspólnego z tym, co się stało z Audrey.

– Wiem.

– Sądzisz, że powinienem pójść na policję i powiedzieć im, co wiem?

– Czyli co wiesz o Corbinie?

– No tak.

– Pewnie powinieneś, chyba że Corbin już im powiedział. Nie chodzi nawet o to, że masz jakieś decydujące informacje. Może oni też już je mają. Dowiem się. Dzisiaj zdecydowanie napiszę do Corbina.

Odkładałam to, bo nie miałam pewności, czy policja już go powiadomiła.

– Dasz mi znać?

– Tak – odparła.

Byli w połowie stromej uliczki, Kate szła powoli, bo po ostatnim deszczu pokryta płatkami kwiatów nawierzchnia była bardzo śliska. Wyobraziła sobie, jak się przewraca, jak zsuwa się na Charles Street i tam rozjeżdża ją jakiś wielki amerykański SUV. Zeszli jednak na sam dół i pokonali spacerem resztę drogi do Bury Street. Trochę rozmawiali, a Kate znowu poczuła tę samą swobodę, co przy pierwszym spotkaniu z Alanem, jakby się znali od lat. Przypomniła sobie, że kiedyś czuła coś takiego w obecności George'a Danielsa.

Pożegnali się w holu kamienicy. Kate obiecała Alanowi, że przekaże mu, czego się dowie od Corbina.

– Przyjdź do mnie. Wiesz, gdzie mieszkam. – Uśmiechnął się trochę krzywo.

– Po twojej stronie układ jest dokładnie taki sam jak po mojej? – zapytała.

– Tak.

Pożegnali się.

Z holu w ślad za Kate podążył Sanders, schodami do góry i dalej korytarzem aż do jej mieszkania. Uchyliła drzwi i postawiła przy progu stopę, tak by uniemożliwić mu wejście, on jednak szybko przeskoczył nad przeszkodą i przemknął do środka. Weszła i zamknęła drzwi za sobą. Kota nigdzie nie widziała, ale postanowiła się nim nie przejmować; ewidentnie należał do całego budynku.

Podeszła do swojego laptopa i otworzyła pocztę. Corbin do niej napisał:

Właśnie się dowiedziałem od policji, co się stało. Jestem w szoku. Nie znałem jej za dobrze, ale jednak ją znałem, oczywiście, tak trochę. Wiesz, co się dokładnie wydarzyło? Policja powiedziała mi tylko, że ona nie żyje. Czy to było samobójstwo? I jak Ty się czujesz? Przykro mi, że Twoje pierwsze dni w Ameryce są takie stresujące, i zrozumiem, jeśli będziesz chciała wrócić. To musi być straszne – przyjechać w nowe miejsce i dowiedzieć się, że sąsiadka nie żyje. Uwierz mi, tak w ogóle to jest bezpieczny budynek.

Co prawda to niewiele zmienia, ale mnie się w Londynie bardzo podoba, a Twoje mieszkanie jest w dobrych rękach. Napisz mi, co nowego. Raz jeszcze chcę powiedzieć, że strasznie mi przykro.

Corbin

Kate przeczytała mejla dwukrotnie. Dlaczego Corbin wypierał się związku z Audrey Marshall? Dlaczego ani razu nie użył jej imienia?

Zanim mu odpisała, przejrzała pozostałe mejle. Większość nie zasługiwała na uwagę, ale napisała do niej Martha Lambert, londyńska sąsiadka. Kiedy Kate się tam wprowadziła – prawie rok temu – Martha natychmiast przypisała sobie rolę jej najbliższej przyjaciółki. Kate nie miała nic przeciwko, choć zainteresowania Marthy ograniczały się do pubu i podrywania facetów. Przeprowadzając się do Londynu, Kate postanowiła, że będzie choć trochę towarzyska, a Martha, ze swoimi ciągłymi zaproszeniami, przynajmniej to ułatwiała. Jej mejl oczywiście dotyczył Corbina.

Tęsknię za Tobą, Kate, ale bardzo się cieszę z Waszej zamiany. On jest cudowny, pewnie wiesz. Szkoda, że nie widziałas, jak Michaelowi opada szczena na jego widok. Jest też bardzo przyjazny, ale jeszcze zbyt mało posunęłam sprawy. Jak Ci tam za oceanem? A jak jego mieszkanie? Całusy, skarbie, naprawdę tęsknię. Martha

Kate kliknęła „Odpowiedz” i kilka minut wpatrywała się w puste okienko, nie wiedząc, co napisać. Powinna ją ostrzec? Kątem oka dostrzegła jakiś ruch, serce jej podskoczyło. To Sanders wracał do pokoju po obejściu terenu. Usiadł i wbił w Kate pytający wzrok.

– Nie ma go – powiedziała na głos.

Ku jej zdumieniu Sanders odpowiedział płaczącym miauknięciem.

Wstała, podeszła do drzwi wejściowych i otworzyła je, a Sanders wybiegł w podskokach, po drodze muskając ogonem jej nogi. Zamknęła drzwi i przytknęła oko do judasza, by sprawdzić, dokąd się kot uda, zwierzę jednak już zniknęło.

Wróciła do mejli. Powinna ostrzec Marthę, żeby zachowała czujność wobec Corbina? Powinna, oczywiście, ale знаła swoją koleżankę, więc wiedziała, że pozostanie głucha na jej głos. Napisała więc:

Nie waż się nic robić w moim łóżku, tylko o to Cię proszę. Boston jest ładny, a mieszkanie Corbina większe niż moje.  
Napiszę jeszcze, później. Ciągle mam jet lag. Kate

Nie chciała pisać więcej o mieszkaniu. Jeśli Martha się dowie, jak bogaty jest Corbin, jej instynkty łowieckie tylko się wzmogą.

Otworzyła odpowiedź na mejla Corbina i się zatrzymała. Co ma mu napisać? Uznała, że prawdę, ale pomijając to, czego się dowiedziała od Alana, a nawet w ogóle pomijając osobę Alana. Odpisała więc, że policja chciała przeszukać mieszkanie, a ona się zgodziła, i wspomniała o kluczu. Tą informacją dawała mu szansę – mógł jej napisać, że nie chce, by policja wchodziła do jego mieszkania bez nakazu. Wysłała wiadomość. W Londynie było już po północy, zastanawiała się, czy Corbin jest jeszcze na nogach.

Zanim odłożyła laptopa, sprawdziła, czy są w necie jakieś nowe informacje na temat śmierci sąsiadki. Znalazła artykuł, z którego wynikało, że ciało znalezione przy Bury Street 101 zostało zidentyfikowane i jest to Audrey Helen Marshall, a policja uznała, że śmierć nastąpiła w podejrzanych okolicznościach.

Kliknęła jeszcze na kilka artykułów, ale we wszystkich było to samo, czyli niewiele, więc odłożyła wreszcie laptopa. Poszła do sypialni po kalendarz. Choć wiedziała, że pierwsze zajęcia z projektowania w Cambridge ma nazajutrz o trzynastej, upewniła się. Już postanowiła, że wyjdzie wcześniej, da sobie czas na ogarnięcie komunikacji i dowie się, jak się dostać do szkoły ze stacji przy Porter Square. Usiadła na skraju posłania i nagle poczuła zmęczenie, ale zamiast się położyć, wsunąć pod kołdrę i pójść spać, wzięła do ręki Dicka Francisa, którego wcześniej zaczęła, i zniszczony egzemplarz książki *Zdobyłam zamek*, którą czytała wielokrotnie.

Zabrała obie książki, a do tego pikowaną kołdrę, i zaniósła wszystko na skórzaną kanapę w saloniku. Ułożyła się wygodnie i otworzyła powieść Francisa. Przeczytała jeden akapit, oczy się jej zamknęły, książka leżała dalej na piersi.

Znowu stała w mieszkaniu Audrey i był tam Alan, kuczał na podłodze, głowę miał zadartą, patrzył na nią. „To nie Alan” – pomyślała. „To musi być George”. Ale to naprawdę był Alan. Drapał podłogę w mieszkaniu Audrey, jakby chciał znaleźć coś ukrytego w drewnie. Otworzył usta i miauknął jak kot. Pogrzebał jeszcze, drapiąc paznokciami w drewno. Potem znowu miauknął, głośniejszym, jakoś tak zawodząco. Kate obudziła się gwałtownie, obie książki zsunęły się z kołdry na podłogę.

Sanders znowu był w mieszkaniu, drapał w bok kanapy.

W chłodne przedpołudnie Corbin Dell wysiadł z taksówki. Nie padało, ale czuło się wilgoć, białe niebo wisiało nisko. Nie był w Londynie od semestru wiosennego trzeciego roku studiów, który spędził w Hutchinson School of Business and Economics. Nie wiedział, jak się poczuje, kiedy wróci do tego nawiedzonego miasta. Czuł się jednak dobrze. Ogarnęło go zmęczenie, bo spał najwyżej godzinę w czasie lotu z Bostonu do Dublina. Wypił jakąś okropną kawę w czasie długiej przerwy w podróży, więc teraz był roztrzęsiony i trochę go mdliło, w ustach czuł gorzki smak. Po długiej drodze z Heathrow powietrze na zewnątrz wydało mu się przyjemne.

Kierowca wyjął komplet bagaży Corbina z bagażnika i postawił na chodniku. Sheepscar Lane była długa i szara, wzdłuż chodników rosły ogłowione drzewa. Drogowcy naprawiali fragment jezdni, w powietrzu unosił się ostry zapach ciepłej smoły. To ten zapach najbardziej ze wszystkiego przywołał londyńskie wspomnienia. Jako student Corbin mieszkał w Camden Town, też w północnym Londynie, gdzie zawsze był obecny ten lepki, trochę słodki zapach smoły. Całkiem już o tym zapomniał. Znowu się poczuł, jakby miał dwadzieścia lat, jak wtedy, gdy zimnym świtem wracał z mieszkania Claire po drugiej stronie Regent's Park, wreszcie rozprawiwszy się ze swoją cnotą. Czuł się wówczas niezmiernie szczęśliwy, niemal w euforii, ale to wspomnienie było z wielu powodów bolesne. Może jednak nie powinien był tu wracać.

Kate mieszkała w niskim kamiennym budynku ze skrawkiem frontowego ogródka mieszczącym akurat krzak średniej wielkości. Ściany budynku pomalowano na biało, a drzwi frontowe, ozdobione panelem kolorowych szybek, na ciemny odcień niebieskiego. Po wewnętrznej stronie wejścia na ścianie wisiały trzy skrzynki na listy, Corbin wyciągnął kopertę ze skrzynki mieszkania numer 2. Wymacał w środku klucz. Wyjął go, otworzył drzwi wejściowe i przez próg wciągnął swoją wielgachną walizkę victorinox do wąskiego, wysokiego korytarza. Gdy drzwi zamknęły się za nim z brzękiem, w środku zrobiło się ciemno pomimo licznych małych okienek. Corbin znalazł przełącznik; z lampy pod sufitem wylało się żółte światło. Na podłodze leżało czarno-białe linoleum, a ściany były niewprawnie pomalowane na jasnoniebiesko. Wniósł swój bagaż po wąskich schodach pod drzwi na piętrze i wszedł do mieszkania.

Kate opisała mu je w mejlu, ale rozkład i tak wydał mu się zaskakujący. Przez drzwi wejściowe wchodziło się do sypialni, potem krótkie schody prowadziły do łazienki, pół piętra wyżej, natomiast reszta pomieszczeń, kuchnia i salon z oknem wykuszowym, znajdowała się na samej górze. Okna salonu wychodziły na ulicę, a okna na dole, w sypialni, na brukowane patio, i na tym koniec, bo budynek stanowił część szeregowca. Mieszkanie powinno wydawać się ciasne, ale Corbin wcale tak nie pomyślał. Uznał wręcz, że poprawi mu nastrój, w dodatku było urządzone może nie po kobiecemu, ale przytulnie. Na łóżku i kanapie w salonie leżały jasne pledy i wielkie poduszki. Na białych ścianach wisiały grafiki.

Corbin skorzystał z łazienki, po czym rozpakował swoje rzeczy, wkładając je do pustej szuflady oznaczonej post-item jako ta opróżniona specjalnie dla niego. Zastanowił się, czy wziąć prysznic, ale

czuł się zanadto zmęczony. W skroniach budził się pulsujący ból głowy, ramiona i kark miał zeszywniałe po podróży. Połknął cztery ibuprofeny. Woda w kranie smakowała okropnie, zakarbował więc sobie w pamięci, żeby jak najszybciej kupić butelkowaną. Zdjął z siebie wszystko oprócz bokserów i tizertu i rozłożył się wygodnie na kanapie w salonie, biorąc do ręki długi, odręczny list Kate. Zadała sobie trud sporządzenia wyczerpującego przewodnika po pobliskich pubach i restauracjach, co go trochę rozdrażniło, ale tylko dlatego, że sam nie zrobił dla niej analogicznego przewodnika. Cóż, mógł napisać do niej mejla i zasugerować kilka knajp. No i zostawił jej w lodówce butelkę szampana – to też coś. Poza tym niech no ona tylko zobaczy jego mieszkanie. Będzie pod wrażeniem, co do tego nie ma wątpliwości.

Kate była teraz w samolocie, uwięziona gdzieś nad Atlantykiem. Próbował ją sobie wyobrazić, ale przychodziło mu to z trudem. Widział do tej pory raptem dwie jej fotografie, obie sprzed paru lat. Jedną zrobił jego ojciec w trakcie podróży do Anglii rok przed swoją śmiercią. Pojechał na jakieś wielkie rodzinne wesele. Corbin pamiętał, że ojciec próbował namówić na wyjazd jego i drugiego syna, Philipa. Ten by w życiu nie pojechał, bo wówczas sprawiłby zawód ich matce, a tego by nie chciał zrobić za skarby świata. Corbin nie pojechał z powodu pracy. Gdy Richard Dell wrócił, wydrukował zdjęcia, które zrobił w Anglii aparatem cyfrowym, i przyciął je tak, by zmieściły się w standardowym albumie. Zaprezentował Corbinowi tę kolekcję, wskazując po kolei niezliczonych angielskich krewnych. Wówczas właśnie Corbin po raz pierwszy widział Kate, stojącą między ojcem a matką, siostrą cioteczną Richarda. „Moja ulubiona kuzynka – powiedział do Corbina. – Bardziej łączyła nas więź jak brata i siostrę, a ta dziewczyna, ta Kate, jest kropka w kropkę jak... jak...”.

Urwał. Kilka lat po rozwodzie Richard przeszedł na emeryturę i od tego momentu wyraźnie się postarzał. Zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Sprawiał wrażenie wyjątkowo sentymentalnego i wrażliwego, a czasem wręcz się roztkliwiał.

– Może nie powinienem w ogóle wyjeżdżać – powiedział, gdy już obejrzeliby wszystkie zdjęcia.

– Ale wtedy...

– Ale wtedy, tak, nie miałbym dwóch cudownych synów, jednak wasza matka...

Corbin nie musiał o niej słuchać, dość się już nasłuchał.

Widział tylko zdjęcie Kate załączone do jej konta mejlowego, ale była to mała kwadratowa barwna fotografia, na której twarz kuzynki skrywała w większości czytana przez nią książka. Tylko oczy patrzyły w obiektyw.

„Muszą tu być jakieś zdjęcia” – pomyślał, i już miał wstać z kanapy, ale się zatrzymał.

– Jeszcze zdążę – powiedział sobie. – Przyjechałem na całe sześć miesięcy.

Na te słowa trochę się przestraszył. Ziewnął kilka razy, aż strzeliło mu w szczęce. Za jego plecami krople deszczu uderzyły o szyby. Zasnął.

Obudził się, jak zawsze, nagle – oczy otwierały się same, umysł był już w pełni świadomy, wszelkie ewentualne sny wykreślone i wykasowane, ale w ich miejsce pojawił się wilczy głód. Zerknął na telefon. Było wczesne popołudnie.

Poszedł do kuchni, znalazł jabłko i zjadł je łapczywie, zostawiając tylko ogryzek cieniutki jak ołówek. Pozaglądał do szuflad, szukając jeszcze czegoś do jedzenia, ale niewiele znalazł. Wszystko w kuchni było małe, lodówka tylko odrobinę większa od turystycznej, wepchnięty w kąt stolik z porcelanowym blatem i zmywarka, która okazała się pralką. Corbin rozejrzał się w poszukiwaniu suszarki, ale jej nie znalazł.

O to akurat mógł zapytać Kate w mejlu. Swoją drogą, powinien sprawdzić pocztę, zwłaszcza że nie miał jeszcze wiadomości z biura, do którego powinien się podobno zgłosić w poniedziałek. Wrócił do salonu i przeczytał tę część listu Kate, w którym wyjaśniała, jak ma się połączyć z Wi-Fi. Otworzył laptopa i sprawdził wiadomości, szybko szukając nazwiska Audrey Marshall, choć wiedział, że mejl od niej nie wchodzi w rachubę. Brat do niego napisał, pytając, kiedy jedzie do Londynu, bo matka chce wiedzieć.

Corbin sprawdził wynik meczu red soxów z poprzedniego dnia, po czym sklecił wiadomość do Kate, dziękując za długi list i wspominając o suszarce. Następnie zamknął klapę laptopa, ubrał się i wyszedł po jakieś jedzenie.

Choć dochodziła dopiero szesnasta trzydzieści, Beef and Pudding, najbliższy pub, polecony przez Kate, wypełniał się już gośćmi. Corbin skorzystał z miękkiej ławy stojącej przy niskim stoliku, zczekał kilka minut na pojawienie się kelnerki, po czym przypomniał sobie, że w Anglii zamawia się przy barze. Zostawił kurtkę na ławie i przepchnął się przez tłum. Zamówił guinness extra cold, a gdy zapytał o jedzenie, wskazano mu wielką czarną tablicę, na której zieloną kredą wypisano menu. Wybrał spaghetti bolognese i wrócił na swoje miejsce.

Sączył piwo, a gdy podano jedzenie, jadł powoli, choć miał ochotę pożreć od razu wszystko jak wygłodniały pies. Po posiłku wrócił do baru po kolejne piwo, postanawiając, że spróbuje ale z beczki, jeszcze mu nieznanego. Usiadł na ławie z niejakim greene king abbot ale i wypił połowę, gdy kobieta w obcisłych dżinsach i swetrze we wzorki powiedziała „cześć” i zapytała, czy jest kuzynem Kate Priddy.

– Stałam obok ciebie przy barze i słyszałam, że mówisz z amerykańskim akcentem. Mieszkam nad tobą.

Wypili razem po kilka kolejek, kobieta przedstawiła go kilku barmanom i przyjaciom. Miała na imię Martha i przy każdej wizycie w łazience nakładała nową warstwę jasnoczerwonej szminki na wargi. On ciągle pił abbot ale, ona białe wino, pod koniec wieczoru przestawiła się na coś z wódką. Szli razem do domu w lekkiej mżawce, a na Sheepscair 684 oparli się o kontener na odpady, by się całować i obłapiać. Martha ugryzła go w koniuszek ucha i powiedziała, że podoba jej się jego akcent. Dell wsunął palce pod pasek dżinsów i dotknął cieniutkiej przędzy jej majtek, a to go otrzeźwiło. Czuł, jak po jego ciele rozchodzi się połączenie strachu i obrzydzenia. I chociaż wiedział, że niemal na pewno nikt ich nie widzi, i tak nie mógł się pozbyć takiego wrażenia. Tak jak zawsze.

Musiał zmobilizować całą swoją wolę, żeby tej dziewczyny po prostu nie odepchnąć. Przestał ją całować.

– Jestem wykończony – powiedział.

– No na pewno – odparła. Szminka jej się rozmazała, oczy miała lekko zamglone. Corbin słyszał z oddali czyjś śmiech niesiony przez deszcz. Zimna kropla wpadła mu pod kołnierzyk i zsunęła się po plecach, zadygotał. Potem przez jeden straszny moment czuł spaghetti w gardle i bał się, że wymiotuje. Przeszło. Powiedział Marcie, że naprawdę musi się przespać. Weszli razem do domu, na jego podeście Martha jeszcze raz go pocałowała. Trzymał usta mocno zaciśnięte, choć czuł, jak czubkiem języka przejeżdża mu po zębach.

W mieszkaniu łyknął w kuchni chłodnej wody i połknął kolejne cztery ibuprofeny. W zasadzie nie był zmęczony. Po południu spał za dużo, a teraz, chociaż w Londynie panował środek nocy, w Bostonie nie było jeszcze dwudziestej. Kate już powinna dotrzeć na miejsce, pewnie starała się nie kłaść. Próbował ją



sobie wyobrazić w bostońskim mieszkaniu, ale bez powodzenia. Jakoś jednak źle się z tym czuł.

Zrobił sto pompek na pomarańczowym dywaniku w sypialni, wziął prysznic, ostrożnie przestąpił wysoki brzeg wanny i stanął pod strugami prawie ciepłej wody. Zamknął oczy, a słaby strumień spadał mu na plecy, i stał tam tak długo, aż woda całkiem przestała być ciepła. Zanim włożył dół od piżamy i wszedł pod kołdrę w łóżku Kate, dygotał już z zimna. Miękka flanelowa pościel była mocno upchnięta na rogach łóżka, wykopał na wierzch nogę. Tylko tak umiał zasnąć, nawet jeśli było mu zimno. Materac był za miękki jak na jego gust. Wyłączył lampkę, ale pokój z odsłoniętymi oknami był stosunkowo jasny, a oczy w końcu przystosowały się tak dalece, że mógł przeczytać napis na plakacie naprzeciwko łóżka. „Oblicze w narożniku: portrety zwierząt, National Portrait Gallery, Londyn, 1998”. Widniała na nim stylowa dama, a na pierwszym planie czarny kot zanurzał łapę w wazie ze złotymi rybkami. Pomyślał o Sandersie, kocie, który zawsze przebywał w jego mieszkaniu. A na myśl o Sandersie przypomniał sobie, co zostawił za sobą, czym prędzej jednak odegnał refleksje. Zamknął natomiast oczy i próbował zmusić się do spania. Pomimo prysznicą czuł wciąż na sobie zapach Marthy, dziewczyny z pubu. Zastanawiał się, czy ona tam na górze w tej chwili o nim myśli. Oczywiście, że tak. Gdyby zechciał, mógł teraz tam pójść i ją zerznąć. Ta myśl napełniła go jednak przede wszystkim smutkiem. Wyobraził sobie, jak otwiera mu drzwi pijana, podekscytowana, jak unosi biodra, by zdjąć z niej maleńkie majteczki, widział ten jej okropny, wyczekujący wyraz oczu. A potem wyobraził sobie w jej oczach strach.

Odpędził tę myśl i przewrócił się na brzuch. Przycisnął twarz do nieznanomej poduszki, która pachniała kwiatowym płynem do tkanin. Od jakiegoś czasu już nie miał takich myśli. Może to kwestia miejsca – tego, że był w Londynie. Może przyjeżdżając tu, popełnił wielki błąd. Sądził, że piętnaście lat to wystarczająco długo, ale najwyraźniej się mylił. Cały dzień o niej myślał. Teraz oddał się więc wspomnieniom, wspomnieniom o Claire Brennan, o dziewczynie, która wszystko zmieniała.

Hutchinson School of Business and Economics, gdzie Corbin Dell studiował na drugim semestrze trzeciego roku, mieściła się w brzydkim kompleksie georgiańskich budynków na południe od stacji metra Mornington Crescent. Do szkoły należał też pub Three Lambs, wyłożona boazerią spelunka w klubie studenckim. To tam właśnie Corbin poznał Claire Brennan, która tego dnia pracowała przy barze.

– Co tu macie dobrego? – krzyknął. Z głośników leciał Coldplay. Przydałoby się go ściszyć.

Odgarnęła za ucho pasmo kruczoczarnych włosów i pochyliła się nad barem.

– Nie słyszałam. Co podać?

Corbin już miał zapytać ponownie, co mają dobrego, ale powstrzymały go jej zimne niebieskie oczy. Rozejrzał się po nalewakach i na chybił trafił wybrał jakieś piwo.

– Pintę czy pół? – zapytała. Mówiła z wyraźnym melodyjnym akcentem.

– Pół – odrzekł, nie wiedząc, co to znaczy.

Po chwili małymi łykami popijał z niewielkiej szklanki smakujący słodem napój. Właśnie spędzał swój drugi wieczór w Londynie. Wraz z pozostałymi studentami z Ameryki wcześniej był na spotkaniu informacyjnym. Większość spotkania dotyczyła tego, jak znaleźć mieszkanie w mieście, a później reszta amerykańskich studentów, dzierżąc w dłoni listę pośredników nieruchomości, nerwowo podzieliła się na grupki, by wyruszyć na poszukiwanie kwatery. Corbin jednak już miał mieszkanie, więc wyszedł ze spotkania, z nikim się nie zapoznając. Ojciec załatwił mu pokój gościnny u swojego przyjaciela. Było to maleńkie mieszkanko na drugim piętrze wąskiego ceglanego budynku na południowym brzegu rzeki. Pokój gościnny wielkością przypominał raczej szafę, a sądząc po skąpym umeblowaniu reszty lokalu – sprzęt stereo, zasobny barek, łóżko z satynową pościelą w sypialni małżeńskiej – najwyraźniej służył potajemnym schadzkom kolegi ojca z college'u. „Nigdy go tam nie ma – uprzedzał ojciec – będziesz miał własną garsonierę w Londynie”.

Corbin już zdążył to mieszkanie znienawidzić i poszedł do Three Lambs w nadziei na nawiązanie koleżeńskich kontaktów. Gdy już dostał swój napój, oparł się o bar i rozejrzał po pomieszczeniu. Połowę gości stanowili studenci, na ogół w trzy-, czteroosobowych grupach. Ze wstydem zauważył, że jedyni studenci z półpintą to osoby płci żeńskiej, a wszyscy mężczyźni mają duże piwa. Nagle poczuł głęboką nienawiść do barmanki, że w ogóle go zapytała, jakiej wielkości chce piwo. Powinno być oczywiste, że duże.

Odwrócił się plecami do sali i dwoma haustami opróżnił szklankę. Barmanka obsługiwała właśnie trzech studentów, wszyscy zamówili fostersa. Corbin postanowił zamówić to samo. Czekał cierpliwie, aż dziewczyna ich obsłuży. Ona wciąż zrzucała pianę z kufła i dolewała piwa. Gdy wreszcie skończyła, odwróciła się do Corbina, on zaś zamówił fostersa, dodając, że dużego. Uśmiechnęła się na te słowa, a on poczuł nagłą potrzebę, by dać jej w zęby.

Z fostersiem – o wiele lepszym niż poprzednie piwo – usiadł na wysokim stołku pod ścianą niedaleko

baru i starał się sprawiać wrażenie znudzonego i obojętnego. Rozglądał się po sali, ale wśród studentów nie dostrzegł żadnego z Amerykanów. Przy barze panował spokój, więc barmanka podeszła zebrać puste kufle ze stolików. Wracając, minęła Corbina, zatrzymała się i zapytała, czy jest Amerykaninem.

– Tak, przyjechałem na stypendium – odrzekł.

– Znasz może kogoś, kto potrzebuje pokoju? Moja koleżanka szuka sublokatora.

– Gdzie?

– W Camden. Niedaleko stąd.

Corbin powiedział, że może jest zainteresowany, że wprawdzie już ma kwatere, ale jej nie cierpi. Wyjaśnił, że to seksmeta przyjaciela jego ojca, i zmyślił, że pełno w niej wibratorów i stosów prezerwatyw. Barmanka odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem, odsłaniając śnieżnobiałą szyję.

– A więc obejrysz tamten pokój? – zapytała.

Corbin się zgodził, dostał adres, i drugiego dnia wykładów wprowadził się do mieszkania równie obrzydliwego, ale przynajmniej o wiele bliżej uczelni. Mieszkał tam z posępną Irlandką, wiecznie nieobecną, co stanowiło jej główną zaletę. Jeśli się pojawiała, to siedziała w swoim pokoju, płacząc do telefonu. Druga jej zaleta polegała na tym, że była znajomą ciemnowłosej, niebieskookiej barmanki. Nazywała się ona Claire Brennan, a po krótkiej rozmowie w Three Lambs początkowa nienawiść Corbina przerodziła się w silne zadurzenie.

Przed przyjazdem do Londynu postanowił sobie, że nie zakocha się podczas pobytu za granicą. W poprzednim semestrze spotykał się z dziewczyną z pierwszego roku, Sarah Scharfenberg, mieszkającą na tym samym korytarzu akademika, co on. W Mather należała do rzadkich okazów: dziewczyna ze Środkowego Zachodu, której pierwszy tydzień nie upłynął na próbach przespania się z każdym napotkanym starszym kolegą. Powiedziała mu, że praktycznie jest dziewicą, i nie chce się spieszyć. Jemu to pasowało. Nawet ją zawiózł na weekend do domu swojej matki w New Essex, gdy wiedział, że nikogo z rodziny tam nie będzie. Była pod wrażeniem. Bardzo mu się podobał wyraz jej twarzy, gdy wchodziła do wielkiego domu z widokiem na ocean i kolekcją sztuki jego matki.

Tamtej nocy w akademiku wyjęła prezerwatywę i wyszeptła mu do ucha: „Chcę się z tobą kochać. Teraz, zaraz”. Wypowiedziała te słowa wyćwiczonym głosem, dysząc teatralnie. Rozebrali się, ale Corbin czuł tylko obrzydzenie. W niekorzystnym oświetleniu akademika nagle wyglądała tandetnie i grubo, zauważył nawet przebarwiony ząb, którego wcześniej nie dostrzegł. Nie stanął mu, powiedział jej, że nie jest w nastroju. Pogorszyła sytuację, w kółko powtarzając, że nie ma sprawy. Próbowwała nawet masować mu kark.

Potem przestał się z nią spotykać, chociaż ostatniej nocy pierwszego semestru po pijaku dobijał się do jej drzwi. Postanowił jednak dać jej to, czego chciała. Otworzyła jej koleżanka i powiedziała, że Sarah pewnie spędza noc u swojego chłopaka. Patrzyła na Corbina tak, że było oczywiste, że o wszystkim wie. „Jebana kurwa” – warknął. Wrócił do siebie i tam padł.

A teraz był w Londynie i chociaż postanowił, że nie będzie miał tu nic wspólnego z dziewczynami i seksem, już się zakochał w Claire Brennan.

Łatwo było ją znaleźć, bo większość wieczorów pracowała w Three Lambs. Corbin wpadał tam od czasu do czasu, zwykle sam. Okazało się, że są z Claire na tym samym kursie – podstawy makroekonomii, w niektóre wieczory przynosił więc podręcznik i rozmawiali o nim razem, Corbin nad fostersem, a Claire

popijając białe wino za barem. Chociaż była w jego wieku, czyli miała dwadzieścia lat, w porównaniu do amerykańskich rówieśniczek wydawała się dorosła i oblatana. Przede wszystkim pracowała, żeby pozwolić sobie na studia, i nie cierpiała większości amerykańskich studentów, którzy przyjeżdżali co semestr i przez całe trzy miesiące pobytu w Londynie non stop się nawalali.

– Nie mówię o tobie, Corbs – zastrzegła. – Jesteś trochę lepszy od tych dupków, ale tylko trochę. – Z szerokim uśmiechem wskazała dwoma palcami, jak niewielka to różnica.

Poza pubem i wykładami rzadko się widywali, ale gdy nadeszły pierwsze egzaminy, zaczęli się razem uczyć u Claire w Queen's Park. Była to mała kawalerka, mieściło się w niej jedynie łóżko, biurko i krzesło. Uczyli się na łóżku.

– Prześpij się tu – powiedziała, gdy wreszcie postanowili skończyć. Minęła pierwsza, metro już nie jeździło.

– Mogę wziąć taksówkę – odparł.

– Nie bądź głupi, zostań tu.

– Obiecałem sobie, że tak to ujmę, że podczas pobytu w Londynie z nikim się nie zwiążę.

Roześmiała się.

– Jezu, ja przecież nie o tym.

Zasnęli, nie dotykając się nawzajem, ale gdy nadszedł świt, zaczęli całować się w milczeniu, a zanim Corbin powiedział, że naprawdę nie żartował z nieangażowaniem się w związek, uprawiali seks. Stało się to tak szybko, że Corbin nie miał czasu się nad tym zastanowić, nie zdążył spanikować. Potem całowali się jeszcze, aż Claire zasnęła. Nie powiedział jej, że dla niego to był pierwszy raz.

Idąc do domu przez zimny, wilgotny poranek, czuł się nie tyle uradowany, co jakoś tak zrehabilitowany. To nie była jego wina. To wina szeregu żalonych, niedoświadczonych dziewczyn, to one stanowiły problem. Musiał po prostu znaleźć prawdziwą kobietę i wreszcie taką znalazł.

Celując zdał egzamin – czego należało się spodziewać – i dalej widywał się z Claire, a ich związek był zupełnie inny niż wszystko, czego Corbin w życiu do tej pory doświadczył. Przede wszystkim rzadko rozmawiali o tym, co się dzieje między nimi, nie dlatego że Corbin nie chciał, lecz dlatego że nie chciała ona. Ilekroć poruszał ten temat, ona obracała wszystko w żart albo mówiła, że jest głupi. Corbin zafiksował się na tym, co ona myśli, nabrał obsesji na punkcie najdrobniejszych oznak zdradzających jej nastrój. Z tego powodu wściekał się na siebie, ale jednocześnie wiedział, że jest zakochany. Wyznał jej to raz po pijaku, wróciwszy z finansowanego przez uczelnię mocno zakrapianego rejsu po Tamizie. Gdy szli do domu, zaczęło lać, więc schowali się pod markizą zamkniętej piekarni i całowali się.

– Cuchniesz piwem – powiedziała.

– Kocham cię – odrzekł.

Roześmiała się, nie do końca niemiło, po czym pocałowała go żarliwie.

– Jesteś moim ulubionym Amerykaninem. – Dalej się śmiała.

– Dzięki – odrzekł Corbin, obiecując sobie, że już nigdy jej nie powie, co czuje.

Nie powiedział, a związek – w każdym razie tak ich relację nazywał Corbin w głowie – trwał aż do ostatniego tygodnia tego semestru. Corbin zamartwiał się statusem ich romansu, zastanawiając się, czy powinien ją zapytać, czy chce odwiedzić go w Stanach w czasie wakacji. Ale zanim zebrał się, by zacząć

taką rozmowę, wszystko się zmieniło.

Był czwartek, Corbin sączył piwo w wielkim anonimowym pubie w pobliżu swojego domu i powtarzał materiał do egzaminów, gdy do jego stolika podszedł Henry Wood, inny amerykański student z jego programu.

– Uczysz się? – zapytał.

– Owszem. – Corbin podniósł książkę, tak by pokazać okładkę.

– Zajebiste są tu wykłady, co?

– No, owszem.

W czasie pobytu w Londynie Corbin nie poznał zbyt wielu kolegów ze Stanów, ale poznał Henry'ego, bo Henry'ego znali wszyscy. Należał do ludzi, którzy w sposób naturalny nawiązują kontakty towarzyskie, pamiętają wszystkie imiona i zawsze podtrzymują rozmowę. Zaraz po tygodniu zapoznawczym urządził imprezę w swoim wynajmowanym mieszkaniu, dużym przyziemiu w Hampstead. Była zimna, wietrzna noc, ale Henry rozwiesił lampki w ogrodzie dzielonym z sąsiadami i jakimś cudem kupił nawet beczkę piwa. W imprezie wzięli udział nie tylko Amerykanie, ale też angielscy sąsiedzi, z którymi Henry zdążył już zawrzeć przyjaźń na całe życie.

Tamtej nocy zaczął padać śnieg, małe białe kryształki, które topiły się, gdy tylko czegoś dotknęły, ale nikt nie opuścił ogrodu i wszyscy siedzieli w nim długo po północy. Pierwsze dwie godziny Corbin czuł się niezręcznie, ale piwo pomogło i zanim się zorientował, zrobiła się druga w nocy, a on rozmawiał o futbolu z dziewczyną z University of Richmond i muskularnym studentem z Baylor, który obejmował ją nagim, wytatuowanym ramieniem. Corbin uznał, że czas na niego i się pożegnał. Wszedł do mieszkania, szukając korytarzyka prowadzącego do łazienki. Henry stał w progu swojej sypialni z niezapalonym papierosem w ustach. Corbin generalnie nie cierpiał długich włosów u mężczyzn, ale Henry'emu pasowały długie ciemne włosy sięgające co najmniej do łopatek. Raczej niski, klatkę piersiową i ramiona miał silne, a rysy twarzy drobne. Corbinowi kojarzył się z lisem, antropomorficzny, pewny siebie i przystojny.

Otworzyły się drzwi łazienki, wyłoniła się z niej wysoka ruda dziewczyna w krótkiej spódniczce. Minęła Corbina i weszła do sypialni Henry'ego, sunąc dłonią po jego koszuli.

Henry uśmiechnął się, nie wypuszczając papierosa z ust, i ruchem głowy wskazał wewnątrz sypialni, podnosząc brew. Corbin dopiero po chwili zrozumiał, że Henry proponuje, by do nich dołączył. Niezobowiązująco podniósł do góry ręce i pokręcił głową. Poczuł, jak na twarzy rozlewa mu się rumieniec, i szybko zniknął w łazience. Gdy wyszedł, drzwi do sypialni Henry'ego były zamknięte.

Od tamtej imprezy Corbin widział go kilka razy i nigdy nic nie wskazywało na to, że Henry pamięta incydent w korytarzu. Corbin zdążył zwątpić, czy sam go widział. Naprawdę zaproszono go do sypialni na trójkącik? Szczegóły tamtej nocy zamazały się i teraz nie był już pewien. Ilekroć jednak widział Henry'ego, czuł w piersi jakiś niepokój i ze zdumieniem stwierdzał, że brakuje mu słów. Co prawda nie musiał dużo mówić w obecności Henry'ego, bo on lubił gadać i szczyił się tym, że wie wszystko o wszystkich. Corbin wmawiał sobie, że to gbur szukający poklasku, ale ilekroć byli razem, czuł potrzebę przypodobania się Henry'emu. Żartem albo mówiąc coś, czego Henry jeszcze nie wiedział. A gdy to mu się udało, czuł zenującą dumę. Zastanawiał się, czy inni reagują tak samo.

Henry, co dziwne, był w pubie sam, a chociaż Corbin niemal panikował przed swoim egzaminem

z teorii gier, ucieszył się na widok kolegi i zaprosił go do stolika.

– Wiesz, mogę ci pomóc w egzaminie – powiedział Henry, z piwem w ręku rozsiadając się na krześle naprzeciwko Corbina.

– Ale ty nie jesteś na tym kursie, prawda?

– Nie, mam za to przeciek. Co roku jest ten sam egzamin. Wasz wykładowca nigdy, przenigdy go nie zmienia. Chcesz jakieś pytania?

– Pewnie.

Henry powiedział Corbinowi, co słyszał, podobno od studentki, która chodziła na te zajęcia rok wcześniej.

– Zapamiętałem wszystkie pytania, a potem ostatecznie nie wybrałem tego kursu, bo zabrakło miejsc. To ci pomoże, co?

– Masz pewność, że to te pytania?

– Na dziewięćdziesiąt procent. Dziewięćdziesiąt pięć. Nie martw się, stary. Napijmy się jeszcze.

Corbin poszedł po trunki. Pytania rzeczywiście sprawiały wrażenie prawdziwych. Wszystkie krążyły wokół tematów, które profesor Hinchliffe – jeden ze starszych panów z pajęczyną popękanych naczynek na każdym policzku – szczegółowo omawiał. Corbin postanowił zaufać Henry’emu – to by mu bardzo ułatwiło życie.

Odłożył więc podręcznik i wypił z Henrym kilka piw. Jeszcze nigdy nie spędzili razem tyle czasu.

– Gdzie byłeś cały semestr? – zapytał Henry.

Corbin, który nie uważał, że się jakoś ukrywał, odrzekł:

– W tym pierwszym tygodniu nie potrzebowałem kwatery, więc w sumie nikogo nie poznałem od razu. Zadawałem się z angielskimi studentami.

– Zdrajca. Wiesz, że na wyjeździe nie powinieneś poznać żadnego cudzoziemca?

– Nie dostałem takich zaleceń.

– Nie? To podstawowy wymóg. Przyjeżdż do Europy jako dupek, broń Boże z nikim się tu nie zapoznaj, a w tym celu zadawaj się tylko z amerykańskimi studentami, potem wróć jako jeszcze większy dupek. A na następnym roku zaczynaj wszystkie opowieści od słów: „Gdy latem byłem w Europie...”. Właśnie, jedziesz gdzieś latem po zakończeniu wykładów?

– Nie, nie mogę – odrzekł Corbin. – Mam staż w Nowym Jorku. Od pierwszego tygodnia czerwca.

– Nie, no, nie gadaj. Ja też. A gdzie?

Porównali dane o swoich wakacyjnych praktykach. Odbywali je w różnych firmach, ale w tym samym kwartale w centrum Manhattanu.

– Wspaniale – powiedział Henry. – No to mam przyjaciela. Już wiem, do jakiego baru możemy chodzić.

Gdy omawiali różne bary i restauracje, które znali w Nowym Jorku, słowo „przyjaciel” obijało się echem w głowie Corbina. Wiedział, że Henry użył tego słowa przypadkowo, ale on, chociaż zawsze miał kolegów, to prawdziwego przyjaciela chyba nigdy między nimi nie było. Już sobie wyobrażał, jak z Henrym chodzą do tych samych barów co wieczór i spotykają się, choć się wcześniej nie umawiali.

– To będzie wypas – ciągnął Henry. – Bo wiesz, kocham Londyn, ale musimy trochę odsapnąć, nie sądzisz? Napić się w eleganckim barze, a nie w pubie, spotkać się z jakimiś opalonymi pannami.

Roześmiali się, a potem każdy z nich napił się piwa. Henry nachylił się i ściszył trochę głos:

– A wiesz, Corbs, my chyba mamy coś wspólnego.

– Tak?

– Claire Brennan. – Henry uśmiechnął się, wargi rozciągnęły się na jego zębach.

– No owszem, znam Claire. – Corbin się poczuł, jakby właśnie połknął piłkę tenisową.

– Owszem, wiem, że znasz. I to dobrze znasz, jak sądzę.

– A co? – zapytał Corbin.

– No właśnie, tak jak sądziłem. Wygląda na to, że ona obu nas zdradza.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Właśnie to, co ci się wydaje. Jezu, jak ty wyglądasz? Chyba nie padniesz mi tu na zawał.

– Dlatego do mnie podszedłeś? Żeby mi o tym powiedzieć? Z powodu Claire? – zapytał po dłuższej chwili Corbin.

Henry milczał.

– Nie – rzekł wreszcie. – Przyszedłem pogadać. Ale rzeczywiście zastanawiałem się, czy powiedzieć ci o Claire. Wydawało mi się, że tak trzeba.

Od chwili gdy Henry wygłosił sensacyjną wieść, Corbin się już trochę pozbierał. Po mdlącym poczuciu zdrady nadeszło rosnące poczucie gniewu. A Henry je podzielał.

– Obu nas suka okłamała – powiedział.

Przeanalizowali porządek wydarzeń, próbując rozgryźć, jak właściwie zdołała tego dokonać. Okazało się, że Henry i Claire po raz pierwszy przespali się ponad miesiąc wcześniej, gdy Corbin pojechał na długi weekend do Amsterdamu spotkać się z dwoma kumplami z Mather. Henry, podobnie jak Corbin, poznał Claire w Three Lambs. Zaprosił ją na kolację, a ona przyjęła zaproszenie. Kolacja się udała i przez ostatnie kilka tygodni Henry spotykał się z Claire od czasu do czasu.

– Jak często? – zapytał Corbin.

– Zawsze we wtorki wieczorem.

– Ja we wtoreki wieczorem mam seminarium.

– A w niedzielę po południu czasami chodzimy do pubu nad rzeką.

– Mówiła, że w niedzielę zawsze nadgania naukę.

– Zrobiła nas w konia, kolego – podsumował Henry, kręcąc głową. – Mówiła ci, żebyś w Three Lambs nie zachowywał się jak jej chłopak? Że nie chce, by ludzie w pracy wiedzieli, że spotyka się z klientem?

– Tak, tak mówiła. Jezu.

Henry jednym długim łykiem dopił piwo, po czym otarł usta wierzchem dłoni. Jeden kącik ust wyginał mu się delikatnie, jakby się dobrze bawił.

– Ciebie to chyba nie zmartwiło tak bardzo jak mnie – zauważył Corbin.

– Zmartwiło, uwierz. Po prostu miałem o wiele więcej czasu, żeby to przemyśleć, i teraz jestem raczej wściekły niż zmartwiony.

– Jak się dowiedziałeś?

Henry wyjaśnił, jak przypadkiem zauważył Claire w ostatnią sobotę wieczorem, gdy wychodziła ze stacji metra Camden. Pomachał jej, ale go nie widziała. Spieszyła się i Henry ruszył za nią pod wpływem impulsu. Śledził ją wzdłuż targu aż do indyjskiej restauracji. Przed wejściem do niej czekał Corbin, pocałowali się na ulicy.

– I nie powiedziałaś jej? – zapytał Corbin.

– Dałem jej szansę, żeby sama mi powiedziała. Widziałem się z nią następnego dnia i zapytałem, czy



mamy związek na wyłączność, a ona, że tak, taką ma nadzieję. Wtedy właśnie się wkurzyłem, bo wcześniej byłem tylko rozczarowany. I postanowiłem, że przestanę się z nią spotykać, nie podając powodu, a ona niech się zastanawia, aż się wścieknie. I nagle dzisiaj zobaczyłem tu ciebie. Mało brakowało, a bym ci nie powiedział. No bo wiesz, ty byś się nigdy nie dowiedział i może w ogólnym rozrachunku niczego by to nie zmieniło. Ale wydajesz się miłym facetem, więc uznałem, że powinieneś wiedzieć.

– Cieszę się, że mi powiedziałaś. Czuję się, kurwa, jak kretyn.

– Nie jesteś kretynem. Po prostu zaufałaś kobiecie. Nie żartuję. Nigdy więcej nie popełniaj tego błędu.

– Nie popełnię.

– Więc co zrobimy? – zapytał Henry.

– Co masz na myśli?

Henry bawił się swoją pustą szklanką, obracając ją do góry nogami i robiąc mokre kręgi na drewnianym stole.

– Co robimy, żeby się na niej odegrać? Mamy przewagę. Ona nie wie, że my wiemy.

– To prawda.

Henry się zerwał.

– Jeszcze po piwku, dobra, i zaplanujemy, jak najlepiej jej dopierdolić. – Ruszył do baru, zanim Corbin zdążył coś powiedzieć.

Ułożyli plan. Henry znał cmentarz Boddington – nieczynny cmentarz na północ od Hampstead Heath. Trafił tam w pierwszym tygodniu pobytu w Londynie, w czasie niedzielnego popołudniowego spaceru. Większość nagrobków padła ofiarą wandalii, teren był też całkowicie zarośnięty drzewami i krzewami. Henry już wspomniał Claire o tym miejscu, mówił, że chciałby, by tam z nim poszła, zanim on wróci do Ameryki, że chce wziąć aparat i porobić zdjęcia. Zgodziła się, byli umówieni na środę po południu. W słoneczną niedzielę Henry nie spotkał tam żywej duszy, więc tym bardziej nikogo się tam nie spodziewał w środku tygodnia. Oprócz Corbina, który miał czekać na środku cmentarza, gdzie by ją nastraszyli na tyle, by już nigdy nie przyszło jej do głowy umawiać się z dwoma mężczyznami naraz. Ani nawet z jednym.

Henry dostarczył Corbinowi szczegółowy plan cmentarza. Mniej więcej na środku teren się obniżał, tworząc płytką dolinkę. Na jednym z grobów stała porośnięta mchem figura anioła bez głowy. Henry zapisał na planie „Bez głowy anioł” i uznał, że to doskonałe miejsce.

– A jeśli ktoś tam będzie? – zapytał Corbin.

– Nikogo nie będzie. A jeśli nawet? My ją tylko nastraszymy.

W środę była typowa londyńska pogoda, niebo wypełniło się niskimi, szybko mknącymi chmurami, z których od czasu do czasu padał zimny deszcz. Corbin znalazł wejście na cmentarz i pokonał zniszczoną bramę. W końcu z trudem odszukał alejkę, zasypaną gnijącymi liśćmi, i podążył w głąb nekropolii. Henry miał rację. Dzisiaj na pewno nikogo tu nie będzie. Może w słoneczny weekend pojawiłby się tu jakiś fotograf, ale nie w deszczowy dzień powszedni. Poczł pewność, że jest sam.

Posługując się rysunkiem Henry’ego, Corbin znalazł rozwidlenie ścieżki i skręcił w lewo. Musiał się

przedzierać przez wilgotne gałęzie, by znaleźć ukrytą polankę. Od razu zauważył bezgłowego anioła w długiej szacie, obwieszonego girlandą liści. Porosty całkiem pokryły kamień, a aniołowi brakowało nie tylko głowy, ale też koniuszków skrzydeł, jakby ktoś je przyciął. Corbina nagle dopadły obawy. Czy nie posuwają się za daleko? Wyobraził sobie jednak Claire krążącą pomiędzy jego łóżkiem a łóżkiem Henry'ego i na nowo rozpałił się w nim gniew. Może nie posuwali się za daleko.

Zdjął plecak, położył rozkładaną saperkę na wilgotnej ziemi obok posągu, następnie wyjął butelkę po wodzie wypełnioną sztuczną krwią, którą przygotował Henry.

– Strasznie brązowa, co? – zauważył na jej widok Corbin.

– Tak, jest doskonała. Krew brązowieje w kontakcie z powietrzem. Nie chcemy, żebyś wyglądał, jakbyś zszedł przed chwilą.

– Racja.

Corbin zerknął na zegarek: za pół godziny miał się zjawić Henry z Claire. Usiadł na ziemi przed aniołem, opierając się o cokół, rozsmarował sztuczną krew na szyi i koszulce, nieco grubiej w fałdach materiału. Wyjął nóż z plecaka i na nim też rozsmarował ciecz. Był to nóż Henry'ego, składany, niewiarygodnie ostry. Przesunął opuszką palca po jego krawędzi i przeciął przezroczystą warstwę naskórka, nie puszczając krwi, następnie położył ostrze na kolanach.

Odłożył butelkę do plecaka, ubraniami na zmianę zabezpieczył ją w pozycji pionowej, a następnie wsadził sobie plecak pod plecy, tak że nie było go widać. Gdy nadejdzie Claire, zobaczy zwłoki ułożone przed posągiem jak po rytualnym morderstwie. Zaczął chichotać na tę myśl, nie mógł wręcz się uspokoić, po chwili już śmiał się na głos, a ramiona podrygiwały mu niekontrolowanie.

– Jezu, weź się w garść – powiedział sobie i uznał, że musi to z siebie wyrzucić. Zaskowytał, co nawet w jego uszach zabrzmiało dziwnie zwierzęco. Przestał się śmiać, przestraszony, że ktoś go usłyszał. A gdyby nadszedł ktoś nieznamy, żeby zrobić zdjęcia aniołowi? Pośmiał się jeszcze nerwowo, a potem uznał, że nie: nadejdzie Henry z Claire, Henry, który obiecał, że pokaże jej coś, co się jej spodoba. Jak zareaguje Claire? Zemdleje? Zacznie krzyczeć? Na tę myśl znowu zakręciło mu się w głowie, tak samo jak się czuł przed laty, gdy pokazał bratu zdjęcia, które znalazł schowane na strychu. Nagie dziewczęta biczowane przez mężczyzn w skórzanych kapturach. Brat oczywiście pobiegł do matki, a ta ukarała Corbina dwutygodniowym zakazem kąpieli. Dziecko tak pedantyczne jak on nienawidziło samej myśli o brudzie. Niewchodzenie pod prysznic przez dwa tygodnie było dla niego torturą. „Możesz się wykapać, gdy twoje ciało będzie już tak brudne jak twoja dusza” – zapowiedziała mu matka. Codziennie pytał ją, czy to już, a ona codziennie odpowiadała, że jeszcze nie jest dość brudny. Wreszcie pozwoliła mu się umyć, gdy wychowawca odesłał go do domu z uwagą, że syn chyba nie myje się jak należy. Co w owym czasie robił ojciec Corbina? Rodzice jeszcze nie byli rozwiedzeni, ale ze względów praktycznych żyli w separacji, więc ojciec na ogół przebywał w swoim mieszkaniu w mieście. Corbin zastanawiał się wtedy, czy to przez te zdjęcia; może ojciec też dostał karę za ich oglądanie. Dopiero dużo później przyszło mu do głowy, że zdjęcia mogły należeć do matki.

Wiatr wstrząsał drzewami, krople deszczu spadały na Corbina. Henry z Claire powinni już niedługo się pojawić. Wspomnienie incydentu ze zdjęciami i matką wprawiło Corbina w jakieś oszołomienie, ale to akurat dobrze. Nie mógł się już śmiać. Pracował nad swoim zdenerwowaniem i wściekłością, aż czuł tylko swoistą obojętność, tak samo jak czuł się w czasie *at bat*, kiedy w liceum grał w bejsbol – jakby

się unosił w niewielkiej odległości od siebie. Zaczął się skupiać.

Usłyszał jakiś szelest w poszyciu, a po chwili na polanę wyszedł duży gołąb z obrózką na szyi, po czym odleciał. Kropel było coraz więcej, bo teraz zaczęło padać. Corbin patrzył w górę na masę zwartej pokrywy chmur i na jedną nabrzmiałą, atramentową chmurę pośrodku, która wyglądała, jakby miało z niej lunąć. Gdzie był Henry? Może Claire odmówiła wyprawy na cmentarz, skoro najwyraźniej się zbierało na deszcz? Corbin zmienił pozycję, teraz siedział bardziej pionowo, tak żeby obserwować ścieżkę w miejscu, w którym mogli się pojawić, jeśli w ogóle się pojawią.

Najpierw ich usłyszał, a potem zobaczył – Claire wydała jakiś dziwny krzyk i wybuchnęła śmiechem. Pewnie się pośliznęła, schodząc po pochyłości. Na dźwięk tego śmiechu Corbina przeszedł dreszcz. Odkąd się dowiedział prawdy o jej fałszywym postępowaniu, nie widział się z nią ani nie rozmawiał. Pisali tylko do siebie mejle. Corbin nakłamał, że cierpi na wyjątkowo ciężką gripę i nie może się z nią zobaczyć.

Henry wyszedł na polanę pierwszy, Corbin zdążył zobaczyć, jak zerka w jego stronę, zanim się odwrócił do Claire, która poruszała się ostrożnie po śliskiej ścieżce, patrząc pod nogi.

Corbin zamknął powieki, wciągnął wilgotne, ziemiste powietrze i starał się nie poruszyć. Deszcz padał mocniej, niewiele było słyhać. Teraz na pewno już na niego patrzyli. Usłyszał głos, chyba Henry'ego: „Przyprowadziłem cię, żebyś mi pomogła” czy jakoś tak. Potem chwilę panowała cisza, słyhać było tylko deszcz spadający na liście, aż wreszcie usłyszał głos Claire:

– Coś ty zrobił?

– Zrobiłem to dla ciebie – odrzekł Henry. Teraz znajdowali się bliżej. Corbin strasznie chciał otworzyć oczy, zobaczyć szok na twarzy Claire, ale się powstrzymał. Deszcz zbierał mu się za kołnierzem, czuł zapach barwnika ze sztucznej krwi.

– Coś ty zrobił?! – krzyknęła bliska hysterii.

– Claire, przyprowadziłem cię tu z dwóch powodów. Chciałem, byś zobaczyła, co się stało z twoim drugim chłopakiem, i musisz mi pomóc pozbyć się ciała – mówił spokojnie, niemal bezbarwnym głosem Henry.

Corbin był pod wrażeniem jego występu. Wyobrażał sobie wyraz twarzy Claire, panikę w jej oczach. Słyszał, że coś mówi, ale nie rozumiał co.

– Nie, Claire, zostań – polecił Henry, a Corbin dosłyszał jakiś ruch. Uchylił powieki, deszcz zalewał mu oczy, zobaczył, jak jego kompan chwyta dziewczynę za ramiona. Pochyliła nisko głowę, i potrząsała nią na boki. Corbin usiadł, deszcz spływał mu z włosów.

„Popatrz” – pomyślał. „Podnieś wzrok, spójrz na mnie”.

Nie podniosła, ale Henry ujął jej twarz w dłonie i podniósł ją do góry.

– Ciii – powiedział. – Uspokój się, Claire.

Trzymając ją tak, spojrzał na Corbina. Ten siedział już wyprostowany, patrząc na swoją ukochaną, a ta otworzyła szeroko oczy, jej twarz zbieleła jak papier. Krzyknęła wysokim głosem, ptasim piskiem. Henry odwrócił się do kolegi, puścił dziewczynę i wybuchnął śmiechem, opierając się dłońmi o kolana. Corbin tylko patrzył. Nie mógł oderwać wzroku od dziewczyny, która zatoczyła się do tyłu jak bokser po otrzymaniu ciosu w szczękę.

Henry'emu przeszła już ochota na śmiech.

– Niezła zemsta, co?

Odwróciła się, by uciec, pośliznęła się i upadła na kolano.

Corbin wstał, nóż zsunął mu się z kolan. Henry odwrócił się do niego, uśmiechnięty szeroko, Corbin postawił krok przed siebie. Wymienili uścisk dłoni, patrząc sobie w oczy. Henry wyglądał, jakby właśnie zdobył trofeum.

– Na medal, kurwa – powiedział do Corbina. – Po prostu, kurwa, na medal. – Mówił powoli, akcentując każdą sylabę.

– Debile! – wrzasnęła Claire. Już wstała, patrzyła na nich. – Żałosne dupki!

Henry i Corbin opuścili ręce.

– Nie, Claire, to ty jesteś żalosna – powiedział Henry.

– Kurwa! – krzyknął Corbin.

Skierowała wzrok na niego, pokręciła głową.

– Jezu, Cor! Jakim cudem dałeś się na to namówić? Jesteś porządnym chłopakiem.

Miała na sobie białą bluzkę z okrągłym dekoltem, deszcz zmoczył ją i ściągnął w dół, odsłaniając skraj beżowego stanika. Obnażona skóra klatki piersiowej była wilgotna i blada.

– Tak, jestem porządnym chłopakiem, a ty jesteś żalosną kurwą – odparł piskliwym głosem Corbin.

Claire zaczerpnęła powietrza i się wyprostowała.

– Dobra – powiedziała cicho. Odgarnęła z czoła mokre włosy, poprawiła bluzkę.

– Miło było cię poznać – odezwał się Henry, a Corbin pozazdrościł mu, że mówi takim normalnym, spokojnym głosem.

Claire spojrzała na Henry'ego, potem znowu na Corbina, i pokręciła głową. On patrzył, jak na jej twarzy pojawia się nieznaczny, smutny uśmiech. „Ona mnie żałuje” – pomyślał. „Ona mnie, kurwa mać, żałuje”. Gdy się odwróciła, by odejść, Corbin podbiegł i pchnął ją mocno. Poleciała do przodu, potknęła się i uderzyła o ziemię. Głowa aż jej podskoczyła. Corbin dopadł ją, przygniótł kolanami. Uderzyła głową o ostry kamień, jasnoczerwona krew wypłynęła spod płata skóry, mieszając się z deszczem.

– Jak to jest? – zapytał Corbin i szarpnął nią. Jęknęła i przyłożyła dłoń do rany. Miała na palcu pierścień Claddagh, zawsze go nosiła, z sercem skierowanym na nią. Wcześniej sądził, że to ze względu na niego. Fala emocji przeszła przez jego ciało. Potrząsał nią coraz mocniej, a jej głowa uderzała o ziemię.

– Ej, ej, moja kolej. – Henry dotknął ramienia Corbina. W ręku trzymał nóż.

Wykopali grób na polance. Deszcz rozmiękczył ziemię, saperka z plaśnięciem wyrywała kolejne grudy ziemi. Kiedy ciało Claire znalazło się już w dole, zanim go zasypali, Henry odezwał się swoim spokojnym, miarowym głosem:

– Uważam, że powinniśmy zrobić zdjęcie. Każdego z nas, z ciałem.

– Po co? – zapytał Corbin.

– Musimy utrwalić ten moment.

– Zwariowałeś?

– Nie, posłuchaj. To będzie symbol naszego zaufania. Każdy z nas zachowa dowód winy tego drugiego, a dzięki temu zyskamy pewność, że zawsze będziemy w tym siedzieć razem. Pomyśl tylko.

Corbin był jeszcze w szoku, bardzo się starał zrozumieć, co się właśnie wydarzyło. Zamordowali Claire. Oni dwaj razem odebrali jej życie. On chyba zaczął, z całej siły uderzając jej głową o ziemię, tak? Przypomniał sobie, jaką czuł wściekłość, ile buzowało w nim adrenaliny, jak dobrze się czuł, zadając jej ból. Chciał, by umarła, prawda? Czy chciał tylko zadać jej ból, wywołać strach? Chciał, by poczuła, jak go zraniła? Teraz już nie wiedział. Ale wtedy wkroczył Henry z tym swoim nożem i poderżnął jej gardło, a gdy Corbin zobaczył, jak krew wytryskuje wysoko ponad ciało, doznał poczucia odrealnienia, jakby nagle zaczął wszystko oglądać w krzywym zwierciadle. Sen, to był sen. Ale nie. To wszystko działo się naprawdę. Wszystko. Deszcz, krew, ciało leżące na ziemi w nienaturalnej pozycji, woda zbierająca się na jej oczach, cały czas otwartych.

Henry wyjął polaroida ze swojego plecaka.

– Po co to przyniosłeś? – zapytał Corbin.

– Powiedziałem Claire, że chcę porobić zdjęcia. Potrzebowałem do tego chyba aparatu, prawda?

Corbinowi nie dawało jednak spokoju, że to polaroid. Idealny aparat do sfotografowania morderstwa. Niemniej ustawił się do ujęcia, Henry sfotografował go stojącego nad grobem, a potem się zamienili, Corbin zrobił zdjęcie Henry'emu. Z plastikowego, żółto-czarnego aparatu wyskoczyła folia, Corbin patrzył, jak powoli wyłania się na niej obraz. Henry z wyprostowanymi ramionami, z szerokim uśmiechem na twarzy. Wyglądał, jakby był dumny.

Corbin oddał mu aparat, przytrzymując zdjęcie. Ręce mu drżały, koniuszki palców miał białe jak kość, zaczynały się marszczyć od wilgoci. Już chciał poprosić, by Henry pokazał mu jego zdjęcie, ale uznał, że nie chce zachować tego obrazu w pamięci.

Henry wyłączył aparat i odłożył go do plecaka, potem zasypali ciało Claire, wygładzili ziemię i narzucili warstwę wilgotnych liści. Miejsce wyglądało na nietknięte, można by uznać, że nikogo tu w ogóle nie było. Odczuli ulgę, że ciała nie było już widać, że wszystkie ślady Claire zniknęły.

– Można by pomyśleć, że nikogo tu w ogóle nie było – powiedział Henry, jakby znał myśli Corbina. – Chodźmy.

Szli ścieżką jeden za drugim, pogrążeni w rozmyślaniach. Teraz, kiedy już ruszyli i rozmawiali, co zrobią dalej, Corbin poczuł się lepiej. Deszcz zelżał, chmury chyba też się trochę rozstały, bo zrobiło się jaśniej. W bramie cmentarza stanęli na chwilę, zanim się rozeszli każdy w swoją stronę.

– Żadnych kontaktów – powiedział Henry. – Chyba że będzie to absolutnie konieczne.

– Też tak uważam – odrzekł Corbin.

Henry się uśmiechnął.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiliśmy, stary. – Na jego twarzy malowała się prawdziwa radość, jakby właśnie wygrał w jakiejś wielkiej grze.

Corbin odpowiedział uśmiechem na znak, że czuje to samo.

Gdy już został sam i szedł wśród zwyczajnych przechodniów – wracających z pracy do domu albo zdążających na umówioną kolację – dotarł do niego ogrom ich czynu, budząc w nim rosnącą panikę i niedowierzanie. Claire była martwa. Jeszcze rano żyła, zajmowała się swoimi sprawami, a teraz leżała zakopana w ziemi. Corbin zatrzymał się, od tyłu wpadł na niego mężczyzna z otwartym parasolem.

– Przepraszam – powiedział Corbin, skręcając w zaułek, gdzie oparł się dłońmi o kolana. Mdlilo go, serce trzepotało mu w piersi. Wziął kilka głębokich oddechów, by wypełnić płuca czarnym miejskim powietrzem.

Po chwili poczuł się lepiej. Wrócił myślami do tego, co zrobiła Claire, żeby przywołać w sobie gniew, który wcześniej czuł. Powoli działało, zwłaszcza gdy przypomniał sobie pełne litości spojrzenie, którym spoglądała na niego na cmentarzu, jakby był żalonym dupkiem. Trzymał się tych myśli, idąc do domu. Musiał wziąć prysznic.

Usłyszał o niej dopiero po dwóch dniach.

– Znałeś Claire Brennan, prawda? – zapytała go studentka z UCLA.

– Pewnie, znałem. A co?

– Podobno zaginęła.

– Poważnie? – Corbin wcześniej ogromnie się bał, że ktoś go zapyta o dziewczynę, a teraz, gdy się to już stało, czuł się dobrze. Jego głos brzmiał naturalnie.

– Tak. Nie przyszła do Three Lambs, ktoś sprawdził u niej na kwaterze, ale jej nie ma.

– Może wcześniej pojechała do domu.

Corbin szykował się do wizyty policji, ale nigdy się jej nie doczekał. Kilka dni później siedział już w samolocie do Stanów, żłopiąc w pierwszej klasie jedno piwo za drugim i czując, jak rozluźniają mu się mięśnie, jak ustępuje ucisk w żołądku. Nawet nie zdawał sobie sprawy, w jakim napięciu żył przez ostatnie kilka dni w Londynie. Wtedy ledwie spał, a gdy już zasypiał, krążył po bladym królestwie, gdzie nakładają się na siebie sny i wspomnienia. Budził się zlany potem, dręczony wyrzutami sumienia, nie wiedząc, czy to, co się wydarzyło na cmentarzu, to rzeczywistość, czy gra wyobraźni. Gdy zrozumiał, że rzeczywistość, dopadło go przerażenie, o wiele większe niż tamto w koszmarach sennych. Teraz gdy siedział w samolocie, i opuszczał Anglię, poczuł obezwładniającą ulgę. Czy już był wolny? Zbrodnia uszła im na sucho? Oczywiście kiedyś ciało zostanie odnalezione, a wówczas zostanie przeprowadzone śledztwo w sprawie morderstwa. Czy będą go szukać? Jego i Henry'ego? Wiele zależało od tego, co Claire mówiła znajomym o swoim życiu, ile im zdradzała. Czy prowadziła pamiętnik? Z Corbinem

wymieniała mejle, ale raptem parę razy i nic osobistego. Na większość randek umawiali się twarzą w twarz w pubie. Niewykluczone, że tylko ona знаła prawdę o swoim życiu intymnym. Była niewątpliwie skryta, skoro ukrywała istnienie jednego chłopaka przed drugim.

Po powrocie do Bostonu Corbin przez tydzień mieszkał u ojca na Beacon Hill. Przyjechała matka i zabrała go na lunch. Dawno jej nie widział, teraz więc dostrzegł bez trudu, co zrobiła z twarzą. Usta były pełniejsze, a czoło gładkie. Pytała go, jak zawsze, o ojca. Nie powiedział jej nic oprócz tego, że ojciec jest szczęśliwy, czyli coś wręcz przeciwnego niż matka chciała usłyszeć.

Przeprowadził się do Nowego Jorku i zaczął staż w Briar-Crane. Lepiej sypiał, obrazy z londyńskiego cmentarza trochę wyblakły. Wytrwale śledził Henry'ego Wooda, wiedząc, że on też odbywa staż w Nowym Jorku. W Londynie uzgodnili, że zerwą ze sobą kontakty. Ustalili, że gdyby pytała ich policja, powiedzą, że w zasadzie się nie znają, że najwyżej dwa–trzy razy rozmawiali ze sobą w pubie. Corbin bardzo chciał się dowiedzieć, czy do Henry'ego zgłosiła się policja. Pewnie nie. Jeśli wiedzieli tak mało, że nie przeszuchali jego, to pewnie nie dotarli również do Henry'ego.

Nie chodziło mu wyłącznie o informację, czy Henry był przesłuchiwany. Po prostu bardzo chciał go znowu zobaczyć. Nawet nie wiedział, z jakiego powodu. Po części pewnie dlatego, że skoro dzielili doświadczenie tak grzeszne i tak osobiste, Corbin musiał sprawdzić, jak wpłynęło ono na współnika. Czy prześladował go obraz martwego ciała Claire? Czy miał problemy ze snem? Czy w ogóle żałował tego, co zrobili?

W wynajmowanym na Manhattanie pokoju miał internet, ale nigdy nie wyszukiwał online artykułów dotyczących Claire, żeby nie zostawić kompromitujących śladów w przeglądarce. Chodził natomiast codziennie do pobliskiego kiosku sprzedającego zagraniczną prasę, kupował „Timesa” i sprawdzał, czy pojawiło się tam coś na jej temat. 15 czerwca znaleziono ciało, wygrzebał je w czasie spaceru wilczarz irlandzki. Ukazał się wielki artykuł. Opublikowano zdjęcia Claire, na których wyglądała na różanicę i piękną dziewczynę, a także zdjęcie jej rodziców, jak przyjeżdżają do Londynu zidentyfikować ciało. Nie pojawiła się żadna wzmianka o podejrzanych ani o ewentualnym związku Claire z amerykańskim studentem. Po przeczytaniu Corbin wyrzucił gazetę do ulicznego śmietnika, jak zawsze.

Na początku lipca, pijąc z kolegą z pracy w Jimmy's Corner, zauważył Henry'ego: siedział w boksie ze starszą kobietą w eleganckim kostiumie. Miał na sobie jasnoszary garnitur, poluzowany kasztanowy krawat i krótko obcięte włosy. Corbin właśnie mówił coś do Barry'ego, kolegi stażysty, ale na widok Henry'ego urwał.

– Coś się stało? – zapytał Barry, oglądając się na miejsce, w którym utkwiał wzrok Corbin.

– Nie, nic. Myślałem, że to znajomy. Co to ja mówiłem?

Przez resztę rozmowy Corbin nie odrywał wzroku od Henry'ego, nie wiedząc, co robić. Mają dalej udawać, że się nie znają? Gdy koledzy Corbina postanowili przenieść się do innego baru, został, choć nadal nie wiedział, czy powinien podejść do Henry'ego. Bardzo jednak chciał się dowiedzieć, co u niego. Dopił koktajl z burbonem, zamówił następny. Upił łyk, gdy poczuł, jak ktoś dotyka jego ramienia.

– Człowieku, właśnie się zastanawiałem, kiedy na ciebie wpadnę.

– Cześć, Henry. Widziałem cię, nie wiedziałem tylko...

– Powinieneś podejść. Poznać Annę. Musiała już wyjść i ja sam właśnie miałem wychodzić, kiedy zobaczyłem, że się tu czaisz. – Roześmiał się, a Corbin się uśmiechnął. – To miejsce jest wolne? Proszę,

proszę, co ty tam pijesz...? Burbona? No ładnie, kilka tygodni w mieście i już...

Zamówił dla siebie to samo i stuknęli się szklankami.

– Za nas – powiedział Henry i ciszej dodał: – I żeby nam to uszło na sucho. – Odpukał w drewno baru.

Lato spędzili w swoim towarzystwie, spotykali się co wieczór po pracy na drinka w Jimmy's Corner. Czasami trafiali się tam inni goście – koledzy z pracy, z college'u – ale najczęściej byli sami. Zwykle pili martini, zmieniając składniki co wieczór w poszukiwaniu kompozycji doskonałej. Po pierwszym koktajlu przenosili się do innych lokali, spożywać inne alkohole. Henry miał zasady: „Późną porą nie oddalaj się od centrum”, „W każdym barze wypijaj najwyżej dwa drinki”. „Nie marnuj czasu na zagadywanie dziewczyn przed północą”.

Łamali te zasady, ale nieczęsto.

Ich wspólne wieczory zlewały się w jedną wielką barwną imprezę. Henry zaprzyjaźniał się w każdym lokalu, do którego zaszli, ale nigdy nie zostawił Corbina. Zawsze pod koniec się odnajdywali. Czasami oczywiście Henry'emu udało się podłapać towarzystwo na noc. Ale zawsze to był układ na jeden raz i nigdy nie przerodził się w nic poważnego. W którąś duszną lipcową noc w barze o nazwie Balcony Henry wyszedł z nowo poznaną parą, starszym mężczyzną i młodą kobietą, a Corbin przypomniał sobie imprezę w Londynie, na której przyjaciel zapraszał go do sypialni. Zastanawiał się, czy doczeka się podobnego zaproszenia, nocy, która zakończy się tak, że Henry i Corbin wylądują w łóżku z jakąś kobietą. Corbin nie miał nikogo od czasu Claire i na samą myśl o seksie żołądek mu się ścisnął od mieszanki niepokoju i pożądania. Ale nigdy do tego nie doszło. Henry, pomimo swojego powodzenia, jakim się cieszył u kobiet, sprawiał wrażenie, przynajmniej w rozmowie, niezainteresowanego seksem. Zawsze natomiast interesował się rozmowami o morderstwie.

Gdy zostawali sami, niestrudzenie analizowali, co się stało z Claire, opowiadając sobie to tak, jak nowi kochankowie opowiadają sobie, jak się poznali, wałkując temat w kółko i wspominając każdy szczegół.

– A wtedy tak na ciebie spojrzała, Jezu, jakbyś był jakimś chłopczykiem, który dał się namówić na brzydkie rzeczy – mówił Henry.

– O, dobrze pamiętam to spojrzenie.

– Pomyliła się co do ciebie, to oczywiste.

Dzięki rozmowom z Henrym Corbin czuł się nieskończenie lepiej, było mu na duszy lżej z morderstwem, którego dokonali. Wciąż z przerażeniem myślał o tym, co wyszło na jaw na londyńskim cmentarzu, ale dzięki rozmowie na ten temat, zwłaszcza takiej jak ta z Henrym, już nie wydawało mu się to takie nienormalne. Zostali skrzywdzeni i się zemścili. A teraz uchodziło im to na sucho. I to wszystko.

– Pomyśl o tych wszystkich facetach, których uratowaliśmy przed Claire Brennan – lubił mówić Henry.

– Warto było. Bóg wie, ilu ich jest.

Pod koniec lata, tuż przed rozpoczęciem zajęć, Corbin zabrał Henry'ego do domu w New Essex, w czasie gdy matka z jego bratem udali się w podróż do Europy. Przez trzy ciepłe dni przerywane gwałtownymi opadami deszczu mieli dom dla siebie. Oglądali filmy – głównie thrillery z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych – a dzięki deszczom mieli wyłącznie dla siebie również plażę,



plywali przy każdej pogodzie, nawet w czasie burzy od zmierzchu, gdy woda pieniała się wokół nich od gwałtownej ulewy.

Ostatniej nocy obejrzeni *Nóż w wodzie*, a potem usiedli na tarasie przy butelce drogiego bordo matki Corbina i wypalili skręta.

– Powinniśmy znowu to zrobić – powiedział Henry.

– Co dokładnie? Przyjechać tu? Kiedyś na pewno.

– Nie. Mówię o Claire, o tym, co zrobiliśmy z nią. Powinniśmy to kiedyś powtórzyć.

Słońce zachodziło, dom rzucał długi, wąski cień na wydmy i na plażę.

– Ale z odpowiednią osobą – powiedział wreszcie Corbin, gdy zrozumiał, co właściwie Henry proponuje.

– No pewnie, kurwa, że z odpowiednią osobą. – Henry podsunął swoje krzesło, wyciągnął paczkę parlamentów i zapalił jednego. – Z kimś takim jak Claire. Z taką, co będzie chodziła z dwoma facetami naraz, z nami obydwojma, i będzie się jej zdawało, że może to robić bezkarnie. Latem myślałem o Annie, ale zrozumiałem, że nie wytrzymam z nią już ani chwili. Mógłbyś ją poderwać któregoś wieczoru, zobaczyć, co robi, no, wiemy, co robi, a potem byśmy ją ukarali tak jak Claire.

Corbin poczuł ucisk w żołądku, ale w podnieceniu Henry’ego było coś zaraźliwego. A im dłużej znał Henry’ego, tym bardziej chciał mu się przypodobać.

– Musielibyśmy zachować wielką ostrożność. Z Claire mieliśmy dużo szczęścia.

– Wiem przecież. Cały czas o tym pamiętam. Ale weź pod uwagę, że mamy siebie. Zawsze możemy sobie nawzajem zapewnić alibi. Zawsze będziemy się chronić.

Plażą szybkim krokiem szła kobieta w średnim wieku i Corbin przez jedną straszną chwilę sądził, że wróciła jego matka. Gdy przyjrzał się uważnie, stwierdził, że kobieta nie jest ani trochę do niej podobna. Sięgnął do popielniczki po zapalonego papierosa i zaciągnął się głęboko, zanim sobie uświadomił, że to papieros Henry’ego.

– Przepraszam cię. Właśnie się zaciągnąłem twoim papierosem. – Odłożył go obok resztki skręta, którego wcześniej wypalili.

– Nic się nie przejmuj. To nie jest mój papieros, to nasz papieros.

– Ja w ogóle nie palę. Pewnie jestem tak ujarany.

– No wiem, człowieku – odrzekł Henry i zaczął się śmiać. Corbin do niego dołączył, a ich śmiech mieszał się z niemilkającymi krzykami mew.

Kandydatkę znaleźli dziesięć miesięcy później. Nazywała się Linda Alcheri, Henry poznał ją w Hartford, gdy przeprowadziła się tam po ukończeniu Aurelius College. Corbin wrócił tymczasem do Nowego Jorku, gdzie zaproponowano mu pracę w Briar-Crane.

– Rzecz w tym – powiedział przez telefon Henry – że zaczęła mówić mi o miłości tydzień po pierwszej randce. A ja wiem, że to gównieście. No i wcześniej zabrałem do naprawdę kosztownej restauracji. To na pewno nie jest zbieg okoliczności.

– To nie znaczy, że cię zdradza.

– Och, myślę, że przespałaby się z pierwszym lepszym, gdyby jej się to opłacało. Tylko by zobaczyła,

jak nosisz te swoje koszule marki Brooks Brothers, a rzuciłaby mnie bez wahania.

Więc Corbin pojawił się w weekend, gdy Linda Alcheri urządzała u siebie przyjęcie urodzinowe. Mieszkała na osiedlu w zachodnim Hartford, a impreza odbywała się na dachu dostępnym dla wszystkich lokatorów. Henry wyszedł szybko, ale Corbin został do późnej nocy jako ostatni gość.

– Jak się dostaniesz do Hanka? – zapytała Linda. Musiała się chwycić poręczy, żeby nie stracić równowagi.

– Nazywasz go Hank?

– A ty nie?

– Nie, ja nazywam go Henry.

– Henry, Hank. Wszystko jedno. A swoją drogą, gdzie on jest? – Rozejrzała się, jakby Henry nadal mógł się znajdować na dachu.

Zabrał ją do sypialni, opierała się o niego całym ciężarem.

– Dzięki, Corbin – powiedziała i pocałowała go zdawkowo w kącik ust. Weszła do pokoju, zamykając za sobą drzwi. Corbin zadzwonił do Henry'ego.

– No i? – zapytał Henry.

– Pocałowała mnie na dobranoc, a teraz padła u siebie w sypialni.

– Jak cię pocałowała?

– Zupełnie niewinnie.

– Powinieneś wpakować się jej do łóżka, i zobaczymy.

– Jest całkiem pijana.

– Właśnie.

– Nie, nie ma mowy. Przyjedź po mnie.

– Przyjadę rano. Prześpij się na kanapie.

Corbin rozebrał się do bokserek i położył pod kocem na kanapie. Zawsze miał problemy ze snem, a jeśli wypił za dużo, kłopoty z zaśnięciem stawały się jeszcze większe. Leżał więc, wpatrując się w sufit starego mieszkania. Coś błyszczało w tynku. Martwił się trochę, że Henry planuje kolejne zabójstwo, ale bardziej bał się utracić jego przyjaźń. Kilka razy wspominał o swoich wątpliwościach, a wówczas Henry patrzył na niego rozczarowany.

– To decyduje, kim jesteśmy, Corbs – powiedział. Pojechali na długi weekend ferii zimowych na narty w Sunday River. – Zresztą jak często zamartwiasz się losem Claire Brennan?

– Nie zamartwiam się w ogóle – odrzekł Corbin. Ale to nie była prawda. Myślał o Claire, choć nie tak często jak kiedyś, a kiedy już myślał, to przypominał sobie, że to ona połączyła go z Henrym. To właśnie jej zawdzięczał. Przyjaciela.

– No właśnie – rzekł Henry. – Znajdziemy kogoś takiego jak ona, kogoś, kogoś świata nie będzie brakować. Zupełnie jakbyśmy zdeptali robaka.

Gdy tylko niebo pojaśniało, Corbin poczuł, jak jego powieki stają się ciężkie. Zamknął je, obrócił się na bok i już miał zasnąć, gdy przebudziły go kroki bosych stóp na parkiecie. Stała nad nim Linda, ubrana tylko w starą koszulkę wahlersów, która sięgała jej do pupy. Wzięła Corbina za rękę i zaprowadziła do

swojej sypialni.

– Dygoczesz – powiedziała, gdy znaleźli się razem pod kołdrą.

– Może mnie rozgrzejesz? – odrzekł, wiedząc, że jej los jest przesądzony.

Dwa tygodnie później Henry zwabił Lindę na teren opuszczonego obozu skautowskiego nad bagnistym stawem, czterdzieści pięć minut od Hartford, mówiąc, że zabiera ją do luksusowego domku przyjaciela. Tam czekał Corbin, upozowany tak samo jak poprzednim razem, jakby ktoś go zaszytował. Czuł się podobnie jak wtedy na londyńskim cmentarzu, a jednocześnie zupełnie inaczej. Gdy tak leżał, a wilgoć ziemi przenikała jego ubrania i sztuczna krew zasychała mu na szyi, wiedział, co planują, wiedział, że Linda umrze bolesną, przeraźliwą śmiercią, i ogarnęło go coś na kształt przerażenia. Zimny, paraliżujący strach, którego doświadczał jako małe dziecko, gdy gasło światło, i nie mógł spać, bo zaczynały szeptać potwory kryjące się w ścianach. W głowie mu się zakręciło – nie spał ani nie jadł od osiemnastu godzin – usiadł więc, by zaczerpnąć sosnowego powietrza.

Henry i Linda znajdowali się dziesięć metrów od niego, on trzymał rękę na jej ramieniu.

Gdy Linda zobaczyła, jak Corbin wstaje spryskany krwią, wyrwała się Henry'emu i z krzykiem pobiegła w głąb lasu. Henry ruszył za nią. Corbin też, gdy już stanął na drżących nogach. Może nie było za późno, by jej powiedzieć, że to jedynie upiorny żart? Ale zanim ich dogonił, Henry zdążył ją zabić wielkim kamieniem o ostrych krawędziach.

– Przepraszam, chyba już nie żyje – powiedział z uśmiechem, patrząc na jej wgniecioną czaszkę. Corbina oblał zimny pot i przez chwilę miał wrażenie, że zemdleje. Henry strzelił palcami.

– Ej, nic ci nie jest?

– Nie, w porządku – odrzekł. Było po wszystkim. Linda nie żyła.

Razem wyciągnęli jej ciało z lasu, a Henry wysłał Corbina do swojego SUV-a po łopatę.

Do miejsca, w którym Henry zostawił wóz, trzeba było iść prawie pół kilometra – Corbin mówił sobie po drodze, że to, co zrobili, czyni ich wyjątkowymi, lepszymi niż reszta świata – a gdy wrócił na teren obozu z łopatą w dłoni, był gotów przystąpić do rytualnego aktu pochowania ciała. Zatrzymał się jednak jak wryty na widok Henry'ego nad zwłokami Lindy – jego przyjaciel stał z szerokim uśmiechem i wyciągniętymi dłońmi, jakby prezentował mu podarunek. Corbin spojrzął na ziemię. Henry rozciął Lindę nożem, poprowadził głębokie cięcie od włosów, przez środek twarzy, dalej przez klatkę piersiową, przecinając ubrania i skórę.

Corbin odwrócił się, padł na kolana i zwymiotował na przerośnięty chwastami żwir.

– Przepraszam – powiedział Henry. – Sądziłem, że ci się spodoba. Połowa dla ciebie, połowa dla mnie. Dzielimy wszystko na pół.

– To jest... – zaczął Corbin, ale nie mógł dokończyć.

– Trochę teatralne? – Henry wybuchnął śmiechem.

Corbin podniósł głowę. Henry podawał mu gumowe rękawice, w barwie cielistej jak jego własne. Corbin zauważył też teraz cieniutką włóczkową czapkę, której Henry wcześniej na sobie nie miał.

– Pochowajmy ją i spierdalajmy – powiedział, biorąc rękawice.

Corbin z całych sił starał się nie patrzeć na dziewczynę, gdy kopali grób, a potem wtaczali do niego zwłoki, ale tamten widok: skóry złączającej z twarzy Lindy, gdy czarne muchy już się zlatywały w jasnym

lipcowym słońcu, tkwił w jego pamięci długo po tym, jak uprzątnęli miejsce zbrodni i się rozeszli. Pozostał – stale schowany pod powiekami – na całe tygodnie. Ilekroć zamykał oczy, ilekroć mrugał, widział ją. Jego problemy ze snem się pogłębiły, podobnie jak paranoja. Wciąż czekał, aż policja stanie w jego drzwiach, zwłaszcza odkąd się dowiedział od Henry’ego, że Linda Alcheri nie znała jego prawdziwego imienia i nazwiska. Przedstawił się jej jako Hank Bowman, skłamał też, mówiąc, gdzie pracuje i skąd pochodzi.

– A ja jej, kurwa, podałem swoje prawdziwe imię na tej imprezie – warknął przez telefon Corbin.

– Ale daj spokój, ona nikomu nie powiedziała.

– Mogła powiedzieć komuś ze znajomych, zapisać je gdzieś, Jezu...

– Przepraszam. Powinienem cię uprzedzić, żebyś jakieś zmyślił. Ale podałeś jej samo imię, tak? Nie nazwisko? Musisz wyluzować.

– Tam byli jej znajomi, im też się przedstawiałem.

– Ja również. Jedziemy na tym samym wózku, ale to nie jest zły wózek, człowieku. Ani trochę. Jeszcze nie znaleźli ciała. Będzie tak jak ostatnio. W życiu nas z nią nie powiążą.

Okazało się, że Henry miał rację.

Podobnie jak Claire Brennan w Londynie, Linda Alcheri stała się nierozwiązaną sprawą z działu osób zaginionych. Jej ciało znaleziono na początku sierpnia, gdy grupa nastolatków wywołała niewielki pożar lasu przy Eel River Pond i trzeba go było ugasić. Ale w żadnych artykułach czy doniesieniach, które Corbin przeczytał, nie pojawiła się wzmianka o Henrym Woodzie, zresztą o Hanku Bowmanie też nie. I żaden śledczy nie stanął pod drzwiami mieszkania Corbina w Nowym Jorku. Raz jeszcze zbrodnia uszła im bezkarnie, ale to akurat nie poluzowało węzła wielkości pięści w żołądku Corbina. W wypadku Lindy było inaczej – zupełnie inaczej niż wtedy, gdy zabili Claire. Wtedy Corbin czerpał siłę z jej haniebnego występku i swojego potężnego gniewu. Wiedziała, jak głęboko był w niej zakochany, i pozwoliła mu wierzyć, że sama czuje coś podobnego. Nie planowali, że ją zabiją. To się po prostu stało, i to wyłącznie dlatego, że Claire się uśmiechnęła. Z politowaniem skierowanym do Corbina.

Nie, z Lindą było inaczej, bo działali z premedytacją. I w jeszcze większym stopniu przypominało to jakąś chorą, pokręconą grę. Corbin zaczął się zastanawiać, czy Henry naprawdę był w związku z Lindą. Mówił, że tak, ale może skłamał.

Corbin wciąż wracał myślą do tamtej imprezy na dachu, przypominał sobie, jak Linda się zachowywała wobec Henry’ego, zanim wyszedł. Chyba się ucieszyła na jego widok, dała mu całusa na powitanie, ale nie przytuliła się, nie okazywała żadnych czułości. Zajmowała się innymi gośćmi. Może Henry był po prostu facetem, z którym czasami sypiała bez zobowiązań. A jeśli tak się przedstawiały sprawy, to, co zrobiła z Corbinem, nie było oczywistą zdradą. Henry posunął się do manipulacji, okłamał go co do charakteru ich związku. Prawda?

Z obsesyjną regularnością i intensywnością Corbin usiłował sobie przypomnieć wszystkie szczegóły, które doprowadziły do śmierci Lindy: co się wydarzyło, kiedy obudziła go na kanapie, a potem zaciągnęła do sypialni.

– Nie cierpię spać sama – powiedziała. – Czy to znaczy, że jestem dziwką?

Corbin przypominał sobie, że z porów jej skóry bił silny zapach alkoholu, że wyciągnęła rękę

i dotknęła go, a potem zaproponowała, że może by się chociaż przytulili.

– A co z Henrym? To znaczy z Hankiem?

– Och – sprawiała wrażenie zaskoczonej pytaniem. – Wszystko w porządku.

„Była duszą towarzystwa, to na pewno” – tak mówiło wielu znajomych o Lindzie Alcheri po znalezieniu jej ciała. Ten cytat powtarzał się najczęściej. Nikt nie wspomniał o jej chłopaku.

Im więcej Corbin o tym myślał, tym wyraźniej zdawał sobie sprawę, że Henry strasznie chciał znowu zabić, powtórzyć tamto zdarzenie z Londynu, i dopiął celu, okłamując Corbina. Dopilnował, by ten spędził noc z dziewczyną, która pewnie sypiała ze wszystkimi. To była całkowicie inna sytuacja niż tamta z Claire.

Wszystko zaplanował, wiedział nawet, co zrobi z twarzą Lindy, gdy już ją zabiją.

A może zaplanował też morderstwo Claire w Londynie?

Czy sugerował, by wzięli na cmentarz nóż i łopatę?

Ale nóż i łopata znalazły się tam celowo, uznał Corbin. Claire miała pomyśleć, że Henry zabił Corbina.

Dlaczego ten nóż był tak ostry?

„Nie – pomyślał Corbin. Henry tego wszystkiego nie zaplanował, bo to on, Corbin, zaczął, to on pchnął Claire, a potem uderzał jej głową o ziemię.

Jednak w środku lata, po nocnej popijawie, zadzwonił do przyjaciela na komórkę.

– No cześć. Miło, że dzwonisz – powiedział Henry.

– Koniec – odrzekł Corbin. – To koniec. Nie chcę już tego robić.

– Nie ma sprawy. Wyluzuj. O czym rozmawiamy?

– Wiesz, o czym rozmawiamy.

Na chwilę zapadła cisza. W dwupokojowym mieszkaniu Corbina w centrum miasta włączyła się klimatyzacja i zaczęła szumieć.

– Człowieku, nie gadajmy o tym przez telefon, dobra? – odezwał się wreszcie Henry.

– Ale ja już skończyłem. Wiesz, o czym mówię, i nie chcę już w tym brać udziału.

– Świetnie. Przyjąłem. Nie będziemy już szukać... hm... dziewczyn do zabawy.

– I uważam, że nie powinniśmy się już spotykać. To ryzykowne i...

Henry milczał.

– Jesteś tam? – zapytał Corbin.

– Pewnie, że jestem. Próbuję zrozumieć to, co właśnie powiedziałaś.

– Myślę... myślę, że nie możemy się już przyjaźnić, przynajmniej na razie. Nie chcę być twoim przyjacielem.

– Czego tylko sobie, kurwa, życzysz. Przyjąłem. Ale nie trać głowy, gościu. Pamiętaj o polaroidach. – Głos Henry’ego się zmienił. Był spokojny. Prawie.

Corbin zakończył rozmowę. Dłonie mu się spociły, wytarł je o koszulę.

Miał nadzieję, że już nigdy nie usłyszy o Henrym.

I rzeczywiście, nie usłyszał przez długi czas. Dopiero gdy poznał Rachael Chess.

Corbin w ogóle nie poznałby Rachael, gdyby zaraz po śmierci ojca nie postanowił naprawić relacji z matką i bratem. Spędzali oni lipiec i sierpień w domu w New Essex na północy Massachusetts, nad oceanem. Corbin, który mieszkał teraz w bostońskim mieszkaniu ojca, zapytał, czy może do nich dołączyć na dwa tygodnie.

Odpowiedź Philipa, jego brata: „Pokój od frontu jest mój, Corbin. Teraz ja zawsze tam śpię”.

Odpowiedź matki: „Sądziłam, że nie cierpisz domu w New Essex. Na plaży są muchy końskie, pamiętasz?”.

Mimo wszystko pojechał. Już pierwszego dnia wiedział, że popełnił błąd. Philip wypłynął łódką na ocean – by nie przywitać się z Corbinem – a matka co prawda siła się na uprzejmości, ale zauważył, jak przygląda mu się w lustrze, przygotowując dzin z tonikiem. Na jej twarzy malowało się ewidentne obrzydzenie, pomarszczone usta wygięły się w kącikach, półprzezroczyste nozdrza lekko się rozděły. Nigdy go nie kochała. Wiedział to od dawna, odkąd był mały, i przyjmował to tak, jak dzieci zawsze akceptują zasady rządzące ich światem. Gdy dorósł, zdał sobie sprawę, że matka nim gardzi, bo jej przypomina męża, a Philipa kocha, bo przypomina ją samą. Jednym z powodów, dla których Corbin chciał odwiedzić matkę po śmierci ojca, była chęć przekonania się, czy choć trochę złagodniała, czy zmieniła nastawienie. Nie zmieniła. Poczł to od razu i w dziwny sposób go to pokrzepiło. Gdyby matka stała się czuła, taka jak była w stosunku do Philipa, to... cóż, na samą myśl robiło mu się niedobrze.

Został jednak na dwa tygodnie, cieszył się domem z widokiem na Atlantyk i spędzał jak najmniej czasu z rodziną. Drugiego dnia zjadł kolację w barze Rusty Scupper, do którego dotarł z domu spacerem, i tam właśnie poznał Rachael Chess. Ona też uciekała od najbliższych, bo właśnie zaczęła doroczne dwa tygodnie wakacji z rodziną w domu stojącym przy plaży publicznej w południowej części miasta. Odprowadził ją i kilka godzin siedział z nią na werandzie, rozmawiając. Opowiedział jej o niedawnej śmierci ojca i o strasznych pozostałych członkach rodziny, Rachael zaś wyznała, że przespała się z żonatym nauczycielem szkoły pielęgniarskiej, w której się uczyła.

Zanim wstało słońce, już się całowali i uzgodnili, że pozwolą sobie na dwutygodniowy romans bez żadnych zobowiązań. Szedł do domu plażą w mlecznym świetle świtu i czuł osobliwy spokój, jakby coś się w świecie zmieniło na jego korzyść.

Umówili się na lunch nazajutrz, a gdy się spóźniała, zastanawiał się, czy aby mu się nie przyśniła. Ale przysłała i przez dwa tygodnie spędzali razem niemal każdą chwilę. Rachael była jak otwarta księga, opowiadała Corbinowi o intymnych szczegółach swojego niełatwego życia. On z kolei opowiedział, jak matka obnosiła się przed ojcem ze swoimi romansami, zresztą przed nim i Philipem też, i to całe lata, zanim ojciec w końcu odszedł. Corbin opowiedział jej nawet o niektórych swoich problemach seksualnych w college’u. Okazała mu współczucie pozbawione cienia litości, aż Corbin stwierdził, że strasznie chciałby jej opowiedzieć o tym, co się stało z Claire w Londynie, a potem z Lindą Alcheri w Connecticut. Wiedział oczywiście, że nie może, ale wtedy po raz pierwszy zapragnął porozmawiać

o tych wydarzeniach z kimś innym. A ponieważ myślał o Claire i Lindzie, nagle zaczęły go nękać koszmarne sny: połączenie dwóch popełnionych przez niego morderstw z obrazami Rachael pędzącej po plaży, z nożem w dłoni. Pod koniec tych dwóch tygodni, gdy i on, i Rachael wrócili już do swoich domów, czuł tęsknotę, ale też ulgę.

Dwa miesiące później przysłała mu esemesa, że jedzie do rodziców na weekend Columbus Day i pytała, czy nie chciałby się tam pojawić. Odpisał, że wyjeżdża służbowo – i rzeczywiście był to wyjazd integracyjny na Kajmany. Ale nawet gdyby nie miał zaplanowanego wyjazdu, nie był pewien, czy chce się znowu spotkać z Rachael. Pamiętał sny.

Po powrocie z wyjazdu dowiedział się, oglądając lokalne wiadomości, że Rachael Chess została zamordowana, a jej ciało w poniedziałek rano znalazł na wydmach poszukiwacz rzeczy wyrzuconych przez fale.

Corbin wziął tydzień wolnego w pracy i nie wyszedł przez ten czas z mieszkania na Beacon Hill, które zostawił mu ojciec. Szef się śmiał, że to Kajmany go wykończyły. Corbin nie powiedział mu, że znał dziewczynę z North Shore, która została zamordowana, chociaż policja spisała jego zeznania, dowiedziawszy się od przyjaciółki Rachael o ich romansie. Policjant przepytął go przez telefon, a potem pewnie sprawdził jego alibi w Briar-Crane. Corbin zeznał, że mieli krótki romans, ale potem prawie się nie kontaktowali.

Nie powiedział im, że wie, kto zabił Rachael Chess. Zabił ją oczywiście Henry i wysłał Corbinowi jednoznaczny wiadomość. Wiedział to, jeszcze zanim policja ujawniła informację, że ciało Rachael okaleczono. Nie określili precyzyjnie, w jaki sposób, ale Corbin wiedział: Rachael miała jedno głębokie cięcie przez środek ciała, tak samo jak Linda Alcheri.

Skąd Henry dowiedział się o Rachael, o jej związku z Corbinem? Czy w sierpniu był w New Essex i go obserwował? Przeraził się na tę myśl. Wyszukał Henry'ego Wooda, ale nic nie znalazł. Ostatnia namierzona przez niego wzmianka dotyczyła wyników biegu przełajowego, w którym Henry uczestniczył jeszcze jako student Aurelius. Spróbował wyszukać Hanka Bowmana, czyli danych, których Henry użył, spotykając się z Lindą Alcheri, ale również bez skutku. Po raz pierwszy rozważał, czy pójść na policję, wyznać wszystko i pokazać zdjęcie z polaroida, na którym Henry stoi nad ciałem Claire Brennan na londyńskim cmentarzu. Ale co by się wówczas stało z nim? Nawet gdyby skłamał i powiedział, że był tylko współnikiem w zbrodni, i tak poszedłby na długie lata do więzienia. Stałby się osobą publiczną, znaną ze względu na popełnienie okropnej zbrodni, a także z tchórzostwa.

Nie, nigdy nie może się przyznać. Uświadomił sobie, że zabijając Rachael Chess, Henry ujawnił się Corbinowi, zamknął go w potrzasku. Był obserwowany, a nie widział swojego prześladowcy. Poczł do niego nienawiść tak wielką, jakiej nie czuł jeszcze nigdy. Zastanawiał się nad jedyną dostępną opcją. Będzie siedział cicho i nigdy już nie zwiąże się z żadną kobietą. Jeśli Henry Wood kiedykolwiek się pojawi, albo jeśli Corbin zdoła go wytropić, sam go zabije. Już raz zabił i zrobi to ponownie.



Wkrótce po śmierci Rachael Chess do pustego mieszkania obok Corbina wprowadziła się Audrey Marshall. Przy Bury Street 101 mieszkały przeważnie starsze wiekiem pary i gdy Corbin po raz pierwszy zobaczył dziewczynę wnoszącą pudła do mieszkania 3C, przeżył wstrząs. Nie należała do kobiet, do których ciągnęło go w sposób naturalny; smukła blondynka, delikatna, o mlecznobiałej skórze. Ale gdy ujrzał, jak się mocuje z drzwiami, z jakim wysiłkiem jej szczupłe ramiona dźwigają pudła, zapragnął jej. zaproponował, że przeniesie jej parę rzeczy z furgonetki zaparkowanej na ulicy, ona zaś ku jego zdumieniu ochoczo przyjęła propozycję. Były to kartony z książkami. Powiedziała, że pracowała jako agentka literacka w Nowym Jorku, ale przeprowadziła się, by podjąć pracę w redakcji największego bostońskiego wydawnictwa. Po rozładowaniu furgonetki powiedziała:

– Mam u ciebie dług. Jak tylko się ogarnę, zaproszę cię na kolację. Nie mogę się doczekać nowej kuchni.

– Nie masz żadnego długu – odrzekł Corbin i wrócił do siebie. Miał nadzieję, że jego oschłość wyeliminuje ewentualność dalszych kontaktów.

I rzeczywiście wyeliminowała, ale na jakiś czas. Mijał Audrey w holu i na dziedzińcu i zawsze zachowywali się grzecznie, choć bez poufałości. Ilekroć ją widział, była sama, zwykle niosła jakiś maszynopis albo książkę. Zaczął sobie wyobrażać jej życie, samotne w nowym mieście, i miał wyrzuty sumienia, że tamtego dnia, gdy się wprowadzała, okazał jej taki chłód.

Druga zima po przeprowadzce Audrey okazała się najgorsza w historii Bostonu, padało dużo śniegu, a temperatura sięgała najwyżej zera. Największe burze zaczęły się w styczniowy czwartek i sparaliżowały miasto na cały weekend, a nawet część poniedziałku. Właśnie w czasie tego weekendu Audrey, dwadzieścia minut po przywitaniu się z Corbinem w holu, stanęła na jego progu.

– Miotam się z kąta w kąt i w końcu zrobiłam tyle chili, że nakarmiłabym pułk wojska. Przyjdź, proszę, skosztować.

– Ale...

– Nie przyjmuję odmowy, no chyba że masz inne plany, i nie podrywam cię, słowo honoru. Nie musisz siedzieć długo.

Corbin zgodził się przyjść o osiemnastej. Znalazł dobre czerwone wino i zmienił garnitur na dżinsy i flanelową koszulę. Zapukał do jej drzwi o osiemnastej pięć, a ona wpuściła go do mieszkania znacznie mniejszego niż jego własne, szczytowe. Z głośników leciało radio, NPR, a Corbin zastanawiał się, czy to świadomy wybór, tak by ich wspólny posiłek sprawiał mniej romantyczne wrażenie. Jeśli tak, to plan spalił na panewce. Gdy Audrey doglądała chili, Corbin przygotowywał sałatkę, a w tle leciały wiadomości dnia; od razu zaczęli sprawiać wrażenie, jakby stali się parą. Czuli się dobrze ze sobą, rozumieli się wzajemnie i nie było między nimi dystansu. Został do północy. Wypili przyniesione przez Corbina wino, a także następne, które wyjęła Audrey. Przyznała, że czuła się samotnie w Bostonie, ale

nie nieszczęśliwa. On jej powiedział, że uwielbia swoje życie singla. Już w swoim mieszkaniu, myjąc zęby, Corbin poczuł ostre ukłucie w klatce piersiowej. Sądząc, że to zgaga, przycisnął dłoń do mostka. Ze wstydem stwierdził jednak, że z oczu płyną mu łzy. Po wieczorze z Audrey uświadomił sobie, jak bardzo stał się samotny.

Nie widzieli się przez ponad tydzień, aż do chwili gdy Corbin otwierał drzwi, by wpuścić Sandersa, który drapał w nie od ponad dziesięciu minut. Audrey właśnie szła korytarzem, zdejmując długi puchowy płaszcz wilgotny od świeżego śniegu.

– Cześć, nieznajomy – powiedziała.

Zaprosił ją do środka, ponieważ jeszcze nie widziała jego mieszkania, a w końcu wypili wino i zamówili pizzę.

– Lubię cię – powiedziała pod koniec wieczoru. – Chociaż zupełnie nie umiem cię rozgryźć. Jesteś totalną zagadką.

– Nieprawda, wierz mi – odrzekł.

– Owszem, jesteś. Pocałujesz mnie?

Pocałował i Audrey została na noc. Gdy już zasnęła, Corbin poszedł do łazienki na drugim końcu mieszkania, usiadł na muszli klozetowej i znowu płakał. Miał wrażenie, że w jego klatce piersiowej tkwi nóż. Kilka noży.

– Moglibyśmy pogadać? – spytał ją rano, gdy się ubierała. W ogóle nie spał.

– To wyszło tak nagle – odparła. – Masz dziewczynę? Jesteś gejem? Dopiero co zakończyłeś bardzo toksyczny związek?

– Nic z tych rzeczy. Ale mam dziwną prośbę i rozumiem, jeśli nie będziesz chciała mieć ze mną nic wspólnego, gdy już ją usłyszysz.

– Dobra. – W jej głosie pojawiła się czujność. Stała w dzinsach i cienutkim różowym staniku, którego jeszcze nie zapięła na plecach. Corbin zauważył bladą bliznę po operacji wyrostka nad prawym biodrem.

– Bardzo bym chciał dalej się z tobą spotykać, ale możemy się widywać tylko tutaj, w tym budynku. U mnie albo u ciebie, jak wolisz, ale nie w miejscach publicznych. Wiem, że to brzmi strasznie, ale mam powód, by cię o to prosić i nie mogę ci go podać.

– Najwyraźniej masz dziewczynę – orzekła.

– Nie mam. Wiem, że mi nie uwierzysz, ale naprawdę nie mam. Chodzi o coś innego i nie mogę ci powiedzieć o co. Jedyne, co mogę powiedzieć, to że miewałem już kiedyś dziewczyny i coś mi nie wyszło, więc przysiągłem sobie, że już nigdy się z nikim nie zwiążę. Ale teraz jest okej, po prostu musimy się spotykać tutaj, tylko tu, w tym budynku.

Zapięła stanik i odetchnęła głęboko.

– Dobra – powiedziała. – To nawet wygodne. – Roześmiała się, Corbin odniósł jednak wrażenie, że ten śmiech jest trochę wymuszony.

Ich układ rzeczywiście przez jakiś czas zdawał egzamin. Na ogół on chodził do niej. Przynosił wino i oglądali film w telewizji albo gotowali coś razem. Audrey pociągająca go wieloma cechami. Była praktyczna, zupełnie pozbawiona fałszu, zawsze mówiła mu, jak się czuje. W łóżku była chętna, ale nie nadgorliwa. Nie świntuszyła i wołała to robić przy wyłączonym świetle, tak jak on. Od czasu do czasu

przywoływała jednak temat ich ustaleń. Czasami w charakterze żartu: „Więc które z nas pójdzie do 7-Eleven po lody, skoro nie możemy iść razem?”. Czasami nie : „Przyjeżdża moja siostra, to śmieszne, że nie mogę cię jej przedstawić. Rozumiesz, prawda?”.

Corbin zawsze udzielał tej samej odpowiedzi. Że to bezdyskusyjne, nikt nie może ich razem zobaczyć, i że to ma związek wyłącznie z nim, ani trochę z nią. Ale za każdym razem, gdy musiał to mówić, rosła jego nienawiść do Henry’ego i gniew. Henry uczynił Corbina mordercą, a jakby tego było mało, teraz koniecznie chciał mu zniszczyć życie, pozbawić go wszelkiej szansy na szczęście. Dlaczego? Bo już się nie kumpłowali?

W wolnym czasie Corbin szukał Henry’ego Wooda w internecie, kontaktował się nawet z ludźmi, którzy tak jak on wyjechali wtedy do Londynu, wypytywał, czy może wiedzą, co się z nim stało. Ktoś powiedział, że wpadł na Wooda w Nowym Jorku, ale ponad dwa lata temu. Myśl, że znajdzie Henry’ego, a ten będzie musiał za wszystko zapłacić, nie dawała Corbinowi spokoju, zwłaszcza teraz, gdy był z Audrey. Gdyby Henry nie żył, on mógłby się z nią spotykać bez ciągłego lęku, że ktoś ich razem zobaczy. Bardzo chciał widywać się z Audrey, a jednocześnie nieustannie drżał, że pewnego dnia po powrocie do domu dowie się, że dziewczyna została zamordowana, że Henry, niewidzialny potwór, dowiedział się o nich i Audrey musiała zapłacić swoim życiem za ich związek. Corbin żył w nieprzerwanej paranoi.

Najgorszy moment nastąpił, gdy poszedł na drinka z jedynym oprócz ich dwojga młodym mieszkańcem budynku, Alanem Cherneyem, z którym kiedyś parę razy zagrał w racquetballa. Alan bezceremonialnie spytał go, czy spotyka się z Audrey – słyszał plotki, jak to ujął, choć nie powiedział, gdzie dokładnie je słyszał. Corbin udawał spokój, ale przez następne dwadzieścia cztery godziny nieustannie odtwarzał w głowie tę rozmowę. Skoro Alan wiedział, że oni się spotykają, to inni też mogli to wiedzieć. A jeśli wiedzieli inni, to również Henry, gdziekolwiek był, mógł się o tym dowiedzieć i dopadnie Audrey, tak jak dopadł Rachael Chess.

Chociaż się nie umawiali, nazajutrz wieczorem wpadł do Audrey i oskarżył ją, że komuś w budynku powiedziała o ich związku.

Jej oczy z niedowierzania zrobiły się wielkie jak spodki.

– Chryste, Corbin – powiedziała, kręcąc głową.

– To nie jest zabawne. Poszedłem do knajpy z gościem z naprzeciwka, a on mnie o nas zapytał. Wiedział.

– I co z tego?

Corbin odczekał dwie sekundy, aż mu się rozluźnią mięśnie szczęki.

– Wiem, że ty się nie przejmujesz, bo nie wyjaśniłem ci, w czym rzecz, ale tłumaczyłem przecież, jak ważne jest dla mnie, żeby nikt o nas nie wiedział. Nie udawaj, że to błahostka.

– Nie zamierzam. Uwierz mi, wiem, że to nie jest błahostka. Co mam powiedzieć? Nikomu nic nie mówiłam. Nie wychodzimy razem, więc nie mam pojęcia, skąd on o nas wie.

– No ale wie.

– Kto to jest? Znam go?

– Alan jakiś tam. Mieszka z drugiej strony.

Audrey spojrzała za okno.

– Mieszka naprzeciwko mnie. Mam widok na jego mieszkanie, więc on ma na moje. I na ciebie. To wszystko.

Corbin wyjrzał przez okno salonu Audrey na ciemne okna po drugiej stronie dziedzińca.

– Tak sądzisz? – spytał.

Audrey uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd Corbin wszedł do mieszkania. Niezbyt szeroko, ale jednak.

– No. Bo co innego? Pewnie mnie podgląda i widział, jak przychodzisz. Wielkie mi halo.

– Nie przejmujesz się, że on cię podgląda?

– Nie wiem. Może to podniecające. Może powinnam chodzić z nim, a nie z tobą. – Ciągłe się uśmiechała. Corbin podszedł do okna i zaciągnął zasłony.

Tamta noc, tamta rozmowa to był początek końca.

Corbin nawet się nie zdziwił. Wiedział, że ten związek nie będzie trwał wiecznie. Spędzili razem jeszcze kilka nocy, ale Audrey wciąż go naciskała o wyjawienie powodu skrytości ich układu. On zaś mógł powtarzać tylko: „To dla twojego bezpieczeństwa, musisz mi uwierzyć”.

– Masz pojęcie, że to brzmi upiornie?

Gdy nastąpił oficjalny koniec, Corbin w pewien sposób poczuł ulgę. Wrócił do samotnego życia, do pracy do późna, codziennej siłowni, ale przynajmniej wiedział, że Audrey nie stanie się krzywdą. Czasami fantazjował, że otwiera gazetę i widzi nekrolog Henry’ego Wooda. Wyobrażał sobie, że spotyka Audrey na ulicy w biały dzień i całuje ją na oczach wszystkich. Wyglądałoby to jak na filmie z rodzaju tych, których serdeczne nie znosił, ale co tam. Nie mógł się pozbyć tego obrazu z głowy.

Gdy pojawiła się okazja przenosin do Londynu, ochoczo z niej skorzystał. Przyda mu się pół roku z dala od Bury Street, od Audrey za ścianą, i jej też się przyda. Denerwował się na myśl o powrocie do miasta, w którym zakochał się w Claire Brennan i poznał Henry’ego Wooda, ale z tego miasta pochodził też jego ojciec. Może nawiąże kontakt z tamtą częścią rodziny? Przypomniał sobie zdjęcia, które ojciec mu pokazał po podróży do Anglii rok przed śmiercią. Na kilku była kuzynka ojca, Lucy, z mężem i córką. Od czasu, gdy zrobiono te zdjęcia, tej córce coś się stało; prześladował ją były chłopak i niemal jej nie zabił. W każdym razie tak mówiła matka Corbina, choć nie wiadomo, skąd się o tym dowiedziała. Corbin napisał do kuzynki ojca, do tej Lucy, że prawdopodobnie przyjeżdża do Londynu i może by się spotkali. To ona zasugerowała, by się zamienili mieszkaniami z Kate. Uważała, że jej córce przyda się odrobina przygody. Wszystkie ustalenia przebiegły gładko. Świadomość, że Kate się wprowadzi do jego mieszkania, jakoś pokrzepiała Corbina. Może jego kuzynka zaprzyjaźni się z Audrey i będzie mu przekazywać o niej jakieś informacje. Byłaby to pewna forma kontaktu, choć wątki.

Pierwszego poranka w przytulnym mieszkanku Kate Corbin wyszedł do najbliższego sklepu po jedzenie, wodę butelkowaną i wino. W czasie tej wyprawy czuł ogromną ulgę, że nie natknął się na Marthę, sąsiadkę z góry. Popełnił błąd, że po pijaku macał się z nią poprzedniego wieczoru. Trudno będzie teraz jej unikać, choć nie jest to niemożliwe.

Rozpadało się i lało przez cały dzień, ciężkie strugi chłostały szyby w oknie wykuszowym. Corbin głądał angielską telewizję, robiąc pompki i przysiady, potem ugotował sobie pierś kurczaka, którą kupił

w sklepie. Sprawdził mejle. Audrey wciąż nie odpisała na ostatni, w którym wyrażał nadzieję, że teraz, skoro wyjechał, będzie jej łatwiej i że może pozna kogoś, kto jest jej wart. Odpisał Kate, dziękując za polecenie pubu przy ulicy, wspomniał nawet, że poznał Marthę; ciekawe, czy kuzynka będzie miała coś do powiedzenia na ten temat. Martha twierdziła, że przyjaźni się z Kate, ale Corbin jakoś w to wątpił.

W niedzielę po południu nadal nie miał od Kate żadnej wiadomości. Nie wiedzieć czemu to go zmartwiło. Wybrał się na długi bieg, choć wciąż padało, i wylądował w parku o nazwie Primrose Hill, skąd roztaczał się zamglony, daleki widok na Londyn. Mokra ziemia w parku wciągała mu buty; przypomniał sobie tamten dzień na cmentarzu, gdy z Henrym kopali grób. Pobiegnął do domu, wziął prysznic i znowu sprawdził pocztę.

Od Kate nadal nie miał żadnej wiadomości, napisała do niego natomiast Roberta James z policji w Bostonie z informacją, że jego sąsiadkę Audrey Marshall znaleziono martwą, że śmierć nastąpiła w podejrzanych okolicznościach, a jego proszą, by się z nimi jak najszybciej skontaktował.

Kate usiadła tak szybko, że Sanders przerażony wypadł z pokoju.

Jak się tu dostał? Wpuściła go, prawda? Gorączkowo próbowała sobie przypomnieć. Otworzyła mu drzwi, gdy miauknął. Patrzyła, jak wychodzi, prawda? Ale potem przypomniała sobie, że chciała poobserwować kota przez judasza, lecz nie zobaczyła go na korytarzu. Wtedy uznała, że to dziwne, ale założyła, że Sanders pomknął korytarzem i zniknął z jej pola widzenia, zanim zdążyła go zobaczyć. Może jednak kot od niej nie wyszedł? Może to jest wyjaśnienie zagadki? Dzięki tej myśli mogła oddychać, kilka razy napełniła płuca powietrzem.

Wstała, na drżących nogach podeszła do drzwi saloniku i włączyła oświetlenie pod półkami i szafkami.

– Jest tu kto? – zawołała, siląc się na rozsądne brzmienie głosu. Cały czas rozglądała się dokoła, upewniając się, że nikt nie otworzył drzwi, że jest w mieszkaniu sama. Tak na wszelki wypadek. Powiedziała sobie, że Sanders pewnie wcale nie wyszedł.

„Ależ wyszedł. Widziałas” – odezwał się w jej głowie George. Zachichotał. Ten George w jej głowie tak właśnie czasami robił, chociaż prawdziwy George, ten, który już nie żył, nigdy nie chichotał.

„Nie widziałam” – odpowiedziała głosowi. „Otworzyłam tylko drzwi i miałam wrażenie, że wychodząc, otarł się o moją nogę. Pomyliłam się”.

Wyszła z saloniku na korytarz i ruszyła do salonu, wyłączając po drodze światła. Sanders znowu stał przy drzwiach wyjściowych, wpatrując się w nie, jakby sądził, że się magicznie otworzą z własnej woli.

– Podstępny kotek – powiedziała, podchodząc do niego. – Myślałam, że wyszedłeś.

Odpowiedział jej miauknięciem, a Kate uchyliła drzwi i tym razem patrzyła, jak wychodzi, kołysząc ogonem. Przekręciła zamek i oparła się o drzwi plecami, wpatrując się w salon i próbując wyczuć, czy ktoś jest w mieszkaniu. „Nie – powiedziała sobie. – Jestem sama. Sanders po prostu był tu cały czas”. Niemniej przeszła przez salon do kominka, gdzie na kracie leżało prawdziwe drewno, i wzięła pogrzebacz, który stał oparty o ceglaną okładzinę. Z nim w dłoni od razu poczuła się lepiej. Szybko przeszukała apartament, włączając po kolei wszystkie światła i zaglądając do każdego pomieszczenia. Nikogo tu nie było, w każdym razie nikogo nie znalazła. Drzwi wejściowe miały zablokowany zamek, podobnie jak drzwi w kuchni prowadzące na gospodarczą klatkę schodową.

Odłożyła pogrzebacz na miejsce. Dłoń miała spoconą, został na niej delikatny ślad sadzy.

Nie wyłączając nigdzie światel, wróciła do saloniku, mówiąc sobie, że jest w mieszkaniu sama, że Sandersa nie wpuścił jakiś tajemniczy prześladowca, tylko po prostu kot nie wyszedł. Była przemęczona. Musiała się położyć spać. Schyliła się po kołdrę, która leżała przed kanapą. Książka *Zdobyłam zamek* wypadła na podłogę, a spomiędzy kartek wysunęło się zdjęcie. Podniosła je. Było to zdjęcie z wakacji, które wiele lat temu spędziła z rodzicami i przyjaciółmi rodziny w Torquay. Siedziała na nim z matką obok bagażu na schodach pensjonatu, w którym mieszkali. Nie pamiętała, czy był to moment przyjazdu,

czy wyjazdu. Skrawek nieba, który załapał się w kadr, był ciemny i złowieszczy. Kate przypomniała sobie, że przez cały tydzień padało. Przypomniała też sobie, że w czasie tamtych wakacji – miała trzynaście lat – zaczęła miesiaćzkować. Matka obwieściła ten fakt przy sutym angielskim śniadaniu w załoczonej jadalni pensjonatu, a ojciec uśmiechnął się do niej promiennie, jakby zdobyła jakąś nagrodę. Tamten tydzień zapisał się w jej życiorysie jako wielkie upokorzenie i żenada.

Ale zdjęcie z mamą jej się podobało. Siedziały tuż obok siebie na drewnianych stopniach i uśmiechały się, ale nie do obiektywu. Najwyraźniej rozmawiały o czymś zabawnym. Kate lubiła to zdjęcie, bo nie wyglądała na nim na zdenerwowaną (musiało być jednak zrobione na początku pobytu), i pewnie dlatego je zatrzymała i schowała pomiędzy kartkami ulubionej książki. Często tak robiła ze zdjęciami, z którymi nie wiedziała, co począć – wsadzała je do książki, żeby mieć szansę później się na nie natknąć.

Przyszło jej do głowy, że może Corbin również pochował zdjęcia w książkach, żeby je kiedyś znaleźć, tak jak ona, albo żeby je po prostu ukryć. I zaraz gdy ta myśl przyszła jej do głowy, wiedziała, że musi przejrzeć wszystkie książki. Taka już była. Gdy się na coś uparła, nie odpuściła. Rok temu przypomniało jej się pół cytatu z książki Agathy Christie, coś w tym stylu, że wszyscy mordercy są czyimiś przyjaciółmi z dzieciństwa, ale nie pamiętała, z której powieści pochodzą te słowa. Przez całe Boże Narodzenie siedziała w swoim dawnym pokoju i przetrząsała obsesyjnie wszystkie publikacje Christie, aż znalazła ten cytat.

Wstała i podeszła do telewizora otoczonego ścianą książek. Półki były wypełnione thrillerami do czytania w pociągu i książkami biznesowymi. Gdzieś tam stał jakiś stos albumów, ułożonych tak, by zmieściły się na wąskim regale. Podobnie jak książki w salonie, te też sprawiały wrażenie, jakby należały nie do Corbina, lecz do jego ojca. Zastanawiała się, co by znalazła, gdyby zaczęła je wertować. Książek było dużo, ale jej się nie spieszyło. Wiedziała, że powinna się położyć spać, ale nie czuła zmęczenia, w każdym razie odkąd obudził ją Sanders.

Musiała stanąć na otomanie, żeby sięgnąć do pierwszej książki po lewej stronie górnej półki. Była to *Firma* Johna Grishama, wydanie w twardej oprawie. Przewertowała ją kciukiem, potem odwróciła grzbietem do góry i potrząsnęła. Nic. Odłożyła ją i sprawdziła następną.

Zanim skończyła przeglądanie wszystkich książek w sypialni, znalazła wiele zakładek, pięć paragonów, wszystko co najmniej sprzed dziesięciu lat, i jedno wycięte z gazety zdjęcie Ashley Judd w bieliźnie, włożone do paperbackowego wydania książki pod tytułem *Who Moved My Cheese?*

Kate usiadła na skórzanej otomanie. Czego szukała? Zdjęcia Audrey Marshall z wypisanymi czerwonym atramentem na twarzy słowami „zabić ją”? Nie, może czegoś, co by dowodziło, że Corbin ma jakąś skrywaną stronę osobowości, a do tego powiązaną z Audrey. Na razie Kate miała trzy relacje o ich związku. Corbin napisał, że się prawie nie znali. Przyjaciel Audrey powiedział, że Corbin i ona czasami ze sobą sypiali. Alan Cherney natomiast mówił, że Corbin często bywał u Audrey. Dlaczego Alan miałby kłamać? Kate mu wierzyła, a w każdym razie wierzyła, że on w to wierzy. Miał wyraźną obsesję na punkcie Audrey Marshall, ale ufała mu. I nie tylko dlatego, że podobał jej się fizycznie oraz super jej się z nim rozmawiało.

Zostawiła salonik i przeszła do salonu zalanego teraz mlecznym światłem brzasku. Świtało. Sprawdziła pocztę. Martha napisała długiego, szczegółowego mejla o Corbinie. Poznali się w Beef and Pudding, potem się całowali „tylko trochę”, w drodze do domu, ale Corbin powiedział, że jest zmęczony

i sam wrócił do mieszkania Kate. Od tego czasu Martha go nie widziała. „Czy on ma tam dziewczynę?” – pytała. – „Napisz do niego i spytaj. Ładnie proszę”.

„Właśnie tego sama chcę się dowiedzieć” – pomyślała Kate. Z ulgą przyjęła wiadomość, że Corbin najwyraźniej unika Marthy, bo wobec tego nie musiała jej chyba ostrzegać, że seksowny Amerykanin może być mordercą.

Kate potrzebowała kawy, ale postanowiła, że najpierw zacznie przeglądać książki w salonie. Tu było o wiele więcej publikacji niż w saloniku, a półki wznosiły się pod sam sufit. Pod jednym z okien znajdowało się solidne biurko, przyciągnęła je więc, by stanąć na blacie. Teraz mogła sięgnąć do górnej półki, i tak wyciągnęła pierwszą zakurzoną książkę w twardej oprawie. Gdy ją wertowała, doznała silnego *déjà vu*, niemal namacalnego. Kolana się pod nią ugięły. Wyraźnie pamiętała, że już sprawdzała książki na tych półkach, stojąc na tym biurku, czując pod bosymi stopami fakturę drewnianego blatu. W jej klatce piersiowej rósł balon niepokoju. Kate powtórzyła swoją mantrę i wykonała ćwiczenia oddechowe. *Déjà vu* minęło, a Kate przypomniała sobie sny z poprzedniej nocy. W owych snach też przeglądała te książki. To w każdym razie pamiętała. Odwracała je grzbietem do góry, ich kartki wylatywały i zaścięły podłogę, aż wypełniły całe pomieszczenie niczym śnieg zasypujący pusty basen.

„Czy naprawdę mi się śniło, że przeszukuję te książki, a teraz rzeczywiście to robię?” – pomyślała. I przez jedną przerażającą chwilę wydało jej się, że nadal śpi. A potem to uczucie minęło.

Zanim przejrzała resztę księgozbioru, zrobiła sobie kawę. Sprawdziła setki książek, aż w końcu natrafiła na coś ciekawego.

Sięgnęła do stosu na jednej z dolnych półek, który wydawał się inny, i poczuła, że te książki – dużo powieści Stephena Kinga, seria *Koło czasu* Roberta Jordana, dwie powieści Chucka Palahniuka – należą do Corbina. Przeglądała je uważniej niż pozostałe i to się opłacało. W miękkim wydaniu *Gry Endera* Orsona Scotta Carda znalazła trzy zdjęcia jakiejś dziewczyny. Chyba tej samej, której fotografię wyszperała wcześniej w szafie w saloniku, chociaż trudno to było stwierdzić, bo zdjęcia były niewyraźne, zrobiono je na wąskim łóżku w pomieszczeniu, które wyglądało na małą sypialnię. Ściany były białe, a na jednej z nich przymocowano taśmą plakat – chyba grafiki Picassa?

Na pierwszej fotografii dziewczyna, roześmiana, przybrała przerysowaną seksowną pozę, leżała oparta na łokciu, a fotograf znajdował się nad nią. Miała na sobie sprane džinsy i różową koszulkę na ramiączkach. Na następnym leżała na łóżku na plecach w pozycji bardziej naturalnej, z twarzą już poważną. Kate wyobraziła sobie, jak jej kuzyn – bo to zapewne on fotografował – wydaje polecenia: „Nie, nie wygłupiaj się, masz być naturalna. Wyglądasz pięknie”. Naprawdę wyglądała pięknie, zwłaszcza na trzecim i ostatnim zdjęciu. Było to zbliżenie, jej skóra usiana była piegami; lekko rozchyliła usta. Kate poczuła się, jakby podglądała coś niewiarygodnie intymnego, jakby podpatrywała czyjeś zmysłowe chwile. Odłożyła zdjęcia do książki, postawiła ją na półkę, po czym szybko przejrzała pozostałe książki Corbina. Nic już nie znalazła.

Oparła się o półki i na chwilę zamknęła oczy. Była wykończona, nie wiedziała dokładnie, ile czasu spędziła na przetrząsaniu mieszkania. A znalazła tylko dowód istnienia dawnej dziewczyny wsadzony w zapomnianą książkę. Czego się spodziewała?

Na obramowaniu kominka stał zegar, Kate sprawdziła, która godzina. Minęła siódma. Może powinna się zdrzemnąć, bo dzisiaj miała zajęcia. Skuliła się na najbliższej kanapie w salonie, opierając głowę na



ałtasowej, wyszywanej poduszce. Zamknęła oczy i niemal natychmiast zasnęła. Nic się jej nie śniło.

Zerwała się, obudzona pukaniem do drzwi, trzykrotnym, ostrym. Wstała, wciąż trochę nieprzytomna, i przeszła do przedpokoju. Spojrzała na siebie w lustrze. Włosy, niemyte od kilku dni, wisiały zastygłe w strąkach. Odgarnęła je za uszy. Zerknęła przez judasz: pani Valentine, starsza dama, która oprowadzała ją po mieszkaniu w piątek, zaraz po przyjeździe. Kate otworzyła drzwi.

– Och, obudziłam cię?

– Nie, nie, proszę wejść.

Carol Valentine była zakutana w biały sweter przepasany w talii.

– Nie przychodziłabym, ale chciałam cię zaprosić do siebie na tego drinka. Masz może dzisiaj wolny wieczór?

Kate szybko przejrzała w głowie ewentualne wymówki, ale nagle usłyszała własny głos:

– Dzisiaj? Doskonale. Przyjdę z przyjemnością.

Umówiły się na dziewiętnastą i Carol Valentine oddaliła się korytarzem, zostawiając za sobą woń jean naté. Ten zapach balsamu po kąpieli przypominał Kate, że powinna wziąć prysznic, a potem nagle przypominała sobie, że po południu zaczyna zajęcia. Pobiegnęła do telefonu sprawdzić, która godzina. Jak długo spała?

Po szybkim prysznicu włożyła najlepsze džinsy i ulubiony sweter. Jedynym plusem zmarnowania całego poranka na spanie było to, że teraz miała mniej czasu na zamartwianie się pierwszymi zajęciami i podróżą metrem. Zjadła kawałek chleba z miodem i masłem i wypila drugą kawę, choć wiedziała, że to błąd. Już czuła, jak skóra jej cierpnie ze zdenerwowania, i na myśl o popołudniu zaczęła uderzać opuszką kciuka o pozostałe palce.

Poszła do sypialni i wyciągnęła z walizki pusty plecak. W mejlu informacyjnym wykładowca napisał, że nie trzeba niczego przynosić, że na miejscu są komputery. Kate zastanawiała się, czy powinna wziąć laptopa. Uznała jednak, że nie, wyjęła natomiast spod łóżka szkicownik i wsadziła go do plecaka, wraz z paczką ołówków. Jeśli będzie musiała gdzieś czekać, może rysować, to zajęcia zawsze ją uspokajało.

Musiała przejść kilka przecznic Charles Street, żeby się dostać do stacji czerwonej linii metra. Po niebie szybko sunęły chmury, gdy słońce się przebijało, dzień się wydawał ciepły jak wczesnym latem. Ale gdy chmury zaciągały niebo i zrywał się wiatr, można było odnieść wrażenie, że temperatura spada o dziesięć stopni.

Stacja Charles Street była wielką budowlą ze szkła po drugiej stronie zwariowanego skrzyżowania. Kate czekała na zielone, chociaż piesi w Bostonie przemykali po ruchliwych ulicach, gdy tylko ujrzeli jakąś lukę pomiędzy samochodami. Na stacji kupiła CharlieCard za dwadzieścia dolarów. Poszło jej łatwiej, niż się spodziewała, a gdy wsiadła do windy, by dotrzeć na peron, stwierdziła, że ma świetne samopoczucie. Proszę, oto jest w Bostonie i jedzie na zajęcia InDesign. Piękne życie. I teraz, gdy wyszła z domu, nagle wydało się jej absurdalne, że miała tak wielką obsesję na punkcie śmierci Audrey Marshall i udziału Corbina w tym zdarzeniu. Gdyby rzeczywiście był podejrzany, policja wróciłaby ponownie przeszukać jego mieszkanie.

Nadjechał pociąg i zahamował z łomotem. Kate weszła do środka i usiadła na miejscu najbliższej

rozsuwanych drzwi. Zajęte było około połowy siedzeń, w większości przez podróżujące w pojedynkę osoby ze słuchawkami w uszach, wpatrzone w telefony. Razem z nią wsiadły dwie kobiety w workowatych błękitnych strojach pielęgniarek. Gdy skład ruszył, jedna powiedziała coś do drugiej i obie wybuchnęły śmiechem. Pociąg przejechał przez most, Kate miała dobry widok na rzekę i na Back Bay. Na rzece widziała żaglówki. Nagle pociąg wjechał do tunelu i światła zamigotały. Kate zadygotała.

Pociąg zatrzymał się na Kendall Station. Jeszcze trzy przystanki i Porter, jej stacja. Na Kendall wysiadło niewielu pasażerów, za to wielu wsiadło. Obok Kate usiadł mężczyzna pachnący fast foodem, jego wielkie udo oparło się o jej nogę. Odsunęła się, wciskając się w barierkę. Stojąca przed nią kobieta o siwiejących włosach, ale stosunkowo młodej twarzy, chwyciła się brudnawych uchwytów. Ile miała lat? Kate zastanawiała się, czy powinna ustąpić jej miejsca, czy też może wypadłoby to nietaktownie. Uznała, że pozostanie na siedzeniu. Drzwi zamknęły się z sykiem i pociąg ruszył. Kate odetchnęła głęboko, ale że było jej duszno, zaczęła powtarzać w myślach to, co zawsze sobie mówiła w takich sytuacjach: „Nie walcz z paniką. Nie może cię skrzywdzić, nic ci nie może zrobić”. Poczuli się trochę lepiej. Żeby zająć czymś ręce, odpięła plecak i wyciągnęła szkicownik. Chciała obejrzeć wcześniejsze rysunki. Otworzyła zeszyt. Pojawiła się podobizna Alana Cherneya, naszkicowana po ich pierwszym spotkaniu, oddająca wrażenie, jakie na niej wywarł. Jak uznała, nieźle jej wyszedł. Poprzedniego wieczoru spędziła z nim więcej czasu i teraz sądziła, że jego kości policzkowe są trochę bardziej wydatne, za to usta odrobinę węższe. Później narysuje jego nowy portret.

Przełożyła kartkę i spojrzała na autoportret, po czym obejrzała wizerunek Jacka Ludovica. Nie przypominał siebie, w każdym razie na rysunku nie wyglądał tak, jak go zapamiętała. Był podobny, ale oczy jej się nie udały, a twarz miała inny kształt. Jakim cudem narysowała go tak nieudolnie? Czy on tak wyglądał, czy źle go zapamiętała?

Przyjrzała się uważnie rysunkowi i serce jej przyspieszyło. Teraz była pewna, że to nie jej dzieło. Ktoś wziął jej zeszyt i zmienił portret. Nie. Niemożliwe. A skoro to było niemożliwe, to w takim razie sama go zmieniła, sięgnęła do niego ponownie i zmieniła trochę rysy. Ale dlaczego miałyby to robić? I dlaczego nie pamiętała, że to zrobiła?

Pociąg hamował ze zgrzytem. Z głośników popłynął niezrozumiały komunikat, chyba coś o Porter. Kate wstała i spojrzała przez brudną szybę. Znajdowali się na Harvard Station, czyli przystanek od jej celu. Jeszcze więcej ludzi wcisnęło się do wagonu. Dlaczego nikt nie wysiadał?

Z łomoczącym sercem Kate przecisnęła się przez tłum pasażerów i wyskoczyła na peron. Ściskając szkicownik, łapczywie chwyciła powietrze, gdy drzwi się zamknęły i pociąg odjechał.

Dotarła na zajęcia pięć minut przed czasem. Wyszędłszy z Harvard Station, zdołała dotrzeć przez Massachusetts Avenue do Graphics Institute mieszczącego się w kilku salach szarej wiktoriańskiej rezydencji. Piechotą nie było to daleko, niewiele ponad kilometr. Idąc zwawo na świeżym powietrzu, przewietrzyła trochę głowę i uznała, że zareagowała histerycznie na widok podobizny Jacka Ludovica. Niewłaściwie go narysowała, bo widziała go przelotnie. I tyle. Dopiero co przyjechała do nowego kraju i jeszcze miała jet lag.

Zajęcia okazały się łatwiejsze, niż zakładała. Martwiła się, że prowadzący każe studentom się przedstawiać, ale gdy weszła do sali na piętrze, w której przygotowano dwanaście stanowisk, a każde wyposażone w maca, kazano jej po prostu zająć miejsce. Prowadzący, mężczyzna, który mówił z akcentem z Południa i miał wielką rudą brodę, przeszedł od razu do objaśniania narzędzi InDesign. Kate trochę już знаła program, w jego podstawy wprowadziła ją nauczycielka sztuki w szpitalu, w którym ją trzymano po śmierci George'a Danielsa. Kate zawsze przejawiała talent artystyczny. Jej pierwszą wielką miłością były książeczki do kolorowania, czasami zastanawiała się, czy tak samo będzie spędzać dni późnej starości: jako starsza pani od rana do wieczora malująca obrazy na gotowych szablonach. Już w bardzo wczesnym wieku wiedziała, że zatracenie się w przedsięwzięciach artystycznych czy choćby bazgrolenie na marginesach zeszytu to jej jedyny sposób na odprężenie. Okazało się, że jest nim też grafika komputerowa, gdy już pokonała pierwszy strach, że nie opanuje programów. Świetnie radziła sobie z Photoshopem i przez agencję pracy tymczasowej podłapywała prace dorywcze dla grafików w południowym Londynie. Postanowiła, że niech się dzieje, co chce, to będzie jej zawód. Była to o wiele lepsza opcja niż zostanie portrecistą, do czego nakłaniała ją matka. Rysowanie czyjegoś portretu wiązało się z intymnością, i to w taki sposób, że Kate denerwowała się na samą myśl o tego rodzaju zajęciu. Zresztą przy wykonywaniu portretów znacznie rosło ryzyko niezadowolenia klientów.

Po zajęciach przedstawiła się jej dziewczyna siedząca obok, tak drobniutka, że Kate w pierwszej chwili uznała ją za dziecko.

– Moja mama też jest Angielką – powiedziała, gdy usłyszała akcent Kate. – Pakistańską Angielką.

Razem wyszły na ulicę, a potem stały chwilę, rozmawiając. Kate powiedziała dziewczynie, Sumerze, o zamianie mieszkań i że zostaje w Bostonie na pół roku.

– Masz tu przyjaciół?

– Nie – odparła Kate.

– O mój Boże. Ale jesteś odważna. Ja bym w życiu czegoś takiego nie zrobiła.

Kate się roześmiała.

– Nigdy w życiu nikt mnie jeszcze nie nazwał odważną. I pewnie drugi raz się to nie powtórzy.

– Nie, serio. Nie żartowałam.

– Dobra, przyjmuję.

– Gdzie mieszkasz?

Kate wyjaśniła, że w bok od Charles Street niedaleko rzeki, na co Sumera spytała:

– Słyszałaś o morderstwie w tej okolicy? Jakaś dziewczynę zabito w jej mieszkaniu.

– To się wydarzyło w moim budynku – odpowiedziała Kate, ale postanowiła nie precyzować, że w mieszkaniu obok.

Sumera zakryła dłonią usta.

– O mój Boże, to straszne.

– Skąd wiesz, że ją zabito? Myślałam, że w gazetach pisano tylko, że znaleziono jej ciało.

– Czytałam na Reddicie. Sprawdź sobie. To straszne. Ktoś mówił, że ją rozcięto.

– Co to znaczy?

– Nie wiem, czy to prawda, ale podobno rozcięto ją przez środek, jakby do operacji. To podobno jakiś seryjny zabójca. To znaczy wiesz, to jednak Reddit, nic nie wiadomo na pewno...

– Nie wiem, co to jest Reddit – wyznała Kate.

Kiedy Sumera udzielała jej wyjaśnień, Kate usiłowała otrząsnąć się z wizji rozciętego ciała Audrey Marshall. Wcześniej nie wyobrażała sobie szczegółów jej śmierci, z tego choćby powodu, że zbyt wiele było możliwości. Teraz jednak, gdy wiedziała, co się stało, jej umysł podsuwał obrazy, a ona zastanawiała się, dlaczego niczego nie widziała, na przykład plam krwi, gdy zakradła się do mieszkania Audrey. Czy to też jej się śniło?

– Słuchaj, nie wiem, czy powinnaś tam mieszkać. W tym samym budynku.

– Chyba nic mi nie będzie – odparła Kate. Nagle poczuła, że chce już odejść. Odkąd zaczęły rozmawiać o morderstwie, w szeroko otwartych oczach Sumery zagościł niepokój, i zaczynało to denerwować Kate. – Fajnie, że się poznałyśmy. Sąsiedzi zaprosili mnie na wieczór do siebie, powinnam się zbierać.

– Może oni wiedzą, co się stało?

– Może. Do zobaczenia w środę na zajęciach.

– Dobra. Idziesz do Porter?

Choć taki Kate miała plan, powiedziała:

– Pewnie pójdę do Harvard Square. Mam kilka spraw...

Sumera, która wreszcie dostrzegła skrępowanie nowej koleżanki, odpuściła, a Kate ruszyła Massachusetts Avenue. Wiatr stracił na sile, ale niebo było teraz całkiem pokryte chmurami, tak że światło wydawało się rozmyte. Kate zastanawiała się, czy pokonać całą odległość do domu piechotą. Była niemal pewna, że ta szeroka, ruchliwa aleja, którą właśnie podążała, ciągnie się do centrum Bostonu. Ale gdy dotarła na Harvard Square i zobaczyła stację metra, uznała, że musi znowu pojechać metrem, że to ważne. To tylko kilka przystanków. Jej wcześniejsza panika bardziej wiązała się z rysunkiem niż z klaustrofobią w pociągu. Tak więc teraz jechała do domu, do stosunkowo bezpiecznego schronienia.

Bez wahania wkroczyła na stację, przedostała się przez tłum wysiadających i weszła do niemal pustego wagonu. Nie mogła się doczekać, aż dotrze do domu i sprawdzi, co piszą w internecie o Audrey

Marshall. Zastanawiała się, czy Sumera w ogóle wiedziała, o czym mówi. Czy gdzieś tam znajdowały się prawdziwe informacje o śmierci Audrey? Zanim się zorientowała, dojechali do Charles Street Station. W drodze do domu wstąpiła po zakupy. Następne zajęcia miała w środę i chciała dać sobie możliwość spędzenia całego wtorku w domu.

Po powrocie usiadła na łóżku i wyjęła z plecaka szkicownik, żeby uważniej przyjrzeć się portretowi przyjaciela Audrey. Może wcześniej jednak przesadziła. Ale nie, gdy teraz znowu patrzyła na rysunek, widziała, że jest ewidentnie błędny, może tu, w dobrym świetle, widziała to nawet wyraźniej. Oczy zostały całkowicie zmienione.

„Te oczy narysował ktoś inny” – znowu głos George’a.

Próbowała go zignorować, przełożyła kartkę, wyjęła z plecaka ołówki i szybko narysowała Sumere, z jej okrągłą twarzą i cienkimi, wyskubanymi brwiami, z przedziałkiem pośrodku. Nie wiedziała, jak zapisać jej imię, więc pod spodem zanotowała „Dziewczyna z zajęć grafiki projektowej, Cambridge, Massachusetts” i dodała datę. Przełożyła kartkę i zaczęła rysować nowy portret Jacka Ludovica, ale nie wychodził jej naleźycie. Straciła pewność co do tego, jak Jack wygląda. Zrobiła coś, co zdarzało się jej bardzo rzadko, a mianowicie wycięła kartkę nożykiem, który nosiła z przyborami. Zmięła ją w ciasną kulkę i wyrzuciła.

Wstała z łóżka i podeszła do komputera poszukać nowych informacji o morderstwie, ale nic nie znalazła. Weszła nawet na Reddit i próbowała tam coś znaleźć, ale ledwie ogarniała stronę, a co dopiero mówić o poruszaniu się po niej.

Sprawiła pocztę. Corbin nie odpowiedział, nawet po tym, jak mu napisała, że policja przeszukała jego mieszkanie.

O dziewiętnastej, przebrana w letnią sukienkę i rozpinany sweterek, opuściła mieszkanie, zeszła do holu i poszła dalej na drugie schody prowadzące w górę do drugiej części budynku. Zastanawiała się, czy Carol Valentine lub jej mąż rzeczywiście coś wiedzą na temat śledztwa w sprawie śmierci Audrey Marshall. Zakładała, że to będzie część wieczornej rozmowy.

Gdy skręcała za róg w korytarz Valentine’ów – w tej części wyklejony czarno-srebrną tapetą – ujrzała, jak ze swojego mieszkania wychodzi Alan Cherney, właśnie przekręcał klucz w zamku. Odwrócił się, a wówczas Kate zauważyła, że trzyma w ręku butelkę wina. Zastanawiała się chwilę, dokąd idzie, aż dotarło do niej, że pewnie też jest zaproszony do Valentine’ów.

– Idę na twoje przyjęcie powitalne – powiedział, gdy podeszła.

– Ja nic nie przyniosłam – odparła, spoglądając na wino. – W ogóle o tym nie pomyślałam.

– Proszę. – Podał jej butelkę. – Ja już zrobiłem na nich dobre wrażenie, i to wiele miesięcy temu. Daj im to wino.

– Nie, nie – krygowała się.

– Zaprosili mnie jedynie dlatego, że po południu wpadłem na Carol w holu i pochwaliłem się, że już cię trochę poznałem.

– To będzie duże przyjęcie? Sądziłam, że będę tylko ja i że wypijemy po drinku.

– No to będziesz tylko ty i może pani Anderby, która mieszka na dole. Jak również ja. To chyba taka tutejsza tradycja. Wszyscy nowi mieszkańcy są zapraszani do Valentine’ów. Wziąłem wino, żeby nie

przyjść z pustymi rękoma, ale oni podają martini i powinnaś je wypić.

– Naprawdę?

– Podawali, gdy wprowadzaliśmy się z Quinn.

– Powinniśmy wejść, nie sądzisz?

– Powinniśmy.

Alan zapukał, drzwi otworzył pan Valentine. Był niskim mężczyzną o imponujących białych włosach. Trudno było odgadnąć, czy zawsze był niski, czy też przygarbił się z wiekiem, w końcu bardzo zaawansowanym. Miał na sobie spodnie od garnituru i błękitny kaszmirowy sweter w serek, skinął im długą, cienką srebrną łyżeczką.

– Oliwka czy skórka? – spytał.

Kate zmieszana odwróciła się do Alana.

– Ja poproszę skórkę – powiedział do gospodarza, a potem spytał Kate: – Chcesz martini z oliwką czy skórką cytryny?

– Ach, z oliwką poproszę – odrzekła Kate, a pan Valentine odwrócił się i odszedł akurat w chwili, gdy pojawiła się Carol. Wciąż nosiła biały sweter, ten sam co rano, ale siwe włosy, które Kate zawsze widywała upięte, teraz były rozpuszczone, zaczesane nad czoło i usztywnione jakimiś kosmetykami.

– Wejdźcie, proszę. Kate, jaka piękna sukienka! Wybaczcie Billowi. Rozmawia z gośćmi dopiero po pierwszym martini, za to później już nie można go uciszyć.

Podążyli za nią do eleganckiego salonu, umeblowanego niemal wyłącznie na biało, o ścianach wyłożonych jasnożółtą tapetą. Alan szeptał po drodze do Kate:

– Te same słowa wypowiedziała, gdy ostatnio tu byłem. – Ich ciała na moment się zderzyły i Kate poczuła, że obecność Alana ją cieszy.

W salonie Bill Valentine przygotowywał przy barze dzban martini, mieszając w nim długą łyżką, tą samą, z którą ich powitał. Wokół jego nóg snuł się Sanders, teraz zatrzymał się i wbił wzrok w nowych gości.

– Och, Sanders – powiedziała Kate.

– Jest tutaj? – zdziwiła się Carol, dostrzegając kota. – Na pewno już próbował dostać się do twojego mieszkania. Nie musisz go wpuszczać, jeśli nie chcesz. On sądzi, że cały budynek jest jego domem, a wszyscy są na jego usługi.

– Nie poznałam jeszcze jego właścicielki.

– Florence Halperin – powiedzieli jednocześnie Alan i Carol.

– Nikt jej nie widuje – dodała Carol. – O ile wiem, w ogóle nie wychodzi z mieszkania. Zakupy dowożą jej do domu.

– Nigdy jej nie widziałem – dodał Alan.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– To na pewno pani Anderby – powiedziała Carol. – Wybaczcie mi na chwilę.

Gdy się oddaliła, Alan ruszył do baru zaoferować pomoc gospodarzowi, a Kate obesła elegancki pokój. Unosił się tu ostry, nieprzyjemny zapach lilii, Kate odwróciła się i ujrzała wielki bukiet stojący na

sięgającym jej do pasa marmurowym stoliku. Nad stolikiem wisiał wysoki obraz olejny, portret gospodarzy; sądząc po ich wyglądzie, powstał mniej więcej przed dwudziestu pięciu laty. Bill siedział, a Carol stała za nim z ręką na jego ramieniu. Wyglądali tak samo, lecz mieli inne włosy, Carol była blondynką.

Alan wrócił z dwoma martini, jednym ze skórką cytryny, drugim z oliwką. Podał Kate drugi kieliszek. Jej ręka lekko drżała, więc drink, nalany po brzeg, odrobinę się przelał. Kate pochyliła głowę i siorbnęła lodowatego dżinu. Odrobina pociekła jej na brodę.

– Boże, dobrze, że tylko ty to widzisz.

Alan się roześmiał, a potem odwrócił, bo właśnie weszła Carol z panią Anderby, starszą od gospodarzy. Niska, z niewielkim wdowim karkiem, miała włosy rzednące na czubku głowy, tak że prześwitywała tam różowa skóra. Carol przedstawiła ją Kate, a dziewczynę zaskoczył mocny uścisk pulchnej dłoni nowego gościa.

– Rzeczywiście, śliczna – powiedziała pani Anderby.

– Och nie, nie *pretty* – zaproponowała Kate. – Priddy. Tak się nazywam. P-R-I-D-D-Y. – Nawykła już do tego objaśnienia.

– Ach, rozumiem. No ale śliczna też jesteś, moja droga.

– Dziękuję pani bardzo.

Trwało to chwilę, ale w końcu goście zostali usadzeni na rozmaitych meblach wokół białego lakierowanego stolika, na którym poustawiano kilka miseczek z orzeszkami i oliwkami. Kate wysączyła połowę swojego martini, tak by zapobiec rozlewaniu, i już czuła jego skutki. Wypiła w życiu sporo dżinu, ale zawsze z tonikiem, i teraz uznała, że lubi tę mieszankę mimo dreszczu, który ją przechodził przy każdym łyku.

Bill Valentine też wypił już połowę drinka i przedstawiał Kate historię budynku, w którym mieszkali.

– To ten włoski dziedziniec tak naprawdę różni nasz dom od pozostałych na Flat of the Hill.

– Co to jest Flat of the Hill? – spytała Kate.

– Nasza okolica...

– To, oczywiście, Beacon Hill – skorygowała Carol.

– Nie, nie oczywiście. Ludzie mówią, że mieszkamy na Beacon Hill, ale przecież nie jesteśmy na wzgórzu, prawda? Znajdujemy się na usypisku, które przesunęło rzekę, żeby można było zbudować więcej mieszkań. Dlatego mówię, że jest płaskie.

– Jakkolwiek się ta okolica nazywa, nigdy w życiu nie mieszkałam w tak pięknym miejscu – powiedziała Kate.

Bill dalej przedstawiał jej lokalną historię, w tym długą listę słynnych mieszkańców, ale Kate nie rozpoznała żadnego nazwiska. Carol tymczasem zaanektowała Alana i rozmawiała z nim i panią Anderby. Jednym uchem słuchając monologu Billa, drugim Kate podłapała strzępy drugiej rozmowy i stwierdziła, że dotyczy ona Audrey Marshall. Bardzo się starała okazać zainteresowanie słowami gospodarza, ale wciąż usiłowała podsłuchać, co mówi Carol – coś o nieudolności policji. W kieliszku zostało Kate pół uncji dżinu, wypiała go – ogrzał się i teraz smakował ostrzej – i zjadła oliwkę w nadziei, że Bill zauważy pusty kieliszek i zaproponuje jej kolejnego drinka. Gospodarz zerknął na jej pusty kieliszek i szybko

dopił swój. Kate spytała, czy chce następny, i zaczęła się podnosić z miejsca, Bill Valentine szybko ją jednak powstrzymał, mówiąc, że sam przyniesie. Dźwignął się z wysiłkiem z kanapy i z dwoma pustymi kieliszkami ruszył do barku. Kate poczuła wyrzuty sumienia, ale naprawdę chciała usłyszeć, co tamci mówią. Przesunęła się na kanapie w ich stronę.

– Rozmawiamy o Audrey Marshall – wyjaśniła jej Carol. – Mam nadzieję, że to cię nie wytrąci z równowagi. Nic miłego przyjechać do Ameryki i dowiedzieć się, że w mieszkaniu obok kogoś właśnie zamordowano.

– A więc oficjalnie podano, że to było morderstwo?

– O tak, chyba tak. – Wzrok Carol przeskakiwał z gościa na gościa w oczekiwaniu na potwierdzenie.

– Tak, to było morderstwo – powiedziała niskim, męskim głosem pani Anderby. – Prawdopodobnie zbrodnia na tle seksualnym. Mówiłam synowi, że będę musiała wynająć wyprowadzaczka dla mojego Scouta, bo nie wiem, czy mogę bezpiecznie chodzić po ulicach. Już nie poznaję tej okolicy.

– Lilu, mnie się nie wydaje, żeby na ulicach było teraz niebezpieczniej – odrzekła Carol.

– No, ja nie wiem.

– A czy ktoś z was wie, jak zamordowano Audrey Marshall? – spytała Kate. Miała nadzieję, że ktoś z zebranych potwierdzi informacje podane przez dziewczynę z kursu.

– Nie, nawet Bob nie jest pewien, a jeśli Bob czegoś nie wie...

– Nożem. I została okaleczona – oznajmił Alan głosem tak lekkim, jakby stwierdzał, że przez najbliższe pięć dni czeka ich piękna pogoda. Wszyscy spojrzeli na niego.



Po słowach Alana pani Anderby przyłożyła dłoń do klatki piersiowej i głośno wciągnęła powietrze.

– No, tak przeczytałem – dodał. – Online.

– Na Reddicie? – spytała Kate.

– Nie, w komentarzach pod artykułem w „Boston Globe”. Rozumiem, że to nie brzmi wiarygodnie i pewnie nie jest, ale jeden z komentujących napisał, że zna kierowcę karetki, która zabierała ciało do kostnicy. Powiedział podobno, że to najstraszniejsza zbrodnia, z jaką miał w życiu do czynienia.

– Dobry Boże! – krzyknęła Carol.

– Ja dzisiaj słyszałam to samo – podjęła Kate. – Nie wyczytałam tego w internecie, powiedziała mi to dziewczyna na zajęciach. Przeczytała to na stronie Reddit. Nawet nie wiem, co to jest.

– Miejmy nadzieję, że to nieprawda – powiedziała Carol. – Jeśli to się rozniesie, gapie i prasa nie dadzą nam żyć. Będzie tak jak w Charlestown po tym jak... po tym jak...

– Aresztowano już kogoś? – spytała pani Anderby, kierując to pytanie gdzieś pomiędzy Kate i Alana.

– Nie – odrzekł Alan. – W każdym razie nie natrafiłem na taką informację. Naprawdę niewiele wiem.

– Znałeś ją? – spytała Carol

– Hm... – Alan zerknął na Kate. – W sumie nie. To znaczy widywałem ją czasami, jak wszystkich innych, ale nie, nie znałem.

– Myśmy ją tu przyjmowali, prawda, Bill? Zaraz po tym, jak się wprowadziła.

Bill Valentine podał już Kate nowego drinka i właśnie sadowił się na kanapie.

– Była prześliczna – ciągnęła Carol – ale nie mogę powiedzieć, że bym po tamtym wieczorze czegoś się o niej dowiedziała. Gdzie to ona pracowała, Bill? W jakimś wydawnictwie czy jakoś tak?

Bill wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Mam wrażenie, że ona była...

– Nie rozumiem, co Alan ma na myśli, mówiąc o okaleczeniu – przerwała jej swoim niskim zachrypniętym głosem pani Anderby.

– To tylko plotka – odparł Alan. – Jestem pewien, że to nieprawda.

– Strasznie długo siedzieli na miejscu zbrodni – dodała Carol.

– Czy policja już się do państwa zgłosiła i rozmawiała z państwem? – spytała Kate.

– Przyszli i spisali, co wiemy. Przepyтали wszystkich mieszkańców budynku.

Kate powiedziała, że jej mieszkanie zostało przeszukane od razu po przyjeździe policji.

– Mieli nakaz? – spytał Bill.

– Nie. Nie wiedziałam, co robić. Dopiero przyjechałam i nie byłam pewna...

– Och, Corbin na pewno nie ma nic do ukrycia – przerwała Carol. – Nawet go tu nie było, gdy to się

stało, prawda? Zastanawiam się jednak, dlaczego przeszukano jego tylko mieszkanie, a pozostałych mieszkańców nie.

– Pewnie dlatego, że był jej najbliższym sąsiadem – podsunął Alan.

– Na pewno dlatego. Kate, czy oni się znali? Audrey i twój kuzyn?

Kate spojrzała na Alana.

– Znali się. Nie wiem, jak dobrze, ale policja napisała do Corbina mejla, powiadamiając go, co się stało. Chyba jednak nie prosili, żeby przyjechał do Bostonu, czy coś w tym rodzaju. – Kate upiła kolejny łyk drugiego martini i powiedziała sobie, że musi zwolnić, mimo że ten drink smakował jej znacznie lepiej niż pierwszy.

– Nadal nie rozumiem, o co chodzi z tym okaleczeniem – odezwała się pani Anderby.

– Nikt nie rozumie, moja droga – szybko odpowiedziała jej Carol. – Nie wiemy nawet, czy to się naprawdę wydarzyło. Może powinniśmy jednak zmienić temat. Kate, opowiedz nam o sobie.

Spojrzenia wszystkich zebranych skierowały się na najważniejszego gościa wieczoru, a Kate poczuła, że się rumieni. Odstawiła martini na stolik i otworzyła usta, by coś powiedzieć, chociaż nie wiedziała, co by to miało być. Carol jeszcze bardziej ją zachęcała, pytając, z jakiego rejonu Anglii pochodzi.

– Z Braintree w Essex – odrzekła Kate – ale nie wykorzystujcie tego przeciwko mnie. – Sądząc po nierozumiejących spojrzeniach, zgromadzeni nie mieli żadnego zdania na temat Essex. Kate opowiedziała trochę o dzieciństwie, o portretach i o tym, że chciałaby się zająć grafiką projektową. Jak zwykle, gdy mówiła o sobie, wyraźnie czuła obecność białych plam w swojej biografii, okresu po uniwersytecie, po tej historii z George’em Danielsem, gdy przebywała w szpitalu albo siedziała w domu z rodzicami, niezdolna do wyjścia za próg.

– A do Ameryki przyjechałaś po raz pierwszy? – spytała pani Anderby.

– Tak.

– Musimy przygotować dla Kate listę rzeczy, które powinna zrobić podczas pobytu w Ameryce. – To powiedział Alan, a Kate od razu zrozumiała, że w ten sposób chciał odwrócić od niej uwagę. Okazało się, że to skuteczne posunięcie. Wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego, przerzucając się sugestiami, co też Kate koniecznie musi zobaczyć w Bostonie. Ona tymczasem obejrzała się na Alana w nadziei, że podziękuje mu wzrokiem, ale na nią nie patrzył. Przez chwilę wpatrywała się w jego profil i po raz pierwszy zauważyła, że ma bardzo pełną dolną wargę. Poczuła tkliwość, że starał się ją ochronić. Spotkali się trzy razy, a miała wrażenie, że zna go całe życie. Nagle, zawstydzona, przestała na niego spoglądać, sięgnęła po swoje martini. Uświadomiła sobie, że jest pijana, że opuszki palców zdrętwiały jej od zimnego szkła. Wzięła garść orzeszków nerkowca z miseczki na stoliku i zaczęła je jeść, jeden po drugim.

Po mniej więcej dwudziestu minutach goście pod wodzą Alana opracowali ostateczną listę rzeczy, które Kate musiała zobaczyć albo zrobić w Bostonie. Znajdowało się na niej Muzeum Isabelli Stewart Gardner, mecz red soxów na Fenway Park, kanapka z homarem z Neptune Oyster, wycieczka promem do Provincetown i wizyta w Athenaeum, prywatnej bibliotece, na drugim końcu Common. Ostatni punkt był pomysłem Alana, który od razu zaznaczył, że chętnie osobiście ją tam zabierze.

Bill wstał.

– Kto sobie życzy strzemiennego? – spytał.

Rękę podniosła pani Anderby.

– Bill – odezwała się Carol – młodzi na pewno mają plany na kolację.

Alan spojrzał pytająco na Kate, a ona, milcząca od jakiegoś czasu, obwieściła wszem wobec:

– Dwa martini to moje maksimum.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Czyżby bełkotała?

Carol odprowadziła Alana i Kate do wyjścia, podczas gdy Bill przyrządzał drinka dla pani Anderby.

– Przepraszam, że przerwaliśmy rozmowę o Audrey Marshall, ale Lila nie będzie teraz spała tygodniami – wyjaśniła. – Kate, rozmawiałam z zarządcą i osobno z Bobem, Sanibelem oraz... jak się nazywa ten nowy...?

– Oscar – podsunął Alan.

– I Oscarem, cała trójka w najbliższych miesiącach zachowa wzmożoną czujność.

Gdy Alan i Kate zostali sami na korytarzu – Carol nalegała, by niedługo znowu ich odwiedzili, może na kolację – stali przez chwilę w milczeniu, patrząc na siebie. W tym milczeniu Kate jeszcze dobitniej zrozumiała, jak bardzo jest pijana po dwóch martini; ściany korytarza migotały, jakby się znajdowali pod wodą.

– Chyba muszę coś zjeść – stwierdziła.

– To były naprawdę duże martini – zauważył Alan.

– Ile wypijeś?

– Dwa, ale ja jestem zawodowcem.

– No tak, a ja raczej amatorem.

– W gotowaniu daleko mi do mistrzostwa – powiedział – ale jestem świetny w śniadaniach. Mogę ci zrobić omlet.

– Cudownie.

W kuchni Alana, podobnie jak u Corbina, była wielka wyspa z granitowym blatem. Kate usiadła i patrzyła, jak Alan przyrządza omlet. Zaproponował jej kieliszek wina, ale poprosiła o wodę. Już rozbił jajka i teraz odcinał kawałki sera jarlsberg.

– Przepraszam, ale nie mam żadnych warzyw – rzekł.

– Daj spokój. Chętnie bym zjadła ten cały kawał sera.

– Mogę ci też przyrządzić tosty, jeśli chcesz.

– Tak, poproszę. Sama mogę je zrobić, jeśli mi zdradzisz, gdzie jest chleb.

Gdy ona opiekowała pełnoziarniste tosty, on poszedł do salonu i włączył muzykę, jakiś jazz, który wydał się jej znajomy. Saksofon tenorowy, fortepian, perkusja. Alan wrócił i zabrał się do smażenia omletów, kładąc wielki kawałek masła na rozgrzaną patelnię. Na jego twarzy malowało się wielkie skupienie, a Kate od razu zobaczyła, jak wyglądał jako mały chłopiec pochylający się nad sprawdzianem ortograficznym. Właśnie w tej chwili postanowiła, że się z nim prześpi.

Nie spała z nikim od czasów związku z George'em Danielsem. Ponad pięć lat. Na myśl o zbliżeniu z kimkolwiek czuła przerażenie, chociaż od pewnego czasu wiedziała, że bardzo tego potrzebuje. Nie

chciała odejść z tego świata ze świadomością że uprawiała seks jedynie z mężczyzną, który próbował ją zabić. Ale moment musiał być odpowiedni. Martwiła się, że wybierze niewłaściwą osobę i niewłaściwą chwilę i że znowu dozna jakiejś traumy. Ale teraz – akurat w tym momencie – warunki były doskonałe. Była pijana i znajdowała się w obcym kraju. Gdyby musiała nagle uciec, to jej mieszkanie znajdowało się w tym samym budynku. No i Alan się jej podobał, a ona chyba podobała się jemu. I nawet jeśli było w nim coś pokręconego – przede wszystkim ta obsesja na punkcie Audrey – wydawał się miły. No i czas był najwyższy.

Wiedząc, co zapewne się niedługo wydarzy, Kate straciła apetyt. Zjadła jednak omlet i tosta z masłem, rozmawiając przy tym z Alanem o Carol i Billu. Alan powiedział, że Bill prowadził kiedyś duże linie lotnicze i że każdą zimę spędzali w Palm Beach. Mieli jednego syna, który popełnił samobójstwo przed dwudziestu laty.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytała Kate.

– Quinn się tego dowiedziała, moja eks. Byliśmy u nich na drinku, wyglądało to dokładnie tak samo jak dzisiejszy wieczór. Quinn najwyraźniej zdała egzamin, a ja nie, bo Carol i Quinn się poniekąd zaprzyjaźniły. No i zjadły razem lunch w któryś dzień, kiedy Bill grał w golfa, podczas gdy ja nie zostałem przez niego zaproszony.

– A grasz w golfa?

– Nie.

– Więc dlaczego zakładasz, że zrobiłeś złe wrażenie?

– Rzuciłem uwagę, że w takim budynku na Beacon Hill portier jest zbędny. Coś w tym rodzaju. Zostałem pouczony. I chyba nie podoba im się mój nos.

– Poważnie?

– Nie, nie dosłownie. Chodzi o to, że jestem Żydem.

– Och.

– Wiedziałaś, że jestem Żydem?

– Nie i w ogóle się nad tym nie zastanawiałam.

– Może mam paranoję, ale wtedy przez cały wieczór siedziałem tam i myślałem, że oni widzą tylko brzydkiego Żyda z piękną sikszą i zastanawiają się, jakim cudem dostałem się do ich kamienicy. Dzisiaj wieczorem pewnie znowu to przechodzili.

– Chyba to rzeczywiście paranoja.

Alan się roześmiał.

– No, zdecydowanie jestem paranoikiem. Ale to nie znaczy, że oni tak nie myślą.

– A ja nie uważam, że jesteś brzydki – powiedziała Kate. – Ani trochę.

Pozbierali naczynia i Kate dała się poczęstować lampką białego wina. Posiłek ją otrzeźwił, a ona chciała znów poczuć to samo, co wcześniej. Gdy kuchnia była już uprzątnięta, Alan poszedł do salonu nastawić nową płytę, Kate podążyła za nim. Zabrzmiała muzyka – znowu jazz, tym razem z kobiecym wokalem – Kate odstawiła kieliszek na drewniany stół. Alan postawił swój obok, po niewielkim wziął Kate w ramiona i pocałował. Lekko zeszywniała, potem się odprężyła i rozchyliła usta. Ich języki zetknęły się koniuszkami, pod Kate ugięły się nogi. Odsunęła się odrobine.

– W porządku? – spytał.

– Bardzo dawno tego nie robiłam.

– Okej.

– I nie bez powodu. Przeżyłam traumę. Okej. Możemy o tym porozmawiać, jeśli chcesz.

– Nie, nie chcę o tym rozmawiać. Chcę tylko cię uprzedzić, na wypadek gdyby się zrobiło dziwnie.

Uśmiechnął się.

– Dzięki za uprzedzenie. – Jego głos zabrzmiał trochę ochryple. – Ostrzeżony, uzbrojony.

Pocałowali się znowu, stojąc obok sprzętu grającego. Kate rozpoznała jeden z utworów: *Bewitched, Bothered, and Bewildered*. Z powodu tej starej piosenki miała wrażenie, że całują się w jakiejś innej epoce. Całe lata wcześniej. Dzięki temu łatwiej było jej udawać, że ona to ktoś inny, ktoś, kto nie boi się cały czas, ale co tydzień wdaje się w nowe romanse.

– Chcesz...? – zaczął Alan.

– Zostać?

– Tak.

– Chcę.

Przeszli do sypialni, równie schludnej jak cała reszta mieszkania; szerokie łóżko było idealnie pościelone, żadnych ubrań na podłodze. Nad łóżkiem wisiała oprawiona kopia obrazu, w którym Kate rozpoznała dzieło Chagalla. Zastanawiała się, czy to własność Alana, czy może pamiątka po nieudanym związku. Najpierw on skorzystał z łazienki, potem ona, a gdy wróciła, Alan już leżał w łóżku. Teraz czuła się już całkowicie trzeźwa, jak również zdenerwowana, ale nie panikowała. Wiedziała, że jest gotowa. George Daniels czaił się gdzieś w tyle jej głowy, i obserwował ich, ale ona zdołała sobie poradzić. Zawsze tam był, przyzwyczaiła się.

Kate zauważyła tiszert i chyba spodnie od piżamy złożone starannie w nogach łóżka.

– Na wypadek gdybyś chciała coś na siebie włożyć – wyjaśnił.

Uświadomiła sobie, że Alan, odkąd mu wyznała, że dawno tego nie robiła, stał się wobec niej nadmiernie ostrożny. Ściągnęła sukienkę przez głowę, odpięła stanik, zdjęła go i wsunęła się do łóżka. Pościel była świeża i chłodna, Alan przyciągnął ją do swojego chudego, ciepłego ciała. Dłonią ujął jej pierś. Jego usta wciąż smakowały winem.

Obudziła się o świcie, przez jedyne okno sypialni wpadało perłowszare światło. Alan chrapał cicho, jego ręka leżała na jej biodrze. Nad nimi stał George Daniels, w jednej ręce trzymał strzelbę myśliwską, drugą rozpinął spodnie. Uśmiechał się do niej, jego usta były wielką czarną dziurą bez zębów. Kate zastanawiała się, co się stało z zębami, aż odkryła, że znajdują się w jej ustach, cała garść, grzechocząc jak małe ostre kamyki, dławiąc ją.

Znowu się obudziła. Okno wyglądało tak samo, jaśniało lekko w świetle świtu, ale George zniknął, a dłoni Alana nie było już na jej biodrze. Serce jej podskoczyło trochę za szybko, skórę miała mokłą od potu. To był tylko George, znowu w jej snach, w jedynym miejscu, gdzie mógł ją dopaść. Wyszła z łóżka i naga udała się do łazienki. Włączyła światło i ostry jasny blask – z czterech wielkich żarówek nad

toaletką – zalał łazienkę. Zamknęła oczy i zaraz rozwarła je odrobinę, żeby się przyzwyczyliły do światła. W ustach jej zaschło, napiła się prosto z kranu zimnej metalicznej wody. Potem spojrzała na swoje odbicie w wysokim lustrze; nagość uświadomiła jej dobitnie, co się stało. Było dobrze. Wręcz lepiej niż dobrze. Całowali się przez jakiś czas, dotykali wstydliwie pod kołdrą. Nie ulegało wątpliwości, że Alan się nie spieszy i już zdążyła pożałować, że wspomniała mu o swojej traumie, ale gdy zdjęła bieliznę i spytała, czy ma gumkę, zabrał się do rzeczy, najpierw powoli, a potem, gdy już w nią wszedł, skupiony na celu. George, niezręczny i spięty, nigdy tak nie umiał. Podobało jej się, chociaż miała wrażenie, że uczestniczy w tym wszystkim z oddali, jakby obserwowała rozwój sytuacji, desperacko szczęśliwa, że do niej doszło, ale jakby nie mogła się w niej zatracić. Po wszystkim Alan schował głowę w zagłębieniu pomiędzy jej szyją a ramieniem i oparł się na niej całym ciężarem ciała. Czowała jego oddech, wdech i wydech, lepkie ciepło pomiędzy jego skórą a swoją. To był jej ulubiony moment. Dotknęła koniuszkiem języka jego szyi, żeby go posmakować. Jeszcze teraz poczuła ulgę, że wreszcie kochała się z kimś innym niż George Daniels, ale też dopadł ją niepokój. Zawdzięczała Alanowi cudowne odczucia, lecz w zasadzie go nie знаła.

Wyłączyła światło i w łazience zrobiło się ciemno. Wymacała gałkę u drzwi, wyszła na słabo oświetlony korytarz. W sypialni Alan ciągle spał z twarzą schowaną w poduszce i z jedną nogą wykopaną spod kołdry.

Kate cicho zebrała swoje ubrania i wróciła do łazienki, żeby się ubrać. Widząc, jak tak leży – niewinny we śnie – poczuła strach. George Daniels też tak spał, na brzuchu, z ręką pod brodą.

„Tak po prostu śpi Alan” – pomyślała sobie. „To nie jest George”.

Ale dobre uczucia związane z Alanem zaczęły ulatywać. Zupełnie jakby nagle zmieniła się pogoda.

Ubrała się i wyszła z mieszkania, przemknęła na swoją stronę budynku. Nikogo nie spotkała, ale słysząc swoje kroki na kamiennej podłodze, miała wrażenie, że cały budynek wie, gdzie była.

U siebie, za zamkniętymi drzwiami czuła, jak jej umysł pędem wymyka się spod kontroli. Prawie nie znała Alana. Miał obsesję na punkcie kobiety, która teraz nie żyła. Spotkał ją raz na dziedzińcu, a potem nagle się pojawił w knajpce, w której jadła obiad. Pewnie ją śledził. I pewnie też dopilnował, żeby go zaproszono do Billa i Carol Valentine’ów na drinka. W najlepszym wypadku postanowił ją uwieść, i udało mu się niemal natychmiast. W najgorszym wypadku był psychopatycznym mordercą. Przyłapała się, że szybko dotyka kciukiem opuszek kolejnych palców, trzykrotnie każdy palec. Uspokoila się.

Rozległo się pukanie do drzwi, ciche, niepewne. Nie musiała sprawdzać. „To Alan” – powiedział głos George’a. „Dopadł cię”. Spojrzała przez judasza. Zobaczyła twarz Alana, poważną, niemal udręczoną. I czy widziała na niej coś jeszcze? Odrobinę gniewu?

Bezszelestnie zdjęła buty i jak najciszej odsunęła się od drzwi, a George wciąż szeptał jej do ucha.

Kate usiłowała jeszcze trochę pospać, ale ponieważ jej się nie udało, wzięła prysznic i się ubrała, chociaż nie zamierzała dzisiaj wychodzić z domu.

Otworzyła pocztę, zobaczyła, że Martha jest online i napisała do niej „Hej”.

Minęło pięć minut, przeczytała w tym czasie mejla z domu, w którym wyrażał ojciec nadzieję, że Kate zanadto się stresuje. Wiedziała, że mejla podyktowała ojcu albo wręcz napisała za niego matka, która sama nie chciała tego pisać. Już miała wygugłować Alana Cherneya, gdy Martha odpisała:

Kate: Co tam? Nie całowałaś się chyba znowu z moim kuzynem, co?

Martha: Niestety. Czmychnął.

Kate: Co to znaczy?

Martha: Nie widziałam go ani nie słyszałam. Nie żebym próbowała nawiązać kontakt (kłamstwo), ale go nie ma.

Kate: Od kiedy?

Martha: Odkąd go ostatnio widziałam. Nie wiem. Chyba go słyszałam w sobotę.

Kate: Dziwne.

Martha: Pytał o mnie? Poradziłaś mu, żeby zwiewał, gdzie pieprz rośnie?

Kate: Zaleciłam, żeby się trzymał z daleka.

Martha: Pewnie tak, ty gnojówko.

Kate: Może sobie wynajął jakieś luksusowe mieszkanie i wyniósł się z mojego. Jeśli go zobaczysz, daj mi znać.

Martha: Co się dzieje?

Kate: Nic. Jestem ciekawska po prostu. Muszę lecieć.

Wylogowała się z poczty. Dokąd pojechał Corbin? Wraczał do domu? A jeśli tak, to dlaczego jej nie powiadomił?

Wróciła do gugłowania Alana Cherneya, ale znalazła niewiele. Wyglądało na to, że jest szermierzem, jego nazwisko pojawiło się w wynikach zawodów, narafiła też na zdjęcie Alana w reprezentacji uczelni Tufts, chyba sprzed dziesięciu lat. Przypomniała sobie, że poprzedniego wieczoru u Valentine'ów mówił, iż dowiedział się o okaleczeniu Audrey Marshall z artykułu w „Boston Globe”. Nie. Nie z artykułu. Z komentarzy pod tekstem. Weszła na witrynę „Boston Globe” i znalazła artykuł o Audrey Marshall. Rzeczywiście pod spodem widniało kilka komentarzy, ale w żadnym nie było wzmianki o tym, jak zginęła. Sprawdziła wszystkie artykuły, jakie zdołała znaleźć, i wszystkie komentarze. Nic. Albo zostały skasowane – co było całkiem prawdopodobne, jeśli się nad tym zastanowić – albo Alan wiedział, co się

stało z Audrey z innego źródła.

Kate zdjęła laptopa z kolan i szybko wstała; zakręciło jej się w głowie, z powrotem usiadła. W ustach wciąż czuła suchość po minionej nocy, po tym całym dżinie. Wstała znowu, teraz już wolniej, i poszła do kuchni. Napiła się soku pomarańczowego prosto z kartonu. Gdy już zaczęła, miała wrażenie, że nie może przestać, piła go wielkimi haustami, aż spływał jej po brodzie. Potem zjadła jogurt waniliowy. I nareszcie poczuła się trochę lepiej.

Wróciła do salonu, wyjrzała za okno. Dzień był jasny i przejrzysty, nie znalazła ani jednej chmury, od przyjazdu do Bostonu po raz pierwszy widziała taką pogodę. Ale powierzchnia rzeki na widocznym z jej okna odcinku marszczyła się od wiatru, a pobliskie drzewo, pełne już nowych liści, pochyliło się i prostowało. Przyłożyła dłoń do szyby; była zimna w dotyku, czuła pod skórą wibracje od wiatru.

Zastanowiła się, czy dzisiaj iść na spacer. Nie. Czuła się dobrze za zamkniętymi drzwiami mieszkania, a tam, na zewnątrz – nie wiadomo gdzie – był morderca Audrey. I niewykluczone, że ten morderca teraz zainteresował się nią.

Próbowała sobie tłumaczyć, że wpada w paranoję, ale nic nie pomagało. To, co przydarzyło się Audrey, w jakiś sposób wiązało się z nią. Może nie od początku, ale w tej chwili już na pewno. Corbin chodził z Audrey, a teraz kłamał, że tak nie było. A ona mieszkała w jego apartamencie. Nawet policja interesowała się Corbinem.

No i jeszcze Alan. Co ona sobie myślała, że się przespała z Alanem? Nawet jeśli nic nie łączy go z morderstwem Audrey, podglądał ją całymi miesiącami, miał na jej punkcie obsesję, knuł jakieś plany, żeby się z nią poznać. „Normalni ludzie nie robią takich rzeczy” – pomyślała. Ale może po prostu nie ciągnęło jej do normalnych ludzi? Może pociągali ją psychopaci? George Daniels jej z tego nie wyleczył. Musiała pojechać do całkiem innego kraju, żeby znaleźć kolejnego psychologa. Przypomniała sobie wykrzywioną twarz Alana widzianą przez judasza i poczuła strach. Teraz pewnie był w pracy, ale później, wieczorem, wróci do jej drzwi. Była tego pewna.

Zadzwonił telefon w salonie, ostry, przenikliwy dźwięk. Kate ruszyła do aparatu, serce jej trochę przyspieszyło. Czy Alan miał jej numer? Niewykluczone. Może zresztą był w książce telefonicznej. Nie odbierze, zaczeka, aż przestanie dzwonić. Minęło kilka sekund, telefon znowu zadzwonił. „To na pewno Alan” – pomyślała i odebrała niechętnie. Jeśli będzie musiała z nim rozmawiać – a że z nim spała, to owszem, będzie musiała – łatwiej zrobić to przez telefon niż osobiście.

Odchrząknęła i podniosła słuchawkę

– Halo?

– Czy rozmawiam z Kate Priddy? – spytał kobiecy głos.

– Tak.

– Z tej strony detektyw James. Czy moglibyśmy przyjechać i jeszcze raz się rozejrzeć po pani mieszkaniu?

– Chyba tak. A ma pani... ekhm... ma pani nakaz?

– Nie mam, ale mogę zdobyć, jeśli pani woli.

– Myślę, że tak byłoby lepiej.

– Przywiozę dzisiaj do mieszkania Audrey Marshall jej rodziców, żeby zabrali stamtąd, co chcą.



Przyszło mi do głowy, że dobrze by było zostawić ich tam na chwilę samych. Mogłybyśmy w tym czasie porozmawiać, a jeden z moich ludzi by się rozejrzył po mieszkaniu Corbina. W tej chwili po pani mieszkaniu.

– Zgoda. Corbin jest podejrzany? Rozmawiała z nim pani?

– Odpowiem na pani pytania, jak przyjadę, dobrze?

– Dobrze.

Kate się rozłączyła. Zastanawiała się, czy przyjadą potężną ekipą, z ludźmi w rękawiczkach i z małymi torebkami do zbierania dowodów. Pewnie nie, skoro nie mieli nakazu. Najwyraźniej jednak wiedzieli, że Corbina coś łączyło z Audrey. Tak jak poprzednio rychłe przybycie policji obudziło w Kate pragnienie, by samej przeszukać mieszkanie. Ale zastanawiała się też, czy nie powinna zachować ostrożności, gdy czegoś dotyka. Stała jak skamieniała przy telefonie. Pewnie będą chcieli zobaczyć klucz do mieszkania Audrey. Gdzie on jest? Kate przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, a potem coś jej zamajaczyło, że odłożyła go do tej samej szuflady, w której go znalazła. Przeszła do kuchni. Nie było go tam. Zostało kilka nieoznaczonych kluczy, kilka z przywieszkami, ale nie mogła znaleźć tego z inicjałami AM. Zastanowiła się. Może wciąż go miała w kieszeni dżinsów, które nosiła w tamtą noc, gdy poszła do mieszkania Audrey? Popędziła do sypialni, przejrzała swoje ubrania, ale klucza nie znalazła. Wróciła do kuchni i jeszcze raz przetrząsnęła szufladę. Podniosła tacki na sztućce, bo klucz mógł się pod nie wśliznąć. Głowiła się i głowiła, ale bez skutku. Pamiętała, że po raz ostatni widziała ten klucz, gdy wróciła z mieszkania Audrey. Patrzyła na Alana po drugiej stronie dziedzińca. Zadrżała lekko, a potem wypchnęła ten obraz z pamięci.

Jeszcze raz przejrzała klucze z przywieszkami i wybrała ten z podpisem „składzik”. Widziała go już wcześniej i uznała, że to od jakiegoś magazynu wynajętego przez Corbina lub jego ojca. Ale jeśli nie? Jeśli w ten sposób oznaczono klucz do komórki piwnicznej w tym budynku? Wydawało się mało prawdopodobne, żeby tak wielkie apartamenty miały jeszcze jakieś dodatkowe pomieszczenie magazynowe, ale im dłużej o tym myślała, tym bardziej przychyliła się do wniosku, że oczywiście, musiało tak być. Mocno chwyciła klucz w palce. Może dlatego znalazła tak niewiele śladów istnienia Corbina w mieszkaniu; wszystko znajdowało się w składziku. Detektyw James powiedziała, że przyjedzie mniej więcej za godzinę. Kate uznała, że zdąży zejść do piwnicy i sprawdzić, czy coś tam jest. Gdy tylko taki pomysł przyszedł jej do głowy, wiedziała, że nie odpuści, musi to zrobić. Znała ten przymus: jeśli nie sprawdzi, będzie przekonana, że w składziku na pewno jest coś strasznego. Musiała tam zajrzeć, żeby się pozbyć tego strachu. I co za okropność miałyby się tam kryć? Przepołowione szczątki niezliczonych zamordowanych dziewczyn?

Kate postukała opuszką kciuka o pozostałe palce i upuściła klucz. Z trzaskiem spadł na łupkową podłogę.

Podniosła go i odblokowała zamek drzwi kuchennych. Pierwszego dnia pani Valentine powiedziała jej, że tędy się schodzi do piwnicy. Kate otworzyła drzwi, znalazła przełącznik i blade żółte światło zalało wąskie, strome schody. Najpierw sprawdziła, czy drzwi się za nią nie zatrzasną, a potem zeszła trzy kondygnacje. Im niżej, tym było chłodniej. U stóp schodów znajdowały się drzwi, Kate pchnęła je i weszła do piwnicy. Spodziewała się mroku i wilgotnych ścian, ale nic podobnego. Była to przestronna, jasna przestrzeń. Betonowa podłoga była idealnie czysta, a wykończone ściany pomalowano na

industrialną szarość. Pod jedną ścianą stał szereg bojlerów, a po przeciwnej stronie ciągnął się rząd drewnianych drzwi z płyty wiórowej. Wszystkie oznaczono numerami mieszkań, na wszystkich wisiały kłódki. Składziki. Kate znalazła drzwi z oznaczeniem 3D i wetknęła klucz do kłódki. Wsunął się gładko. Obróciła go i kłódka się otworzyła.

„Trafiałam” – pomyślała, a jej umysł już pędził po utartej ścieżce potworności. Suchym językiem dotknęła górnej wargi.

Otworzyła drzwi na dobrze naoliwionych zawiasach. W środku panował mrok, ale nie tak głęboki, żeby nie widziała, co ma przed sobą. Nie było tu ołtarzyka poświęconego Audrey, spryskanego krwią. Nie było ciała ani nawet kałuży krwi. Stały za to kartony, plastikowe skrzynki ze sprzętem sportowym i płytami CD. Kate weszła do środka, zaczekała, aż jej wzrok się dostosuje. Od grilla ze zniekształconą od gorąca pokrywą roznosił się po pomieszczeniu zapach węgla drzewnego. Pod ścianą stało kilka tanich plakatów w ramach. Przejrzała je. Na jednym widniał śmiały obraz, w którym rozpoznała okładkę albumu zespołu Ween. Było to zdjęcie kobiety, samego tułowia. Miała na sobie plastikowy pas z logo zespołu, krótka koszulka ledwie zasłaniała pełne piersi. Kate wpatrywała się w niego porażona, choć nie wiedziała dlaczego. Na pozostałych plakatach widniały włoskie samochody sportowe, były to obrazy, które wyglądałyby tandetnie nawet na ścianie męskiego pokoju w akademiku. Był też poster do filmu *Fight Club* i taki z listą dwunastu powodów, dla których piwo jest lepsze od kobiety.

Kate otworzyła pierwszy z brzegu karton. W środku znajdowały się komiksy w plastikowych koszulkach. Wyjęła jeden – *Fantastyczna czwórka* – i odłożyła. W pozostałych kartonach też znajdowały się komiksy i również wszystkie w plastikowych koszulkach. Jeden był wypełniony magazynami o samochodach sportowych, a między nimi krył się mocno sfatygowany numer „Penthouse’a”. Kate na chwilę zrobiło się głupio, że przegląda rzeczy Corbina. Pomyślała o szafie w swoim mieszkaniu, o pudle, w którym leżały jej stare szkicowniki, w tym jeden w całości zapełniony rysunkami boys bandów i jednoroźców. Miała nadzieję, że kuzyn ich nie przegląda. No ale przecież Kate nie zaspokajała niezdrowej ciekawości, ona szukała dowodów. Zaledwie tak pomyślała, poczuła się idiotycznie. Policja niedługo przyjedzie i też będzie szukać dowodów, a policjanci wiedzieli, co robią. Tutaj w piwnicy nie było nic do oglądania. Po prostu rzeczy, których Corbin nie był jeszcze gotów wyrzucić. Wszystkie składziki tak wyglądały.

Wyszła ze składziku, zamknęła za sobą drzwi i poczuła, jak zadra wchodzi jej w palec. Natychmiast wsadziła kciuk do ust, a potem go obejrzała. Pod przezroczystym naskórkiem widniała ciemna drzazga. Wymacała palcem wskazującym jej krawędź i próbowała ją wypchnąć, ale drzazga wlaźła głęboko. „Zrobię to na górze” – pomyślała i już miała założyć kłódkę, gdy nagle poczuła, że znowu musi spojrzeć na plakaty. Ten z dziewczyną o wielkich piersiach wyglądał dziwnie. Otworzyła drzwi i wyjęła plakat. Rama wydała się jej dziwnie lekka. Przez środek biegła ciemniejsza linia. To właśnie uderzyło Kate. Zdjęła górną krawędź ramki i plakat rozchylił się na boki. Cienka folia pokrywająca plakat też się odchyliła i Kate zrozumiała, że plakat został rozcięty przez środek. Linia, którą widziała, była cięciem. Połowa plakatu spłynęła na podłogę i spoczęła tam obrazkiem do góry, tak że Kate patrzyła na połówkę kobiety, podzielonej idealnie przez środek.

Krew napłynęła jej do głowy Kate poczuła, jak tężeje z zimna. Odruchowo przykucnęła, by podnieść połówkę plakatu, próbowała złożyć całość, ale potem zrezygnowała i postanowiła wyjść ze składziku. Wyjść z tej piwnicy.

Wycofała się, zatrzasnęła drzwi i tym razem założyła kłódkę.

Odwróciła się do wyjścia, gdy jej uwagę przyciągnął jakiś ruch za jednym z bojlerów. Zatrzymała się i nadstawiła ucha, usłyszała skrobanie, przykucnęła i ujrzała Sandersa, który właśnie wyszedł na korytarz, niosąc coś w pysku. Odwrócił się do niej, spojrzał ślepiami świecącymi jak dwa żółte lusterka. Usiłowała dojrzeć, co niesie. Albo małego szczura, albo dużą mysz. Upuścił zdobycz na podłogę. Przesunęła się ocieżale. Sanders doskoczył do niej i przyszpilił ją pazurami. A potem spojrzał na Kate i syknął głośno.

Kate na miękkich nogach wyszła z piwnicy. Co znaczył ten okaleczony plakat? Może kiedyś był złożony i z czasem przetaił się na zgięciu? Nie, wykluczone. Plakat nie był rozdarty, lecz rozmyślnie przecięty. Rozmyślnie przecięty, a potem oprawiony. Czy Corbin miał jakieś chore fantazje o okaleczaniu kobiet? Fantazje, które wreszcie się zrealizowały przy okazji morderstwa Audrey Marshall? Kate wróciła do mieszkania i stała chwilę, myśląc i stukając opuszkami palców o siebie, w swoim określonym porządku.

Weszła do salonu i usłyszała jakieś zamieszanie na korytarzu. Spojrzała przez judasza i zobaczyła detektyw James zdejmującą taśmę policyjną z drzwi mieszkania Audrey Marshall. Obok niej czekało w milczeniu dwoje ludzi w średnim wieku – pewnie rodzice Audrey. Wyglądali starzej, niż Kate sobie wyobrażała. Kobieta wspierała się na lasce z czwórnożną podpórką. Może Audrey urodziła się, gdy byli już nie najmłodszy, a może byli to jej dziadkowie. Po zdjęciu taśmy i otwarciu drzwi detektyw wprowadziła ich do mieszkania, a dwójka policjantów mundurowych została na korytarzu. Kate zaniechała obserwacji, poszła do kuchni napić się wody.

Pukanie do drzwi usłyszała zaskakująco szybko. Wpuściła do środka detektyw James i dwójkę mundurowych.

– Muszę z panią porozmawiać – powiedziała, gdy tylko policjantka przeszła przez próg.

– Dobrze, usiądźmy.

Jeden z mundurowych – młody czarny mężczyzna z ogoloną głową – chyba już wiedział, co ma robić. Ruszył do kuchni, zakładając rękawiczki. Kate bardzo się starała nie patrzeć na pistolet w kaburze u jego pasa.

Policjantka usiadła na skraju kanapy, wygładziła nogawki czarnych spodni i powiedziała:

– Wszystko w porządku? Wygląda pani na zdenerwowaną.

– Czy Audrey Marshall została okaleczona?

Twarz policjantki nawet nie drgnęła, Kate odniosła jednak wrażenie, że coś pojawiło się w jej oczach. Zainteresowanie, ale też zatroskanie.

– Skąd ma pani takie informacje?

– Na zajęciach, na które chodzę, poznałam pewną kobietę, powiedziała mi, że przeczytała o tym w internecie. A potem usłyszałam o tym od kogoś innego, ta osoba też mówiła, że wie o tym z internetu, z komentarzy pod artykułem, który czytała. – Kate świadomie nie wspomniała, że drugim źródłem informacji był Alan Cherney, ale jeśli detektyw zpyta, powie jej, kto to jest. Postanowiła mówić wszystko.

Detektyw James skwitowała informacje powolnym skinieniem głowy. Wyglądało na to, że się nad czymś zastanawia.

– Nie wdając się w szczegóły: tak. Ciało Audrey Marshall zostało przecięte w kilku miejscach. Proszę, żeby zachowała pani te informacje dla siebie, ponieważ jeszcze ich nie podaliśmy prasie. Choć najwyraźniej ktoś to zrobił.

– Dobrze, obiecuję – odrzekła Kate. – Jak została pocięta? To znaczy w jaki sposób, w którym miejscu?

– Dlaczego chce pani to wiedzieć?

– Jestem niemal pewna, że Corbin, mój kuzyn Corbin, miał coś wspólnego ze śmiercią Audrey. Zeszłam do piwnicy, do składziku...

– Do piwnicy tutaj, w tym budynku?

– Tak.

– Kiedy pani to zrobiła?

– Dzisiaj, przed waszym przyjazdem.

Kate opowiedziała o swoim znalezisku, opisując plakat seksownej dziewczyny i sposób, w jaki został rozcięty na pół, a potem oprawiony. Gdy to wyjaśniała, zastanawiała się, czy nie wychodzi na paranoiczkę, ale wzbudziła zainteresowanie swojej rozmówczynie, detektyw James wyraźnie wyprostowała się na kanapie. Gdy Kate skończyła, policjantka jej podziękowała, a potem powiedziała, że musi pilnie zadzwonić. Wstała, wyjęła komórkę i podeszła do okna. Do kogokolwiek dzwoniła, nie rozmawiała nawet minuty, a potem schowała telefon do kieszeni i wróciła do Kate.

– Przyczyną śmierci Audrey Marshall było podcięcie gardła, ale na ciele znaleziono również rany, które powstały po śmierci, było to cięcie od głowy przez całe ciało. – Detektyw przesunęła palcem przez środek swojego torsu.

– Och! – Kate od razu wyobraziła sobie, jak jej skóra się rozchyła, jak odsłania się czaszka. Poczwała w gardle smak żółci.

– Dlaczego poszła pani do tego składziku? – spytała policjantka. – Ma pani inne powody, by podejrzewać kuzyna?

Kate wzięła bardzo głęboki oddech, a potem wypuściła powietrze z płuc. Wiedziała, że musi policjantce powiedzieć wszystko. Zaczęła od tego, czego się dowiedziała od Alana Cherneya. Wyznała, że Alan widział Audrey Marshall z okien swojego mieszkania i jest przekonany, że zamordowana sąsiadka spotykała się z Corbinem. Widział, jak się całowali.

Kate spodziewała się pytania, dlaczego Alan podglądał Audrey Marshall, ale zamiast tego policjantka zapytała:

– Nawet jeśli Corbin był związany z Audrey, dlaczego ma to budzić podejrzenia? Musi być coś jeszcze.

– Bo on się tego wyparł. Alan mówi, że oni ze sobą chodzili, i tak też mówi przyjaciel Audrey, Jack... on chyba też sądzi, że Corbin miał coś wspólnego z tym, co się stało.

– Zdecydowanie chcę wrócić do Jacka Ludovica i dowiedzieć się więcej o waszej rozmowie, ale najpierw zapytam, czy jeszcze coś wzbudziło pani podejrzenia wobec kuzyna? Najwyraźniej się pani rozglądała...

– Mówiłam pani o kluczu... że miał klucz do mieszkania Audrey Marshall...

– Tak.

– No właśnie. To oczywiście nie musi nic znaczyć. Był przecież jej sąsiadem. No i to, co znalazłam w jego składziku. Ten przecięty plakat.

– Ma pani teraz przy sobie klucz do składziku?

– Tak, proszę – powiedziała Kate, sięgając do przedniej kieszeni dzinsów. Ale nie znalazła klucza. Wstała, przeszukała drugą kieszeń. Nic.

– Odłożyła go pani do szuflady? – zapytała policjantka.

– Boże, na pewno tak. – Kate ruszyła do kuchni.

– W porządku. – Detektyw zatrzymała ją szybko. – Znajdziemy go.

Kate usiadła. Tak, już sobie przypomniała: odłożyła klucz do szuflady w kuchni.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie spałam w nocy. Strasznie się denerwuję tym, co się dzieje w budynku.

– To absolutnie zrozumiałe. – Detektyw James wyciągnęła rękę i położyła dwa palce na kolanie dziewczyny, by pokrzepić ją na duchu. Kate rozpoznała ten gest, podobnie jak lekki uśmiech; widziała go u dziesiątek psychiatrów i terapeutów, z którymi miała do czynienia w swoim niedługim życiu. Ale przecież ona nie zwariowała. Nie w tej chwili. Dowodziła tego obecność policji. W mieszkaniu obok popełniono morderstwo. A Corbin miał z tym coś wspólnego.

– Proszę mi opowiedzieć więcej o tym Ludovicu. Wie pani, jak się pisze to nazwisko?

– Nie wiem. Pewnie tak, jak się wymawia. Dlaczego pani pyta?

– Bo po naszej ostatniej rozmowie, a powiedziała pani wówczas, że się z nim spotkała, próbowałam go odnaleźć, ale bez skutku.

– Nie było go w komisariacie?

– Nie. Mówił pani, że tam był?

Kate próbowała sobie przypomnieć. Ciągle była zdenerwowana, że nie pamięta, gdzie odłożyła klucz, i nagle wszystkie wspomnienia wydały się jej nierzeczywiste.

– Tak – zdecydowała wreszcie. – Jestem tego pewna. Przyszedł tu do budynku w poszukiwaniu informacji. Mówił, że był na policji, ale niczego się nie dowiedział. I że ktoś zadawał mu pytania, chyba.

– Powiedziała mi pani wszystko o waszej rozmowie?

Kate się zastanowiła.

– Tak. Był przyjacielem Audrey, ale na pewno coś do niej czuł. Mówił, że pracuje w hotelarstwie.

Detektyw szybko zapisywała coś w notesie. Podniosła wzrok.

– Może mi go pani opisać? – zapytała. – Jak wyglądał?

Kate zastanowiła się głęboko. Wciąż miała przed oczyma portret, który narysowała, a który potem jakimś sposobem się zmienił. Już miała po niego pójść, ale zrezygnowała.

– Mogę go dla pani narysować, jeśli pani chce – zaproponowała. – Lepiej mi idzie rysowanie niż opisywanie.

– Oczywiście – odparła detektyw James, podając jej notes i ołówek.

Kate szybko narysowała Jacka Ludovica, jego drobne rysy twarzy nadające mu wygląd raczej chłopca

niż mężczyzny, sterczące włosy. Gdy rysowała, wciąż pojawiał się w jej głowie dziwny rysunek z jej szkicownika, kolidując z pamięcią, więc oczy mężczyzny wyszły trochę nie tak, jak powinny; nie do końca jednak rozumiała, na czym polega błąd. Wreszcie oddała notes policjantce.

– Włosy ma rude. To powinnam zaznaczyć.

– Zapamiętam. Jest pani świetną rysowniczką. To nam bardzo pomoże – powiedziała detektyw.

– Nie jest idealnie, ale widziałam go tylko raz.

– Jest okej. Dziękuję pani. Mogę zadać jeszcze jedno pytanie? Kiedy podjęliście państwo decyzję o zamianie mieszkań? Pamięta pani może, kiedy Corbin się z panią skontaktował?

Kate znowu się zastanowiła. Pamiętała, że matka poruszyła kwestię zamiany po niedzielnym obiedzie. Był chyba koniec lutego albo początek marca, dni były jeszcze krótkie.

– Gdzieś pod koniec lutego – odpowiedziała.

– A dałaby pani radę doprecyzować?

– Albo w ostatnią niedzielę lutego, albo w pierwszą niedzielę marca. Mogę zapytać mamę. Ona będzie pamiętać, a jeśli nie, pewnie ma to gdzieś zapisane.

– Byłabym bardzo wdzięczna. – Detektyw James zamknęła notatnik i dźwignęła się z kanapy. Kate zauważyła, jak doskonałą ma postawę, plecy wyprostowane, szerokie ramiona również. Aż sama też się lekko wyprostowała.

Zanim policjantka wstała, Kate zapytała jeszcze:

– Więc Corbin był związany z Audrey Marshall? Dlatego pani tu jest, prawda?

– Tak, był związany. Audrey prowadziła pamiętnik i napisała o nim. Również jedna z koleżanek potwierdziła, że spotykali się przez ostatnie kilka miesięcy.

– Och! – Chociaż już to podejrzewała, a wręcz wiedziała, bezceremonialne potwierdzenie tego faktu ją zaskoczyło. – Więc na pewno chodzili ze sobą. Czyli Corbin na pewno jest podejrzany.

Policjantka się uśmiechnęła i podrapała po nadgarstku pod paskiem ciężkiego zegarka.

– Na pewno się nim interesujemy, proszę pani. I bardzo byśmy chcieli z nim porozmawiać.

– Sądziłam, że rozmawialiście.

– Wymieniliśmy mejle, ale gdy udał się do niego policjant z londyńskich służb, nie zastał go.

– Rzeczywiście, chyba zniknął.

– Skąd pani wie?

Kate opowiedziała o swojej sąsiadce, która ostatnio nie widziała go w domu.

– Jeśli będzie się pani jeszcze kontaktować z tą Marthą, proszę ją zapytać, czy widziała, żeby wychodził lub wchodził.

– Dobrze. Aresztujecie go?

– Chcemy z nim po prostu porozmawiać. Raczej jak najszybciej.

Zadzwoniła komórka i policjantka wyjęła ją z kieszeni.

– Świetnie, że jesteś. Przyjdź od razu. Mieszkanie obok Audrey Marshall, drzwi na końcu korytarza. – Rozłączyła się, ale wciąż trzymając telefon w dłoni, powiedziała do Kate: – Przyjdzie tu koleżanka z FBI.

– Dlaczego FBI?

– Niewykluczone, Kate, że to morderstwo jest powiązane z dwoma innymi. Jedno popełniono w Connecticut i stąd właśnie zaangażowanie FBI. Sprawdzamy każdy trop, a mnie bardzo interesuje, co pani znalazła w składziku na dole.

Rozległo się pukanie do drzwi, policjantka zerwała się, żeby otworzyć. Do środka weszła Azjatka w czarnej skórzanej kurtce i białej bluzce. Nie wyglądała na dużo starszą niż Kate. Detektyw James przedstawiła ją jako Abigail Tan i zapytała:

– Kate, może pani pójść z nami do składziku w piwnicy i pokazać, co pani znalazła?

Gdy Alan po przebudzeniu stwierdził, że Kate nie ma, od razu wiedział, że coś jest nie tak. Najwyraźniej się rozmyśliła, bo inaczej przynajmniej by się pożegnała. Wziął telefon, by napisać do niej esemesa, ale uświadomił sobie, że nie ma jej numeru. Wyszedł z łóżka, włożył dzinsy i tiszert, po czym przeszedł przez cały pogrążony w ciszy i spokoju budynek i zapukał do jej drzwi. Była tam, po drugiej stronie drzwi, na pewno. Nie słyszał jej, ale wyczuwał jej obecność. Czarny otwór judasza wpatrywał się w niego i nagle Alan rozżłościł się na siebie, że aż tu się za nią zapędził. Wrócił do mieszkania, zrzucił buty i próbował się zastanowić, co robić dalej. Wstał kilka godzin wcześniej niż zwykle, ale był tak nakręcony, że nie miał szans położyć się z powrotem do łóżka. Mdliło go, w brzuchu miał pustkę, a gdzieś w głowie słyszał głucho dudnienie. Wypił dwie szklanki wody i połknął aspirynę.

Skoro nawet on miał lekkiego kaca, to Kate na pewno też miała, może nawet większego. Może się obudziła, zrobiło się jej niedobrze i wróciła do siebie. Albo może się obudziła i zawstydziła się tego, co zaszło. Powiedziała mu, że przeszła traumę i że od dawna z nikim nie była. Miał to na uwadze, nie spieszył się, chociaż odczuwał nie tylko silne fizyczne pragnienie, ale również coś głęboko emocjonalnego. A gdy ich ciała się złączyły, oddechy zsynchronizowały, poczuł się uleczony z rany, której wcześniej nawet sobie nie uświadamiał.

A teraz ona uciekła.

Żeby coś zrobić, przygotował dzbanek kawy, a potem owsiankę instant, chociaż nie był głodny. Podeszedł do komputera, otworzył służbową pocztę i wysłał do szefa wiadomość, że obudził się z jakąś dolegliwością żołądkową i zamierza dziś zostać w domu. Wypił kawę, siedząc przy oknie z widokiem na dziedziniec. Dziwnie się czuł, nie wpatrując się w okna naprzeciwko. Audrey Marshall nie żyła od niespełna tygodnia, a już przestała być dla niego ważna.

Dzień był pogodny, ale wietrzny. Po dziedzińcu krążyła plastikowa torba. Tuż po siódmej drzwi wejściowe się otworzyły i wyszedł z nich mężczyzna w garniturze z gazetą pod pachą. Alan znał go z widzenia, ale nie pamiętał, jak się nazywa. „Analityk finansowy – pomyślał – mieszkał na parterze z żoną, która się nigdy nie pokazywała”. Gdy mężczyzna przecinał dziedziniec, reklamówka zaczepiła się o jego but. Schylił się i podniósł ją, a potem trzymał z dala od siebie, jakby była toksyczna. Zawahał się na chwilę, Alan domyślił się, że mężczyzna rozważa, co zrobić. Wyrzucić torbę na dziedziniec, żeby zmagął się z nią ktoś inny, czy do śmieci? Wybrał to pierwsze, wytarł palce o spodnie i ruszył w swoją stronę.

Alan dalej patrzył. Jeśli Kate dzisiaj wyjdzie – a zdecydowanie nie było to „jeśli”, lecz „gdy” – zbiegnie na dół i z nią porozmawia. Będzie musiała z nim porozmawiać. Będzie musiała powiedzieć, co sprawiło, że uciekła z jego mieszkania. Wiedział, że jeżeli zacznie ją śledzić, wypadnie to fatalnie, ale trudno. Zresztą to lepsze niż dobijanie się do jej drzwi, gdy wie, że ona jest po drugiej stronie i mu nie otwiera. Czy chodziło wyłącznie o wstyd? A może zrobił coś nie tak? Przetrzęsał wspomnienia z ostatniej nocy, szukając wskazówki, ale nic nie znalazł.



Przez cały poranek odszedł od okna jedynie raz, by pognać pędem do łazienki, obmyć się, wyszorować zęby i włożyć czyste ubranie. W drodze powrotnej zaszedł do kuchni, zerknął na niezjedzoną owsiankę krzepnącą w miseczce, a potem zwinął kawałek indyka i szwajcarskiego sera i z tą przekąską wrócił na posterunek przy oknie. Widział, jak nadchodzi listonosz, wlecze się przez dziedziniec, wyciągając z torby wielki plik listów. Kilku mieszkańców wyszło na jasny wtorkowy poranek. Patrzył, jak pani Anderby wyprowadza swojego mopsa i spuszcza go ze smyczy, by obwąchał krzaki w poszukiwaniu dogodnego miejsca na siku. Nagle zerwał się potężny podmuch wiatru, a pani Anderby podrobiła nogami, żeby się nie przewrócić.

Około jedenastej Alan zobaczył, jak dwa szare sedany zajeżdżają na Bury Street, parkują obok siebie ukośnie, wystając na jezdnię. Wiedział, że to policja, jeszcze zanim zobaczył, jak wysoka kobieta w ciemnym garniturze wyłania się z jednego pojazdu, a dwóch mundurowych z drugiego. Cała trójka naradzała się krótko, a potem przeszła przez dziedziniec i zniknęła w wejściu. Policjantkę Alan już wcześniej widział. Uznał, że z jakiegoś powodu śledczy wracają do mieszkania Audrey Marshall. Skierował wzrok na jej okna, w środku było ciemno. A jednak dostrzegł jakiś ruch, jakby ktoś właśnie puścił zasłonę w oknie sypialni. Wyprostował się i wyteżył wzrok, wpatrując się w to miejsce. W szybie odbijał się wielki kołyszący się klon, który rósł za budynkiem. Czy to ten ruch właśnie widział? Ruch odbijającego się drzewa?

Skierował wzrok na znajdujące się dokładnie naprzeciwko niego okno salonu, zasłony były rozchylone. Czekał, aż policja wejdzie do środka. Jeśli ktoś tam był, to go znajdą. Przede wszystkim jednak, jeśli ktoś jest w środku, to pewnie policjant. Alan napomniał się, że ma zachować rozsądek, chociaż akurat w tej chwili nie czuł się zbyt rozsądnie.

Po kilku minutach stało się jasne, że policja nie przyjechała w celu ponownej rezwizji w mieszkaniu Audrey. Więc gdzie byli? Wrócili do mieszkania Kate? Żeby je znowu przeszukać?

Alan tak się skupił na oknach Audrey, że niemal przeoczył mężczyznę, który szybko przeciął dziedziniec. Nie kojarzył go jako mieszkańca kamienicy. Włosy miał rude, był umięśniony i niewysoki. Pasował do rysopisu tego Jacka, o którym mówiła Kate. Tego, który twierdził, że jest byłym chłopakiem Audrey. Czy był w jej mieszkaniu? Tak czy owak, poruszał się za szybko, żeby Alan go dogonił, nawet gdyby chciał. Spojrzał znowu na okna Audrey. Nadal żadnego ruchu. Wyjrzał na ulicę, policyjne wozy prawie zablokowały ruch, nie zostawiając miejsca na przejazd samochodu. W pobliżu aut dostrzegł mężczyznę, który przed chwilą wyszedł. Stał na chodniku i wpatrywał się w budynek, a konkretnie w miejsce, gdzie znajdowały się okna Kate.

Alan szybko włożył buty, chwycił klucze i swoją skórzaną torbę i wyszedł z mieszkania. Chociaż jeszcze nie ustalił, co powie temu facetowi, wydawało mu się to lepsze niż siedzenie przy oknie i czekanie, aż coś się wydarzy. Zbiegł po schodach, przez hol przeszedł jednak normalnym krokiem, nie chcąc wyglądać na szaleńca. Na Bury Street skręcił w prawo, ale Jack już zniknął. Spojrzał w stronę Charles Street i zauważył go, jak idzie chodnikiem. Ruszył za nim.

Jack – jeśli to był Jack – nie dotarł do Charles, lecz skręcił w lewo w Brimmer Street. Alan przyspieszył trochę, tak by go nie zgubić, ale gdy dopadł wylotu Brimmer Street, nie zobaczył nikogo. Szedł dalej, rozglądając się na prawo i lewo, na wypadek gdyby tamten wszedł pomiędzy budynki, ale tu wznosiły się niemal wyłącznie ceglane szeregowce. Nie było gdzie się schować.

– Szuka mnie pan?

Alan odwrócił się gwałtownie. Jack stał z tyłu, a Alan rozglądał się po ulicy, szukając miejsca, gdzie mężczyzna mógł się wcześniej ukryć. Rosło tu jedno drzewo, miłorząb; może za nim?

– Tak – odpowiedział Alan i z zakłopotaniem stwierdził, że głos mu trochę drży. – Mogę zapytać o pańskie nazwisko?

– Może pan, ale nie wiem, czy je panu podam. – Uśmiechnął się, pokazując imponujące kły. Wiatr targał jego krótkimi rozczochranymi włosami.

– Pan jest Jack, prawda? Był pan przyjacielem Audrey Marshall?

– Skąd pan o tym wie? – zapytał mężczyzna, wciąż się uśmiechając, ale teraz w jego oczach pojawiło się jakieś zmieszanie.

– Domyśliłem się. Widziałem, jak pan wychodzi z naszego budynku. Też tam mieszkam i słyszałem o panu. Był pan tu już wcześniej, prawda?

Mężczyzna zawahał się na ułamek sekundy.

– Tak. Kilka razy.

– Właśnie. Jestem Alan.

Jack wyciągnął rękę, a Alan ją uścisnął.

– A więc znał pan Audrey? Nie pamiętam, żeby o panu wspominała.

– Nie znałem. Znam trochę Corbina i kumpluję się z Kate, jego kuzynką, która teraz u niego mieszka. Mówiła, że pana poznała. Jak długo znał pan Audrey?

– Od college’u, ale trochę poluźniliśmy kontakt. Odnowiliśmy go, jak się tu przeprowadziła. Do Bostonu. – Jack zamrugnął powiekami, jakby wiatr wdmuchnął mu coś do oka.

Zza rogu wyjechał samochód, sunął powoli, jakby kierowca szukał czyjegoś adresu. Jack odprowadził go wzrokiem, aż samochód skręcił, a potem obrócił na Alana spojrzenie ciemnych, pytających oczu.

– No to powie mi pan, czego chce ode mnie? Śledził mnie pan od budynku, prawda?

– Co pan tam robił?

– Gdzie? W mieszkaniu Audrey? To chyba nie jest pańska sprawa.

– A więc był pan w mieszkaniu Audrey?

– Powtórzę: to nie jest pańska sprawa. – Słowa Jacka były agresywne, ale jego zachowanie było do nich niepodobne. Nadal miał na ustach lodowaty, wilczy uśmiech. Alan gorączkowo usiłował sobie przypomnieć, dlaczego właściwie śledził Jacka.

– Świetnie – stwierdził w końcu. – W takim razie nie będzie miał pan nic przeciwko, żebym powiedział policji, że pana widziałem.

– Proszę, śmiało. Sam im powiem, jeśli pan chce. Nie mam nic do ukrycia.

– Proszę posłuchać – podjął z rosnącym zakłopotaniem Alan. – O nic pana nie oskarżam. Ale w moim budynku popełniono morderstwo, a ja widziałem, jak pan się tam czai...

– Rozumiem, nie ma sprawy. Przepraszam, że sprawiłem panu kłopot. Może pan bez oporów powiedzieć policji, że mnie tam widział. Poszedłem tam, bo... – nie dokończył.

Alan widział, jak oczy robią mu się szkliste i wilgotne.

– Przepraszam – rzekł.

Jack odwrócił głowę na wiatr i kłykiem otarł oko. Chwilę stali w milczeniu, Alan starał się wymyślić, jak zakończyć tę rozmowę.

Wreszcie odezwał się Jack:

– Miał pan jakieś informacje od policji? Ściągają Corbina z Anglii?

– Nie, nic nie słyszałem. Myśli pan, że Corbin ma z tym coś wspólnego?

Na twarzy Jacka znowu odmalowało się zdumienie, jakby Alan właśnie zadał naiwne, oczywiste pytanie.

– Pewnie, że miał. Audrey mówiła mi o ich związku: że nie zgadzał się, by gdziekolwiek razem wychodzili, że zawsze kłamał.

– Mówił pan to policji?

– Tak, powiedziałem to policji i powiedziałem tej dziewczynie, która tam teraz mieszka. Lepiej niech ona się stąd wyniesie, zanim on wróci, bo jak wróci...

– Myśli pan, że wróci?

– Pewnie nie – odparł Jack. – To znaczy tak, wróci, bo policja go ściągnie, ale wątpię, by sam spieszył się do domu. Ja bym nie wrócił. Jeśli jednak to zrobi, będę na niego czekał. Nie obchodzi mnie, kto wie, ale jeśli go tu zobaczę, zabiję go. I nie żartuję.

Na jego twarzy pojawił się znowu ponury uśmiech, Alanowi zaś przyszło do głowy, że Jack wygląda bardziej jak tatuś z przedmieścia opowiadający nieśmieszne dowcipy na grillu niż jak ktoś ogarnięty morderczym gniewem.

Późnym popołudniem Kate została sama w mieszkaniu. Kiedy zaprowadziła detektyw James i agentkę FBI do składziku i pokazała im rozcięty plakat, funkcjonariuszki odesłały ją na górę. Czekwała w salonie, przed laptopem, podczas gdy dwie policjantki przeszukiwały pieczołowicie kolejne pomieszczenia.

– Mogę tu dalej mieszkać? – zapytała Kate detektyw James, zanim ta wyszła.

Kobieta spojrzała jej prosto w oczy i powiedziała:

– Jak już mówiłam, Corbin Dell jest podejrzany. Zgodnie z tym, co Audrey Marshall zapisała w pamiętniku, łączył ich związek, który zakończył się nie najlepiej. W mejlu twierdził, że jej prawie nie znał. To oczywiście budzi podejrzenia, a że nie mamy innych podejrzanych, on przesunął się na liście w górę. Niemniej proszę pamiętać, że nie mamy nic innego, żadnego dowodu, żeby powiązać pani kuzyna z tym, co się stało w sąsiednim mieszkaniu. Gdyby Corbin był w drodze do domu, a nie jest, ja pierwsza bym panią o tym powiadomiła. Jeśli użyje paszportu, na pewno się o tym dowiemy. Więc powiedziałabym, że brak wskazań, by pani opuściła to mieszkanie, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, by mieszkać u podejrzanego o morderstwo. – Detektyw James uśmiechnęła się nieznacznie, na tyle by odsłonić niewielki fragment bardzo białych zębów.

– Jak pani sądzi, dlaczego Corbin twierdzi, że nie znał Audrey?

– To właśnie usiłujemy rozgryźć.

– To nie ma sensu. W ten sposób staje się podejrzany, więc jeśli jest winny, dlaczego kłamie? Zostałby wyeliminowany z kręgu podejrzanych.

– Witam w moim świecie – odrzekła detektyw, po czym dodała: – Proszę posłuchać. Nie zostawię pani w niewiedzy. Jeśli coś się wydarzy z Corbinem, pani pierwsza się dowie albo jako jedna z pierwszych, obiecuję.

– Dziękuję.

– Ma pani może numer telefonu do swojej sąsiadki w Londynie? Marthy...

– Marthy Lambert, tak, mam.

Kate wzięła do ręki komórkę i podyktowała policjantce numer Marthy.

Po wyjściu detektyw James Kate chodziła po mieszkaniu, rozglądając się, co trzeba uprzątnąć po przeszukaniu. Ale wszystko, może oprócz wybebeszonej szafy w saloniku, wyglądało na nietknięte. Wyjrzała przez okno na Bury Street i zobaczyła, jak samochód policjantki odjeżdża w kierunku rzeki. Światło przygasło, zerwał się wiatr, stukocząc oknami. Kate stała nieruchomo przez kilka minut, nie mogąc się zdecydować, co robić. Im dłużej stała, tym większy odczuwała niepokój. Wiedziała, że musi coś zrobić, ale i tak się nie poruszyła. Mogła sobie przygotować coś do jedzenia albo zająć się materiałami, które dostała na zajęciach, albo chwilę porysować. Może zrobić portret policjantki – jak ona się nazywała? Roberta James? – dopóki na świeżo ma w pamięci jej twarz. A co z Alanem? Co robi, jeśli po powrocie z pracy będzie chciał się z nią zobaczyć? Bo będzie chciał, prawda? Nie mogła

się przed nim ukrywać w mieszkaniu. Nie mogła się ukrywać bez końca, prawda?

Wreszcie ruszyła się z miejsca i poszła po laptopa. Może Martha będzie online, a wówczas zapyta ją, czy Corbin pojawił się w mieszkaniu.

Zaniosła laptopa do sypialni. Zmarzła, więc weszła pod koc na łóżku.

Otworzyła pocztę, spojrzała na Marthę na liście kontaktów, ale nie było jej online. Kate wysłała jej więc krótkiego mejla: „Corbin dał znak życia czy całkiem zniknął?”. Przejrzała część poczty, z czego większość stanowiły śmieci, i rozważała, czy napisać do Corbina, gdy zauważyła, że przy jego imieniu, u dołu lewej belki, widnieje zielona kropka. To oznaczało, że używał tego samego programu pocztowego, co ona, i że w tej chwili był online. Otworzyła okienko czata.

„Cześć” – napisała.

I czekała. Mijały minuty.

Otworzyła inne okno przeglądarki i wpisała do wyszukiwarki „Kobieta rozcięta przez środek”. Nie wiedzieć czemu, większość wyników dotyczyła długich sukni z rozporkiem, trafiło się też kilka linków do wideo z materiałem z wypadków wind i pociągów. Żadnego nie obejrzała. Wpisała natomiast do wyszukiwarki „okaleczenie ciała” i przejrzała doniesienia medialne. Za dużo ich było, ale je przeglądała cierpliwie, aż wreszcie znalazła artykuł z gazety sprzed trzech lat pod tytułem *Zidentyfikowano okaleczone ciało. To Rachael Chess, studentka pielęgniarstwa z Portlandu w stanie Maine*. Kliknęła. Artykuł pochodził z lokalnej gazety z Gloucester. Ciało na plaży New Essex znalazł rano zbieracz muszli. Policja nie ujawniła żadnych szczegółów, tylko to, że ciało po śmierci okaleczono. Kate natychmiast przypomniała sobie zdjęcie, które znalazła w kartonie Corbina, gdy po raz pierwszy przeszukiwała jego mieszkanie. Brunetka na plaży. Na odwrocie wypisano jej imię – Rachael.

Kate wyplątała się z koca i wstała z łóżka. Przebiegła przez mieszkanie do szafy w saloniku, odsunęła drzwi. Kartony zniknęły, także ten ze zdjęciami. Widziała, że wynoszono z mieszkania mnóstwo kartonów w charakterze dowodów. Jeśli kobietą na zdjęciu Corbina była rzeczywiście zamordowana Rachael Chess, to policja też do tego dojdzie. Wracając przez salon, przypomniała sobie inne fotografie, które znalazła w *Grze Endera*. Odnalazła książkę, wyjęła z niej zdjęcia i rozłożyła je w rękę; śliczna kobieta z piegami wpatrująca się w obiektyw. Ruszyła ze zdjęciami z powrotem do sypialni, a gdy mijała kuchnię, zatrzymała się na dźwięk drapania. Podeszła do drzwi prowadzących do piwnicy i nastawiła ucha. Znowu drapanie, a do tego wyraźne miauknięcie. Uchyliła drzwi na kilka centymetrów, a wtedy Sanders precyzyjnie się przez szparę i ruszył prosto do salonu. Kate zamknęła drzwi, zablokowała zamek. Cieszyła się, że Sanders nie ma już w zębach tej konającej myszy.

Wróciła do sypialni i dalej czytała o Rachael Chess. Nikogo nigdy nie aresztowano, choć ustalono, że miała romans z żonatym wykładowcą w swojej szkole. Ale ten wykładowca, Gregory Chapel, miał na wieczór jej śmierci żelazne alibi. Nie znalazła żadnej wzmianki o Corbinie Dellu. Ewidentnie brakowało też dobrych fotografii ofiary zbrodni. Większość artykułów korzystała z tego samego, znacznie powiększonego, ziarnistego czarno-białego zdjęcia dziewczyny w todze i czapce abiturienckiej, uśmiechającej się szeroko do aparatu. Pewnie to zdjęcie dostarczone przez rodziców Rachael. Kate mu się przyglądała, porównując do fotografii z *Gry Endera*. Nie była przekonana, że to ta sama dziewczyna. Takie same ciemne włosy, twarz jednak wydawała się zupełnie inna. Próbowwała sobie przypomnieć zdjęcie dziewczyny na plaży, ale pamiętała jedynie rozwiane ciemne włosy, dzinsy i sweter. Na odwrocie

tamtego zdjęcia widniała też nazwa plaży, nie mogła sobie jednak jej przypomnieć. Ale tamto zdjęcie musiało przedstawiać Rachael Chess. Zapamiętała nietypową pisownię imienia. I plażę, zimna plaża w Nowej Anglii miała z tym związek. Prawda?

Z laptopa dobiegło głośne piknięcie, Kate przełączyła się na stronę z pocztą. W oknie dialogowym Corbina pojawiła się odpowiedź. „Cześć”. Serce jej zabiło trochę szybciej, jakby nagle stanął w drzwiach, a nie uaktywnił się na ekranie komputera. Odczekała chwilę.

„Zabiłeś Audrey Marshall?”

Skasowała.

Napisała to ponownie i tym razem wysłała. Nastąpiła długa przerwa, obok imienia Corbina migotały kropki sygnalizujące, że rozmówca coś pisze.

Corbin: Nie. Daję ci słowo. Policja myśli, że ja ją zabiłem?

Kate: Znowu tu przyszli. Mówili, że chodziliście ze sobą. To prawda?

Corbin: Prawda.

Kate: Dlaczego skłamałeś?

Znowu chwila przerwy. I wreszcie:

Corbin: Pewnie z nawyku. Kiedy się spotykaliśmy, była to tajemnica, więc się przyzwyczaiłem, że nikomu o tym nie mówię. Nie zabiłem jej.

Kate: A wiesz, kto zabił?

Corbin: Nie. Chciałbym, ale nie wiem.

Kate: Gdzie teraz jesteś?

Corbin: W domu. W Twoim mieszkaniu w Londynie. Tu pada. A u ciebie?

Kate: Ładna pogoda. Policja przyśle kogoś, żeby z tobą porozmawiał.

Corbin: Nie ma sprawy. Pogadam z nimi.

Nagle pojawiło się drugie okienko dialogowe. Tym razem Martha.

Martha: Jesteś?

Kate: Tak. Zrób coś dla mnie. Jesteś w domu?

Martha: Tak.

Kate: Możesz zapukać do mojego mieszkania i sprawdzić, czy Corbin tam jest? Nie mów nic o mnie.

Martha: Dobra, ale nie sądzę, żeby był. Od paru dni nie słyszałam żadnych dźwięków u ciebie.

Kate przeszła do chaty z Corbinem. Zdążył się zaniepokoić.

Corbin: Coś się stało?

Kate: Nie. Sanders cię pozdrawia.

Corbin: Hej.

Kate mało nie zapytała o Rachael Chess, ale się powstrzymała. Wiedziałby, że myszkowała po jego mieszkaniu, żeby się dowiedzieć, czy jest mordercą.

Napisała coś innego.

Kate: Jaka była Audrey Marshall?

Corbin: Wspaniała. To straszne, co się stało. W kółko o tym myślę.

Kate: Znałeś jej przyjaciela Jacka?

Corbin: Jakiego Jacka?

Kate: Jacka Ludovica.

Corbin: Jak wygląda?

Kate: Zwyczajnie. Niski, rudy. W okularach.

Corbin: Rozmawiałaś z nim?

Kate: Przyszedł tu, chciał się dowiedzieć, co się stało. Zaczepił mnie na ulicy i zadawał różne pytania.

Corbin: Mówiłaś o nim policji?

Kate: Tak, ale oni chyba jeszcze z nim nie rozmawiali.

W drugim okienku odezwała się Martha:

Nikogo nie ma.

Kate odpisała: Na pewno?

Martha: Waliłam do drzwi. Może się ukrywa, ale nie, nie ma go tam. Słyszałabym, jak wchodzi i wychodzi.

Kate: Dzięki. Jak pogoda?

Martha: Dzisiaj po raz pierwszy od twojego wyjazdu wyszło słońce. Już zapomniałam, jak wygląda.

Kate: Martha, muszę lecieć. Buziaki.

Corbin właśnie napisał:

Muszę kończyć.

Kate: Pozdrów ode mnie Marthę.

Corbin: Rozmawiałaś z nią?

Kate: Trochę. Mówiła, że cię do niej uprzedziłam.

Corbin: Wydawała się miła.

Kate nic nie odpisała, nie od razu. Corbin też milczał i sprawiało to wrażenie niezręcznego milczenia,

jeśli może dojść do niezręcznego milczenia w trakcie czatu.

Wreszcie napisała Kate: Dam ci znać, jeśli coś się tu stanie.

Corbin: Okej. Cześć.

Kate wylogowała się z poczty. Pomimo koca nadal było jej zimno, zamknęła laptopa i przytuliła do siebie rozgrzaną obudowę. Dlaczego Corbin skłamał, że jest w jej mieszkaniu w Londynie? Chyba że się tam ukrywał za opuszczonymi żaluzjami, nie otwierając drzwi. To niewykluczone, oczywiście. Martha umiała być natarczywa.

Do sypialni wszedł Sanders, wskoczył na łóżko i miauknął. Kate wyprostowała się, a kot zeskoczył na podłogę i pognał do drzwi wejściowych. Podążyła za nim i wypuściła go, a potem poszła do kuchni napić się wody. Zegar na mikrofalówce wskazywał osiemnastą dwadzieścia pięć. Zdziwiła się, że tak późno. Czyżby zasnęła w łóżku?

Po wypiciu dwóch szklanek wody uświadomiła sobie, że jest głodna, więc opiekleła kromkę czerstwego chleba na zakwasie, a potem posmarowała go grubą warstwą masła i miodu. Zabrała jedzenie ze sobą i szła przez mieszkanie, po drodze włączając światła i zasłaniając częściowo zasłony. Drzwi do sypialni gościnniej były szeroko otwarte. Nie zostawiła ich w takiej pozycji. Weszła do środka. O tej porze dnia gasnące światło na zewnątrz sprawiało, że w pomieszczeniu zdawało się ciemniej, niż było w rzeczywistości. Włączyła lampkę przy łóżku i dojadła tost, musiała oblizać palce z miodu. Ta sypialnia była odrobinę kobieca, na ścianie wisiały grafiki z kwiatami, koc na łóżku był w kolorze kremowym. Zauważyła lekkie wgłębienie na pościeli i przyjrzała się mu uważniej. Zobaczyła białe włosy – sierść Sandersa – i dotknęła dłonią koca. Jeszcze był ciepły po popołudniowej drzemce futrzaka. Dlatego drzwi były szerzej otwarte. Odetchnęła z lekką ulgą i wyszła z pokoju, zostawiając włączone światło.

Zajrzała do ciemnego wnętrza saloniku, zastanawiając się, czy pooglądać telewizję, ale uznała, że jest zbyt spięta. Postanowiła więc porysować. Wzięła z sypialni szkicownik oraz ołówki i zaniósła je do salonu. Wyciągnęła się na kanapie i otworzyła zeszyt. Nastawiła się na portret Alana, tego narysowanego zaraz po przylocie do Bostonu. Minął niespełna tydzień, a wydawało się, że rok. Przyjrzała się rysunkowi. Uchwyciła podobieństwo, jeśli nie liczyć oczu. Były niewyraźne, trochę szklane, a powinny być uważne. Wpatrywała się w nie i poczuła, jak włosy jej stają na głowie. Czy jego oczy również zostały zmienione? Może trochę? Nie. Wydawało się natomiast, że były zamazane. Może samo się to stało.

Jasne, oczy się zamazały, a reszta twarzy nie.

„Ja to zrobiłam?” – pomyślała. „Oczywiście, że nie” – odpowiedział George, ale zignorowała go. Jej dni i noce od przyjazdu do Bostonu tak się rozmyły, że nie mogła sobie przypomnieć. Zdarzało się, że wracała do któregoś rysunku i zmieniała go odrobinę, zwykle palcem. Ścierała jakieś linie, dodawała fakturę. Przełożyła kartkę, zdecydowana, że nie da się zwariować, i otworzyła szkicownik na czystej stronie. Szybko raz jeszcze narysowała Alana, tym razem starając się oddać oczy jak należy. Gdy skończyła, odsunęła kartkę na odległość ramienia i przyjrzała się portretowi. To był Alan, ale tak bardzo się starała oddać bystrość jego spojrzenia, że sprawiał wrażenie wściekłego, wyglądał trochę przerażająco. Nagle uświadomiła sobie, że tak właśnie wyglądał, gdy wyjrzała rano przez judasza, wtedy gdy go nie wpuściła. Pomyliła się? Pewnie po prostu się martwił, że wyszła bez pożegnania. Ale nie,



rysunek był bezbłędny – Alan był zdenerwowany. Popełniła wielki błąd – nie dlatego że przespała się z kimś, kogo w zasadzie nie знаła, ale że przespała się z kimś, kto w najlepszym przypadku był świrem i podglądaczem, a może nie tylko. Przełożyła kartkę i szybko narysowała twarz detektyw Roberty James. Nieźle się spisała – oddała szerokie kości policzkowe, ciemne oczy. Usta nie wyszły idealnie. Zbyt poważne, wargi za mało pełne. Wymazała je i obdarzyła detektyw lekkim uśmiechem. Zadowolona podpisała rysunek i opatrzyła go datą, a potem zaczęła następny.

Zdążyło się całkiem ściemnić, zanim skończyła rysować panią Valentine, pana Valentine, tę trzecią sąsiadkę, która była na drinku (zapomniała jej nazwiska), i wreszcie George’a Danielsa. Nigdy nie przestała go rysować. Wielu terapeutów sugerowało, że to niezdrowe rozpamiętywać jego podobieństwo, ale nie mogła się powstrzymać. Zawsze był gdzieś w jej głowie i dobrze się czuła, gdy wyciągała go z niej i przenosiła na kartkę. W dzisiejszym szkicu przedstawiła go tak, jak go widziała w ostatnim śnie, z bezzębnymi uśmiechniętymi szeroko ustami.

To był dobry rysunek, najlepszy, jaki dzisiaj wykonała. Opuszką kciuka rozmazała linie czoła i poczuła ostry ból w miejscu, gdzie wciąż tkwiła zadra z drzwi składziku. Całkiem o tym zapomniała. Przyjrzała się rance, obrzmiała skóra wokół drzazgi się zaróżowiła. Poszła do kuchni, zmyła węgiel z rąk, a potem przejrzała zawartość szuflad, aż znalazła agrafkę i zapalki. Opaliła koniuszek agrafki i wróciła do salonu, gdzie było lepsze światło. Dziabala ranke w kciuku, poszerzając naruszoną skórę, aż odsłoniła drzazgę i trąciła ją agrafką. Siedziała całkiem głęboko. Possała mocno palec, poczuła smak krwi, ale zadra ani drgnęła. Musiała poszukać pincety, na to nie miała już jednak siły. Co się stanie, jeśli zostawi drzazgę w kciuku? Czy w końcu sama wyjdzie, czy zostanie tam na zawsze i stanie się częścią jej ciała?

Podskoczyła na dźwięk drapania dobiegającego z kuchni. Wypuściła Sandersa, prawda? Odłożyła agrafkę na szkicownik, wstała i wróciła do kuchni. Znowu usłyszała ten dźwięk. Dobiegał zza drzwi prowadzących do piwnicy – znowu Sanders, dostał się od strony piwnic. Otworzyła drzwi, na progu stał Alan z wyciągniętymi ku niej dłońmi, z oczyma zamglonymi i szalonymi.

– Wpuść mnie, proszę – wybełkotał, wchodząc do kuchni, zanim zdążyła zatrzasnąć drzwi.

Alan w sumie nie wiedział, jak to się stało, że aż tak się upił, ale tak jakoś wyszło, bez mała przypadkiem, a teraz wracał po ciemku, zdecydowany, że musi zobaczyć się z Kate, nawet jeśli ona nie chce zobaczyć się z nim.

Po tym, kiedy starł się z Jackiem na Brimmer Street i usłyszał od niego sugestię, że to Corbin Dell zamordował Audrey Marshall, Jack zrobił się gadatliwy i zaproponował, by gdzieś poszli i porozmawiali. Alan wolałby zawrócić i pójść do domu w nadziei, że dostrzeże Kate na dziedzińcu, ale postanowił, że jednak spędzi trochę czasu z Jackiem i wysłucha, co ten ma do powiedzenia. Zasugerował St. Stephen's. Gdy już tam dotarli, usadowili się w boksie, Alan zamówił dużą colę, a Jack butelkę heinekena. Kelnerka oddaliła się po napoje, a Jack od razu zaczął mówić o niejkiej Rachael Chess, którą przed kilku laty znaleziono zamordowaną na plaży w New Essex.

– Jej ciało zostało okaleczone – powiedział. – Tak jak ciało Audrey. – Głos mu się łamał, gdy wymawiał to imię.

– Skąd wiesz, że ciało Audrey zostało okaleczone? – zapytał Alan.

– Wszystko jest w necie, więc zacząłem szukać starych spraw, jakichś innych, w których ciało zostało przecięte przez środek, rozcięte, no i trafiłem na Rachael Chess.

– A co ona ma wspólnego z Corbinem Dellem? – Alana interesowało, co ma do powiedzenia Jack, ale trochę też mu nie ufał. Facet coraz bardziej się ożywiał, stawał się jakiś rozgorączkowany, zupełnie jakby popadał w szaleństwo, w każdym razie gdy mówił. Kelnerka przyniosła drinki. Jack upił duży łyk piwa.

– Sam zobacz – rzekł, odstawiając butelkę tak gwałtownie, że piana przelała się przez szyjkę i zsunęła po ścianie. – Corbin Dell kiedyś mieszkał w New Essex, a jego matka mieszka tam do dziś. Ma dom przy samej plaży...

– Skąd to wszystko wiesz?

– Trochę powiedziała mi Audrey, a trochę wyczytałem w necie. Ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, że rodzice Rachael Chess też mieszkali w New Essex, nie przy plaży, ale niedaleko. Na pewno tak właśnie Rachael i Corbin się poznali. To psychopata. Audrey mówiła, że jak się spotykali, miał paranoję, że ktoś ich zobaczy razem, i zawsze chciał siedzieć w domu. To dlatego, że nie chciał być z nią powiązany, wiedział, że ją zabije. Ale wtedy ona zaczęła się spotykać ze mną i nie chciała mieć już z nim nic wspólnego, dlatego ją zabił. To on. Ja to wiem. – Jack podrapał się w obrzęki na zaczerwienionym ramieniu.

– Nic ci nie jest? – zapytał Alan.

– Mam jakąś pokrzywkę. Nienawidzę wiosny.

– Poszedłeś z tym wszystkim na policję?

– Pójdę, obiecuję. Ale najpierw muszę to ogarnąć. Nie wywinie się z tego.

Alan wiedział, że Jack nie poszedł na policję, bo odgrywa detektywa amatora, może nawet ma

nadzieję na osobistą zemstę.

– Myślę, że powinieneś pójść. Pewnie wiedzą, czy cokolwiek łączy Corbina i tę Rachael.

– Kolejna sprawa, że zawsze powtarzał Audrey, że nie powinna z nim być, jakby wiedział, co zamierza. Chcesz coś do jedzenia? Bo jest pora lunchu.

Alan już wypił colę, przystał na lunch. Jack przywołał gestem kelnerkę, zamówili cheeseburgery. Jack poprosił o kolejne piwo, Alan uznał, że też się napije.

– Powiedz mi, jak często spotykałeś się z Audrey? – wrócił do tematu, gdy złożyli zamówienia. Miał nadzieję dowiedzieć się, jakim cudem nigdy go nie widział przez okno.

– Mniej więcej raz na tydzień. Chodziliśmy na kawę i drinka. Chyba z początku myślała, że znowu chcę z nią chodzić.

– Ale nie chciałeś?

– Nie wiem. Chciałem, nie chciałem...

– Nigdy cię nie widziałem w naszej kamienicy. Byłeś tam kiedyś...?

– Kilka razy.

Alan myślał, że tamten kłamie, że nigdy nie był w mieszkaniu Audrey. Domyślał się, że w jego wyobraźni przyjaźń z Audrey – może kilka kaw, jakieś esemesy – była ważniejsza dla niego niż dla niej. Przyniesiono ich piwa i Alan się napił. Było tak zimne, że aż zabolowały go zęby.

– Jedno piwo i wracam do pracy – zaznaczył. – W końcu jest wtorek.

– Dzięki, facet – powiedział Jack. – Dzięki, że spędzasz ze mną czas. Fajnie pogadać z kimś, kto nie uważa mnie za czubka. Bo nie sądzisz chyba, że mam kręćka na punkcie Corbina, prawda?

– Nie.

– Więc zgadzasz się ze mną?

– Zgadzam się, że Corbin miał motyw i że pewnie miał klucz do mieszkania Audrey, i że wyjechał z miasta właśnie w chwili, gdy została zamordowana.

– Dlaczego sądzisz, że miał klucz? – zapytał Jack.

– Uznałem, że to prawdopodobne. Chodzili ze sobą, mieszkali przez ścianę. – Nie chciał mówić o tym, czego się dowiedział od Kate. Nie wiedział, co nim kierowało, ale chciał to przemilczeć.

– Rozumiem – rzekł Jack.

Podano im jedzenie, Alan wysłuchał, po raz kolejny, Jacka wyłuszczającego, dlaczego jest pewien, że Corbin już wcześniej zabijał. Wszystko, co mówił, brzmiało sensownie.

Zostali w St. Stephen's do wieczora, wypili jeszcze po kilka piw. Dziwne to były godziny. Alan przyłapał się, że opowiedział mężczyźnie wszystko o swoim związku z Quinn. Mało co mu nie powiedział o ostatniej nocy z Kate, ale w porę się powstrzymał. Dlaczego tyle mówił? Poszedł do łazienki, popatrzył na siebie w lustrze i nie spodobało mu się to, co zobaczył. Dlaczego we wtorek po południu pił w barze z obcym człowiekiem? Doszedł do wniosku, że musi już iść.

Gdy zegnali się przed knajpą, oczy Jacka wypełniły się łzami.

– Dziękuję, bardzo ci dziękuję, że spędziłeś ze mną czas. Wiem... wiem, to nie było...

– Było miło – odparł Alan i położył Jackowi rękę na ramieniu.

Tamten zdjął rękawiczki, otarł oczy i wyciągnął rękę. Alan cieszył się, że się nie objęli. Uścisk dłoni, długi i energiczny, wystarczał.

– W którą stronę idziesz? – zapytał Jack, a Alan, który wtedy bardzo chciał już wracać, skinął głową na wschód, bo zdążył się obrócić, by zejść w dół w stronę Charles Street. Rozdzielili się, Alan przeszedł przez osiedle, na którym nigdy wcześniej nie był. Wiatr trochę ucichł, ale korony drzew wciąż szeleściły i koszulka przyklejała się mu do ciała, gdy szedł bez celu. Znowu był głodny i musiał się wysikać. Zobaczył State House i ruszył w jego stronę, wiedząc, że w pobliżu są bary. Pierwszym, na który się natknął, był niby irlandzki pub Rosie McClean; prawie nie było w nim gości, tylko przy jednym stoliku japońscy turyści jedli wczesną kolację. Alan usiadł przy barze i zamówił rybę z frytkami oraz dużą colę. Po chwili poprosił o drugą colę, ale z old overholtem. Wiedział, że jeśli teraz przestanie pić, przez całą noc będzie mu dokuczał rozdzierający ból głowy. Podano mu rybę z frytkami, po jedzeniu poczuł się lepiej, mniej pijany, zamówił więc żytnią whisky i colę i przemyślał swoją rozmowę z Jackiem.

Zadzwoił jego telefon. Alan wyjął go z torby i sprawdził wyświetlacz. Siostra. Już chciał nacisnąć „Odrzuć”, ale postanowił, że jednak odbierze, na wypadek gdyby miała prawdziwy powód do dzwonienia, a nie tylko sprawdzanie go.

– Tak tylko dzwonię – powiedziała Hannah, gdy się przywitali.

– Wszystko u mnie w porządku.

– Mówisz jakoś śmiesznie. Piłeś?

– Trochę. I jem. Mam pełną buzię.

– Nie zapomnij zadzwonić do mamy w urodziny.

– Aha. Po to dzwonisz? – Rozzłościł się, choć rzeczywiście pewnie by zapomniał.

– Martwię się o ciebie. Miałam dziwny sen.

Słuchał chwilę, jak Hannah opisuje szczegółowo swój sen, w którym Alana znaleziono martwego w mieszkaniu, w stanie rozkładu, po tym jak wcześniej przez rok nie dawał znaku życia. W trakcie jej opowieści Alan dopił drinka i zamówił następnego; zaczekał, aż kelner na niego spojrzy, i wskazał pustą szklanke.

– Słuchaj – rzekł, gdy siostra umilkła – pamiętasz, jak byłaś wychowawczynią na obozie, a ja przyjechałem na weekend?

Na chwilę zapadła cisza. Alan słyszał, jak któreś z jej dzieci – chyba Izzie – śmieje się w tle.

– Chyba tak. Tak sędzę. Ach tak, mama i tata kazali mi się tobą zająć, żeby sami mogli pojechać na Cape Cod.

Tego Alan nie pamiętał.

– Wiesz, że wtedy pierwszy raz w życiu widziałem nagą dziewczynę? Podglądałem ją przez dziurę w ścianie.

– Co takiego? Wychowawczynię?

– Yhy.

– O! Pamiętasz, kto to był?

– Nawet nie wiem, jak się nazywała. Była trochę pulchna.

– Allie coś tam?

– Nigdy się nie dowiedziałem, jak miała na imię. Ale to chyba przez nią stałem się zbrojcem.

– Co ty wygadujesz?

– Bo ją podglądałem, a ona o tym nie wiedziała.

– O Boże. To tak jak wszyscy na tym zbroczonym obozie. W każdej ścianie były dziury po sękach. Pewnie wiedziała, że ktoś ją podgląda. Dobra, co prawda z rozkoszą bym wysłuchiwała kolejnych pojechanych opowieści z ust pijanego brata, ale muszę kończyć. Zadzwoń do mamy i pokaż się czasami, do cholery.

Gdy wreszcie wyszedł z pubu, pełno już było w nim klientów wracających z pracy. Mocno się zdziwił, że na dworze jest tak ciemno. Zrobiło się również bardzo zimno i zanim Alan w samym tiszercie dotarł na Bury Street 101, mocno dygotał z wychłodzenia.

Może to z powodu upojenia alkoholowego, a może tej nocy było jakieś wyjątkowe światło, grunt, że kamienica wydawała mu się wyższa niż zwykle, wznosiła się wysoko za bramą. Blask księżyca odbijał się w łupkowym dachu następnego budynku, a po drugiej stronie ulicy jakiś bezdomny kulił się z zimna w wejściu. W mieszkaniu Kate świeciło się przygaszone światło. Po drodze zdecydował, że musi się z nią zobaczyć, po prostu musi. Musi się dowiedzieć, dlaczego wyszła od niego bez pożegnania. Musi jej przekazać, co mówił Jack, i chce jej nawet powiedzieć, że dzwoniła jego siostra i że wreszcie jej wyznał swój wielki sekret, czyli co robił na tamym obozie, a ona się tym w ogóle nie przejęła. Przeszedł przez dziedziniec, przez hol, skinął głową Sanibelowi i zastanawiał się, czy portier w ogóle zauważył, że wchodzi na schody prowadzące do północnego skrzydła, a nie do południowego. Szedł korytarzem, instynktownie odnotowując, że mija drzwi Audrey, za którymi popełniono morderstwo, i skupiając się wyłącznie na drzwiach Kate. Już miał zapukać, ale się zatrzymał. A jeśli mu nie otworzy? Zresztą dlaczego miałaby otworzyć? Rano nie otworzyła, a na pewno była po drugiej stronie, pewnie patrzyła na niego przez judasza. Alan wymyślił inny plan.

Wrócił na schody, zszedł aż do piwnicy, przeszedł ją całą, oświetloną fluorescencyjnym światłem, cieszył się, że nikogo nie spotkał, a potem znalazł drugą klatkę schodową, która prowadziła do kuchennych drzwi mieszkania Kate. Tak w każdym razie sądził. W swoim mieszkaniu nigdy nie blokował zamka w tych drzwiach i miał nadzieję, że ona też tego nie robi. W najgorszym wypadku porozmawia z nią przez drzwi. Powie, co ma do powiedzenia.

Wspiął się po stromych, wąskich schodach i cichutko obrócił gałkę. Zablokowana. Już miał zapukać, gdy olśnił go pewien pomysł. U niego do tylnych drzwi w kółko drapał Sanders, żeby go wpuścić do mieszkania. Alanowi przyszło do głowy, żeby też tak spróbować. Wiedział, że to okropny pomysł, ale i tak się zdecydował. Trochę zapukał, trochę zaskrobał do drzwi. I czekał.

Usłyszał ciche kroki w kuchni i nagle drzwi stanęły otworem, a on patrzył na przerażoną twarz Kate. Szybko wysunął przed siebie ręce, jedną nogą przestępując za próg.

– Wpuść mnie, proszę – powiedział, siląc się na spokojny ton.

Kate przyłożyła rękę do klatki piersiowej. Była blada, jakby cała krew odpłynęła jej z twarzy.

– Muszę z tobą porozmawiać. Mogę to zrobić, stojąc tutaj, ale musimy pogadać. Nie powinnaś tu dalej mieszkać. Powinnaś być u mnie. – Te słowa nie zabrzmiały tak, jak chciał.

– Jesteś strasznie pijany – odparła.

– Wiem. Wiem. Spotkałem Jacka, a on opowiedział mi o Corbinie i mnie upił.

– Kto to jest Jack?

– Jack... No ten Jack. Ten kumpel Audrey, o którym mi mówiłaś. Zaczepił cię na ulicy. Jeszcze zanim to powiedział, zrobił krok do środka.

Kate odskoczyła.

– Nie – powstrzymała go. – Nie, zostań na miejscu.

Alan cofnął się o krok.

– Chyba się mnie nie boisz? O nie, ty się mnie boisz. – Poczuł się strasznie i ciągle przepraszał.

– W porządku – odparła. – Wiem, że ci przykro. Opowiedz o Jacku.

– Widziałem go rano, jak wychodził z naszej kamienicy...

– Skąd?! Z naszej kamienicy?

– Tak. Zaraz po przyjeździe policji. Nie rozpoznałem go, ale patrzył w górę, w twoje okna, więc go śledziłem, a wtedy mnie przyłapał i zaczęliśmy rozmawiać. Poszliśmy do tego baru, w którym ty i ja... do St. Stephen's, gdzie przedstawił mi swoją teorię, że Corbin jest seryjnym mordercą.

– Jak to seryjnym mordercą?

– Powiedział, że Corbin już wcześniej zamordował jedną dziewczynę. I też została okaleczona. I on jest pewien, że to Corbin zabił Audrey, a ja uważam, że tu ci grozi niebezpieczeństwo, nie możesz tu sama mieszkać.

– Jeśli Corbin zabił Audrey, to tu nie wróci, prawda? To by nie miało sensu.

– Więc zostaniesz tu? Sama na noc?

– Alan, przepraszam cię. Myślę, że ostatniej nocy się pospieszyliśmy i popełniliśmy... to znaczy ja popełniłam błąd. Nie, daj mi skończyć. Spotkajmy się jutro, dobra? Na kawę czy coś, rano, i możemy o tym wszystkim pogadać. Ale nie teraz. Nie, gdy jesteś w takim stanie. Dobra?

Widząc wyraz twarzy Kate, gdy mówiła „dobra?”, Alan zrozumiał, że musi wyjść. Wyglądała, jakby miała się rozplakać. Bez słowa odwrócił się i ruszył w dół schodami, dotykając ścian dłońmi, by się nie przewrócić.

Dotarł do swojego mieszkania, położył się na łóżku, zrzucił buty, został w dżinsach i tiszercie. Gdy zamknął oczy, pokój się przechylił. Gdy je otworzył, świat stanął w miejscu. Starał się ich nie zamykać jak najdłużej, poukładać w głowie wszystko, co się wydarzyło tego dnia, wszystko, co się w ogóle ostatnio wydarzyło. Zamknął oczy. Pokój znowu się przechylił, ale do tyłu, a Alan osunął się w głęboki, niespokojny sen.

„Czas jechać do domu” – pomyślała Kate, gdy Alan wreszcie sobie poszedł. „Do Anglii”. Oparła dłoń o blat, by się uspokoić.

Czuła, jak w jej głowie budzi się głos George’a, jak zaczyna formować wyrazy, ale zdołała go powstrzymać, przechadzając się po kuchni.

„W ogóle nie powinnam wyjeżdżać. Nie powinnam wyprowadzać się od rodziców. Nie powinnam iść na uniwersytet, jechać na wakacje do Lake District, wyjeżdżać do Londynu i zdecydowanie nie powinnam przyjeżdżać do Bostonu. Bo mnie przytrafiają się złe rzeczy. I źli ludzie też mi się przytrafiają”.

Nalała sobie wina do szklanki po wodzie. Niosła ją z pokoju do pokoju, sprawdzając, czy okna są zamknięte, i zaglądając do szaf. Ręce jej się trzęsły po wyrzucie adrenaliny, serce w klatce piersiowej podskakiwało w górę i w dół, ale oprócz tego nie czuła się źle. Jeszcze jedna noc w tym ogromnym apartamencie i będzie mogła pojechać do domu – do domu rodziców – i już nigdy go nie opuści. Sprawdziła zamek w drzwiach wejściowych i wyjrzała przez judasza na spokojny korytarz. Morderca stał pod drzwiami Audrey Marshall, żeby ją zabić. Potem wszedł do środka i to zrobił. Zabił ją nożem. A potem okaleczył.

Długo patrzyła na korytarz, wykrzywiony w tunel o zakrzywionych ścianach. Czekwała, aż ktoś lada chwila wyłoni się zza rogu. Kot Sanders. George Daniels wróci z zaświatów. Corbin Dell wróci z Anglii. Alan będzie ją teraz nękał od drzwi frontowych. Jasno oświetlony korytarz wciąż był pusty.

W internecie sprawdziła cenę biletu lotniczego do Londynu. Zaczęła pisać do rodziców mejla z informacją, że wraca, ale go nie skończyła. Mogła to zrobić jutro, dokona rezerwacji, gdy wszystko będzie dopięte.

Jeszcze raz zajrzała do artykułu o Rachael Chess. To musiała być ta dziewczyna, o której mówił Alan, ta druga zamordowana kobieta. A więc Jack też szukał informacji.

Wróciła do kuchni po wino, ale butelka była pusta, więc nalała sobie mleka. Poszła do saloniku i włączyła telewizor. Na kanale ze starymi filmami leciał jeden, który świetnie знаła, bo należał do jej ulubionych. *Wiem, dokąd zmierzam* z Wendy Hiller i Rogerem Liveseyem. Zwinęła się na kanapie, oparła głowę o wielgachne poduszki i usiłowała się ukoić czarno-białymi obrazami. Wciąż jednak myślała o Alanie za kuchennymi drzwiami. Na jego widok, tak pijanego, pomyślała, że zaraz umrze. Wracał George Daniels – kolejny mężczyzna przyszedł ją zabić. Chociaż George, pomimo swojego gniewu i szaleństwa, nigdy się nie upijał. Wręcz przeciwnie, ilekroć Kate wypila więcej niż parę kieliszków wina, wściekał się na nią i w kółko pytał, dlaczego musi tyle pić.

W filmie kobieta, którą odgrywała Wendy Hiller, bardzo chciała się dostać na jedną z wysp Hebrydów Zewnętrznych, gdzie przebywał jej narzeczony, a gdy sztorm uniemożliwił jej ostatni etap podróży, zakochała się w innym mężczyźnie. I tak jednak próbowała dopłynąć do celu małą łódką, którą

ostatecznie wciągnął zabójczy wir. Kate naciągnęła na siebie koc. Film się skończył i od razu zaczął się następny, *Pigmalion*. Też z Wendy Hiller. Pomyślała o ojcu, który uwielbiał ten kanał pokazujący wyłącznie stare filmy. Zaczęła oglądać, ale zachciało się jej siku, zresztą w dżinsach było jej niewygodnie. Wstała niechętnie, przeszła przez salon, mijając kuchnię, dotarła do sypialni, gdzie przebrała się w piżamę, a potem wysikała się w łazience i umyła zęby. Wróciła przez sypialnię, w której wpadające przez okno jasne światło księżycy rzucało dziwne cienie na nieposłanym łóżku. „To mieszkanie jest nawiedzone” – pomyślała i szybko przeszła do saloniku rozjaśnionego migającym czarno-białym blaskiem z wielkiego telewizora.

Leslie Howard stał w deszczu, zasłuchany w cockneyowski akcent Wendy Hiller sprzedającej kwiaty.

Kate nie pamiętała, kiedy zasnęła. W jednej chwili oglądała film, zastanawiając się, czy któryś z tych aktorów jeszcze żyje, w drugiej musiały się jej zamknąć oczy, bo nagle znalazła się w świetle filmu, a głosy stały się częścią jej snu. Zapadła się w kanapie i już-już miała się osunąć w prawdziwą czerń, gdy sen się zmienił, jakaś dłoń spoczęła na jej twarzy i Kate poczuła, jak wraca z głębin, jak się wybudza, ale ta ręka wciąż była na jej ustach, przyciśnięta mocno, podczas gdy druga dłoń trzymała ją za ramię.

„To się dzieje naprawdę” – pomyślała i próbowała się wyrwać, całkiem już rozbudzona.

W pokoju było ciemno, telewizor wciąż był włączony, a mężczyzna, który ją trzymał, wydawał jakieś uspokajające dźwięki. To nie był Alan. Widziała ostrzyżone krótko blond włosy i kwadratową szczękę i czuła jego pot, nieświeży i duszący. Serce biło jej tak szybko, że czuła ból w klatce piersiowej, do oczu napływały łzy. Mężczyzna, który miał ją zabić, był obcy, choć wydawał się trochę znajomy, jakby go minęła na ulicy albo widziała we śnie.

– Kate – szepnął cicho – posłuchaj mnie, proszę. To ja, Corbin. Twój kuzyn. Nie zrobię ci krzywdy. Musisz być bardzo cicho. W tym mieszkaniu jest pewien człowiek, naprawdę zły człowiek. Ciii. Jeśli krzykniesz, jeśli wydasz jakikolwiek dźwięk, on tu przyjdzie. Musisz się ukryć, a wówczas ja sobie z nim poradzę. Kiwnij głową, jeśli rozumiesz.

Kate pokręciła głową. Tylko połowa jego słów brzmiała sensownie. Czy to naprawdę Corbin? Czy ten człowiek kłamał? Skąd się tu wziął, w tym mieszkaniu? Przyszło jej do głowy, żeby go ugryźć w rękę, ale tak mocno naciskał jej usta, że rozpląszczył jej wargi na zębach. Widziała jego oczy zerkające szaleńczo ponad oparciem kanapy w głąb ciemnego mieszkania. Wyglądał, jakby się bał. „To naprawdę Corbin” – pomyślała, rozpoznając go ze zdjęć.

– Ciii – syknął znowu. – Musisz mi zaufać, bo oboje umrzemy. Rozumiesz? – W jego głosie pojawiła się niecierpliwość, prawie się załamywał; Kate tym razem kiwnęła głową, uznając, że musi zrobić to, co mówi napastnik. Albo ją zabije, albo nie. Znowu się to działo, tyle że przyszedł po nią nie Alan, jak się tego spodziewała, lecz mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziała.

Corbin poczuł, jak skinęła głową, i spojrzał jej w oczy. Zluzował trochę nacisk ręki, którą zasłaniał jej usta, ale jej nie cofnął.

– Wierzysz mi? Musisz mi uwierzyć.

Kiwnęła znowu i odetchnęła głęboko.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział Corbin, ale jego oczy wciąż kierowały się w głąb korytarza. – Wiesz o szafie tu w saloniku?



– Nie – wyszeptwała Kate w jego dłoń.

– Za jej plecami jest schowek. Mój ojciec trzymał tam cenne rzeczy. Trzeba przycisnąć dłonią po prawej stronie i pchnąć. Usłyszysz kliknięcie i płyta się uchyli. Jest tam dość miejsca, żebyś się ukryła.

Kate, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, znowu kręciła głową, mówiąc „nie” w jego dłoń.

– Zostań tam – mówił dalej Corbin – aż po ciebie przyjdę. Nawet jeśli nie przyjdę, nie wychodź pod żadnym pozorem. On cię nie znajdzie i w końcu zrezygnuje. Musisz mi zaufać. Rozumiesz?

– Nie mogę – powiedziała Kate. Czuła, jak łzy płyną jej po twarzy. Oddychała głęboko przez nos, klatka piersiowa się unosiła i opadała. Przez chwilę myślała, że zaraz wybuchnie śmiechem.

– Musisz – odrzekł. – Będziesz tam bezpieczna. Obiecuję.

Spojrzała mu w oczy, po raz pierwszy nawiązali kontakt wzrokowy. Poczuła się, jakby znalazła poręcz na skraju stromego urwiska. Podjęła decyzję, spokojnie skinęła głową, a Corbin cofnął rękę.

– Kto tu jest? – zapytała. – Kim jest ten zły człowiek?

– To nieważne. Nie mamy dużo czasu.

Poszła za nim do szafy, zdrętwiałe nogi poruszały się niezależnie od reszty ciała. Corbin delikatnie wepchnął ją do środka, gdzie wisiało pełno garniturów w foliowych osłonach z pralni chemicznej.

– Pchnij, na samym końcu po prawej. Usłyszysz kliknięcie – powtórzył.

– Dobrze – odparła. Miała wrażenie, że jej głos dobiega gdzieś z daleka.

Zanim zamknął drzwi, szepnął jeszcze:

– Uratuję cię.

I spowiły ją ciemności. Zrobiła, co kazał, pchnęła tył szafy. Rozległo się delikatne kliknięcie i płyta drgnęła. Weszła do środka i pomacała dokoła. Znalazła małą metalową rączkę, pociągnęła drzwi z powrotem, ale ich nie domknęła. W schowku pachniało surowym drewnem i zbutwiałymi książkami. Miała wrażenie, że cofnęła się w czasie, że weszła do innej szafy w innym kraju, z innym szaleńcem po drugiej stronie drzwi, ale tym razem była spokojniejsza. Nie, nie chodziło tylko o spokój. To była rezygnacja. Nadszedł koniec. Świat dokładał starań, by zabić ją w najgorszy możliwy sposób, i teraz wreszcie dopinał swego. Poddała się, jej ciało ogarniał spokój, poczucie odrealnienia. Zaciągnęła nawet drzwi do końca. Rączka się obróciła, więc wiedziała, że wydostanie się stąd, ale może to nie miało znaczenia. Przesunęła dłońmi po drewnie. Schowek miał szerokość szafy, czyli był szerszy niż rozpiętość jej ramion, ale głęboki zaledwie na jakieś trzydzieści centymetrów. Gdy przyciskała się plecami do murowanej ściany, piersiami dotykała tyłu szafy. Poczucie odrealnienia minęło, to dobrze. Kate czekała.

Nasłuchiwała. Słyszała swój oddech, słyszała bicie serca, i nic ponadto.

Jak Corbin dostał się do Ameryki? A może w ogóle nie wyjechał? Nie, wyjechał i dotarł do Londynu, bo przecież Martha go widziała, prawda?

Wrócił, bo zabił Audrey i teraz zamierzał zabić ją, a to ukrywanie się w szafie, ten inny człowiek, to wszystko stanowiło element jakiejś jego wymyślnej gry.

Czy naprawdę ktoś był w tym mieszkaniu?

Czy to Alan, ciągle jeszcze pijany, znalazł inną drogę, żeby się tu dostać?

Czy może wreszcie był to George Daniels? Kate znowu poczuła, jak bierze ją śmiech. Powstrzymała

się, zaciskając zęby tak mocno, że niemal nadwerczyła mięśnie szyi. George Daniels powrócił z zaświatów, i to do innego kraju. Pod pewnym względem wcale by się nie zdziwiła. Jak nieustannie sobie powtarzała: Zawsze z nią był, zawsze jej dotrzymywał towarzystwa.

Usłyszała w głowie jego głos: „Umrzesz w szafie, Kate”. I chichot.

Zamknęła oczy i nic się nie zmieniło. Świat nadal był czarny.

Starła się nie myśleć o rodzicach, jak się poczują, kiedy usłyszą, że została zamordowana.

Pomyślała o Alanie. Dwadzieścia cztery godziny temu była u niego w łóżku, pozwoliła sobie na to, żeby coś poczuć. Była szczęśliwa, w uniesieniu cieszyła się, że wreszcie jest z mężczyzną. Może na to właśnie George Daniels cały czas czekał – czekał, aż go zdradzi, żeby dać jej wreszcie to, na co zasłużyła. Może wciąż żył, a policja i jej rodzice, i wszyscy ją okłamali. Przez jedną straszliwą chwilę uwierzyła w tę wersję.

Nagle coś usłyszała. Dźwięk wydany przez człowieka, jakby stęknienie. A może był to krzyk, ale urwał się nagle... Czekala, prawie nie oddychając, ale od wyteżania słuchu miała w uszach tylko coraz głośniejszy szum. Zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle coś słyszała. Odetchnęła, choć w rozrzedzonym powietrzu schowka nie mogła zaczerpnąć pełnego oddechu. Uchyliła odrobinę płytę, z ulgą stwierdzając, że się nie zablokowała. Postukała opuszkami palców o siebie, poczuła ostry ból, gdy trafiła w obrzęknięte miejsce, drzazga wciąż siedziała głęboko. Wsadziła kciuk do ust, zębami rozerwała naskórek i w końcu wysłała zadrę. Wytarła krew o koszulkę. Poczuła, że wraca jej rozsądek, ale zaraz nasunęło się pytanie: jak długo wytrzyma w tej szafie? Co się dzieje w mieszkaniu?

Ułożyła plan, tak na próbę, żeby go przeanalizować. Wyjdzie z szafy i jak najszybciej przedostanie się z saloniku na korytarz, a potem z korytarza do salonu i do przedpokoju, dalej przez drzwi i pędem do recepcji. To było wielkie mieszkanie. Corbin, czy ktokolwiek tam jest, może się znajdować gdzieś daleko. Może ucieknie. A jeśli nie? To przynajmniej ona nie będzie się już kulić w szafie.

Z kciuka ciągle sączyła się krew, possała go jeszcze trochę, delektując się wręcz jej smakiem.

Często zastanawiała się nad tamtym dniem, gdy George Daniels znalazł ją w Lake District i potem uwięził w szafie. Zastanawiała się, czy gdyby nawet nie zablokował drzwi, to czy zdołałaby wyjść z tej szafy. Już po usłyszeniu wystrzału. Uwięziona mogła najwyżej czekać, ale gdyby drzwi dało się otworzyć? Kate czasami myślała, że i tak zostałyby tam na zawsze. Skuliła się jak ranne zwierzę i nie ruszyła się, nawet gdy wstrząśnięty policjant otworzył drzwi i chciał ją wyciągnąć. Ale teraz miała szansę uciec i wiedziała, że musi ją wykorzystać, bez względu na wszystko.

Odsunęła do końca płytę i wyszła do szafy. Przycisnęła ucho do drzwi. Nasłuchiwała przez chwilę, ale nic nie usłyszała. Położyła dłoń na uchwycie. Wciągała powietrze nosem, wypuszczała ustami.

Próbowała sobie przypomnieć jakąś modlitwę z dzieciństwa, ale przywołała jedynie słowa, które wymawiała babcia, gdy kładła ją spać. Zamknęła oczy i powtórzyła je sobie:

Od strzyg i upiorów,  
Długonogich strachów  
I wszystkiego, co w ciemnie,  
Uchowaj nas, Panie.

Uspokojona znajomymi słowami, głosem babci rozbrzmiewającym w jej głowie, otworzyła drzwi szafy i wyszła do saloniku wciąż wypełnionego migającą poświatą.

W poniedziałek rano Corbin Dell zadzwonił do londyńskiego biura, powiedział, że jest ciężko chory, i zapytał, czy może zacząć dopiero za tydzień, po czym wypłacił piętnaście tysięcy funtów z miejscowej filii Royal Bank of Scotland. Przed wyjazdem z Bostonu założył konto przez internet, żeby uniknąć opłat za wypłaty walutowe. Kasjerka, Hinduska w chuście na głowie, bez emocji wysłuchała jego polecenia, ale niemal kwadrans gdzieś dzwoniła i pisała coś na klawiaturze komputera, zanim wreszcie podała mu żadaną kwotę w banknotach stu funtowych.

Z ciężkim plikiem banknotów w wewnętrznej kieszeni prochowca Corbin wsiadł do taksówki, pojechał na Camden Market i ruszył w obchód po straganach i sklepikach, szukając odpowiedniego kandydata. Nie zamierzał się spieszyć. Miał cały dzień, a wiedział, że jego szanse się zwiększą po otwarciu pubów. Opracował plan. Znajdzie Henry'ego Wooda i go zabije. To była najlepsza okazja.

Dopiero o czternastej znalazł kogoś obiecującego. W obskurnym pubie kilka przecznic od targu siedział mężczyzna z brodą i długimi tłustymi włosami. Podobny do Corbina. Ten sam kolor skóry i włosów, podobne rysy twarzy, kwadratowa szczęka. Popijał cydr z lodem w środku dnia, w deszczowy poniedziałek; sprawiał wrażenie splukanego.

Corbin zamówił stella artois oraz cydr i z obydwoma szklankami podszedł do stolika, przy którym siedział mężczyzna, pod brudnym oknem. Przez szyby wpadało akurat tyle światła, by nieznamy mógł czytać powieść Charlesa Bukowskiego.

Gdy Corbin usiadł i podsunął mu cydr, mężczyzna, zaniepokojony, odłożył mocno zniszczoną książkę. Naprawdę wyglądali podobnie. W każdym razie wystarczająco.

– Mogę o coś zapytać? – zagał Corbin. – Ma pan paszport?

– Czego, kurwa, chcesz? – odrzekł mężczyzna. Corbin zrozumiał jego słowa, choć nie rozpoznał akcentu.

– Mam dla pana propozycję, ale najpierw muszę wiedzieć, czy ma pan paszport.

– Owszem, mam. – Może to był akcent niemiecki?

– Chciałbym go pożyczyć, i jeszcze jakiś inny dowód tożsamości, jeśli pan ma. Najwyżej na tydzień, obiecuję. Mogę dać panu osiem tysięcy funtów gotówką w tej chwili i kolejne dwa, gdy wszystko zwrócę. Nie poniesie pan absolutnie żadnego ryzyka.

Mężczyzna się roześmiał.

– Spadaj.

– Powtórzę: dziesięć tysięcy funtów i zero ryzyka.

– Zero ryzyka? Ale chcesz użyć, kurwa, mojego paszportu.

Corbin napił się piwa. Sprzedał w ostatnich latach tyle produktów finansowych, by się zorientować, że facet już jest kupiony. Zdobyć jego paszportu nie będzie problemem.

– Ile ma pan wzrostu? – zapytał. – Mógłby pan wstać?

Mężczyzna nie odpowiedział. Spytał natomiast:

– A jeśli pan nie wróci?

– Wtedy zgłosi pan kradzież paszportu. To się często zdarza. Skąd pan jest, swoją drogą? Nie rozpoznaję akcentu.

– Z Rotterdamu. Jestem Holendrem.

– Jak ma pan na imię?

– Bram. Jeszcze nie powiedziałem, czy to zrobię.

– Posłuchaj, Bram. Dziesięć tysięcy funtów. Gotówką. A musisz tylko dać mi paszport i pomóc w zakupie biletu na samolot, płacąc swoją kartą kredytową. Oddam ci za bilet gotówką. Muszę się udać w podróż, ale nie chcę, by pewna osoba wiedziała, dokąd jadę. Jedynie o to chodzi. Za tydzień wszystko oddam. Jeśli coś się nie uda, po prostu zgłosisz, że skradziono ci paszport i kartę kredytową, i nie zauważyłeś tego od razu. Ta transakcja nie ma żadnych minusów.

Bram zastanawiał się chwilę, aż w końcu rzekł:

– Zrobię to za piętnaście tysięcy.

Corbin wstał.

– Poszukam jeszcze. Znajdzie się tu ktoś inny podobny do mnie.

Odniósł pustą szklanekę do baru i wyszedł na ulicę. Tam dogonił go Bram.

– Dobra, niech będzie – powiedział. – Zgadzam się.

Bram Heymans mieszkał na dziko niedaleko, w wielkim domu w budowie, spał na karimacie, a cały dobytek trzymał w plecaku. Mimo to miał laptopa apple'a i przenośny router Wi-Fi. Corbin przyjrzał się jego bordowemu paszportowi. Na zdjęciu Bram był gładko ogolony, włosy miał zaczesane z czoła. Lepsze byłoby zdjęcie z brodatą wersją Brama, ale ta gładko ogolona podobizna wystarczy, o ile Corbin nie ściągnie na siebie zbyt dużej uwagi. Ponieważ na Logan tego dnia nic już nie leciało, Corbin, używając karty Visa Holendra, zarezerwował sobie lot na rano. Przekazał Bramowi osiem tysięcy funtów, do tego osiemset za bilet, i wszedł w posiadanie jego paszportu.

– Będiesz tu za tydzień? – zapytał Brama, który wertował banknoty zabarwionym od nikotyny kciukiem.

– Co, tu? W tym domu?

– Tak.

– Pewnie, nigdzie się nie wybieram.

– Więc za tydzień od dzisiaj wracam z twoim paszportem i dowodem. W południe. Będiesz tu?

– Będę – odrzekł Bram, nie odrywając wzroku od banknotów.

W kolejce do kontroli na Gatwick stała co najmniej setka podróżnych, ale Corbin był przed czasem. Na widok tłumu się ucieszył. Teraz miał większe szanse na to, że osoba, która zajrzy do jego paszportu, odwali fuszerkę i nie przyjrzy się fotografii zbyt uważnie. Corbin w nerwach analizował małe zdjęcie całą noc i rano, nie mogąc rozstrzygnąć, czy mu się uda, czy też nie. Sądził, że tak, zwłaszcza że zdjęcie

pochodziło sprzed siedmiu lat. Zastanawiał się też, czy lepiej zostawić sobie aktualną fryzurę, czy może skopiować choć trochę tę ze zdjęcia, ale zdecydował, że zostawi obecną. Gdyby fryzura była dokładnie taka sama, to pogranicznik albo urzędnik imigracyjny w Bostonie mógłby się przyjrzeć zbyt uważnie rysom twarzy, a wówczas dostrzegłby, że oczy nie są jednak takie same, a uszy wręcz całkiem inne.

Pogranicznik, chyba skacowany, ledwie zerknął w paszport, który najpierw umieścił w skanerze, pobieżnie spojrzął na twarz Corbina, a potem gestem wskazał mu drogę do kontroli bezpieczeństwa.

Bardziej ryzykownie było w Bostonie, gdzie niedawno zainstalowano system automatycznej kontroli paszportowej. Corbin stanął przed ekranem komputera, zeskanował paszport, a potem nieruchomo patrzył w aparat, czekając, aż zostanie mu wykonane zdjęcie. Nie był na to przygotowany, serce mu przyspieszyło, gdy czekał na błysk flesza. Tymczasem na ekranie pojawiły się jakieś napisy – aparatura nie zdołała uchwycić podobieństwa – i Corbin pomyślał, że już po nim, bo jakiś program zorientował się, że twarz stojącego tu człowieka nie pasuje do twarzy w paszporcie. Jeszcze raz ustawił się do zdjęcia i znów uzyskał ten sam komunikat. Podszedł do niego celnik, poprawił coś w aparaturze i to pomogło. Światło znowu błysnęło, z maszyny wysunął się pasek papieru z czarno-białym zdjęciem zaniepokojonej twarzy Corbina. Z paskiem i paszportem podszedł do kolejnego funkcjonariusza, młodego mężczyzny z żołnierskim wąsem i trądzikiem, ten zaś przemaglował Corbina pytaniami, w jakim celu przybywa do Stanów Zjednoczonych, gdzie się zatrzyma i jak długo zamierza zostać. Oglądał też starannie paszport, choć na zdjęcie zwracał stosunkowo niewielką uwagę. Wreszcie opieczętował paszport Brama Heymansa, a Corbin, z mokrymi od potu pachami, ale oprócz tego w dobrym samopoczuciu, wyszedł do hali przylotów lotniska Logan. Na końcu widział wielkie przesuwane drzwi, a za nimi taksówki czekające przed wejściem; był wolny, był w Ameryce, choć nikt tego nie mógł udowodnić. Dopóki nie zostanie złapany, miał doskonałe alibi. Uświadomił sobie, że ma ogromną moc, jeśli tylko zdoła znaleźć Henry'ego.

Nagle zaczął się denerwować, że tutaj, w rodzinnym mieście, ktoś go rozpozna. Powinien się jakoś przebrać? Gdzie będzie nocował? Nie przemyślał jeszcze wszystkiego, ponieważ do tej pory martwił się, czy przedostanie się do Ameryki, nie korzystając z własnego paszportu. A teraz, skoro mu się to udało, co dalej?

Taksówka zawiozła go do ekskluzywnego hoteliku przy Beacon Street, gdzie zameldował się, używając paszportu Brama i płacąc gotówką – ze strasznym holenderskim akcentem tłumaczył, że niedawno mu skradziono kartę kredytową. Recepcjonista wyjaśnił, że potrzebują karty kredytowej na wypadek nieprzewidzianych kosztów, ale Corbin zaproponował dwa tysiące dolarów depozytu (na Logan wymienił pięć tysięcy funtów, posługując się dokumentami Brama), aż w końcu kierownik hotelu wyraził zgodę na to odstępstwo. Znalazłszy się w pokoju, Corbin rozebrał się i stał prawie pół godziny pod prysznicem, próbując się odprężyć. Odkąd przeczytał mejla od policji, czuł się jak opętany, teraz nareszcie wiedział, co musi zrobić. Do tej pory nie dopuścił do odczuwania bólu po śmierci Audrey, żalu, że jej już nie ma. Ale teraz myśli o niej i tak napłynęły, wraz z niekontrolowanym szlochaniem bez łez. Szczęki Corbina zacisnęły się mocno, aż się przestraszył, że pokruszą mu się zęby. Jedyne, co go uspokajało, to myśl, że dopadnie Henry'ego i go zniszczy, odpłacając mu za wszystko, co zrobił. Henry był w Bostonie niespełna tydzień temu. „Mam szansę go znaleźć” – pomyślał Corbin. Gdy tylko się ściemni, pójdzie do swojej kamienicy i ukryty w krzakach zaczeka, może coś się wydarzy, może Henry z jakiegoś powodu się tam pojawi.

Dochodziło południe. Odkąd dowiedział się o Audrey, prawie nie spał i nie jadł, ale teraz głośno zaburczało mu w brzuchu i z głodu zakręciło mu się w głowie. Włożył dżinsy, tiszert i bluzę z kapturem, którą kupił na Gatwick. Kaptur wciągnął głęboko na głowę, zaciskając sznurki, żeby się nie zsunął, wyszedł z hotelu i od razu skręcił w prawo, w stronę szpitali. Minął zakład fryzjerski, którego nigdy wcześniej nie zauważył, zawrócił i wszedł do środka. Fryzjerów było dwóch, jeden stary i łysy, drugi młody i łysy, najpewniej ojciec i syn. Mroczne wnętrze przypominało wielkością wagon kolejowy, w powietrzu unosił się zapach pomady. Młody był wolny, Corbin usiadł na fotelu i poprosił o strzyżenie na jeża.

– Jak krótko? – zapytał fryzjer.

– Jak najkrócej.

Fryzjer ustawił maszynkę na minimum i ostrzygł Corbina niemal na zero. Ze starego boomboksa wysoko na półce leciało radio, stacja sportowa, Corbin na chwilę się zapomniał, słuchając, jak dzwoniący narzekają na kiepskich zmienników w red soxach w tym sezonie.

– Golenie też pan sobie życzy? – zapytał fryzjer, kończąc.

Corbin pogładził się dłonią po brodzie. Nie golił się ponad tydzień, takiej brody jeszcze nigdy nie miał.

– Jasne – zdecydował. – Tylko wąż proszę zostawić. – Czytał gdzieś, czy może słyszał, że jeśli mężczyzna chce zmienić wygląd, powinien ogolić głowę, a zapuścić wąż. To jedna z tych rzeczy, która siedziała mu w głowie od lat, choć zawsze się zastanawiał, czy to prawda. Kiedy fryzjer skończył, Corbin popatrzył na swoją niemal łysą głowę i zacząłki rudawego węża i pomyślał, że wygląda na tyle inaczej, by zwieść kogoś, kto zerknie na niego przelotnie. To wystarczy.

Wyszedłszy z zakładu, ruszył w stronę Mass General Hospital, gdzie trafił na grecką pizzerię, w której nigdy nie był. Zjadł wielką kanapkę z klopsiem i wypił dwie cole. Poprosił o kanapkę z indykiem na wynos i zabrał ją do hotelu. Kto wie, kiedy znowu będzie miał szansę coś zjeść? W pokoju uchylił okno wychodzące na łupkowe dachy i dalej na Common Park. Dzień był wietrzny, rześkie, chłodne powietrze wpadło do dusznego pokoju. Otworzył laptopa, wpisał kod do Wi-Fi i sprawdził pocztę. Telefon zostawił w Londynie. Bałby się, że zostanie namierzony, a laptop nie stwarzał takiego zagrożenia. Kuzynka Kate nie napisała nic nowego, ostatniego mejla wysłała w niedzielę wieczorem, poinformowała go wówczas, że policja prosiła o zgodę na przeszukanie jego mieszkania. Wciąż się nad tym zastanawiał. Musieli go jakoś powiązać z Audrey, nie miał jednak pojęcia, w jaki sposób. Może przesłuchali innych mieszkańców kamienicy i Alan im coś powiedział. To w sumie nie miało znaczenia. W jego mieszkaniu niczego nie znajdą.

Otworzył okno przeglądarki i po raz tysięczny wpisał do wyszukiwarki frazy „Henry Wood”, „Hank Bowman”, „Hank Wood”. Nic. Położył się na łóżku i wpatrywał się w wysoki sufit, w jego zdobne tynki. Wiatr gwizdał po pokoju, trzepocząc zasłonami, Corbin zamknął oczy, udawał, że znowu jest dzieckiem, że leży na plaży Annisquam, owiewa go słone powietrze. Zasnął i śniło mu się, że jest niewinny, że przychodzą po niego mordercy, ale on nie jest jednym z nich.

Obudził go piskliwy dźwięk dobiegający z komputera. W pokoju panował chłód, Corbin zadrżał. Usiadł, spojrzął na monitor. Zostawił otwarte okno z pocztą i Kate Priddy przysłała mu na czacie wiadomość. „Cześć”. Wpatrywał się w nią długi czas, zęby zaczęły mu stukotać z zimna. Miał wrażenie, że ona go widzi przez ekran, widzi, gdzie jest. Wstał i zamknął okno, wciągnął kaptur na głowę. Odpisał: „Cześć”.

„Zabiłeś Audrey Marshall?”

Wstrzymując oddech, dotknął palcami klawiatury. Chciał jej napisać, że wie, kto zabił, ale nie miał tyle odwagi. Napisał natomiast, że nie zabił Audrey, i zapytał, czy policja tak myśli.

„Mówią, że chodziliście ze sobą” – odpisała Kate, a Corbin przyznał, że to prawda. Wyjaśnił, że ich związek był tajemnicą i dlatego wcześniej zaprzeczał, że ją znał. Wiedział, że brzmi to słabo, oczywiście. Dlaczego właściwie nie ujawnił swojego związku z Audrey, gdy się dowiedział o jej śmierci? Już nie musiał jej przecież chronić.

Zapewnił Kate, że nie zabił Audrey. Wyglądało na to, że mu wierzy, bo teraz pisali o pogodzie i Sandersie. Zapytała, jaka była Audrey, i wspomniała o jej przyjacielu, którego poznała.

Corbin dostał gęsiej skórki. Zapytał o nazwisko tego przyjaciela.

Jack Ludovico.

Na kolejne pytanie, tym razem o jego wygląd, Kate napisała, że ma rude włosy i okulary. Nie pasowało to do rysopisu Henry’ego, ale przecież mógł się pofarbować.

Szybko wygugłował to nazwisko. Bez efektu. Potem wygugłował je w połączeniu z „Henry Wood”. Nadal nic. Popisali jeszcze trochę i się pożegnali. Zemdliło go na myśl, że Henry dotarł do Kate i nawiązał z nią kontakt. Musiał go znaleźć.

Dlaczego Ludovico? Brzmiało mu to znajomo, wygugłował więc samo nazwisko. Pierwszy wynik dotyczył Techniki Ludovica, terapii awersyjnej z *Mechanicznej pomarańczy*, ze sceny, w której otwierają Alexowi oczy i każą mu oglądać brutalną pornografię. To był ulubiony film Henry’ego albo jeden z ulubionych. Uwielbiał wszystkie filmy Stanleya Kubricka, wiele z nich oglądali razem tamtego lata w Nowym Jorku, gdy byli sobie tak bliscy. Miał wrażenie, że od tego czasu minęły całe dziesięciolecia. Henry wziął pewnie ten pseudonim z filmu. A co z innym – Hank Bowman – którego używał, gdy mieszkał w Hartford? Corbin wpisał do wyszukiwarki Kubrick i Bowman i natychmiast wyświetliła się *Odyseja kosmiczna 2001*. Serce Corbina zaczęło bić szybciej, dreszcz podniecenia przeszedł mu po skórze. Spojrzał na listę filmów Kubricka. *Lśnienie* oglądali razem kilkakrotnie. Jak się nazywał bohater, którego grał Jack Nicholson? Corbin sprawdził. Jack Torrance. Wpisał „Henry Torrance”. Kilka wyników. Między innymi aktor, który grał w filmach klasy B. Kiedy Corbin dodał Boston, pojawił się mediator o takim nazwisku, miał nawet stronę internetową i chociaż nie było tam żadnego zdjęcia Henry’ego Torrance’a, Corbin wiedział, czuł przez skórę, że wreszcie go znalazł. W jego



CV widniał Aurelius College i Columbia University, a praca magisterska dotyczyła rozwiązywania konfliktów. To na pewno był Henry. Miał numer telefonu i adres gabinetu w Newton.

Znalazł go!

Chociaż dochodziła siedemnasta i szanse na to, że Henry jest jeszcze w pracy, były marne, Corbin zatrzymał taksówkę na Charles Street i podał kierowcy adres biura w Newton. W zakorkowanym o tej porze Bostonie pokonanie drogi zajęło im czterdzieści pięć minut. Biuro znajdowało się w miejscowości Newtonville, nad piekarnią przy obsadzonej drzewami ulicy biegnącej równoległe do Massachusetts Turnpike.

Po drugiej stronie ulicy była ławka, Corbin usiadł na niej, nie odrywając wzroku od budynku. Musiał się chwilę zastanowić. Nie mieściło mu się w głowie, że wreszcie jest tak blisko Henry'ego. Niewykłuczone, że tamten właśnie w tej chwili był tu na górze. Ta myśl napełniała Corbina w równej mierze strachem, jak nadzieją. Jeśli Henry rzeczywiście tam jest, to nie ulega wątpliwości, że Corbin zamorduje go gołymi rękoma, wydusi z niego życie. Ale jeśli nie był sam? Albo ktoś na korytarzu usłyszy szarpaninę? Jeśli Henry ma broń?

Corbin wstał, poczuł, że od drewnianej ławki zawilgotniał mu tył dżinsów, rozejrzał się po biurowo-handlowej okolicy. Zauważył gospodę, knajpkę z kanapkami, dwa banki, sklep jubilerski i daleko przy rogu coś, co wyglądało na rodzinny sklep żelazny. Tego właśnie szukał. Podszedł tam szybko, pchnął drzwi, wzdrygnął się trochę, bo uruchomił dzwonek powiadamiający o przybyciu klienta. W ciemnym i wąskim pomieszczeniu między regałami ledwie mogła się zmieścić jedna osoba.

– Czym mogę służyć?

Corbin nie od razu się zorientował, skąd dobiega głos. Rozejrzał się i dostrzegł za kasą kobietę o mocno kręconych siwych włosach. Przez chwilę sądził, że kobieta klęczy, bo głowa ledwie jej wystawała ponad ladą, ale wówczas zobaczył, jak wdrapuje się na wysoki stołek. Była niewiarygodnie niska, wręcz karłowata.

– Dziękuję, rozglądam się tylko – odrzekł. Nawet on usłyszał, jak nerwowo i nieszczerze brzmi jego głos.

– Proszę wołać, jeśli nie znajdzie pan tego, co trzeba.

Wszedł w pierwszą z brzegu alejkę, jak się okazało, z artykułami hydraulicznymi, całe półki rur i armatur. „Czego ja szukam?” – pomyślał. Dotarł do kolejnej alejki, z narzędziami ręcznymi – młotki, śrubokręty i klucze. Trafiał na mniejszy młotek, z gumowaną rączką długą na jakieś piętnaście centymetrów. Dobrze leżał w dłoni. Bez trudu pozbawi nim Henry'ego przytomności, a potem go udusi albo załucze. Ale młotek, nawet stosunkowo małego, nie da się wygodnie nieść, w kieszeni kurtki będzie się rzucał w oczy. Dalej szukał, zastanowił się na dłutem, ale nie było ostre, aż znalazł to, czego szukał: solidny nóż do kartonu z gumową rękojeścią. Ze schowanym ostrzem zmieści się w kieszeni. Nawet gdyby niósł go w dłoni, nie rzucałby się w oczy.

Już miał go zanieść do kasy, ale się zatrzymał. Jeśli Henry był w biurze, a Corbin zabije go nożem do kartonu, to czy kobieta pracująca w pobliskim sklepie żelaznym nie przypomni sobie podejrzanego typu, który kupił nóż tuż przed morderstwem? Zerknął na sufit, szukając kamer, ale nic nie zobaczył. Wsunął nóż do kieszeni bluzy, przeszedł do następnej alejki, wziął tanią butelkę kleju kauczukowego i poszedł z nią do kasy.

Kobieta odłożyła powieść Deana Koontza i nabiła klej na kasę, która wyglądała na równie starą jak ona sama.

– Widzę, że znalazł pan coś, bez czego nie da się żyć – powiedziała z uśmiechem.

– Kleju nigdy za dużo – odrzekł Corbin, starając się nie patrzeć jej w oczy. Może powinien po prostu wyjść ze sklepu z nożem w kieszeni. Teraz kobieta na pewno go zapamięta.

Na ulicy, niosąc małą plastikową torbę z klejem kauczukowym, Corbin skierował się do sklepiku z kanapkami. Na rogu stał duży śmietnik, wrzucił do niego klej, po czym wyłuskał nóż z marnego opakowania i również je wyrzucił. Dokoła było pełno ludzi, większość wracała z pracy, ponadto kilku chłopaczków jeździło na deskorolkach, ale na Corbina nikt nie zwracał uwagi. Jeśli Henry był w swoim biurze – a to było bardzo wątpliwe – to Corbin musiał ten fakt wykorzystać. Nie miało znaczenia, czy kobieta w sklepie żelaznym go zapamiętała. Liczyło się tylko to, by dopaść Henry'ego.

Przeszedł przez ulicę na przejściu i przez przeszklone drzwi wszedł do niewielkiego przedsiönka o ścianach z zaciekami i wyłożonej linoleum podłodze. Unosił się tam zapach chleba i środków czyszczących. Na największej ścianie znalazł trzy przyciski i listę trzech firm. Wybrał przycisk przy napisie „Henry Torrance, mediator”, nacisnął i czekał. Co powie, gdy z głośnika usłyszy głos Henry'ego? Postanowił, że nic. Jeśli Henry tu jest, on po prostu pobiegnie schodami, wyłamie drzwi w razie konieczności i podetnie mu gardło nożem do kartonu. Na tę myśl zaswędziały go palce.

Ale na dzwonek nikt nie zareagował. Jeszcze raz nacisnął przycisk, tym razem przytrzymał dłużej. Nikogo tam nie było.

Mimo to wszedł na górę wąskimi schodami. Z podestu prowadził krótki, ciemnawy korytarz z trojgiem drzwi. „Melanie Gellar, terapeuta”, „Joseph Hahn, biegły księgowy”. I „Henry Torrance”. Drzwi były zamknięte, ale gdy Corbin ujął gałkę, stwierdził, że jest licha jak puszka i mógłby ją zgnieść. Już się zastanawiał, czy się włamać i poszukać w środku jakiejś wskazówki co do miejsca zamieszkania Henry'ego, gdy usłyszał, jak w sąsiednim biurze dzwoni telefon i odbiera go jakiś mężczyzna. Zdjął dłoń z gałki. Nie. Już wiedział, gdzie Henry pracuje, a gdyby się tu włamał, zaalarmowałyby go. Lepiej teraz wyjść, wrócić jutro wcześniej i zaczekać na ulicy, aż Henry się pojawi.

Po wyjściu z budynku uświadomił sobie, że nie ma jak wrócić do hotelu. Newton, choć leżało na obrzeżach Bostonu, to zaledwie przedmieście, gdzie niełatwo było złapać taksówkę na ulicy. Po drugiej stronie zauważył bar, nazywał się Edmands Tavern. W środku niewielki tłumek wracających z pracy klientów wypełniał skórzane siedziska wokół baru w kształcie podkowy. Corbin nachylił się nad kontuarem, zamówił piwo lagunitas pils i poprosił barmankę, żeby zadzwoniła po taksówkę dla niego. Była młoda – wyglądała najwyżej na studentkę college'u – na karku miała wytatuowany ezoteryczny symbol i spojrzała na Corbina tak, jakby właśnie zapytał, czy może na noc uwiązać konia na zapleczu.

– Zgubiłem komórkę – wyjaśnił.

Wyjęła swoją, szybko poruszając kciukami, znalazła firmę taksówkową i zadzwoniła do niej, a potem przekazała aparat Corbinowi. Podał nazwę baru i usłyszał, że ma zaczekać dziesięć minut.

– Powinieneś sobie zainstalować ubera – powiedziała dziewczyna, gdy oddał jej telefon.

– Mam, ale na telefonie.

– A, no tak. – Roześmiała się i przesunęła w stronę dwóch brodaczy w koszulkach polo, który właśnie weszli i analizowali listę piw.

Corbin nie podał taksówkarzowi adresu hotelu, lecz kazał jechać na Bury Street 75, po czym rozsiadł się na zniszczonym winylowym siedzeniu tylnej kanapy i zamknął na chwilę oczy, żeby się odprężyć. Zaczął od twarzy, skupił się na mięśniach szczęki, aż się poluzowały, potem szedł dalej w dół przez całe ciało. Tak niewiele mu brakowało, by dopaść Henry'ego, i dlatego pozwolił sobie na krótką chwilę fantazji, którą przeżywał już kilka razy. Jeśli zabije Henry'ego i go nie złapią, odzyska swoje życie. W każdym razie jakąś jego część. Może z czasem zdoła sobie wybaczyć to, co zrobił Claire i Lindzie, a także swój udział w śmierci Rachael i Audrey. Nie, nigdy sobie do końca nie wybaczy. Ale może odpokutuje. Nie wiedział dokładnie, jak miałby to zrobić, lecz obraz, który czasami pojawiał mu się w głowie, przedstawiał go z rodziną, z własnymi córkami, które będzie mógł chronić. Zaraz gdy ten obraz się pojawiał, odpychał go, wiedząc, że jest zbyt optymistyczny. Nie, jeśli zdoła zabić Henry'ego, to chciałby już nigdy nikogo nie zranić, zdrowy i cały przeżyć resztę swoich dni. To był szczyt jego marzeń. Niczego więcej nie pragnął.

Taksówkarz wysadził go przecnicę od jego kamienicy. Było już ciemno, wiatr przycichł, ale temperatura spadła. Nasunął kaptur na głowę i zaciągnął sznurki. Z rękoma wciśniętymi w kieszenie dżinsów skierował się w stronę posesji 101, zanim jednak dotarł do bramy, przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby nie zetknąć się twarzą w twarz z żadnym z mieszkańców. Poruszał się powoli, szukając miejsca dogodnego do obserwacji budynku. Skoro Henry już dotarł do Kate, może ją odwiedzić. Lepiej będzie obserwować kamienicę, niż siedzieć w pokoju hotelowym, czekając na rano.

Większość budynków przy Bury Street stanowiły kamienice z czerwonej cegły, o dobrze oświetlonych wejściach, ale pod numerem 106 zostały stare drzwi dzielone poziomo, nieco cofnięte, tak że Corbin mógł usiąść na niskim kamiennym progu. Nie była to kryjówka, znajdował się jednak w połowie drogi pomiędzy latarniami, więc choć trochę chował się w mroku. Co ważniejsze, widział stamtąd wejście do swojej kamienicy i okna salonu własnego mieszkania, oświetlone blaskiem lamp. Zasłony były częściowo zasunięte. Corbin przyciągnął nogi do klatki piersiowej, plecami zapał się o drewniane drzwi i starał się jak najmniej rzucać w oczy.

Przez następne dwie godziny widział, jak kilka osób wchodzi do budynku lub z niego wychodzi. Większość rozpoznał. Starsza pani, która się przyjaźniła z Valentine'ami, wyprowadzała swojego małego astmatycznego mopsa – tylko za bramę, pod krótki żywopłot okalający sąsiednią nieruchomość. Pies powęszył dokoła i ostatecznie wysikał się na chodnik. Kobieta obejrzała się na Corbina. Podniósł odrobinę głowę, żeby zauważyła, że jest biały. W przeciwnym wypadku mogłaby wezwać policję. Nieco później widział, jak z taksówki przed budynkiem wysiada pani Heathcote, a kierowca niesie przez dziedziniec jej dwie torby zakupów. Przeszło kilka innych osób, których nie rozpoznał, ale żadna z nich nie była jego kuzynką ani Henrym Woodem.

W miarę jak zapadała noc, latarnie świeciły coraz jaśniej, tworząc większe kałuże światła, a Corbin się zastanawiał, ile czasu minie, zanim jakiś sąsiad z paranoją wezwie policję do włóczęgi. Jeśli policja przyjedzie, on wyjaśni, że po prostu odpoczywa. Mógłby mówić z holenderskim akcentem i pokazać im dokumenty Brama. Przegonią go, ale nie zgarną. W każdym razie taką miał nadzieję.

Usłyszał głośnie, nieregularne kroki i ujrzał, jak przed bramą zatrzymuje się mężczyzna mniej więcej w jego wieku. Chwiał się lekko, jakby był pijany, a potem podniósł wzrok prosto na okna mieszkania Corbina, teraz mieszkania Kate. Henry? Od tyłu zupełnie go nie przypominał – Henry nie był tak wysoki

ani tak barczysty – ale kto wie. Nagle mężczyzna obrócił głowę, a w świetle księżycy i latarni Corbin rozpoznał Alana, gościa z drugiego skrzydła kamienicy, tego, który go kiedyś zapytał, czy spotyka się z Audrey Marshall. Dlaczego patrzył w okna Kate? Może miał taki odchył – lubił się gapić ludziom w okna. Czyż Corbin nie doszedł już do wniosku, że w ten właśnie sposób Alan się dowiedział o jego związku z Audrey? Skulił się jeszcze bardziej, jakby chronił się przed chłodem. Alan wszedł na dziedziniec, przy każdym jego kroku odnosiło się wrażenie, jakby miał się zaraz przewrócić, i w ostatniej chwili odzyskiwał równowagę.

Na ulicy znowu zapanował spokój, Corbin podnosił się właśnie, żeby wyprostować nogi, gdy ujrzał kolejną postać nadchodzącą od Brimmer Street. Szybko usiadł i wcisnął się w cień drzwi.

Henry.

Corbin był prawie pewien, że to on. Całe ciało pulsowało mu w rytm bicia serca. Chociaż nie widział twarzy mężczyzny, rozpoznał jego sposób poruszania się – szybki krok, wyprostowane ramiona. Był tak przekonany co do jego tożsamości, pewny, że to Henry, że zupełnie go zbiło z tropu, gdy mężczyzna minął wejście do 101, i nawet nie spoglądając na kamienicę, podążył dalej w stronę rzeki. Corbin wstał i patrzył. Mężczyzna – bo teraz już nie był pewien, czy to Henry – minął następny budynek, po czym nagle skręcił w prawo i zniknął. Corbin przeszedł na drugą stronę ulicy, ruszył biegiem, przytrzymując nóż do kartonu, który wciąż miał w kieszeni bluzy. Kiedy dotarł do miejsca, gdzie tamten zniknął, zwolnił. Był tam wąski, niemal nieprzechodni przesmyk pomiędzy dwoma budynkami, a wpadało tu tyle światła księżycy, by Corbin mógł się przekonać, że nikogo tam nie ma. Ruszył przejściem, ocierając się ramionami o obie ściany. Chodnik był śliski, unosił się tu zapach podobny do zepsutego mleka. Nie zastanawiając się wiele, Corbin ustawił się trochę ukosem i szybko dotarł do końca przesmyku, tam zaś wyszedł na zaułek o wiele większy, biegnący na tyłach kamienic Bury Street. Nigdzie nie było widać tamtego mężczyzny, Corbin musiał skręcić w prawo, ponieważ po lewej zaułek kończył się ścianą. Powoli i ostrożnie Corbin przeszedł na tyły swojej kamienicy. Nigdy nie widział jej od tej strony, ze zdumieniem ujrzał w ceglanej ścianie szerokie stalowe drzwi, które najpewniej prowadziły do piwnic. Na wsporniku nad drzwiami wisiała kamera, ale była skierowana na wyłot zaułka.

Nie było już wątpliwości: śledził Henry'ego i to Henry wszedł tędy do budynku. Ale dlaczego? I jak się dostał do środka?

Corbin zostawił swoje klucze do mieszkania w pokoju hotelowym. Teraz miał szansę. Jeśli Henry nadal znajduje się w piwnicy, może go tam zabić. Jeśli jednak go tam nie ma, to gdzie jest? Nieważne, i tak go znajdzie.

Wpadł do hotelu, trochę zdyszany, bo starał się iść szybko, i wziął z pokoju klucze, które przechowywał w zewnętrznej kieszeni torby. Na metalowym kółku wisiały trzy: jeden do mieszkania, jeden do składowiska i klucz do budynku, ale tego nigdy nie używał, ponieważ w holu zawsze dyżurował portier, a drzwi wejściowych nigdy nie zamykano. Zastanawiał się, czy ten sam klucz otwiera drzwi prowadzące do piwnic. Warto było sprawdzić.

Przed wyjściem Corbin wypił jeszcze trzy szklanki wody w łazience. Spojrzał w lustro. Krótkie włosy i świeżo zapuszczony wąs rzeczywiście zmieniły jego wygląd, ale tylko na pierwszy rzut oka. Popatrzył w swoje oczy. Czuł strach, ale też pewność. Henry musi umrzeć, a on go zabije.

Wrócił na Bury Street 101 i wsunął klucz do zamka tylnych drzwi. Ten najpierw nie chciał puścić, ale gdy Corbin trochę pomanewrował, udało mu się przekręcić klucz. Otworzył ciężkie skrzydło. Miał rację: betonowe schody prowadziły do piwnicy budynku. U szczytu się zawahał, nasłuchując, czy w piwnicy jest ktoś jeszcze. Najgorzej byłoby, gdyby ktoś z mieszkańców go zobaczył, zwłaszcza zanim zdoła znaleźć Henry'ego. Nasłuchiwał chwilę, a potem naciągnął głębiej kaptur i wszedł w ostre białe fluorescencyjne światło. Niewiele było tu miejsc, by się ukryć: zamykane składziki zajmowały większość jednej ściany, bojler drugą. Przekradł się do bojlerów i zajrzał za nie. Nikogo tam nie było.

Minął pomieszczenie i dotarł do korytarza prowadzącego na tylną klatkę schodową. Jego buty uderzały o cementową podłogę, pożałował, że nie włożył tenisówek, które ze sobą przywiózł. Otworzył drzwi i wyjrzał na pusty korytarz. Jeśli Henry wślizgnął się do budynku, dostał się tędy do kuchennych wejść do mieszkań. Niewykluczone, że poszedł do mieszkania Audrey, wrócił na miejsce zbrodni. Niewykluczone też, że poszedł do mieszkania Corbina, że z jakiegoś powodu śledził Kate.

Przeszedł cały korytarz aż do schodów prowadzących do jego mieszkania. Wiele razy je pokonywał, ale nigdy wcześniej nie zauważył, że niskowatowe żarówki tak słabo oświetlają stopnie. Czuł się niemal ślepy, rękoma trzymał się poręczy. Gdy dotarł do kuchennych drzwi swojego mieszkania, wyęzając słuch, przyłożył ucho do drzwi, ale nie dosłyszał żadnego dźwięku. Naprawdę nie miał pojęcia, co robić. Henry zniknął. Gdyby wcześniej miał przy sobie klucze, zdołałby wejść do piwnicy tuż za nim. Teraz Henry mógł być wszędzie.

Postanowił, że najlepiej będzie wrócić do piwnicy, ukryć się za bojlerami i tam czekać w nadziei, że Henry się tam pojawi.

Już miał ruszyć w dół, gdy coś usłyszał, jakiś dźwięk dobiegający z dołu. Stał nieruchomo. Kroki, ciche, ale pewne. Ktoś wchodził na górę.

Spanikowany Corbin zaczął gmerać w kluczach, szukając tego do kuchennych drzwi. Jak najciszej wsunął go w zamek, otworzył drzwi, wszedł do ciemnej kuchni i zamknął drzwi za sobą.

Stał nieruchomo, nasłuchując odgłosów z klatki schodowej, ale też z wnętrza mieszkania. Wzrok mu się przystosował do mroku, widział kuchnię we wpadającym przez okno świetle księżycy. Przez chwilę trwała całkowita cisza, a potem usłyszał zbliżające się kroki po drugiej stronie drzwi, powolne i ostrożne. Zatrzymały się na podeście. Corbin chwycił nóż do kartonu, kciukiem wysuwając ostrze. Nagle ta broń wydała mu się nieodpowiednia, klinga co prawda była ostra, ale za krótka. Musiałby zadać perfekcyjny cios, żeby wyrządzić Henry'emu krzywdę. Poruszając się powoli, wpatrzony w błysk gałki w drzwiach, cofnął się do najbliższego blatu i znalazł blok z nożami. Wymacał największą rękojeść i wyjął nóż. Ten do kartonów odłożył do kieszeni, a kuchenny przełożył do prawej dłoni.

Co się działo po drugiej stronie drzwi?

Jeśli to był Henry, który z jakiegoś powodu czekał, by wejść do mieszkania, Corbin też zaczeka. Wolną

rękę trzymając na krawędzi blatu, powoli i cicho cofnął się jeszcze bardziej, tak że częściowo schował się we wnęce obok lodówki. Skupił się na oddychaniu, cichym i miarowym.

Usłyszał coś, ale nie zza drzwi, lecz z wnętrza mieszkania. Szelest ubrań, bose stopy na drewnianej podłodze i nagle Kate minęła kuchnię w drodze do sypialni. Gdyby weszła do kuchni, czy choćby spojrzała w tę stronę, zobaczyłaby go. Nasłuchiwał w bezruchu. Spłynęła woda w sedesie, usłyszał znajomy brzdęk rur i odkręcony kran. Corbin szybko opuścił kuchnię, wszedł do wielkiego salonu, oświetlonego tylko jedną lampą. Przedostał się w najciemniejszy kąt i stanął za zasłoną. Po kilku minutach Kate przeszła przez salon. Usłyszał wyłącznie jej kroki, a szelestu dzinsów już nie. Musiała się przebrać w dres czy piżamę.

Po pięciu minutach wychylił się zza zasłon. W saloniku cicho grał telewizor. Teraz przynajmniej wiedział, gdzie znajduje się Kate. Musiał tylko czekać, aż pojawi się Henry. Został na miejscu, wyciągając słuch. Minęła godzina, a przynajmniej tak mu się wydawało. Zaczął się zastanawiać, co tu robi, na co czeka, czy na schodach rzeczywiście coś usłyszał. Może to była tylko gra jego wyobraźni. Takie właśnie myśli przemykały mu przez głowę, gdy do salonu, swobodnym krokiem, jakby tu mieszkał, wszedł Henry Wood. Corbin patrzył na niego zmartwiały, poczuł jak drętwieją mu palce, w których trzymał nóż. To był na pewno Henry, włosy miał krótko przycięte i pofarbowane, nosił ciemny krótki płaszcz z podniesionym kołnierzem. Zmierzał do saloniku.

Corbin przyklęknął i zdjął buty, jeden po drugim. Dlaczego nie zrobił tego wcześniej?

W skarpetkach, uważając, by się nie pośliznąć, przemknął korytarzem i wszedł do saloniku. Na ekranie wyświetlał się czarno-biały film. Kate leżała pod kocem na skórzanej kanapie, najwyraźniej spała. Henry'ego nie było nigdzie widać. Obrócił się i spojrzał na korytarz biegnący do salonu. Henry był zapewne w którymś z pokoiów gościnnych, w drugiej łazience albo w pralni. Na kanapie za nim Kate poruszyła się, chrapiąc cicho. Corbin zastanawiał się, czy schować się w szafie w saloniku, w kryjówce, którą urządził tam ojciec, gdy tylko kupił mieszkanie. Musiał obudzić Kate i powiedzieć jej, żeby się tam schroniła. Dzięki temu, jeśli on nie zdoła znaleźć i zabić Henry'ego albo jeśli Henry zabije jego, przynajmniej Kate będzie bezpieczna. Cokolwiek się wydarzy, ucierpi tylko on, a on musi się z tym pogodzić.

Liczyło się wyłącznie to, żeby Kate nie stała się krzywda.

Przykucnął koło niej, odłożył nóż na podłogę, zsunął kaptur z głowy i przycisnął dłoń do jej ust. Obudziła się, wrywała, drugą ręką przytrzymał ją za ramię. Starając się mówić krzepiącym i uspokajającym głosem, wyjaśnił jej, kim jest.

– Musisz mi zaufać – szeptał – bo oboje umrzemy. Rozumiesz?

Kate wreszcie kiwnęła głową, a Corbin odniósł wrażenie, że zaczęła go słuchać. Powiedział jej o kryjówce w szafie – ojciec ukrywał tam złoto, gdy pękła bańka internetowa – że musi tam wejść i zostać, aż on po nią przyjdzie. Odniósł wrażenie, że znowu wpadła w panikę, ale mniej się wrywała. W kółko jej powtarzał, że musi to zrobić, aż wreszcie poczuł, że przestała stawiać opór. Kiwnęła głową, a wtedy Corbin odsłonił jej usta. Do policzków przykleiły się jej pasma włosów, mokre od łez i śliny.

– Kto to jest? – zapytała. – Kim jest ten zły człowiek?

Corbin odrzekł, że nieważne, że musi iść do kryjówki. Posłusznie wykonała polecenie. Miał wrażenie, że jej wola została złamana. Bardzo chciał ją przyciągnąć do siebie, przytulić. W końcu byli rodziną,

mimo że do tej pory się nie znali. Zdusił to pragnienie, ale zanim weszła w głąb szafy, powiedział: „Uratuję cię”. I w tej chwili w to wierzył.

Zamknął drzwi szafy i wrócił do kanapy po nóż. Za jego plecami ciągle leciał film, czarno-biały, angielski. Mężczyzna i kobieta na jakimś szykownym balu. Dźwięki z telewizora były mu na rękę. Na szczęście Henry nadal się nie zorientował, że w mieszkaniu oprócz niego i Kate jest ktoś jeszcze.

Corbin spojrział w głąb korytarza. Drzwi do łazienki i pralni były zamknięte, ale te prowadzące do obu pokoi gościnnych były odrobinę uchylone, jedno bardziej. Najpewniej Henry wszedł do jednego z tych pomieszczeń. Corbin przemknął po perskim chodniku przez korytarz i już miał zajrzeć do pierwszej sypialni, gdy jego uwagę przyciągnął jakiś ruch w salonie. Odwrócił się. Henry stał i patrzył na niego. Światło jednej lampy wystarczyło, by odczytać wyraz jego twarzy. Przede wszystkim zdumienie. Może nawet odrobina ubawienia.

Corbin przyłożył nóż płaską stroną do spodni, żeby go ukryć, i ruszył w stronę Henry’ego.

– A więc jesteś – powiedział Henry i się uśmiechnął. Górna warga odsłoniła wielkie białe kły.

– Co tu robisz? – zapytał zaskakująco spokojnym głosem Corbin.

– Jestem tu ze względu na ciebie, mój drogi. Nie sądziłeś...

Wiedząc, że nie może się wdać w rozmowę z Henrym – wiedząc, że musi działać – Corbin ruszył w jego stronę i rzucił się na niego z nożem, ale był zbyt wolny. Henry wciągnął brzuch i pochylił ramiona jak dziecko, które robi unik w czasie gry w berka. Corbin stracił równowagę, wówczas Henry rzucił się na niego i obaj upadli na podłogę. Corbin nie mógł oddychać. Henry unieruchomił jego dłoń z nożem, a drugą ręką usiłował mu go odebrać, ale wtedy przeciął sobie dłoń. Syknął z bólu i Corbin, który odzyskał dech, zdołał utrzymać nóż, a jednocześnie zrzucił z siebie Henry’ego i przewrócił go na plecy. Zamachnął się, celując w głowę przeciwnika, ale czubek ostrza wbił się w podłogę obok jego policzka. Oczy Henry’ego były szeroko otwarte od przyływu adrenaliny i być może ze strachu, w każdym razie Corbin miał taką nadzieję. Już wyciągał ostrze z drewnianej deski, ale mokra od potu dłoń zsunęła mu się z rękojeści. Zatoczył się odrobinę do tyłu, podpierając się lewą ręką. Nóż zadźwięczał jak kamerton. Corbin patrzył, jak Henry szybko zrywa się na nogi, chwytając za rękojeść, wyciąga nóż z podłogi i rzuca się do ataku. Mógł tylko podnieść prawe ramię, żeby się zasłonić, i wierzgnąć nogami. To jednak nie wystarczyło. Ostrze dosięgło jego gardła.

Padł na plecy, jego ręce odruchowo sięgnęły do rany, przez palce przelewała mu się ciepła krew. Usłyszał szybkie kroki, ale nie był w stanie podnieść głowy, by spojrzeć na Henry’ego. Patrzył więc jedynie na kasetonowy sufit, a z jego ciała ulatywały wszelkie doznania. Już miał zamknąć oczy, gdy zobaczył, jak kuca przy nim Kate.

– Wyglądasz trochę jak mój ojciec – powiedział, ale zamiast głosu z jego gardła wydobył się bulgot krwi. – Masz takie oczy jak on.

Alana wyrwał ze snu dzwonek budzika. Ostrożnie obrócił głowę w stronę wyświetlacza. Dziesiąta trzydzieści. Przez chwilę nie wiedział, czy to noc, czy dzień, a potem zauważył, że na zewnątrz jest ciemno. Wyłączył budzik i zamknął oczy. W skroniach mu pulsowało, jakby czaszkę ścisnęło imadło.

Znowu zadzwonił budzik. Tym razem Alan usiadł i się rozejrzył. To nie był budzik. To domofon. Wyskoczył z łóżka, zdziwił się, że ma na sobie ubranie, i niepewnym krokiem dotarł przez salon do domofonu. Myślał, że to Kate. W głowie pojawiły mu się fragmentaryczne wspomnienia wieczoru. Jack i długi chaotyczny monolog, że Corbin już wcześniej zabijał. Piesza wędrówka do domu przez Boston, irlandzki bar, reszta skrywała się za mgłą. Pamiętał jednak, że widział się z Kate. Kłócili się, wyglądała na przestraszoną. To się działo w kuchni, przypomniał sobie, ale nie miał pojęcia, jak się tam dostał ani jak później z powrotem trafił do swojego mieszkania.

Wcisnął guzik domofonu.

– Idą na górę – powiedział portier.

– Kto?

– Policja. Pokazali mi nakaz.

Usłyszał głośnie pukanie do drzwi. Poczul falę mdłości, ale ruszył do wejścia.

– Alan Cherney? – To była ta sama policjantka, którą widział wcześniej. Za nią stało dwóch mundurowych, obaj niżsi od niej, a do tego jeszcze jedna kobieta po cywilnemu, wyglądająca na stażystkę zabraną dla towarzystwa.

– Tak.

– Detektyw Roberta James, to jest agentka Abigail Tan z Federalnego Biura Śledczego, mamy nakaz rewizji pańskiego mieszkania. – Podała Alanowi kartkę, która wyglądała już na wiele razy rozkładaną i składaną.

– W porządku – odrzekł i cofnął się, by wpuścić całą czwórkę do środka. – Czy to ma coś wspólnego z Audrey Marshall?

– Tak – odparła agentka. Głos też miała młody. Z kieszeni kurtki wyjęła dwie pary lateksowych rękawiczek i podała je mundurowym. – Czy chciałby mi pan coś powiedzieć o swoim związku ze zmarłą?

Alan szybko potrząsnął głową, ze spojrzenia agentki wyczytał, że ma problem. Poczul kolejną falę mdłości.

– Przepraszam bardzo – wybełkotał i pognął do łazienki.

Zdażył jeszcze zatrzasnąć za sobą drzwi, zanim ukląkł na posadzce i wymiotował do sedesu, aż z żołądka leciała sama żółć. Spryskał twarz zimną wodą i umył zęby. Przyjrzał się w lustrze swojemu odbiciu. Oczy miał przekrwione, zażawione od torsji. Twarz w kolorze kredy. Wycierając łzy, poczul potworne przerażenie, i to nie tylko dlatego, że policja przeszukiwała jego mieszkanie; wiedział, że dzieje się coś złego.



Z salonu usłyszał policyjne radio. Czego oni szukali? Zanim wyszedł z łazienki, otworzył apteczkę; szukając ibuprofenu, przypadkiem sięgnął po lek przeciwalergiczny, a gdy go odstawiał na półkę, przed oczyma pojawił mu się obraz Jacka, jak w barze drapał się po ręce. Mówił coś o pokrzywce, o wiośnie. Ale to wcale nie wyglądało na uczulenie i nagle Alan zdał sobie sprawę, że wie, co to było, i że wie, co to oznacza. Na tę myśl aż zrobiło mu się słabo, poczuł rosnący niepokój, że Kate jest w straszliwym niebezpieczeństwie. Nie wiedział dokładnie dlaczego. To było po prostu przecucie, ale tak realnego przecucia nie miał jeszcze nigdy.

Wyszedł z łazienki i skręcił do salonu dokładnie w chwili, gdy młoda agentka ruszyła w jego stronę. Zdejmowała rękawiczki. Za nią, we wnęce kuchennej, policjant pakował noże do torebek dowodowych. Alan zaczął coś mówić, chociaż nie był pewien, co chce przekazać. Urwał, gdy ujrzał, że agentka wyjmuje kajdanki spod kurtki.

– Alanie Cherney – powiedziała, patrząc wzrokiem bez wyrazu – aresztuję pana pod zarzutem zamordowania Audrey Marshall...

Odczytała mu jego prawa, skuwając ręce na plecach.

II

## RÓWNE CIĘCIE

Przyjaźń – czy jakkolwiek to nazwać – z Corbinem Dellem była wyjątkowa. Po raz pierwszy w życiu Henry Wood wyobrażał sobie, że czuje to, co normalni ludzie, gdy się zakochują albo gdy patrzą na rodzica, albo przynoszą do domu nowego pieska. Potem ta przyjaźń się skończyła – Henry odebrał telefon od Corbina po tym, jak zamordowali, razem zamordowali kompletne zero, którym była Linda Alcheri – a Henry poczuł się głęboko zraniony, co stanowiło kolejne nowe doświadczenie emocjonalne. Nie tylko zraniony, lecz także wstrząśnięty. W końcu to Henry wprowadził Corbina w nowy lepszy świat. Zabrał go z Kansas do Krainy Oz, a teraz Corbin, ta pieprznęta Dorotka, z jakiegoś powodu chciał wrócić do Kansas.

Czy Corbin nie rozumiał, że to, co się stało na cmentarzu Boddington, było piękne? A to, co się wydarzyło nad Eel River Pond, mogło być jeszcze piękniejsze?

Tak właśnie myślał Henry, zwłaszcza o ich wspólnych chwilach w Londynie z Claire Brennan. Składała się pewnie na to również nostalgia za okresem spędzonym w college’u, ale nie, naprawdę odczuwał też wtedy niewiarygodne piękno. Przez krótki czas po morderstwie, gdy Henry był w Londynie, a potem przez całe niesamowite lato w Nowym Jorku, świat miał nowe kolory. Co noc, zasypiając, rozpamiętywał każdy szczegół tego, co się stało między Corbinem, Claire a nim w tamtą środę. Był to spontaniczny taniec, w którym każdy uczestnik znał swoją rolę, choć wcześniej jej nie ćwiczył. Tak to właśnie zapamiętał. Śmierć Claire była punktem kulminacyjnym, a jej rozlaną krew podzielili między siebie w doskonale równych częściach, Corbin i on. Nawet deszcz, gdy się rozpadało, dołączył do tego piękna, zmywając krew i oczyszczając powietrze.

Od czasu do czasu Henry zmieniał to, co się wydarzyło, ulepszał odrobinę. Na przykład zawsze pomijał we wspomnieniach ten przykry moment, kiedy się pośliznął na śliskiej ziemi i upadł na kolano, upuszczając nóż. Zawsze też redukował czas, którego potrzebowali do wykopania grobu, a Corbin już panikował, że ktoś nadejdzie. I czasami pozwalał sobie dodać scenę, w której przed pochowaniem przecinali ciało Claire na pół idealnie przez środek. „Połowa dla Corbina, połowa dla mnie. Równe cięcie”. Uwieczniliby w ten sposób powody, dla których Claire zginęła: niemądrze podzieliła swoją miłość i musiała za to zapłacić. Ale też upamiętniliby to, co się wydarzyło pomiędzy nimi dwoma.

Po przypadku Lindy Alcheri Henry oczywiście pojął, że przyjaciel go nie rozumie i nigdy nie rozumiał. Przecięcie Lindy okazało się prezentem, którego Corbin nie docenił.

Niemniej ten telefon – gdy Corbin powiedział mu, że to koniec ich przyjaźni – wstrząsnął Henrym.

A potem Henry wpadł w gniew.

Co Corbin sobie myślał? Że po tym, co razem zrobili, może się po prostu wycofać? Że sobie wróci do normalnego życia? Chciał się ożenić? Mieć dzieci? Może wręcz myślał, że będzie szczęśliwy w tym swoim Kansas, żyjąc w świecie pozbawionym kolorów? I Henry postanowił, że przynajmniej może dopilnować, żeby nic takiego się nie zdarzyło. Tak nie może być. Corbin był taki jak on. Mógł udawać, że nie jest, ale to nie zmieniało faktów, i już on zadba, żeby Corbin nigdy o tym nie zapomniał.

Henry Wood stał się Henrym „Hankiem” Torrance’em, mediatorem specjalizującym się w sporach biznesowych w St. Louis w stanie Missouri. To było łatwe. Istniało tyle prostych sposobów manipulowania ludźmi, zwłaszcza ludźmi osłabionymi sporami. Zwłaszcza ludźmi głupimi. Poznał niejaką Kaylee Buecher, która sposobem poruszania się i lubieżnością widoczną w oczach przypominała mu Claire. Zabrał ją na kolację i słuchał, gdy mu opowiadała, z tym swoim brzydkim środkowozachodnim akcentem, jak to jako pierwsza z rodziny poszła do college’u, ale rodzice jej nie doceniali, tylko się zastanawiali, dlaczego jeszcze nie wyszła za męża. Nigdy już do niej nie zadzwonił, ale przez pół roku ją śledził. Mieszkała w wynajętym domku jednorodzinny w Webster Groves. Obserwował ją, poznał jej nawyki. Kupił komplet wytrychów, nauczył się ich używać i włamywał się do jej domu, kiedy chciał. Lubił przestawiać jej rzeczy, splunąć na resztki posiłku, przeczytać żaloszny pamiętnik („Witaj, Cudowna Kaylee! Przed Tobą wielka przyszłość”). Pewnego popołudnia wróciła wcześniej do domu z kolegą z pracy. Henry schował się w szafie sypialni i słuchał, jak uprawiają seks. Potem mężczyzna płakał i jęczał, że jest żonaty i jeszcze nigdy nie zdradził swojej żony. W każdym razie tak mówił. Po jego wyjściu Kaylee siadła przy telefonie i zrelacjonowała wszystko swoim przyjaciółkom, następnie zadzwoniła do biura z informacją, że ma migrenę i już dziś nie wróci do pracy. Henry został w domu cały wieczór i przez pół nocy, wyszedł o trzeciej nad ranem. Wcześniej postąpił nad łóżkiem Kaylee i patrzył, jak śpi.

Przebywanie w domu z Kaylee było najlepszym uczuciem, jakiego zaznał od chwil spędzonych z Corbinem.

Przychodził do niej, kiedy chciał. Poznał każdą kryjówkę, zapamiętał każdą skrzypiącą deskę w podłodze i nienaoliwiony zawias. Odkrył, że może poruszać się bezkarnie wokół budynku, nawet gdy Kaylee jest w środku. Raz o mało co go nie przyłapała. Był w łazience na dole, z której Kaylee nigdy nie korzystała, gdy ona wróciła w nocy z imprezy i wpadła tam na siku. Henry zdążył wejść do brodzika, ale nie zaciągnął do końca zasłony. Kaylee usiadła na sedesie, z szaleńczym ciśnieniem opróżniła pęcherz, gdyby podniosła wzrok, i spojrzała w lustro, zobaczyłaby twarz Henry’ego wychylającą się zza zasłony. Ale nie podniosła, ani na chwilę nie oderwała wzroku od telefonu. To jej uratowało życie, jakiś esemes, nad którym płakała i śmiała się jednocześnie.

Później właściciele domu postanowili wykorzystać prosperity na rynku nieruchomości i wystawili go na sprzedaż, a Kaylee miała wrócić do miasta, by zamieszkać z przyjaciółką. Ostatniej nocy przełożył talię kart w salonie, gdy dziewczyna spała na górze. Czerwone miało oznaczać, że ją zabije, czarne, że daruje jej życie. Odślonił siódmkę trefl. Przed wyjściem wziął nożyce i każde zdjęcie Kaylee Buecher przeciął na pół, a następnie odłożył do ramki, albo sklejjając je taśmą, albo przykładając do siebie połówki na lodówce. Następnie ukradł odbitkę portretu Mao autorstwa Andy’ego Warhola z jego autografem, wartą pewnie dziesiątki tysięcy dolarów.

Przebywanie z Kaylee było zabawne, ale czuł się samotnie. Zostawił przecięte fotografie, ale ona nigdy się przecież nie dowie, że to jego dzieło. Na zawsze pozostaną dla niej zagadką.

Henry uznał, że czas znaleźć Corbina. Czas na zemstę.

Nie było to trudne. Zgodnie z danymi z LinkedIn po kilku latach spędzonych w Nowym Jorku Corbin wrócił do Bostonu, gdzie pracował w głównej siedzibie Briar-Crane. Henry obserwował niewielkie biura firmy w South Endzie. Corbina jednak tam nie było. Zostawił fałszywą wizytówkę gadatliwej

recepjonistce i dowiedział się, że Corbin spędza większość sierpnia z rodziną w North Shore. Wynajął samochód, ruszył na północ i zameldował się w New Essex Motor Court, jedynym hotelu, który w szczycie sezonu dysponował wolnymi pokojami. Przez tydzień śledził Corbina i jego piękną ciemnowłosą dziewczynę. Corbin był opalony i umięśniony. Co rano biegał po plaży. I wydawał się prawdziwie szczęśliwy w obecności trywialnej panienci, z którą się związał. Henry dowiedział się, jak ona się nazywa. Rachael Chess. Miała długie ciemne włosy, tak jak Claire Brennan, i zawsze się uśmiechała w obecności Corbina albo kładła mu rękę na ramionach, albo obejmowała go udami, gdy kąpali się razem w morzu. Henry wyobrażał sobie, że obejmuje go też tak udami każdej nocy. Ani przez chwilę nie podejrzewając, że jej złoty bóg walił kiedyś głową innej kobiety o ziemię, aż straciła przytomność. Henry czuł taki gniew, że niemal chciał zabić Corbina, zakraść się nocą do jego sypialni i poderznąć mu gardło, a potem patrzeć mu w oczy, gdy będzie się wykrwawiał. Ale nie, to nie było dobre wyjście w wypadku Corbina. Najpierw Henry musiał się trochę zabawić.

Rachael Chess intensywnie udzielała się na Facebooku, a gdy Henry dowiedział się, że wraca do New Essex na weekend Columbus Day, też się tam zjawił. Corbina nie było – to go zdziwiło, ale ułatwiało mu zadanie. Zdołał zapoznać się z Rachael w barze przy plaży, Rusty Scupper. Nie zdziwił się, gdy zarozumiała cipa nie zgodziła się, by postawił jej drinka. Wyszedł z knajpy i czekał w samochodzie. Została do zamknięcia. Jakiś koleś próbował ją całować na parkingu, ale ciągle go odpychała, aż się odczepił i odjechał swoim pikapem, który wymagał nowego tłumika. Rachael poszła z powrotem na plażę. Henry wyjął plecak z bagażnika wynajętego samochodu. W środku miał nowy nóż do filetowania, poprzedniego dnia kupiony w Walmarcie, wystarczająco ostry nie tylko, by ją zabić, lecz też przeciąć jej ciało. Żeby Corbin nie miał wątpliwości, kto zabił jego dziewczynę.

Rok później, raczej z nudy niż z innych powodów, Henry przeprowadził się do Bostonu, otworzył skromne biuro w Newtonville i wynajął umeblowane mieszkanie w mieście. Naprzeciwko pracy Corbina była kawiarnia, w której czasami Henry czekał, aż Corbin się pojawi. Niemal zawsze docierał tam o szóstej trzydzieści rano. Po pracy zwykle szedł na pobliską siłownię albo do domu. Nigdy się jednak z nikim nie spotykał, na pewno nie z kobietą. A więc rozumiał, jakie są konsekwencje. Wiedział, co się stało z Rachael Chess.

Henry zastanawiał się, co Corbin teraz o nim myśli. Czy odczuwa czystą nienawiść, czy strach, czy również jakiś podziw? Czy to była zazdrość? Czy żałował tego, co zrobił?

Gdy Corbin był w pracy, Henry czasami włamywał się do jego kamienicy. Forsował zamek w drzwiach na tyłach budynku, szedł przez piwnicę i dalej schodami prowadzącymi do kuchennego wejścia do ogromnego mieszkania Corbina. Nie robił tego zbyt często; bał się, że ktoś go zauważy, jak wchodzi od tyłu, choć nigdy nikogo w piwnicy nie napotkał. Były tam składziki i niewiele więcej. Czasami na dole chodził kot, który śledził Henry'ego na ciemnej, wąskiej klatce schodowej, miaucząc żałośnie. Zastanawiał się, czy to zwierzak Corbina, ale wątpił, bo nic w jego mieszkaniu nie wskazywało na posiadanie kota – nie miał ani kuwety, ani miseczki na jedzenie czy wodę. Czasami Henry sobie wyobrażał, jak łatwo byłoby skręcić zwierzakowi kark, a potem rozłożyć jego wnętrzności na orientalnych dywanach. Nie zrobił tego jednak. Nie chciał jeszcze ujawniać Corbinowi swojej obecności i zbyt mu się podobało przebywanie w jego mieszkaniu.

W któryś czwartek po południu odkrył, że jego dawny przyjaciel ukrywa dziewczynę. Wylegiwał się na kanapie, pił wódkę belvedere Corbina, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Szybko i bezszelestnie

podszedł do drzwi, przyłożył oko do judasza. Po drugiej stronie stała blondynka, która wydała mu się znajoma. Usłyszał klucz w zamku i uciekł w stronę sypialni, właśnie wychodził na korytarz, gdy drzwi się otworzyły. Nie panikował – to dzięki doświadczeniu zdobytemu w domu Kaylee pod jej obecność, a bez jej wiedzy. Wskoczył do kuchni i schował się we wnęcie za lodówką, nasłuchując odgłosów. Nic nie słyszał, aż drzwi się znowu otworzyły i zamknęły. Powoli wrócił na korytarz i dalej do salonu. Na stoliku leżał liścik, pod jego szklanką wódki. Dziewczyna miała pewne, okrągłe pismo:

Corbin,

Wzięłam swój klucz i weszłam do Twojego mieszkania – łapie mnie migrena, a Twoje środki są najlepsze. Nie szperałam, słowo honoru. Nie przychodź dzisiaj, bo mogę leżeć w łóżku z zatyczkami, ale może ja przyjdę, jak mi ta migrena przycichnie? Dawno się nie widzieliśmy.

Audrey

Corbin miał dziewczynę. A w każdym razie kogoś, kogo posuwał. I teraz Henry przypomniał sobie, gdzie ją widział. Mieszkała w tej samej kamienicy, zimna blondynka o męskiej fryzurze, zawsze z torbą, która wyglądała na pełną książek. Zawsze w biegu. Nie była w guście Corbina. Claire i Rachel miały ciemne włosy, miękkie, krągłe ciała. Ta nie miała bioder, nogi po pachy i wyglądała, jakby wiatr mógł ją zdmuchnąć. A jednak chodzili ze sobą. Nietrudno będzie się dowiedzieć, jak się nazywa, gdzie mieszka i co właściwie ich łączy.

Henry poczuł w piersi wielką lekkość, zapowiedź tego, co nadejdzie. Może Corbin już się z nim nie dzieli, ale on dzieli się z Corbinem.

Nazywała się Audrey Marshall. Pracowała w wydawnictwie. Przeprowadziła się do Bostonu z Nowego Jorku. I mieszkała zaraz obok Corbina.

Wszystkie te informacje Henry zdobył przez Google, a wcześniej wszedł do holu kamienicy z ulotkami reklamującymi usługi złotej rączki. Portier wziął ulotki, obiecał, że je doda do poczty mieszkańców, chociaż Henry wątpił, czy to rzeczywiście zrobi.

– Nie musi pan dorzucać do Audrey... Audrey... – Strzelił palcami, jakby nazwisko wyleciało mu z głowy.

– Audrey Marshall – uzupełnił portier o rozspanych oczach.

– Właśnie. Ona ma moje zamiary. Robiłem jej niedawno malowanie.

Portier się zdziwił.

– A kiedy konkretnie?

– Chyba parę miesięcy temu – odrzekł i zniknął za drzwiami.

Zaczął czasami śledzić Audrey. Pracowała w dziwnych godzinach, czasami szła do pracy koło południa, czasami dopiero pod wieczór. A od czasu do czasu w dzień powszedni zostawała w domu. Z powodu tych nieregularności Henry bał się włamać do jej mieszkania, choć bardzo tego pragnął. Dopiero gdy pewnego ranka zobaczył, jak idzie z wielką torbą do taksówki czekającej przy krawężniku, zrozumiał, że trafiła mu się okazja. Włamał się wieczorem, przeszedł przez pustą piwnicę i wspiał się właściwymi kuchennymi schodami. Jej drzwi od kuchni zabezpieczone były zamkiem na szyfr pięciocyfrowy, rozgryzał go dłuższą chwilę, nim w końcu dostał się do środka. Nie włączał światła, zaczekał, aż wzrok mu się przyzwyczai do mroku, a potem przemierzał się po skąpo umeblowanym mieszkaniu, o wiele mniejszym niż Corbina, ale i tak dużym jak na miasto. Wszędzie w salonie były książki, stosy na podłodze przypominały wysokościorce. Audrey rozsunała zasłony w salonie, więc Henry wszedł do sypialni, gdzie były zaciągnięte. Wyjął latarkę i przeszukał jej rzeczy. W szufladzie przy łóżku znalazł to, czego szukał: czerwony skórzany notes zapięty gumką. Zdjął gumkę, otworzył notes; był to pamiętnik, strona po stronie wypełniony pochyłym pismem, które widział na liściku zostawionym u Corbina. Usiadł na skraju łóżka i zaczął czytać; datowała wpisy, ale rzadko przekraczały one dwa lub trzy zdania. Większość była nudna – pisała o przeczytanych książkach, rozmowach telefonicznych z nieszczęśliwą siostrą – potem jednak zaczęły się wpisy o Corbinie i zrobiło się o wiele bardziej interesująco. Pierwsza wzmianka znalazła się w notce sprzed paru miesięcy, ze stycznia:

Seksowny Sąsiad przyszedł na kolację. Nie mogę go rozgryźć. Zupełnie jakbym patrzyła na pustą kartkę, choć bardzo seksowną pustą kartkę. Wypiliśmy dwie butelki wina i już byłam pewna, że uczyni jakiś krok, ale wyszedł, jakbym go poraziła prądem.

Następne były częstsze, co parę dni.

Spędziłam noc z Seksownym Sąsiadem w jego gigantycznym mieszkaniu. Trochę dziwny, ale fajny. Wygłosił mi mowę pt. „Nie chcę się z nikim wiązać”.

Wreszcie opowiedziałam Kerry o Seksownym Sąsiadzie. Zadała milion pytań, a ja nie miałam odpowiedzi. Wyjaśniłam, że moim zdaniem on chce z kimś być, ale nie chce mieć dziewczyny. Bo już jakąś ma, odparła Kerry. Roześmiałam się, ale przyznaję, że setki razy już się nad tym zastanawiałam. Tylko że nie wydaje mi się, żeby miał dziewczynę. To chyba bardziej skomplikowane.

Niech się dzieje, co chce, Seksowny Sąsiad i ja zdecydowanie mamy romans. A w każdym razie mamy coś, bo nie wiem, czy to romans. Seks jest fajny, ja coś do niego czuję, on czuje coś do mnie albo udaje, i za boga żywego nie mogę skumać, dlaczego razem nie możemy się chociaż przejść przed domem.

Muszę zerwać z Seksownym Sąsiadem, i to jak najszybciej. Gdybym wiedziała, że łączy nas tylko łóżko, to co innego, ale ja wiem, że łączy nas coś więcej, a on ciągle mi nie mówi, co się dzieje w środku tej wielkiej twardej czaszki. Muszę się wycofać, zanim stanie mi się krzywda. Wczoraj wymieniliśmy się kluczami, bardziej ze względów sąsiedzkich, ale jednak wygląda to na poważny krok. Corbin, jeśli jesteś u mnie i czytasz to, to kij ci w oko i przestań mi wsadzać język do ucha. To okropne.

Seksowny Sąsiad jest załamany. Coś jest z nim naprawdę nie tak. Jeśli nie porozmawia ze mną, to koniec z nami.

Koniec. Przyszedł i oskarżył mnie... W sumie nie wiem, o co mnie oskarżył. Że komuś o nas powiedziałam. Któremuś z sąsiadów! Zaczynam podejrzewać, że dręczy go coś naprawdę poważnego i chcę to zakończyć.

Cor jedzie do Londynu na pół roku, a do niego wprowadza się kuzynka. Cieszę się. Dlaczego nie miałabym się cieszyć? Gdyby tylko nie wyglądał tak smutno, gdy mi o tym mówił.

To ostatni wpis, w którym Audrey wspomniała o Corbinie. Sprzed tygodnia. Henry był wstrząśnięty. Corbin przeprowadzał się do Londynu. Jak to możliwe? Strasznie się wkurzył. Londyn był ich miejscem, a teraz on tam sobie wracał, jakby nigdy nie wydarzyło się tam nic ważnego. Jakby to było jakieś przypadkowe miasto.

Następnego dnia włamał się do jego mieszkania i znalazł teczkę z dokumentami podróży, kopią wizy pracowniczej na pobyt w Londynie. Wyjeżdżał za tydzień, w czwartek wieczorem. Henry szybko podjął decyzję – w czwartek wieczorem włamał się do mieszkania Audrey, a jeśli ona tam będzie, zabije ją.

Nadszedł czas rozpiardolić Corbina na dobre i zostawić mu jasną wiadomość, czyje to dzieło.

Przez następny tydzień Henry trzymał się z daleka od Beacon Hill i Bury Street. Wiedział, że przeginał, spędzając tyle czasu w tej okolicy. Ktoś mógł na niego zwrócić uwagę. Przez ten tydzień zakończył zlecenie dla organizacji non profit w Cambridge, w której jeden z wydziałów chciał rozpocząć własną działalność non profit. Zdobył też nowego klienta, małą firmę prawniczą z Waltham uwikłaną w spór pracowniczy, a w weekend zabrał asystentkę prezesa z non profit na kolację. To była nudna randka w strasznej restauracji, więc Henry zabawił się opowiadaniem jej długiej, zmyślonej historii o tym, jak to kiedyś miał romans z gwiazdą telewizji. Widok rozświetlonych oczu kobiety, gdy słuchała z bezgraniczną ufnością, jak zmyślał historyjki o żalonym zachowaniu aktorki, niemal zrekompensował mu resztę okropności wieczoru.

Gdy nadszedł czwartkowy wieczór, spakował do plecaka ulubione narzędzia, wziął obcisłą kominiarkę, rękawiczki i przeszedł piechotą aż na Bury Street. Była piękna wiosenna noc, powietrze czyste po deszczu i pachnące kwitającymi roślinami, Henry poczuł, jak mięśnie jego ciała śpiewają



unisono. Czuł, że mógłby zabić Audrey Marshall i rozedrzeć ją na dwoje gołymi rękoma.

Nie dało się tak.

Kiedy wszedł drzwiami od strony piwnicy, Audrey musiała go usłyszeć.

– Corbin? – zapytała nerwowo, wchodząc do kuchni. Henry chwycił ją od tyłu i wbił nóż jej w szyję, zanim zdążyła jeszcze cokolwiek powiedzieć. Strumień krwi z arterii trysnął na blaty, szafki i aż na sufit, Audrey padła bezwładnie na podłogę.

Rankiem opuścił mieszkanie tą samą drogą, którą przyszedł. Zostawił ciało w takim stanie, jak zaplanował. Rozcięte na pół. „Połowa dla Corbina, połowa dla mnie”. Ale to była brudna, ciężka robota, i gdzieś w trakcie jej wykonywania nagle zaboląło go poczucie osamotnienia, tak dotkliwe, że aż zaparło mu dech.

Teraz, gdy skończył i szedł w porannych godzinach do domu, czuł się lepiej. Na pewno podejrzenia padną na Corbina, a jeśli uznają, że to naprawdę on... cóż, niewiele się pomylą, prawda? Przyczynił się do śmierci Audrey Marshall w równym stopniu, co Henry. Tak samo jak on był winien tego, co się stało z Rachael Chess. Pół na pół. Na wieki wieków.

Dotarł do domu, gdy słońce zaczęło oświetlać niebo. Na jezdniach i chodnikach utrzymywała się jeszcze miejscami mgła. W Londynie był już środek dnia. Ile czasu minie, zanim Corbin dowie się o śmierci Audrey, zanim się dowie, że Henry wciąż jest obecny w jego życiu? Że zawsze będzie obecny.

Dopiero w sobotę po południu przeczytał o morderstwie w artykule na stronie „Boston Globe”.

Od tego czasu dużo myślał. Chociaż był niemal pewien, że podejrzenia padną na Corbina – przede wszystkim policja przeczyta pamiętnik Audrey – chciał dopilnować, że tak się stanie. Chciał, by nazwisko Corbina zostało z tą sprawą powiązane, a najlepiej gdyby go aresztowano. Śliczna buźka Corbina będzie w całym internecie; jaśniepański morderca niewinnych dziewcząt.

Tylko czy pamiętnik wystarczy, by Corbin trafił na listę podejrzanych? Niewykluczone, ale przydałoby się coś więcej. A jeśli on, Henry, zamierzał grać w tę grę, to bez ograniczeń. Musiał komuś zasugerować, że w Corbinie Dellu jest coś podejznanego, i wymyślił, jak to zrobić.

Następnego dnia w południe udał się na Bury Street 101 i czekał na ulicy, aż ktoś wyjdzie z budynku. Fajnie było znowu tam wrócić, i to z poczuciem nietykalności. Wymyślił, że jest przyjacielem Audrey i przyszedł tu, by rozpaczać po jej śmierci. Może był przyjacielem, który skrycie się w niej kochał, chociaż nie chciał tego przed sobą przyznać. Z kamienicy wyszedł mężczyzna w kurtce z futrem i za ciasnych dzinsach. Zatrzymał się na dziedzińcu, by wybrać sobie piosenkę do słuchania, potem zawiązał sznurówki i wyruszył na spacer – ewidentnie wykonywał rutynowe czynności. Nie spojrzał w stronę Henry’ego.

Jako następna wyszła z kamienicy kobieta w eleganckiej czarno-białej kurtce. Szła nerwowo, jakby przed kimś uciekała. Gdy się zbliżyła, Henry’emu podskoczyło serce. Wyglądała jak Corbin, może nie do końca, ale na tyle, że uznał, iż to jego kuzynka. Przechodząc przez ulicę, odruchowo spojrzała w prawo, a nie w lewo, i zaraz się poprawiła. To na pewno była ta angielska kuzynka. Zatrzymał ją, opowiedział historyjkę o przyjacielu i usiłował wyciągnąć jakieś informacje. Ona konsekwentnie starała się tę rozmowę zakończyć, ale on nie odpuszczał. Miała nerwowe, udęczone spojrzenie. Straumatyzowana. To się spodobało Henry’emu, nawet bardziej niż piękna figura i pełne usta.

Poszedł z nią do Charles Street, opowiadając jej swoje kłamstwa. Odgrywanie pograżonego w żałobie przyjaciela niezmiernie go bawiło. Na nosie miał okulary do czytania, dzięki którym wyglądał na wrażliwego i kruchego, zdołał nawet wycisnąć kilka łez. Zanim się rozstali, powiedział Kate, że Audrey mówiła mu, jaki dziwny był Corbin. A potem celowo ją zapytał, o której dokładnie Corbin miał lot. Postarał się. Zauważył, jak dziewczyna kciukiem prawej dłoni dotyka pozostałych palców, w tę i z powrotem, po kolei. Teraz pewnie zrobi jedną z dwóch rzeczy. Albo się skontaktuje z policją i powie, czego się właśnie dowiedziała, albo skontaktuje się z Corbinem i jemu powie o spotkaniu. Tak czy owak Henry ostrzegł ją, że coś nie gra. A ona, jak typowa ofiara, zaczęła się denerwować.

Wrócił do domu. Wciąż myślał o Kate: jak bardzo mu się podobała rozmowa z nią i jak pragnąłby poprzybywać z nią w mieszkaniu, zwłaszcza bez jej wiedzy. Z półki w sypialni zdjął wydrążony egzemplarz *Monetary History of the United States*. W środku trzymał swój akt urodzenia, akt zmiany nazwiska – gdy legalnie został Henrym Torrance'em, pukiel włosów Jenny Gulli, pierwszej dziewczyny, która go naprawdę rozczarowała, jeszcze w liceum, i zdjęcie, na którym Corbin stał nad ciałem Claire Brennan. To była ich polisa ubezpieczeniowa, bo Corbin miał takie zdjęcie z Henrym, ale Henry zawsze uważał je za coś więcej. Pakt. Zobowiązanie. Zastanawiał się, gdzie Corbin trzyma swoje zdjęcie. Pewnie gdzieś w sejfie. Henry wiedział, że też powinien tak postąpić, ale zanadto lubił patrzeć na tę fotkę. Lubił ją mieć blisko siebie.

Chodził po mieszkaniu ze zdjęciem w dłoni. Nienawidził być sam w domu; nienawidził tego od czasu swoich ekscytujących wizyt u Audrey Marshall. Nagle olśniło go, co musi zrobić. Zalogował się do poczty służbowej i odwołał umówione na następny dzień spotkanie z rodzinną firmą prawniczą z Waltham. Spakował do plecaka wszystkie niezbędne rzeczy. Wprowadzał się do Kate.

W świetle zmierzchu Henry przemknął przez park. Wcześniej padało, na chodniku stały kałuże, z drzew kapalo. Przeciął Beacon Street i przeszedł jedną przecznicę Charles, aż dotarł do Bury. Skręcił i nagle przed sobą zobaczył Kate. Szła w jego stronę. Pochylił głowę i szedł dalej. W ogóle na niego nie spojrzała. Wzrok miała szklany i pusty, jak osoba pogrążona w rozmyślaniach. Chciał ruszyć za nią, z czystej ciekawości, ale postanowił wykorzystać idealną okazję, którą właśnie zyskał. Idąc dalej, niemal wpadł na mężczyzną mniej więcej w swoim wieku – spieszył się, jakby gdzieś był spóźniony. Obaj jednocześnie wydukali przeprosiny, Henry dostrzegł chudą twarz i ciemne oczy.

Minął kamienicę, przeszedł dwa zaułki, którymi docierał do tylnego wejścia. W piwnicy jak zwykle nikogo nie było. Jego mokre i zabłocone buty zostawiały ślady na podłodze. Za jednym z bojlerów znalazł jakąś starą, sztywną szmatę, wyczyścił nią obuwie, a potem starł ślady. Nie spieszył się, pewien już, że mieszkańcy tego budynku rzadko schodzą do swoich składzików. Po co im one były, skoro mieli takie wielkie mieszkania? Niektórych komórek nie zamknięto nawet na kłódkę, pewnie były nieużywane. Składzik Corbina – z wypisanym na prowizorycznych drzwiach „3D” – miał kłódkę ze stali nierdzewnej. Czy to tu Corbin trzymał zdjęcie Henry’ego nad ciałem Claire? Postanowił przy okazji tu zajrzeć. Kłódkę łatwo będzie sforsować.

Wszedł do ciemnego mieszkania Corbina czy też Kate, bo teraz ona tu mieszkała. W kuchni zdjął buty, wsunął je do plastikowej torby, którą ze sobą przyniósł, i schował je do plecaka. Zdażył już dobrze poznać apartament, więc sądził, że najlepszą kryjówką będzie pokój od północy, większy z dwóch pokoi gościnnych. Miał stosunkowo głęboką szafę. Po jednej stronie znajdowały się tam półki wypełnione pościelą i ręcznikami, ale druga strona, trochę cofnięta, była pusta. Na drążku wisiały dwa garnitury w plastikowych pokrowcach i jeśli rozmieści je starannie, zdoła stanąć tak, żeby nikt go nie zobaczył, dopóki nie tknie garniturów.

Na podłodze leżał duży dywan z długim włosiem, beżowy w lilie. Miejsce pod łóżkiem miało ponad pół metra wysokości. Henry uznał, że da radę tam wygodnie spać. Wsadził plecak do szafy i przeszedł przez całe mieszkanie, automatycznie selekcjonując poręczne kryjówki – za zasłonami, spiżarnia – z których mógłby skorzystać w razie potrzeby. Nie miał się czym martwić.

Wszedł do nieprzyzwoicie wielkiej sypialni Corbina. Obejrzał zdjęcia stojące na niskim sekretarzyku, choć już je kiedyś oglądał. Na wielu widniał Corbin w dzieciństwie, na paru w czasach college’u, czyli wtedy, gdy Henry go poznał. Wszystkie niemal absurdalnie trąciły zadęciem. Większość powstała na żaglówkach, a opaleni blondyni na pokładzie trzymali w ręku drinki i mieli lekko ubawiony wyraz twarzy ludzi tak bogatych, że po co by mieli zawracać sobie głowę uśmiechaniem się do zdjęcia.

Obejrzawszy fotografie, Henry przetrząsnął sypialnię, szukając rzeczy Kate. Właściwie się nie rozpakowała. W łazience rozłożyła przybory toaletowe, ale wielka miękka torba na podłodze wciąż była pełna ubrań, część się wysypywała. Łóżko, w którym spała, też było niedbale posłane; naciągnęła narzutę, ale jej nie upchnęła pod materac ani nie wygładziła. Henry wtulił twarz w pościel i głęboko

wciągnął nosem powietrze. Pachniała detergentem, nie poczuł nic innego. Ukłękł na podłodze i zajrzał pod łóżko – tu było jakieś czterdzieści centymetrów wysokości, zmieściłby się, ale nie byłoby mu wygodnie.

Pod łóżkiem leżał zeszyt w czarnej skajowej oprawie. Otworzył go. Wykonany węglem portret mężczyzny – doskonale oddający podobieństwo wizerunek człowieka, na którego wpadł na Bury Street. Kim był i dlaczego Kate – bo to na pewno był szkicownik Kate – go narysowała? Przełożył kartkę i ujrzał jej autoportret, niewiarygodnie wierny, jej czujne oczy wpatrywały się w Henry’ego, jakby go widziały. Na następnej kartce znajdowała się jego twarz, podpisana „Jack Ludovico” (nie zrobiła błędu), z dzisiejszą datą. Niezły rysunek. Henry wpatrywał się oczarowany, czuł się, jakby patrzył na siebie czyimiś oczyma. Narysowała go z przechyloną głową, z nutą smutku w oczach za szklami okularów. Perfekcyjnie oddała właśnie to, co chciał przekazać. Poczuł się z siebie dumny, jak zawsze gdy ktoś bez reszty uwierzył w jego maskę.

Zastanawiał się, czy Kate rysowała każdą napotkaną osobę, czy tylko te, które wzbudziły jej zainteresowanie, które w jakiś sposób ją poruszyły. Jeśli tak, to kim był ten sąsiad na pierwszej kartce – Alan Cherney, jak napisała – i dlaczego dzisiaj za nią szedł? Śledził ją?

Niemal bezwiednie zwilżył palec śliną, a potem przesunął nim po rysunku. Bardzo chciał zamazać oczy mężczyzny, zmienić go jakoś, może w takim stopniu, by przstraszyć Kate, gdy znowu zajrzy do szkicownika. Tak naprawdę to chciał te oczy całkiem zamazać. Przypomniał sobie magazyny „Tiger Beat” należące do siostry, jak metodycznie je wertował, zamazując na biało oczy członków wszystkich jej ulubionych boys bandów. Bracia Hanson wyglądali jak bezokie zombie. Czasami brał czerwony długopis i dorysowywał krew wyciekającą z ich oczu i ust. Gdy to samo zrobił w licealnym albumie siostry, matka wysłała go do terapeuty – jedyną terapeutką w Stark w stanie Nowy Jork była gruba kobieta w średnim wieku, tak głupia, że Henry zdołał jej wmówić, że siostra się nad nim znęca, a on się tylko broni. Miał wówczas osiem lat. Siostra dwanaście. Terapeutka musiała powiedzieć matce, że Mary najwyraźniej ma problem, bo nigdy już nie musiał iść do terapeutki, natomiast zaczęła do niej chodzić jego siostra. Henry przestał niszczyć jej rzeczy, ale znalazł inne sposoby na uprzykrzenie jej życia, takie, których nigdy z nim nie skojarzono. Proste. Rozpuszczał plotki, przez które traciła przyjaciółki. Wyleciała ze swojej pierwszej pracy w aptece, bo dzięki jego staraniom uznano ją za złodziejkę. Dodawał jej do gatorade’a niewielkie ilości płynu do chłodziń, tak że wylądowała na ponad tydzień w szpitalu. Rzuciła liceum w drugiej klasie i uciekła z miasta z miejscowym dilerem. Pięć lat później dostali od niej pocztówkę – „Pozdrowienia z San Diego” – i później już nic.

Od dawna nie myślał o swojej rodzinie i jak zawsze wspomnienie ich miernoty wzbudziło w nim ubawienie i wstyd jednocześnie. Rodzice ciągle byli razem, mieszkali w tym samym parterowym domu w Stark. Gdy czasami z nimi rozmawiał, kłamał, mówiąc, że wynajął prywatnego detektywa, by odnalazł jego siostrę, a oni mu dziękowali i modlili się, by gdziekolwiek jest, znalazła spokoju. Słyszał w ich głosie, że tak naprawdę nie chcą jej odnaleźć, że już zaakceptowali życie bez swoich dzieci. Nie chcieli, by wrócił. Tego był pewien. Nie widział ich od dziesięciu lat.

Znowu skupił się na rysunku. Postanowił nie zamazywać oczu, choć bardzo go kusiło. To by pewnie było za dużo. Kate wezwałaby policję, może by się wyprowadziła. Wrócił natomiast do swojego portretu i palcem usunął kilka linii, wiernie oddających rysy jego twarzy, a potem ośmielił się popacać zwilżonym palcem po oczach, zmieniając je tak, by wyglądały na zamglone. Zadowolony zamknął szkicownik

i odłożył go pod łóżko, zastanawiając się, jak długo już tu siedzi. Nagle zakręciło mu się w głowie, pokój lekko się zakołysał. Był głodny. Poszedł do kuchni sprawdzić, czy jest tam tyle jedzenia, że mógłby coś uszczknąć dla siebie, nie wzbudzając podejrzeń. Jeśli nie, to w plecaku miał pełno batoników granola.

Kate wróciła do domu około dwudziestej. Henry siedział po ciemku w pokoju gościnnym. Nie zadał sobie trudu, by się schować. Jeśli ona tu przyjdzie, zdąży wskoczyć do szafy, zanim ona włączy światło. Jeśli nie zdąży i Kate go zobaczy, będzie musiała umrzeć. Zastanawiał się, jak Corbin by na to zareagował. Czy odebrałby to bardziej osobiście, bo Kate była jego rodziną, krewną, czy mniej osobiście, bo nigdy jej nie puknął? Tak czy owak, w ten sposób wywabiłby go z kryjówki w Londynie. Corbin po prostu musiał wrócić do Bostonu. Henry zastanawiał się nad tym, gdy do sypialni wszedł biały kot, którego już widział w piwnicy, i wbił w niego spojrzenie żółtych lśniących w mroku oczu. Henry syknął, a kot przechylił głowę, odwrócił się i wyszedł z sypialni.

Czekał i nasłuchiwał. Usłyszał, jak otwierają się i zamykają drzwi wejściowe, i zastanawiał się, czy Kate wyszła. Wątpił w to, został więc na miejscu. Po kwadransie przeszła korytarzem, kierując się do sali telewizyjnej, czy jak tam Corbin nazywał wyłożony ciemną boazerią zakątek ze skórzaną kanapą. Henry odczekał pięć minut i wyszedł na korytarz. Lampa przy kanapie była włączona i chociaż kanapa stała tyłem do niego, widział czubek głowy Kate i słyszał szelest przewracanych kartek. Czytała. Został na miejscu, nieruchomo, czekając, aż przełoży kolejną stronę. Właśnie pomyślał, że bardzo wolno czyta, gdy usłyszał stukot książki spadającej na podłogę. Kate poruszyła się na kanapie. Spała.

Stanął za kanapą. Dziewczyna przykryła się częściowo ciężką narzutą, jedna ręka się obróciła, tak że leżała dłonią do góry, a kłykcie dotykały policzka. Przyglądał się śpiącej przez chwilę, zdumiony, że ludzi trzyma w kupie coś tak kruche jak skóra. Nawet w słabym świetle lampy widział, jak pod nią przepływa krew. Kate poruszała szczęką, a wraz z nią drgały delikatne ścięgna na szyi. Zaczęła pochrapywać, wzdrygnęła się i zacisnęła powieki, jakby nie chciała zobaczyć obrazów podsuniętych jej przez sny. Henry się wycofał, odwrócił i poszedł do kuchni, gdzie napił się mleka prosto z butelki. Zastanowił się, czy dla zabawy nie przespać się na łóżku Corbina. Możliwe, że Kate całą noc spędzi na kanapie. Nie. Nie będzie ryzykował, za dobrze się bawił. Prześpi się pod łóżkiem w pokoju gościnnym. To najbezpieczniejsze miejsce.

Odstawił mleko do lodówki, a potem usłyszał ciche drapanie w drzwi prowadzące do piwnicy. Otworzył je i wpuścił tego durnego kota. A ten jeszcze otarł się o jego nogę. Schylił się, podniósł zwierzę, obrócił i ujął w dłoń jego czaszkę, nie większą od piłki tenisowej. Kot warknął. Dałby radę zmiażdżyć mu głowę samą ręką? Pewnie tak. Zaczął zaciskać dłoń, ale zatrzymał się i opuścił kota na podłogę, ten zaś pobiegł do salonu, nie mając pojęcia, że cudem uniknął śmierci. Śmieszniej będzie, jeśli Kate zastanie kota w mieszkaniu i zacznie się zastanawiać, skąd się tu wziął.

Henry wrócił do pokoju gościnnego, wsunął się pod łóżko i zamknął oczy. Nie był zmęczony, ale już dawno temu nauczył się zasypiać niemal w dowolnej chwili. Wyobraził sobie, że się unosi na wodach ogromnej rzeki. Przed nim byli wszyscy znani mu ludzie, którzy urodzili się wcześniej niż on; starzeli się, unosząc się na wodzie, i tonęli jeden po drugim, gdy dopadł ich czas, choroba czy zwykły pech. Wokół niego pływali ludzie w jego wieku, barany, z którymi chodził do liceum w Stark, jaśniepańskie dzieciaki z college'u, zachowujące się tak, jakby miały żyć wiecznie, koledzy z pracy i klienci, wszyscy z trudem brnęli przez wodę w połowie swojego życia, starając się utrzymać na powierzchni. A za nim byli młodszy od niego, ci, co się rodzili, nowe ciała, które próbowały wejść do strumienia, coraz liczniejsi, w miarę

jak przeredzały się szeregi poprzedników. Gdy obraz w jego głowie nabrał wyrazistości – falanga ludzkich ciał z nim samym pośrodku poruszała się nieprzerwanie do przodu – Henry zanurzył się pod powierzchnię, tak że widział jedynie nogi kotłujące się w pianie płynącej rzeki. I jak żółw kajmanowy wciąga kaczątko pod powierzchnię stawu, tak Henry mógł chwycić nogę dowolnej osoby i ściągnąć ją na ciemne, zimne dno rzeki, gdzie on mógł oddychać, ale oni nie.

Z tą myślą zasnął. Nigdy mu się nic nie śniło.

Henry został pod łóżkiem, aż Kate wyszła z mieszkania, czyli mniej więcej do południa.

Wstała wcześniej, jeszcze przed świtem. Powrót kota najwyraźniej ją mocno nastraszył. Krzyczała, chodząc po mieszkaniu: „Halo, jest tu kto?!”. Zaraz potem na dziesięć sekund włączyła światła w pokoju gościnnym. Wstrzymał oddech, zastanawiając się, czy zobaczy jej głowę schylającą się pod narzutą, ale tak się nie stało. Wyłączyła światło i przez kilka godzin Henry słyszał ją, jak przemieszcza się po mieszkaniu.

Przez jakiś czas panowała cisza, więc Henry zastanawiał się, czy Kate wróciła do łóżka albo może wyszła. Potem usłyszał głosy – ktoś stał pod drzwiami. Charakterystyczny głos Kate z akcentem i jeszcze jakiejś kobiety. Starszej pani o ochrypłym głosie. Przez chwilę martwił się, że to może policjantka, że Kate wezwała policję, by przeszukano mieszkanie, ale głosy zamilkły i niedługo później usłyszał trzask drzwi wejściowych. Był niemal pewien, że Kate wyszła. Na tyle pewien, że wysunął się spod łóżka.

Stanął, w kolanach mu strzyknęło, pomachał rękoma, by stawy pracowały należycie. Przetoczył głową po ramionach, a potem wyszedł z pokoju. Miał rację. Kate wyszła. Czuł to w powietrzu.

Umył twarz w łazience dla gości, zmienił koszulkę, nakładając dodatkową warstwę bezzapachowego antyperspirantu. Jeśli chciał tu pomieszkać z Kate, musiał pachnieć jak najbardziej neutralnie. W kuchni na górnej półce znalazł pudełko płatków ryżowych rice chex. Nasypał ich trochę do miseczki, zalał taką ilością chudego mleka Kate, żeby nie zauważyła ubytku. Płatki były stare i zwietrzałe, ale skojarzyły mu się z Corbinem. Poprzednio jadł rice chex chyba w czasie ich wspólnego wyjazdu do New Essex, całe lata temu. Od tego czasu nie miał ich w ustach.

Umył miseczkę i odstawił na miejsce, potem ruszył po mieszkaniu, układając plan. Poszedł po szkicownik Kate, by jeszcze raz przyjrzeć się swojemu portretowi, ale nie było go pod łóżkiem. Musiała go wziąć ze sobą.

Przypomniał sobie składzik w piwnicy. Chociaż miał wytrychy, poszedł do szuflady w kuchni, gdzie Corbin trzymał zapasowe klucze. Wziął ten z przywieszką „składzik” i zszedł do piwnicy. Wszedł do komórki Corbina, domykając za sobą drzwi, i z pomocą latarki przeszukał niewielkie pomieszczenie. Kilka kartonów z komiksami, starannie uporządkowanymi. Grill, parę oprawionych plakatów, jakie dwudziestoletni chłopcy wieszają na ścianach swoich pokoiów w akademiku albo w pierwszym mieszkaniu. Samochody. Dziewczyny. Po co Corbin je trzymał? Jeden z nich przedstawiał powiększoną okładkę płyty *Chocolate and Cheese* zespołu Ween. Tułów kobiety, dolne części konkretnych piersi wychylały się spod króciutkiej koszulki. Henry wyjął scyzoryk. Wykona na plakacie małą operację.

Po południu Kate wróciła. Henry ukrył się w pokoju gościnnym, ale ona po krótkim czasie znowu wyszła. Udał się do jej sypialni, gdzie na podłodze leżały zrzucone dzinsy, jeszcze ciepłe. Powąchał je, nie wyczuł niemal żadnego zapachu, tylko ślady woni dziecięcego pudru. Dokąd poszła, że musiała się przebrać? Zajrzał do łazienki. Użyła szczoteczki do zębów, bo była jeszcze wilgotna. Wsunął ją do ust i wyssał z włosków miętowy smak.

Od przecięcia plakatu Henry, zamiast czuć zadowolenie, był niespokojny i pobudzony. Chciał, żeby się coś wydarzyło, żeby wrócił Corbin albo żeby przyjechała policja, albo wręcz żeby Kate znalazła go w szafie, ze scyzorykiem ukrytym między palcami. Wykonał kilka ćwiczeń rozciągających, znalazł butelkę wódki i ją otworzył, po czym nalał sobie pół szklanki z lodem. Kilka godzin później Kate nadal nie było, a Henry, z twarzą odrętwiałą i mrowiącą od alkoholu, przemierzał mieszkanie, głodny i niespokojny. Postanowił wyjść. Zostawił plecak w szafie pokoju gościnnego i wyszedł w noc przez tylne wyjście kamienicy. Wcześniej odłożył na miejsce klucz do składziku, za to schował do kieszeni jeden z nieoznaczonych kluczy, zakładając, że to zapasowy klucz do mieszkania, a do tego oznaczony inicjałami AM – czyli pewnie do mieszkania Audrey Marshall. Miał wytrychy, ale one wymagały czasu, no i zawsze lepiej mieć prawdziwy klucz. Przeszedł przez Commons do ciemnego baru Proposition, który lubił, zjadł dwie porcje skrzydełek i wypił kilka heinekenów.

– Zniknąłeś – zauważyła barmanka.

Spojrzał na nią i dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że już kiedyś rozmawiali, aż nagle przypomniał sobie wszystko. Samantha. Bay State College. Studia licencjackie. Musiała przerwać naukę na jeden semestr, bo wcześniej babcia płaciła jej chesne, ale właśnie trafiła do drogiego domu opieki, Samantha zaś nie załatwiła sobie jeszcze stypendium. Henry przypomniał sobie także to, co wiedział o Samancie, a czego sama mu nie powiedziała. Bulimia, z którą walczyła od lat ze zmiennym szczęściem, widoczna w opuchliznie twarzy i uszkodzonym szklawie zębów. Sypianie z każdym facetem, który był dla niej choć trochę miły, i wieloma innymi, którzy mili nie byli. I że na ogół źle się czuła ze sobą.

– Nie zniknąłem. Próbowałem się lepiej odżywiać – odparł.

– Pojęłam. – Samantha zakończyła rozmowę. Henry zastanawiał się, czy wyczuła, że on nie chce gadać, i zdenerwował się, że pewnie tak. Nie cierpiał, gdy ktoś go rozszyfrował, zwłaszcza jakaś głupia barmanka. Rozgryzł kość kurczaka i wyszał szpik.

Wrócił na Bury Street, popatrzył w okna Corbina z ulicy i uznał, że Kate nie wróciła. A jeśli wróciła, to poszła od razu do łóżka. Tak czy owak, ryzykowałby. Wszedł do piwnicy, znowu nie było tam nikogo oprócz kota, który zawsze się pojawiał w pobliżu.

– Kici, kici – powiedział, wpychając mu palce pod brodę. Zauważył, że trochę bełkocze, może za dużo wypił, może powinien pojechać do siebie do South Endu i się wyspać. Potarł delikatną jak gałązka kość szczęki futrzaka. Kot nie zamruczał, kiedy zaś Henry odsunął rękę, zwierzak rzucił się na jego przedramię, wbijając pazury głęboko w ciało. Henry odskoczył wstrząśnięty, czując, jak skóra mu się rozdziera, a kot syknął nienawistnie, po czym odwrócił się i uciekł, zanim Henry zdążył go wdeptać w podłogę. Spojrzał na ranę, skóra już nabrzmiewała, pojawiały się małe punkciki krwi, jak para na szybie. Possał rękę, smakując swoją słonawą krew. Zaczęło go swędzieć.

Zamiast do Corbina wspinał się schodami do mieszkania Audrey Marshall. Nie był tam od dnia, gdy ją zabił. Sforsował zamek i wszedł. Zasłony były rozsunięte, a noc na tyle jasna, że mógł się swobodnie poruszać. Na podłodze znalazł ślady po policyjnych technikach, taśmą oklejono miejsce w kuchni, gdzie zostawił jej ciało. Zauważyli, że jej dłoń leżała tak, by palcem wskazującym mierzyć w mieszkanie Corbina? Henry uśmiechnął się do swoich wspomnień. Od lat nic mu nie sprawiło takiej frajdy jak układanie ciała Audrey, w zasadzie od momentu, gdy razem z Corbinem zabili na cmentarzu Claire. Gdy Audrey już nie żyła, mógł ją sobie układać, jak chciał, rozważać, czy całkiem rozciąć ją na pół, znaleźć



sposób, by przeciąć kręgosłup, ale na to się nie zdecydował. Niemniej na samo wyobrażenie – że ona jest rzeczywiście w dwóch częściach, idealnych połówkach, po jednej dla każdego z nich – aż poczuł zawroty głowy. Pewnego dnia mógłby coś takiego zrobić, ale raczej nie w pojedynkę.

Przeszedł się po mieszkaniu. W sypialni ktoś spakował do kartonów rzeczy Audrey, ubrania i książki, i tak zostawił. Może rodzina – zaczęli pakowanie i porzucili, nie dali rady. Ciekawe, co się stanie, gdy on umrze. Czy rodzice przyjadą po jego rzeczy? Oczywiście, że nie. Nigdy by nie wyjechali ze Stark, może gdyby Mary wróciła jak zły sen, ale nie z jego powodu. Trochę się go bali, wiedział o tym. Słyszał to w ich głosach przy nielicznych okazjach, gdy dzwonił do domu, w tym lekkim zająknięciu w „cześć, Henry”, gdy odbierali telefon, spodziewając się najwyżej rozmowy z kościelnym, który by ich powiadomił, że w tym roku brakuje ludzi do parafialnego kiermaszu ciast i czy mogliby pomóc.

Z okien salonu Henry wpatrywał się w pusty dziedziniec, a potem spojrzął na mieszkanie naprzeciwko. Dostrzegł jakiś ruch, światło w kuchni. Patrzył. Kobieta i mężczyzna. Ona w kuchni, ciemna blondynka, on właśnie szedł ku niej przez słabo oświetlony salon. Henry wyteżył wzrok i zaświtało mu, że widzi Kate, ale nie miał pewności. Teraz zobaczył mężczyznę w kuchni, wysoki, o rozczochranych czarnych włosach. Mógł to być ten sam gość, na którego Henry wpadł na ulicy, ten, którego Kate narysowała w swoim szkicowniku. To by miało sens. Jakoś się poznali i teraz Kate dymała się z tym facetem. Kiedy ona tu przyjechała? Trzy dni temu? No, nie marnowała czasu.

Obserwował ich przez jakieś dwadzieścia minut. Nie widział całej kuchni, ale chyba jedli przy wyspie. Mężczyzna znowu wszedł do salonu, przykucnął w rogu – może sięgał po alkohol – i wrócił do kuchni. Światło padło na jego profil, na wydatny nos. Żyd. Henry zaczynał się nudzić, a nuda trochę go złościła. Chciał, żeby Kate wróciła do mieszkania, żeby się ułożyła na kanapie pod kocem i zasnęła. Chciał patrzeć na jej drgającą we śnie twarz, słuchać jej oddechu i czuć, że jakaś jej część, ta zwierzęca, wie, że jest obserwowana. Bo zawsze wie.

Przynajmniej miał dla siebie całe mieszkanie. Wrócił tam, poszedł prosto do sypialni Kate i znalazł szkicownik. Znowu leżał pod łóżkiem. Otworzył go na pierwszym rysunku, upewniając się, że to mężczyzna z drugiego skrzydła kamienicy. Mocno przycisnął palec wskazujący do jego oczu, starając się zanadto ich nie rozmazać. Efekt mu się podobał. Oczy wyglądały inaczej, ale tylko odrobinę; wystarczyło jednak, by Kate miała się nad czym zastanawiać.

Skorzystał z toalety i poszedł do sypialni. Wyjrzał za okno, na rzekę. Niebo było bezchmurne, mieniły się na nim nieliczne gwiazdy, rzadko widoczne w mieście. Położył się na pościeli, składając ręce na brzuchu, i zanurzył się w rzece snu.

Kate wróciła wczesnym rankiem. Henry zastanawiał się, czy schować się pod łóżkiem, ale machnął na to ręką. Stąd łatwiej było nasłuchiwać. Jakiś czas później odebrała telefon, usłyszał, jak pyta rozmówcę, czy mają nakaz. Skoro wybierała się tu policja, to czas było wyjść. Znowu na jakiś czas zrobiło się cicho, miał nadzieję, że Kate albo śpi, albo wyszła. Włożył buty, wziął plecak i uznał, że czas się zbierać. Wróci w nocy i znowu ją zobaczy. A może wróci i złoży jej wizytę jako Jack Ludovico, samotny przyjaciel Audrey, może namówi Kate, żeby się z nim przespała. To raczej nie byłoby trudne.

Cicho przemieszczał się po mieszkaniu, pocierając ramię w miejscu, gdzie podrapał go kot, ale gdy wszedł do kuchni, zobaczył, że drzwi na gospodarczą klatkę schodową stoją otworem. Kate musiała tędy zejść na dół. Nagle zdecydował, że wyjdzie głównymi drzwiami. Niczym mu to nie groziło, zwłaszcza że

Kate była w piwnicy. Szedł już korytarzem, gdy usłyszał coraz głośniejsze kroki na schodach, a do tego charakterystyczne trzaski policyjnego radia. Jego umysł jak szalony analizował opcje. Przejść obok policjantów jak gdyby nigdy nic. Wrócić do mieszkania Kate. Nagle przypomniał sobie klucz oznaczony literami AM, wyjął go z kieszeni. Otworzył drzwi mieszkania Audrey, przeszedł pod taśmą policyjną, a gdy znalazł się w środku, oddychał szybko. Słyszał ciężkie kroki policjantów na korytarzu. Jakaś kobieta wydawała polecenia. Mówiła, żeby szukali cienkiego noża.

– Na przykład do filetowania? – zapytał jakiś mężczyzna. Henry nie usłyszał odpowiedzi. Pukali do drzwi Kate.

– Tak, na przykład noża do filetowania – powiedział do siebie Henry. Policzył do trzydziestu, opuścił mieszkanie Audrey, zbiegł schodami do holu i już po chwili wyszedł na jasny wietrzny dzień. Napęlił płuca powietrzem, niemal roześmiał się w głos, że tak niewiele brakowało, by policja go przyłapała. No ale co by się stało? Opowiedziałby im tę samą historyjkę, którą wcisnął Kate. Spotykał się kiedyś z Audrey Marshall i teraz przyszedł do jej mieszkania, żeby ją opłakiwać. Gdy szedł Bury Street w stronę parku, wyobraził sobie rozmowę z policjantami, jak ich przekonuje, że jest ofiarą losu, która straciła ukochaną, podczas gdy Corbin to psychol zza ściany.

Wymyślona rozmowa tak go zajęła, że mało nie przeoczył, że ktoś go śledzi. W końcu się jednak zorientował. Poczł to, tak jak człowiek, który ma zamknięte oczy, wie, że słońce wyszło zza chmury, bo czuje ciepło na skórze. Skręcił gwałtownie w lewo w kolejną ulicę z kamienicami. W połowie odległości do następnej przecznicy rosło drzewo. Przyspieszył, oparł się o pień, tak żeby nie widziała go osoba nadchodząca od strony Bury Street.

Po piętnastu sekundach usłyszał szybkie kroki nadciągające z tego właśnie kierunku i patrzył, jak chłopak Kate – czyli Alan – mija go pędem, jak ktoś, komu uciekł pies.

– Szuka mnie pan? – zapytał Henry, a mężczyzna poderwał się jak oparzony, jak ryba złapana na haczyk.

Henry spędził z Alanem Cherneyem bardzo miłe popołudnie. Jego nazwisko przypomniał sobie z rysunku Kate. Poszli razem do niewielkiego baru jakieś trzy przecznice od Bury Street. Henry odegrał rolę pogrążonego w żałobie przyjaciela Audrey i przekazał Alanowi wszystkie swoje teorie o Corbinie – seryjnym mordercy, który lubi okaleczać ofiary.

Powiedział mu o Rachael Chess, której ciało znaleziono na plaży w New Essex, tam gdzie mieszkała matka Corbina. Alan był oszołomiony, ale trochę spięty. Henry namówił go na kilka piw i wtedy facet zaczął się wyluzowywać. Wróciły mu na twarz kolory. Henry próbował go rozgryźć. Miał mniej więcej tyle lat co on i tak dobrze mu się w życiu powiodło albo był tak bogaty, że mieszkał na Beacon Hill. Typowy żydowski intelektualista, któremu się zdaje, że jest najmądrzejszy, ale zachowuje się neurotycznie, żeby nikt się nie zorientował. Znał podobnych typków z Aureliusza. Ale było coś jeszcze, czego nie umiał rozgryźć, jak bełkotliwe zdanie w zasadniczo banalnej książce. Przede wszystkim Alan zanadto przejmował się Audrey, a może zbyt przejmował się Kate. Tak czy owak, przejmował się tym, co Henry miał do powiedzenia, chłonał każde słowo. Więc Henry doprowadził go prosto do Corbina, tak samo jak wcześniej zrobił z Kate. Przedstawił go jako psychopatycznego mordercę, a siebie jako niezrównoważonego chłopaka szukającego zemsty.

Alan wypił kilka piw, coraz bardziej się ożywił. Henry dotrzymywał mu tempa, nie tylko w picciu piwa, ale również pod względem wylewności. Przypominali dwóch studentów pierwszego roku, którzy toczą spory filozoficzne w akademiku. Alan zsunął się z siedzenia, jedno kolano wibrowało mu jak kamerton. „Za dużo emocji” – pomyślał zafascynowany Henry. I gdy tak rozmawiali, w głowie Henry’ego zrodziła się konkretna fantazja. Wyobraził sobie, jak razem z Alanem zabijają kobietę, może Kate, może kogoś, kogo żaden z nich jeszcze nie zna. I nie spieszą się przy zabijaniu, a potem równie niespiesznie układają zwłoki. I rozcinają je na pół. I nikt się o tym nigdy nie dowie, będą o tym wiedzieć tylko oni dwaj. No ale Corbin będzie wiedział. Corbin będzie dokładnie wiedział, co się dzieje. Nagle fantazja uleciała, a Henry doznał dziwnego, nieznanego uczucia wstydu, jakby tamte myśli oznaczały może nie tyle niewierność w ścisłym tego słowa znaczeniu, ile coś w rodzaju desperacji. Potrzebę, by ich wyjątkowe doświadczenie wypróbować z kimś innym.

– Nic ci nie jest? – zapytał Alan.

– Nie, przepraszam. Tak się ze mną dzieje, gdy wszystko wydaje się normalne, świat jest właśnie taki, jak trzeba, aż nagle dociera do mnie, że jej już nie ma. Że Audrey nie żyje. A świat bez niej nie przestał istnieć.

Alan wyduł usta. Pokiwał głową ze zrozumieniem. Henry się wyprostował; teraz przejrzał tego mężczyznę. To nie był kolejny towarzysz zabaw. To był frajer. Idealny frajer.

– Przepraszam cię – powiedział. – Ciągłe tylko gadam o sobie, o Audrey. A co z tobą? Na pewno masz jakąś dziewczynę.

Alan się zawahał. Henry był ciekaw, czy zaraz usłyszy, co tamten robił z Kate ostatniej nocy. On jednak

rzekł:

– Nie za bardzo jest o czym gadać. Miałem dziewczynę. Mieszkaliśmy razem, a potem ona się wyprowadziła. Ale nie musisz tego wysłuchiwać.

– Nie, proszę. Chcę posłuchać. Chcę chociaż na chwilę zapomnieć o swojej sytuacji. Proszę, opowiedz mi.

Alan mówił, a Henry myślał: „Może takiego frajera warto wykorzystać?”. Cały czas Henry sądził, że chce, by to Corbina aresztowano za zamordowanie Audrey Marshall. Może nie aresztowano, ale żeby był podejrzany. To stanowiło element ich gry. Może jednak tak naprawdę nie chciał aresztowania Corbina. I to nie dlatego, że Corbin wskazałby go jako współnika zbrodni. Z tym by sobie poradził. Teraz niełatwo byłoby namierzyć Henry’ego Wooda. Nie było to niemożliwe, ale też nie było łatwe, ponieważ legalnie zmienił nazwisko. Wyszłoby na to, że Corbin wymyślił jakiegoś ducha. Ale nie, Corbin w więzieniu to nie było marzenie Henry’ego. Lepiej igrać ze zwierzątkiem, które nie siedzi w klatce.

Ułożył plan i skupił się na Alanie, który bełkotał coś o jakiejś Quinn. Ich oczy się spotkały i Alan nagle zamilkł, jakby zakłopotany. Przeprosił go i poszedł do łazienki.

Henry zabrał się do roboty. W knajpce oprócz nich było tylko dwóch mężczyzn w garniturach, siedzieli przy barze i oglądali fragmenty meczów w telewizji. Wyjął z plecaka nóż, ciągle schowany w plastikowej torebce. Wykazał się nieostrożnością, zachowując tak długo narzędzie zbrodni, ale teraz mu się ono przyda. Wyjął nóż z torebki, przytrzymując bokiem palców, żeby nie zostawić odcisków. Alan miał ze sobą skórzaną torbę wielkości nesesera. Henry ją otworzył. W środku znajdował się tablet, książka – *Kronika ptaka nakręcacza* – gruby plik zaklejonych kopert, poczta, której jeszcze nie przejrzał. Henry przekopał się na dno torby. Leżała tam mała czarna parasolka, Henry wsunął pod nią nóż, a gdy ułożył torbę tak, jak była, Alan akurat wrócił.

– Muszę iść – powiedział.

– Jasne, rozumiem.

Zapłacili rachunek przy barze, każdy swój, gotówką, po czym wyszli razem. Alan zarzucił torbę na ramię.

Z budki telefonicznej obok Tufts Medical Center Henry zadzwonił pod numer dla informatorów, na wszelki wypadek trzymając słuchawkę przez rękawiczki.

– Wiem, kto zabił Audrey Marshall – powiedział osobie, która odebrała telefon.

– Proszę podać nazwisko.

– Wolałbym nie podawać. Dzwonię z budki, bo się boję. – Starał się mówić głosem wyższym niż normalnie i drżącym.

– Może mi pan powiedzieć, czego się boi?

– Boję się Alana Cherneya. Mieszka w tym samym budynku co Audrey Marshall i wiem na pewno, że to on ją zabił.

– Może mi pan podać numer jego mieszkania?

– Nie mogę. Nie znam. Ale mieszka dokładnie naprzeciwko niej. Łatwo się dowiedzieć. Musicie tylko...

– Dobrze, oczywiście. Sprawdzimy to. Łatwo się tego dowiedzieć. Mogę wiedzieć, dlaczego pan uważa, że Alan Cherney ma coś wspólnego z morderstwem Audrey Marshall?

– Bo ma nóż, którym ją zabił. Ma go w torbie.

Henry się rozłączył i z pochyloną głową oddalił od budki. Nie widział co prawda w pobliżu żadnych kamer monitoringu, ale ostrożności nigdy za wiele.

Henry wrócił do domu i puścił *Brotherhood New Order*, nie za głośno, żeby się nie narazić na skargi sąsiadów. Zaraz gdy odłożył słuchawkę, wiedział, że podjął słuszną decyzję. Nadszedł czas, by dać Corbinowi odrobinę oddechu. Nawet gdyby Alana nie uznano za winnego, Henry trochę zamącił. Fajnie będzie śledzić to z oddali. Wykonał swoją robotę.

Wziął długi, gorący prysznic, potem się ubrał, jeszcze raz puścił płytę i położył się na zaścielonym łóżku. Będzie tęsknił za Kate. Gdy wychodził rano z jej mieszkania, sądził, że to tymczasowa nieobecność. Ale teraz najlepiej, żeby się trzymał z daleka. Zamknął oczy, kołysał stopą do muzyki. Unosił się na swojej rzece, chłodnej i odświeżającej, i zasnął, wciąż unosząc się na jej powierzchni, zadowolony, może nawet szczęśliwy.

Obudził się w ciemnym mieszkaniu, zmarznięty i drżący. Spał za długo, a gdy usiadł, poczuł się tak, jakby powietrze zamieniło się w ciecz, i o mało co nie położył się z powrotem. Dopadły go wątpliwości. Czy nie przesadził z telefonem na policję? Alan Cherney nie znał jego prawdziwego nazwiska – przedstawił się jako Jack, prawda? – ale mógł go opisać. Kate też. Mogła go narysować, jak się już przekonał. Henry uznał, że jego zaangażowanie w sprawy Kate, Corbina i Alana dobiegło końca. Zastawił pułapki i czas było odejść. Do tej pory dopisywało mu nadzwyczajne szczęście – rano o włos minął się z policją – przez kilka najbliższych tygodni nie będzie nigdzie chodził, tylko do biura w Newtonville.

Zrobił sobie kanapkę z serem, napił się mleka, a potem zabrał się do rozpakowywania plecaka. Ostrożnie wyjął wszystko, co miał ze sobą u Kate. Zapasowe koszule, rękawiczki, czapkę, dezodorant, batoniki, pustą butelkę, na wypadek gdyby musiał opróżnić pęcherz w kryjówce, skarpety antypoślizgowe, noktowizor z paskiem na głowę i nóż do filetowania w pochwie, nowiutki. Wszystko się zgadzało, brakowało tylko lycrowej kominiarki, w której sypiał, żeby nie zostawić włosów. Przeszukał kieszenie plecaka, potem kieszenie spodni i kurtki. Nigdzie jej nie było. Przypomniał sobie, jak ją zakładał poprzedniej nocy, gdy spał pod łóżkiem w pokoju gościnnym. W nocy zrobiło się ciepło, więc podsunął ją nad czoło. Nie pamiętał, co z nią zrobił później. Musiała mu się zsunąć z głowy i pewnie cały czas leżała pod łóżkiem. No bo gdzieżby indziej?

Wyszedł z domu.

Zanim wrócił do mieszkania Kate poszukać kominiarki, zaszedł jeszcze raz do mieszkania Audrey Marshall. Wiedział, że to ostatnia okazja.

Stał w ciemnej kuchni, wdychając powietrze, przypominając sobie...

Nie jak ją rozcinał – nie, to była ciężka robota – ale jak wyglądała, gdy już skończył, gdy leżała przecięta na pół, z ramieniem skierowanym w stronę mieszkania Corbina. Tyle krwi wylało się na podłogę, że ta przemieniła się w czerwoną taflę, lśniący piedestał dla dziewczyny, która związała się z niewłaściwym mężczyzną. Henry zamknął oczy i stał w bezruchu, rozkoszując się chwilą. Z zamkniętymi oczyma czuł się niewidzialny, tak jak dziecko myśli, że jest niewidzialne, bo samo nic nie

widzi. Ale dziecko się myli, Henry zaś nie. On rzeczywiście był niewidzialny. No, może prawie. Nikt oprócz Corbina go nie widział. A Corbin nic z tym nie mógł zrobić.

Wrócił do korytarza w piwnicy budynku Corbina, schodami kuchennymi ruszył do jego mieszkania. Gdy już był prawie u celu, poczuł drobny ruch powietrza i wydało mu się, że słyszy kliknięcie zamykanych drzwi. Przystanął i nasłuchiwał chwilę. Nic. Pokonał ostatnie stopnie i stanął pod drzwiami mieszkania. Tu nasłuchiwał długo. W chwili gdy poczuł się na tyle pewnie, by otworzyć drzwi, usłyszał ruch, kroki. Usiadł na górnym stopniu i czekał. Mógł sobie pozwolić na cierpliwość. Musiał tylko wejść do środka, dostać się do pokoju gościnnego, wziąć kominiarkę i wyjść.

Usłyszał odgłos spuszczonej wody i wodę płynącą rurami przez ściany budynku. Odniósł wrażenie, że znowu słyszy kroki, a następnie zapadła cisza. Odczekał chyba ze dwadzieścia minut, po czym ujął w dłoń gałkę i ją obrócił. Przekręciła się. Ucieszył się, ale wzmógł czujność. Nigdy wcześniej tak się nie zdarzyło. Czyżby Kate zapomniała się zamknąć? Wszedł do oświetlonej przez księżyc kuchni. W mieszkaniu panowała cisza. Zamknął za sobą drzwi, przeszedł przez salon, skręcił w korytarz prowadzący do sypialni gościnniej. Stłumione dźwięki i migające światło wskazywały, że telewizor jest włączony, a to oznaczało, że Kate pewnie zasnęła przed nim na kanapie. Henry przemknął do pokoju gościnnego, położył się na miękkiej wykładzinie przy łóżku i wyciągniętymi palcami macał po gąbczastym włosiu, szukając zagubionej kominiarki. Wsunął się głębiej i wreszcie wymacał zwiniętą w kłębek czapkę. Zalała go fala ulgi. Wstał i wepchnął znalezisko do kieszeni. Już miał wyjść z sypialni, gdy wyczuł ruch na korytarzu. Kate musiała wstać. Ale nie, to z drugiej strony. Cofnął się i obserwował cienie przesuwające się po framudze. Ktokolwiek to był, wszedł do pokoju z telewizorem. Henry, czując się w sypialni jak w pułapce, szybko ruszył w drugą stronę, do salonu, gdzie się zatrzymał i odwrócił. W nieprzeniknionych ciemnościach czuł lepiej. W pobliżu drzwi wejściowych stała duża szafa, skrył się w jej cieniu.

Kto tu jeszcze był? Domyślał się, że to pewnie Alan przyszedł po powtórkę z ostatniej nocy. Czekał, żeby się dowiedzieć, co się stanie, wyteżał słuch, ale słyszał tylko stłumione dźwięki telewizora.

I wtedy pojawił się Corbin, bez wątpienia on, poznał go pomimo krótkich włosów. Był na korytarzu i szedł przed siebie; w tej chwili coś się osunęło w piersi Henry'ego, jakby kamień wpadł do wody. To był strach, ale też podniecenie.

– A więc jesteś – powiedział. To właśnie mówił do niego setki razy w swoich fantazjach, bo chciał, by Corbin wiedział, że to on go wezwał, że to on pociągał za sznurki. Warto było, pomyślał, bez względu na to, co się teraz wydarzy.

– Co tu robisz? – zapytał Corbin głosem surowego nauczyciela łajającego ucznia.

Henry zaczął coś mówić, wyjaśniać, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że Corbin trzyma nóż i rzuca się do ataku. Przeszyła go fala podniecenia i radości, gdy odskoczył, by uniknąć ciosu. Potem rzucił się i powalił Corbina na drewnianą podłogę. Unieruchomił go, usiłował odebrać nóż. Prawie mu się to udało, ale przeciął sobie dłoń i odruchowo odskoczył. Corbin znowu się na niego rzucił, niemal dźgnął go w twarz, ale nóż uwiązł w podłodze, Henry'emu udało się go wyciągnąć, skoczył na Corbina i podciął mu gardło. Skóra się rozstała; jak to skóra. Tak gładko. W przyćmionym świetle krew wypływająca z szyi Corbina była czarna jak atrament.

Henry wstał i zatoczył się do tyłu. Poczł pulsowanie w dłoni, spojrzał na nią. Krew sączyła się do

rękawa, a kciuk zwisał luźno, musiał mieć przecięte ścięgno. Rozejrzał się szybko za czymś, co powstrzymałoby krwawienie, i przypomniał sobie o kominiarce w kieszeni. Odłożył nóż, zdrową ręką wyjął czapkę i przykucnął, by opatrzyć ranę. Ostrożnie przesunął zwisający kciuk przez otwór w śliskim materiale, po czym zawinał rękę, blokując koniec materiału, tak by całość jakoś się trzymała. Na razie musiało wystarczyć. Corbin wciąż wydawał dźwięki, jakby gulgot, Henry odwrócił się do niego.

Już nie byli sami. Do salonu weszła Kate i ukucnęła nad ciałem Corbina. Nie zauważyła Henry'ego. Podniósł nóż z podłogi i wstał. Patrzył przez chwilę, świat zwolnił i zastygł w tym jednym obrazie: Corbin umiera, a u jego boku stoi anioł w bieli.

Nagle Corbin skierował wzrok na Henry'ego, ich spojrzenia spotkały się na chwilę, po tylu latach wreszcie patrzyli sobie w oczy. Corbin wskazywał coś śliską od krwi dłonią, poruszał palcem, próbował powiedzieć coś Kate. W końcu się odwróciła i wtedy Henry skoczył jej na plecy. Usłyszał, jak powietrze uchodzi z jej płuc, głowa huknęła o podłogę. Wbił jej ostrze w plecy, trafił w łopatkę, wyciągnął nóż i wbił po rękojeść w miękkie miejsce wyżej, obok kręgosłupa. Zszedł z niej, usiadł na podłodze. Corbin dalej trzymał się ręką za gardło. Henry przysunął się, spojrzał mu w oczy, otwarte, ale już szkliste, krew wypływała bańkami z rozplatanego gardła.

Rozległo się głośnie pukanie do drzwi i kobiecy głos zawołał:

– Policja! Otwierać!

Henry, mając do dyspozycji sekundy, kalkulował. Biec do piwnicy? I nagle zobaczył zdumiony, jak Kate, z nożem sterczącym z pleców, wstaje i chwiejnym krokiem idzie do drzwi, po czym je otwiera, jakby wpuszczała gości na przyjęcie. Wyjął z kieszeni kurtki scyzoryk, otworzył ostrze, po czym chwycił Corbina za ramię i szarpnął go do góry, by posłużył mu za żywą tarczę. Do środka wpadła policjantka z bronią w ręku. Henry patrzył, jak kobieta ogarnia, co się dzieje, patrzy na Kate, na Corbina, potem na niego, jak wciąga na siebie ciało Corbina, przykładając ostrze scyzoryka do jego rozplatanego gardła. Powietrze było gęste od zapachu krwi.

Policjantka postawiła kilka kroków do przodu, mierząc do Henry'ego.

– Puść go i podnieś ręce do góry. – Lewą rękę zdjęła z rękojeści pistoletu i sięgnęła do paska po radio.

Henry znieruchomiał, trzymając w ręce nóż. Nawet lepiej, że tak się to skończyło.



Detektyw Roberta James wycelowała uważnie, wypuściła powietrze i wystrzeliła z glocka. Po raz pierwszy w swoim życiu w żywy cel. Kula kalibru.40 trafiła uśmiechniętego mężczyznę w górną wargę, uśmiech zamarł, gdy mężczyzna poleciał do tyłu i upadł z głuchym odgłosem. Nóż, który do tej pory wbijał w szyję krwawiącego człowieka, spadł z brzękiem na podłogę.

Wzywając przez radio posiłki, kobieta przyklęła i obejrzała mężczyznę z rozciętym gardłem. Krew wypływała szybko, ale nie tryskała. Detektyw odwróciła się do Kate i opanowana poprosiła o czyste ręczniki.

– On nie żyje? – zapytała dziewczyna. Jej głos brzmiał zbyt spokojnie, jakby nie pojmowała, co się dzieje.

– Nie wiem. Muszę wziąć ręczniki i powstrzymać krwotok. – Wstała i wtedy zobaczyła rękojeść noża sterczącą pod kątem prostym z karku Kate, zaraz przy łopatce. – Ja po nie pójdę, Kate. Ty tu zostań. Gdzie one są?

– W łazience na końcu korytarza – odrzekła Kate. Wykręciła się, zrobiła zabawną minę i zapytała: – Czy ja mam coś na plecach? – Sięgnęła za siebie ręką, ale detektyw James ją powstrzymała, chwytając za przedramiona i opuszczając je do boków. Kate miała błyszczące oczy. Była w szoku.

– Musisz usiąść tutaj i nie dotykać pleców. Karetka już jedzie.

Zostawiła Kate i pognąła w poszukiwaniu łazienki. Znalazła ją, ściągnęła ręcznik z wieszaka. Po powrocie z ulgą stwierdziła, że dziewczyna dalej siedzi tam, gdzie ją zostawiła, z rękoma sztywno ułożonymi na kolanach.

– To Corbin – powiedziała Kate.

– Kto? – zapytała policjantka, przyciskając ręcznik krwawiącej rany na gardle.

– On. To mój kuzyn Corbin. Chciał mnie uratować. – Głos miała niezwykle spokojny, jak ktoś mówiący przez sen.

James trzymała ręcznik, robił się mokry i ciemny od krwi. Na szczęście nóż nie przeciął tętnicy szyjnej, bo mężczyzna już by nie żył. Stracił jednak dużo krwi. Spojrzała na jego twarz. Rzeczywiście wyglądał jak na zdjęciach, które widziała. Oczy miał szkliste.

– Corbin – powiedziała. – Trzymaj się.

Wydawało się jej, że widzi w jego oczach jakąś reakcję.

– On nie żyje? – zapytała Kate.

– Nie, jeszcze żyje. Zaraz będzie tu karetka. Powiedz mi, co się stało.

– Corbin mnie obudził i kazał mi się schować w szafie. Chciał mnie uratować. Powinnam była zostać w szafie.

James usłyszała wycie syren i modliła się, by to nadjeżdżała ich karetka. Przyłożyła dwa palce pod

brodą rannego. Jeśli w ogóle wyczuwała puls, to bardzo, bardzo słaby.

– Uratowałeś ją, Corbin – powiedziała, na wypadek gdyby ją słyszał.

– Cześć, Sanders – odezwała się Kate, a policjantka obróciła głowę. Do dziewczyny podszedł biały kot, otarł się o jej nogę. Poglaskała go po grzbiecie, zostawiając krwawą smugę na nieskazitelnie białym futrze. Syreny wyły coraz głośniej.

Sześć godzin wcześniej detektyw James weszła do swojego mieszkania w Watertown, czując właściwie ulgę, że FBI oficjalnie przejmuje śledztwo w sprawie zabójstwa Audrey Marshall. Wyliczyła sobie, że od znalezienia ciała w sobotę spała w sumie może dwanaście godzin. Teraz był wtorek wieczorem. Przygotowała sobie famous grouse z lodem, przebrała się w koszulkę bez rękawów, w której lubiła spać, i spodnie od piżamy celticsów, które dostała od rodziców na Gwiazdkę. Lubiała je nie tyle ze względu na logo celticsów, ile dlatego, że były wygodne, a nawet w najsroźsze bostońskie zimy nie cierpiała spać w długich spodniach. Położyła się na sofie, trzymając ciężką szklankę na brzuchu. Spodnie od piżamy nie były jedynym celticsowym prezentem z ostatniej Gwiazdki. Dostała też kubek od siostrzenicy, która zawsze przygotowywała dla niej prezent, i różową koszulkę z długim rękawem od siostry, też z logo. Zero złudzeń – stała się krewną, która się kojarzy tylko z jednym. „Jest fanką celticsów, więc kupmy jej coś celticsów, skoro już nie mamy innych pomysłów”. Jak stary wujek, który lubi golfa, więc dostaje wyłącznie sprzęt do golfa. A przesłanie od siostry też było jasne: obcisła różowa koszulka sugeruje, że jeszcze nie jest za późno na wyrwanie faceta.

Podniosła się trochę, by napić się szkockiej. Dlaczego w ogóle myślała o takich rzeczach? „Bo jestem wykończona” – odpowiedziała sobie.

Zamknęła oczy. Natychmiast zobaczyła ciało Audrey Marshall ułożone na kuchennej podłodze, oprawione jak kawał mięsa. Ten obraz powracał do niej bez litości od trzech dni. Usiadła, wypła kolejny łyk szkockiej i przeciągnęła się, słuchając z zadowoleniem cichych trzasków w kręgosłupie.

Zadzwoiła komórka i jeszcze zanim zobaczyła nazwisko na wyświetlaczu, wiedziała, że to jej kapitan.

– Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć, czego się dowiedzieliśmy z anonimowego telefon zaraz po twoim wyjściu. Ktoś zadzwonił z budki w South Endzie. Jakiś mężczyzna podający się za przyjaciela Audrey Marshall, nie chciał podać nazwiska. Powiedział, że zabójcą jest Alan Cherney i że ma zakrwawiony nóż.

– Jezu. Skąd on to wie?

– Nie powiedział.

– Pewnie sam go podłożył.

Mark się roześmiał i jak zawsze od śmiechu zaczął kaszleć.

– Uznałem, że chciałabyś to usłyszeć, chociaż wiem, że poszłaś do domu się przespać.

– Spanie wykreśl z programu. Tan wie? – Abigail Tan była agentką FBI, to ona miała teraz prowadzić sprawę.

– Tak, już załatwia nakaz rewizji.

– Co sądzi?

– Nie powiedziała mi, ale chciała, żebyśmy cię zawiadomili. A co ty myślisz?

– To nasz Jack, jestem pewna. Sądzę, że wrabia Alana Cherneya. Tylko nie wiem dlaczego.

– Tan chyba też tak uważa.

– Ale weźmy nakaz i jeśli znajdziemy nóż, aresztujemy Cherneya. Może w końcu dowiemy się czegoś o Jacku, czegokolwiek...

– Dobra, muszę lecieć. Zadzwoń, jak tylko załatwimy nakaz.

Rozłączył się. James chciała się napić szkockiej, przechyliła szklanekę, ale tylko lód zadzwonił jej o zęby. Przechadzała się po pokoju, rozmyślając.

Jack robił się zuchwały, co pewnie oznaczało, że coś schrzani. A w każdym razie taką miała nadzieję. Teraz był głównym podejrzanym, mimo że Corbin Dell zniknął z mieszkania w Londynie. Corbin też był w to zamieszany, ale James nie wierzyła, że to on zabił Audrey Marshall. Nie zdążyłby tego zrobić przed swoim wyjazdem. Jej zdaniem zabójcą był człowiek, który się podawał za Jacka Ludovica. Uważała też, że ten mężczyzna wcześniej zabił co najmniej dwie kobiety – w North Shore w Massachusetts Rachael Chess i w Connecticut Lindę Alcheri, prawie czternaście lat temu. Obie tak jak Audrey Marshall po śmierci rozcięto z góry na dół. Rachael Chess znaleziono na plaży w New Essex, niedaleko domu matki Corbina Della. James przeanalizowała akta: Corbina przesłuchano jako osobę, która znała ofiarę, ale został wyeliminowany z kręgu podejrzanych, bo w chwili popełnienia morderstwa nie było go w kraju. Z Lindą Alcheri, zamordowaną dziewczyną z Connecticut, James w ogóle Corbina nie powiązała. Jej ciało znaleziono na terenie opuszczonego obozu skautowskiego za miastem. Przyczyną śmierci były rany głowy zadane kamieniem, ale przed pochowaniem przecięto jej skórę na twarzy i kawałek na klatce piersiowej. Dlaczego nikt tego nie powiązał z drugim morderstwem, tym w New Essex? Inna była przyczyna śmierci, ale rany pośmiertne były takie same albo przynajmniej niezwykle podobne. Teraz, gdy mieli trzecie morderstwo – kolejna kobieta z identycznymi ranami – wkroczyło FBI. James słyszała, że ktoś w policji nadał sprawie kryptonim „Fuszerka sztukmistrza”.

„On próbuje przeciąć kobiety na pół”.

Abigail Tan, pomimo młodego wieku (wyglądała na najwyżej dwadzieścia pięć lat), sprawiała wrażenie kompetentnej. James powiedziała jej, co znalazła w aktach Alcheri.

– Dwie przyjaciółki Lindy zeznały, że spotykała się krótko z jakimś Hankiem. Obie zapamiętały imię, ale nazwiska już nie. Nigdy tego Hanka nie znaleziono.

– I sądzisz, że tym Hankiem jest...?

– Myślę, że człowiek, który wtedy używał imienia Hank, teraz może się przedstawiać jako Jack Ludovico.

– A dlaczego uważasz, że on nie jest tym, za kogo się podaje, przyjacielem Audrey, który usiłuje się czegoś dowiedzieć?

– To dlaczego nie przyszedł do nas? I dlaczego Audrey Marshall ani razu nie wspomniała o nim w pamiętniku?

James nie zdradziła, że po prostu to wie. W obu morderstwach pojawiała się tajemnicza postać, która nigdy nie wyszła z cienia, a ona wiedziała, że jest to ta sama osoba i pewnie nie ma na imię ani Hank, ani Jack.

– No dobrze, w takim razie jeśli to jest morderca, to dlaczego się tu kręci? Dlaczego zaczął Kate Priddy?

– Myślę, że próbuje zrobić w to morderstwo Corbina Della. Ramię Audrey Marshall wygięto nad głowę, tak by wskazywało mieszkanie Della. Koroner powiedział, że ramię ułożono w tej pozycji już po śmierci. Morderca chce, byśmy uważali, że to Corbin zabił, dlatego kręci się w pobliżu. Może po raz pierwszy próbował go zrobić, zabijając Rachael Chess. Ale się nie udało.

– Powinniśmy opublikować rysunek sporządzony przez Kate Priddy?

James zastanawiała się chwilę.

– Jeszcze nie. Nie sądzę, żeby morderca mieszkał gdzieś w pobliżu, a jeśli jego portret ukaże się na pierwszej stronie, ucieknie. Już teraz jest nieostrożny, wrócił na miejsce zbrodni, by rozmawiać z sąsiadką. Weźmy go na przeczekanie, zobaczymy, czy gdzieś się pojawi.

No i proszę, z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu właśnie próbował zrobić Alana Cherneya.

James sięgnęła po telefon, by zadzwonić do kapitana, ale zanim zdążyła to uczynić, telefon zawibrował w jej dłoni. Abigail.

– Masz nakaz? – zapytała James.

– Jeszcze nie, ale rozmawiałam z Dietrichsonem. Zgodził się zostać po godzinach.

– Chcesz towarzystwa?

– Dlatego dzwonię.

Spotkały się w gmachu sądu i przekonały sędziego Alberta Dietrichsona, by wbrew zastrzeżeniom podpisał nakaz rewizji w mieszkaniu Alana Cherneya przy Bury Street 101. James musiała mu wmówić, że anonimowe doniesienie nagrane po południu to nie jedyny powód przeszukania.

– Przesłuchaliście Alana Cherneya po znalezieniu ciała? – zapytał sędzia, pakując aktówkę, by wreszcie wyjść z pracy.

– Tak. Nie zrobiłam tego osobiście, ale zrobiła to posterunkowa Karen Gibson. Zeznał, że nie znał Audrey Marshall osobiście, tylko z widzenia. Karen wspomniała, że się dziwnie zachowywał.

Sędzia podniósł jedną brew i spojrzał na James.

– Skonkretyzowała, co jej zdaniem znaczy dziwnie?

– Zapisała, że sprawiał wrażenie wstrząśniętego śmiercią sąsiadki. Nie wiedziała, czy to dlatego, że doszło do niej w tym samym budynku, czy dlatego, że znał ofiarę bliżej, niż się przyznał. I jeszcze jedno. Kate Priddy, kuzynka obecnie zajmująca mieszkanie Corbina Della, poznała Alana Cherneya i przekazała nam, że obserwował Audrey Marshall przez okno.

– Skąd? Z ulicy?

– Nie. Ze swojego mieszkania. Ich okna znajdują się na wprost siebie po przeciwnych stronach dziedzińca. Budynek ma kształt litery U.

– Rozumiem – odrzekł sędzia i z kamienną twarzą podpisał nakaz.

Godzinę później James spotkała się z Abigail Tan przy Bury Street 101 i razem z Mikiem Gaetano i Andre Damourem z wydziału weszli do mieszkania Alana Cherneya, pokazując mu nakaz. Obudzili go, był bardzo pijany, miał zamglony wzrok i bełkotał. W pewnym momencie poszedł do łazienki

zwymiotować. Znaleźli skórzaną torbę, którą opisał anonimowy informator, i w środku nóż. Abigail dokonała aresztowania.

W komisariacie detektyw James podała Alanowi, który nie chciał adwokata, kubek kawy i zaprowadziła go do pokoju przesłuchań. Na zmianę był uległy i wpadał w panikę.

– Nie zabiłem Audrey Marshall – mówił, wchodząc do pokoju. – Pani to wie, prawda?

– Agentka Tan przesłucha pana za kilka minut, może jej pan to wszystko powiedzieć.

Zanim wyszła z pokoju, by zostawić Alana na kilka minut samego, by skruszał, on wypalił:

– To nie była pokrzywka! – Mówił to już wcześniej, od chwili aresztowania.

James się zatrzymała. Wiedziała, że powinna zostawić go samego, powinien odpowiadać na pytania dopiero wtedy, gdy zacznie się oficjalne przesłuchanie, a jednak się do niego odwróciła.

– Musicie sprawdzić, co się dzieje z Kate Priddy – powiedział. – Jack mówił, że ma na rękę pokrzywkę, ale to nie jest pokrzywka. To Sanders go podrapał. A Sanders drapie tylko wtedy, gdy jest w piwnicy. Tam na dole coś w niego wstępuje i to tam podrapał Jacka. On wchodzi przez piwnicę. Myślę, że chce skrzywdzić Kate. Mam złe przeczucie. Bardzo złe przeczucie.

– Sanders? – zapytała James.

– Kot, który się wszędzie wałęsa. Jest przyjazny, ale kiedy ktoś chce go pogłaskać w piwnicy, drapie. Jack przechodzi przez piwnicę. Tamtędy się dostaje do środka.

– Alan, ktoś tu zaraz przyjdzie, dobrze? – powiedziała detektyw James i wyszła.

Godzinę później przyglądała się przesłuchaniu, które właśnie się zaczynało. Alan, który chyba już trzeźwiał, powiedział dokładnie to samo o kocie Abigail Tan. I gdy znowu usłyszała te słowa, włosy jej stanęły na głowie.

Wyszła z komisariatu i wróciła na Bury Street 101. Przez chwilę siedziała w samochodzie, wpatrując się w ciemne okna kamienicy. Nie zaszkodzi sprawdzić. Zapuka delikatnie do drzwi mieszkania. Nadstawi ucha, a jeśli nic nie usłyszy, wróci do siebie.

– Witaj, Sanibel – podeszła do portiera. Już nie musiała mu pokazywać odznaki. – Chciałam zajrzeć do Kate Priddy pod 3D. Czeka na mnie.

Dopiero gdy dotarła na miejsce, usłyszała ze środka szamotaninę, a potem odgłos, jakby ktoś upuścił worek piasku na betonową podłogę. Wyjęła pistolet z kabury i załomotała do drzwi. Należało ściągnąć posiłki, ale teraz było na to za późno.

Mężczyzna, którego detektyw Roberta James postrzeliła w twarz, zginął na miejscu.

Karetka zawiozła Kate Priddy do Mass General Hospital, gdzie dyżurny chirurg usunął z jej pleców nóż długości piętnastu centymetrów. Jakimś cudem ostrze ominęło rdzeń kręgowy oraz większe naczynia krwionośne. Uszkodzona została kość, Kate doznała też wstrząsu, ale lekarze i pielęgniarki obecni przy operacji przez wiele lat opowiadali potem o dziewczynie, która przeżyła zabójczy cios nożem.

Corbina Della zanoszono do drugiej karetki. Ratownicy zdołali zatamować krwotok, ale stracił dużo krwi. Zmarł w drodze do Mass General.

Alan Cherney, którego przesłuchanie przerwano, gdy tylko powiadomiono agentkę Tan o wydarzeniach na Bury Street, siedział przez kilka godzin w pokoju przesłuchań, aż wreszcie położył głowę na stole i zasnął. Przesłuchanie dokończono następnego ranka, został oczyszczony z zarzutów i zwolniony.

Gdy Kate Priddy w środę w południe otworzyła oczy, pierwsze, co zobaczyła, to była twarz detektywa James.

– Żyję – powiedziała dziewczyna.

– Żyjesz.

James położyła jej dłoń na ramieniu i patrzyła, jak Kate zamyka oczy i zasypia.

Gdy się ponownie obudziła, pielęgniarka Vicky Wilson sprawdzała jej parametry życiowe.

– Witaj – powiedziała, widząc, że Kate uchyla powieki. Vicky była bardzo przejęta, że zajmuje się tak sławną pacjentką, ale starała się to ukryć. – Jak się dzisiaj czujemy? – zapytała.

– Pić mi się chce.

– Dam ci kawałek lodu, kochanieńka. Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

– Detektyw – wychrypiała cicho Kate.

– Detektyw?

– Detektyw James. Roberta. – Po wypowiedzeniu tych słów Kate musiała przełknąć ślinę. Strasznie ją bolało gardło.

– Jak skończę, kochanieńka, znajdę detektywa James, zgoda?

Kate znowu zamknęła oczy.

Gdy je otworzyła, Roberta James już czekała.

– Niech mi pani wszystko powie – poprosiła Kate.

James się uśmiechnęła.

– Powiem ci, co wiemy, dobrze?

– Corbin nie żyje?

– Tak, Corbin Dell nie żyje.

– A Jack Ludovico?

James milczała chwilę, trwało to tak długo, że Kate przez jeden straszliwy moment myślała, że uciekł.

– Człowiek, którego poznałaś jako Jacka Ludovica, też nie żyje. Używał wielu nazwisk, ciągle próbujemy ustalić, jak się naprawdę nazywał. Czy nazwisko Henry Wood coś ci mówi?

Kate pokręciła głową, co wywołało eksplozję bólu w jej szyi i ramionach. Zapewne się skrzywiła, bo detektyw James powiedziała:

– Pogadamy o tym później. Na pewno się ucieszysz, że twoi rodzice jadą tu z Anglii.

– To miło.

– I pewien człowiek, Alan Cherney, bardzo chce cię zobaczyć. Jest tu w tej chwili, w szpitalu.

– Nie teraz, dobrze? – odparła Kate, zamykając oczy.

– Oczywiście, dam ci pospać.

James już wstawała, gdy Kate otworzyła oczy i zapytała:

– Jak Corbin Dell dostał się do Stanów? Mówiła pani...

– Że monitorujemy jego paszport, tak. Użył cudzego paszportu, jakiegoś Holendra.

– Dlaczego?

– Nie wiemy jeszcze wszystkiego, Kate. Sądzymy, że człowiek, którego znałaś jako Jacka Ludovica, obrał sobie za cel Corbina Della, może chciał go zrobić w morderstwo.

– Więc Corbin nie jest mordercą?

– Dużo jeszcze musimy rozwikłać. Nie znamy w tej chwili całej sytuacji.

– Obaj byli w mieszkaniu. Jak...?

– Jak się dostali? Corbin miał klucz, a przy Jacku znaleźliśmy wytrychy. Zakładamy, że swobodnie wchodził do kamienicy przez tylne wejście prowadzące do piwnicy.

– Od kiedy tam przychodził? – Kate czuła, że im dłużej mówi, tym bardziej zasycha jej w ustach.

– Nie wiemy tego, ale ślady kryminalistyczne potwierdzają, że krążył po całym mieszkaniu. Jak tylko sami się wszystkiego dowiemy, przekażę ci każdy szczegół. Teraz musisz jeszcze odpocząć.

– Dobrze – zgodziła się Kate i opuściła powieki. W plecach i u podstawy czaszki czuła ból, rozchodził się i przybierał na sile. Usłyszała, jak krzesło detektywa przesuwają się po linoleum, i wiedziała, że została sama. Próbowwała otworzyć oczy, stwierdziła jednak, że nie da rady, i znowu zasnęła.

James wróciła do poczekalni, gdzie siedział Alan Cherney z rozłożoną na kolanach książką, której nie czytał, i pełnym nadziei wyrazem twarzy.

– Jeszcze nie jest gotowa na spotkanie z panem – powiedziała.

– Dobrze – odrzekł. – Zaczekam jeszcze trochę.

– Gdy wspomniałam o panu, nie wzdrygnęła się przerażona – dodała, bo nie wiedzieć czemu chciała dodać mu otuchy. Pewnie go polubiła, i to nie tylko dlatego, że ocalił Kate Priddy, przekonując James, by wróciła na Bury Street. Miał rację co do zadrapań na ręce Henry'ego. Koroner powiedział, że pochodziły od kota.

– To już coś – odrzekł z uśmiechem Alan.

James oddaliła się od niego na taką odległość, by jej nie słyszał, i zadzwoniła do komisariatu. FBI zjechało licznie, agentkę Tan zastąpił starszy agent Colin Unger, który wyglądał jak model z folderu rekrutacyjnego armii. James połączyła się z kapitanem i zameldowała mu o stanie zdrowia Kate.

– Przekażę im, że jest przytomna i gotowa na przesłuchanie.

– Przekaż im za chwilę. To ją przyłoczy.

– Myślisz, że ona coś wie?

– O czym? O Henrym Woodzie? Nie, nic. Wie, co się stało tej nocy, gdy o mało co nie zginęła, ale nic ponadto. Powiedziała nam wszystko, jak jeszcze miała nóż w plecach. Ach, i chciała wiedzieć, czy Corbin był niewinny.

– I co jej powiedziałaś?

– Że pogadamy później. Jeszcze nie jest w formie.

Rozłączając się, James pomyślała o zdjęciu z polaroida, które znaleźli w mieszkaniu należącym do Henry'ego Wooda. Widniał na nim Corbin Dell; stał w deszczu nad otwartym grobem, w którym spoczywało ciało kobiety, chyba brunetki. W rogu zdjęcia widać było stary nagrobek, z czego można było wywnioskować, że to cmentarz. James uznała, tak na wyczucie, że Corbin miał na zdjęciu z osiemnaście lat. Trudno było rozpoznać wyraz jego twarzy. Może w oczach widać było szok, ale sprawiał wrażenie odprężonego, usta miał lekko rozchylone. To właśnie zdjęcie od trzydziestu sześciu godzin nie dawało James spokoju, nawet bardziej niż to, co ujrzała w mieszkaniu Kate, tę krwawą jatkę, która ustała, gdy jednym pociskiem odebrała człowiekowi życie. Nie ocaliła życia Corbinowi Dellowi, ale jego kuzynce Kate Priddy pewnie tak.

To już było coś.

Cztery godziny później agent Unger i agentka Tan przyjechali do szpitala przesłuchać Kate.

– Mam tam być z wami? – zapytała James.

– Tak – odrzekł Uger. Mówił z lekkim południowym akcentem. James obstawiała Karolinę Północną.

– Dobra, chętnie. Nie możemy jej obudzić, ale możemy poczekać, aż sama się obudzi.

Nie musieli czekać długo. Po półgodzinie pielęgniarka poinformowała, że Kate się obudziła i znowu pyta o detektyw James. W ciągu tej półgodziny Abigail Tan podzieliła się z James nowymi informacjami. Corbin Dell i Henry Wood piętnaście lat temu uczestniczyli w tym samym programie studenckim w Londynie. Jakby tego było mało, w tamtym okresie dokonano morderstwa, którego do dzisiaj nie wyjaśniono. Ofiara nazywała się Claire Brennan, studiowała na tej samej uczelni co oni. Zaginęła w okresie, gdy Corbin i Henry przebywali w Londynie, a jej ciało odnaleziono później na starym cmentarzu w północnym Londynie. Nigdy nikogo nie aresztowano w związku z tą sprawą.

– Czy została okaleczona po śmierci? – zapytała James.

– Nie – odrzekła Tan.

– Niemniej...

– Właśnie...

– Jaką mamy teraz hipotezę? Że razem zabijali kobiety?



– Na to wygląda – powiedziała Tan. – Henry i Corbin poznali się w Londynie i razem zabili Claire Brennan. Zrobili zdjęcia, potem może dokonali ponownych morderstw w Ameryce. Najpierw zabili Lindę Alcheri, potem Rachael Chess.

– Gdy zginęła Rachael Chess, Corbina Della nie było w kraju – zauważyła James.

– Jeśli wnioskować z list pasażerów, nie ma go w kraju również w tej chwili.

– Dobra, punkt dla ciebie. I co? Zabijają razem Audrey Marshall, a potem Corbin Dell tu wraca, żeby mogli zabić jego kuzynkę? To się nie trzyma kupy.

– Tak, wiem – przyznała Tan. – Mamy nadzieję, że Kate Priddy nam pomoże.

– Powiedziała mi, co się wydarzyło tamtej nocy. Corbin nagle zjawił się w mieszkaniu. Obudził ją i kazał się ukryć w szafie. Powiedział, że w mieszkaniu jest zły człowiek. Takich słów użył. Gdy wyszła z szafy, Corbin wykrwawiał się na podłodze, a ona została zaatakowana od tyłu.

– I wtedy zjawiłaś się ty – powiedziała Tan.

– Tak, wtedy zjawiłam się ja.

Gdy Kate się obudziła, agent Unger z pomocą agentki Tan przesłuchiwał ją przez jakieś dwadzieścia pięć minut. Powtórzyła im to samo, co wcześniej powiedziała detektyw James. Ani słowa mniej, ani słowa więcej. Na koniec rozmowy, gdy Kate już się zamykały oczy, powiedziała:

– To pewnie przeze mnie.

– Co przez panią? – zapytał agent Unger.

– To moja wina. Przyciągam psychopatów. Jak magnes.

– Kate, nie wiem jeszcze wszystkiego, ale wiem na pewno, że niczemu nie jesteś winna. Absolutnie niczemu.

James uznała, że lubi agenta Ungera, choć ma fryzurę żołnierza i najwyraźniej cierpi na poważne uzależnienie od siłowni.

Gdy wyszli na korytarz, Unger zapytał James, o czym mówiła Kate.

– Pięć lat temu została napadnięta przez byłego chłopaka. To się wydarzyło w Anglii. Zamknął ją w szafie, a potem popełnił samobójstwo.

– Boże drogi – w ustach Ungera te słowa zabrzmiały jak przekleństwo.

– Właśnie.

– Ale to nie ma związku?

– Nic nie znaleźliśmy – odparła James. – Myślę, że to przypadek, a może rzeczywiście przyciąga psychopatów, tak jak powiedziała.

Rzuciła to jako żart, ale Unger ściągnął brwi, jakby się zastanawiał.

– Tak czy owak, biedna dziewczyna – rzekł, a po chwili dodał: – Powiesz jej, że wszystko wskazuje na to, że Henry Wood ukrywał się w jej mieszkaniu co najmniej przez dwa dni?

James już się nad tym zastanawiała. Technicy znaleźli ślady Henry'ego Wooda w całym mieszkaniu: na jedzeniu w kuchni, w większości pomieszczeń, na rzeczach Kate. Znaleźli też włosy i ślady DNA, z których można było wnioskować, że spał pod łóżkiem w jednym z pokoi gościnnych.

Wspomniawszy słowa Kate, że chce wszystko wiedzieć, James zdecydowała:

– Tak, powiem jej.

Kiedy rodzice Kate wreszcie dotarli do szpitala, godziny odwiedzin dawno minęły, ale James zaprowadziła ich do separatki, w której spała Kate, i pomogła pokonać przeszkodę w postaci dyżurującego przed salą policjanta.

Przez pół godziny patrzyli, jak śpi, nie chcąc jej budzić.

– Zameldujemy się w hotelu i wrócimy tu – wyszeptał do żony Patrick Priddy.

– Ty nas zamelduj, kochanie, a ja tu zostanę.

Zanim jednak ojciec Kate odszedł, dziewczyna otworzyła oczy, zobaczyła rodziców i po raz pierwszy, odkąd trafiła do szpitala, się rozplakała.

Ciało Corbina Della zidentyfikował jego brat Philip, który przyjechał w tym celu z New Essex. Detektyw James się z nim nie spotkała, ale od psycholog zajmującej się rodzinami ofiar w chwili identyfikacji wiedziała, że nie okazał żadnych emocji i powtarzał, że musi wracać do matki, bo nie może jej zostawiać samej.

Philipa Della przesłuchało FBI. Abigail Tan przekazała detektyw Jones, że nigdy nie słyszał o Henrym Woodzie. Zapytany o okres studiów, który brat spędził w Londynie, odrzekł, że nie pamięta, by jego brat w ogóle jeździł do Londynu. Zapytany o Rachael Chess, o jej związek z Corbinem, odrzekł, że życie intymne brata to nie jego sprawa.

W dniu, gdy Kate Priddy została wypisana do domu, zgodziła się spotkać z Alanem Cherneyem, który przyszedł tego ranka do szpitala, tak samo jak każdego dnia, odkąd ją tu przywieziono. Wszedł do jej sali, blady, zdenerwowany, z bukietem narcyzów. Kate siedziała na łóżku, rysowała w szkicowniku, który rodzice jej przynieśli poprzedniego dnia. Sportretowała już cztery pielęgniarzy i dwóch lekarzy.

– Dziękuję za kwiaty – powiedziała, gdy Alan wręczył jej bukiet. Pachniały tak mocno, że Kate mimowolnie się skrzywiła, odstawiając wazon na stolik przy łóżku.

– Strasznie śmierdzą – zauważył. – Przepraszam.

– Nie, nieprawda. Zresztą na pewno pachną lepiej niż szpital.

– Słyszałem, że dzisiaj wychodzisz.

– Tak mówią, ale ja uwierzę, jak zobaczę.

– Co dalej?

– Rodzice mieszkają w hotelu za rogiem, więc zapewne dzisiaj zostanę u nich na noc. A potem pojedę do Londynu.

– Nie zostaniesz, by dokończyć kurs?

Kate się roześmiała.

– Nie, chyba nie. Gdzie miałabym mieszkać?

– No wiesz, mogłabyś ze mną. To nie byłby problem. Chętnie...

– Dzięki, Alan, ale...

– Rozumiem, całkowicie. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że jest taka możliwość. Konkretna możliwość. Nie spodziewałem się, że się zgodzisz.

– Jak tam jest?

– Gdzie? Na Bury Street?

Kiwnęła głową.

– Obłąd. Na dwadzieścia cztery godziny otoczyli cały budynek kordonem policji, bo zjechały się setki reporterów. Teraz siedzą tylko pod twoim skrzydłem, ale non stop krąży policja i prawie cały czas przed domem stoją wozy transmisyjne. Wiesz, że mnie aresztowano?

– Wiem. Roberta, detektyw James, wszystko mi powiedziała. W każdym razie twierdziła, że wszystko mi mówi. I mówiła, że po twoim aresztowaniu wróciła do mojego mieszkania dzięki tobie... dzięki temu, co powiedziałeś.

– Tak z ręką na sercu, to z tamtego wieczoru wszystko mi się miesza. Pamiętam, że do ciebie poszedłem, przepraszam za to, ale nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy. Potem wróciłem do domu, zasnąłem i zaraz zjawiała się policja, aresztowano mnie, a ja myślałem tylko o tym, że grozi ci niebezpieczeństwo. Byłem tego pewien.

– On się ukrywał w moim mieszkaniu. Wtedy gdy ja w nim przebywałam.

– Wiem. Piszą o tym w gazetach. To straszne.

– Co jeszcze piszą?

– Słyszałaś o niewyjaśnionym morderstwie w Londynie?

– Mówiła mi o tym detektyw James. To oni?

– Na to wygląda. Zabezpieczono ślady DNA, więc jeśli to oni, policja na pewno się dowie. To głośna sprawa, wiesz? Podobno już powstaje serial telewizyjny.

– Tak mi się coś zdaje.

– Kontaktowali się ze mną dziennikarze, chcieli wywiadów na wyłączność. Proponowali pieniądze.

– Tak? I co zrobisz?

– Nic. Nie obchodzi mnie to. Martwię się o ciebie.

– Chyba mi nic nie będzie, naprawdę. Może jestem jeszcze w szoku, ale nie wiem czemu, bo nie czuję takiej traumy ani przerażenia, jak powinnam. Miałam umrzeć, już dwa razy miałam umrzeć, a jednak ciągle żyję. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale czuję się szczęściarą. Powiedz mi wszystko, co wyczytałeś w gazetach.

Rozmawiali jeszcze jakiś czas, Alan opowiadał, co się działo od tamtej nocy, gdy zginęli Corbin Dell i Henry Wood. Mówił, że skontaktowała się z nim nawet jego była dziewczyna, Quinn, zapytała, czy chce iść na drinka.

– Myślisz, że chce do ciebie wrócić, skoro jesteś sławny?

– Myślę, że chce po prostu poznać szczegóły.

– Powinieneś wykorzystać swoje pięć minut sławy. To nie trwa wiecznie. – Kate uśmiechnęła się błado.

Ten uśmiech wystarczył, by Alan powiedział to, co chciał powiedzieć. Przesunął się odrobinę do

przodu na plastikowym krzeselku.

– Przygotowałem mowę. Z góry przepraszam.

– Nie musisz wygłaszać żadnej mowy – odparła, ale nadal się uśmiechała.

– Zrobię to tylko raz. Jest krótka, słowo honoru.

Po wysłuchaniu mowy Kate kiwnęła głową i obiecała, że ją przemyśli. Alan podziękował jej i wyszedł. Przynajmniej powiedział, co myśli. Powiedział prawdę albo prawie prawdę. O tym, ile znaczyła dla niego ich wspólna noc, jak źle się czuł z tym, że wdarł się do niej przez drzwi kuchenne i że szczerze uważa, że powinna zostać na jakiś czas w Stanach i dać szansę ich relacji – to nie do końca było to, co naprawdę chciał powiedzieć: rzecz w tym, że chociaż się dopiero poznali, on już wiedział, że się w niej zakochał.

Jim i Lina Woodowie jechali osiem godzin ze Stark w północnej części stanu Nowy Jork, by zidentyfikować ciało syna. Oboje się zdziwili, że nie zaprowadzono ich do kostnicy w podziemiach, gdzie ciało Henry’ego leżałoby pod prześcieradłem i odsłonięto by dla nich jego twarz. Takie sceny widzieli w niezliczonych serialach telewizyjnych i zakładali, że w prawdziwym życiu też tak się to odbywa. Tymczasem zaprowadzono ich do sterylnego, jasnego pomieszczenia, gdzie pokazano im fotografię twarzy Henry’ego na tle jakiejś niebieskiej płachty. To był ich syn, oczywiście. Żadne z nich nie okazało zdziwienia.

Jim chciał od razu wracać do Stark, ale Lina namówiła go, by zostali na noc. Znaleźli tani motel na zachód od miasta. Po drugiej stronie ulicy była przydrożna restauracja, która sprawiała przyzwoite wrażenie. Jim by się w życiu do tego nie przyznał, ale za kierownicą, zwłaszcza nocą, nie czuł się już tak pewnie jak kiedyś.

Po kolacji wrócili do motelu. Jim znalazł w telewizji mecz bejsbolowy. Nie rozmawiali o Henrym. Rozmawiali o nim często, gdy był młodszy. I modlili się za niego. Fakt, że to się skończyło, i jak się skończyło, ani nimi nie wstrząsnął, ani ich nie pocieszył. Stało się. Coś było z nim nie tak, a teraz znalazł się w rękach Boga. Straszne to, co mówiono, że on zabił te kobiety, ale teraz przynajmniej już nikogo nie zabije.

Jim zasnął jeszcze w trakcie meczu, więc Lina wyłączyła telewizor. Jim oddychał z trudem, chrapliwie. Lina martwiła się, ale uznała, że jej mąż wytrzyma jedną noc bez swojej maski do leczenia bezdechu.

Zanim zasnęła, pozwoliła sobie na egoistyczny moment, jeden moment wspomnienia Henry’ego z czasów, gdy był malutki, miał z pół roku. Sadzała go sobie na kolanach, trzymała dłońmi drobną klatkę piersiową i delikatnie nim potrząsała, a Henry śmiał się i śmiał, patrząc jej w oczy.

Potem odegnała to wspomnienie i postanowiła, że już nigdy do niego nie wróci.